

Bestseller „New York Timesa”

SARAH
MACLEAN

Przyjaciel
z dzieciństwa



Roman historyczny

MacLean Sarah

Zasady fajdaków 01

Przyjaciel z dzieciństwa

On jest księciem londyńskiego półświatka.

Ona - młoda dama, która odkrywa w sobie nieznane dotąd pragnienia. I jest gotowa stracić dla nich głowę... i serce.

Dziesięć lat temu markiz Bourne zniknął z towarzystwa. Jego jedynym majątkiem był wówczas tytuł, nic więcej. Dziś powraca na salony – jako właściciel najbardziej ekskluzywnej w Londynie jaskini hazardu. Zimny i bezwzględny, zrobi wszystko, aby odzyskać swe dziedzictwo – włącznie z poślubieniem przyobiecanej mu kiedyś nienaganej pod każdym względem lady Penelope.

Zerwane przed laty zaręczyny, a potem zaloty nudnych kawalerów sprawiły, że Penelope nie interesuje spokojne, konwencjonalne małżeństwo, do jakiego została wychowana. Marzy o czymś więcej. A markiz Bourne to wprost obietnica niezbadanych, tajemnych rozkoszy!

Jakże oboje się myślą...



Zima 1821, Londyn

Ta ósemka karo go zrujnowała.

Gdyby była to szóstka, mógłby się uratować. Gdyby była to siódemka, może by odszedł, zachowując swoje trzy folwarki...

Ale to była ósemka karo.

Młody markiz Bourne patrzył, jak karta przelatuje nad miękkim zielonym sukniem stolika i ląduje obok siódemki trefl, leżącej wyzywająco licem do góry. Oczy same mu się przymknęły, a w pomieszczeniu w jednej chwili zabrakło powietrza. Ten moment był nie do wytrzymania.

Vingt et deux.

O jeden więcej niż *vingt et un*, na które postawił.

Koniuszkiem palca wstrzymał ruch karty. W pokoju dał się słyszeć zbiorowy jęk. Widzowie patrzyli, jak przed ich oczyma rozgrywa się scena dramatu - ku rozkoszy i uldze tych, co sami o włos uniknęli katastrofy.

Po czym wybuchł gwar.

- Wszystko postawił?

- Wszystko, co nie należy do ordynacji.

- Za młody, aby wiedział, co robi!

- Wystarczająco dorosły. A teraz już z pewnością zmieni się z chłopca w mężczyznę.

- Naprawdę wszystko stracił?

- Wszystko.

Podniósł powieki i utkwiał wzrok w zimnych szarych tęczęwkach siedzącego naprzeciwko mężczyzny. Znał to lodowate spojrzenie przez całe swoje życie. Wicehrabia Langford był przyjacielem i sąsiadem ojca, wybranym przez zmarłego markiza Bourne, by pełnił funkcję prawnego opiekuna jego jedyne syna i dziedzica. Po śmierci rodziców to Langford chronił

majątek markizeta Bourne, powiększył dziesięciokrotnie jego dzierżawy, zapewnił mu finansową pomyślność.

Po czym mu ją odebrał.

Sąsiad? Tak. Ale nigdy przyjaciel.

Poczucie zdrady przeniknęło go żywym ogniem.

- Zrobił to pan z rozmysłem. - Po raz pierwszy w ciągu dwudziestu jeden lat życia wychwycił uchem młodzieńcze brzmienie swego głosu. Co za żenada.

Jego przeciwnik bez śladu emocji na twarzy podniósł leżący pośrodku stołu kwit zastawny. Bourne o mało nie skrzywił się na widok własnego podpisu, nagryzmołonego na białej karcie - dowodu, że stracił wszystko. Wysiłkiem woli zachował kamienną twarz.

- To była twoja decyzja. Sam zdecydowałeś, że stawiasz więcej, niż byłeś gotów stracić.

Został ograny. Langford nieustannie naciskał, popychał go coraz dalej, pozwalał mu wygrywać tak długo, aż młokos nie potrafił już sobie wyobrazić, że może przegrać. Podniósł wzrok.

- A pan zdecydował, że to ode mnie wygra - powiedział, niemal dławiąc się z gniewu i żalu.

- Gdyby nie ja, nie byłoby nic do wygrania - odparł po prostu jego przeciwnik.

- Ojciec... - Thomas Alles, syn wicehrabiego i najlepszy przyjaciel Bourne'a, postąpił krok naprzód. Głos drżał mu z oburzenia. - Nie rób tego. Langford zignorował syna. Nieśpiesznie złożył papier, wstał i zmierzył Bourne'a chłodnym spojrzeniem.

- Powinieneś mi podziękować, że w tak młodym wieku otrzymałeś ode mnie tak cenną lekcję. Niestety, nie masz teraz nic oprócz ubrania na grzbiecie i ogołoczonego z mebli domu.

Spojrzał na stos monet na stoliku - przypomnienie jego dzisiejszych wygranych.

- Zostawię ci trochę pieniędzy, co ty na to? Powiedzmy, jako pożegnalny podarunek. A zresztą, co by powiedział twój ojciec, gdybym zostawił cię bez niczego?

Bourne zerwał się, gwałtownie odsuwając krzesło.

- Nie jest pan godzien, by mówić o moim ojcu!

Langford uniósł brew na ten niekontrolowany wybuch. Pozwolił, by przez długą chwilę trwało milczenie.

- Wiesz - odezwał się wreszcie - chyba jednak zabiorę pieniądze. I twoje członkostwo w tym klubie. Pora, żebyś opuścił to miejsce.

Bourne spłonął gwałtownym rumieńcem. Jego członkostwo w klubie. Jego ziemię, jego służbę, jego konie, jego ubrania, wszystko. Wszystko oprócz domu, paru akrów gruntu oraz tytułu.

Tytułu, okrytego obecnie niesławą.

Wicehrabia uśmiechnął się drwiąco jednym kąciem ust i cisnął w stronę Bourne'a złotą gwineę. W jaskrawym świetle karcianego pokoju White'a moneta zakreśliła w powietrzu lśniący łuk. Bourne odruchowo wyciągnął rękę i złapał pieniążek.

- Wydaj go rozumnie, chłopcze. To ostatni, jaki ode mnie otrzymałeś.
- Ojczy - spróbował znowu Tommy. Langford się odwrócił.
- Ani słowa więcej. Nie będziesz żebrał za niego.

Starszy przyjaciel zwrócił na Bourne'a smutne spojrzenie i uniół ręce w geście bezradności. Tommy potrzebował ojca. Potrzebował jego pieniędzy i wsparcia.

Rzeczy, których Bourne już nie miał.

Nienawiść zapłonęła w nim na mgnienie i zgasła, zastąpiona przez chłodną determinację. Włożył monetę do kieszeni i odwrócił się plecami do ludzi swego stanu, do swego klubu, swego świata, do życia, jakie dotąd znał.

I właśnie wtedy poprzysiął zemstę.

Początek stycznia 1831

Nie drgnął, gdy drzwi do prywatnego pokoju otworzyły się za nim cicho i zamknęły.

Stał w ciemności. Jego sylwetka lewie się odznaczała na tle witrażowego okna, wychodzącego na główną salę najelegantszego londyńskiego salonu gry. Z poziomu klubu okno wyglądało jak olśniewające dzieło sztuki - ogromna tafla szkła przedstawiająca upadek Lucyfera. Połyskujący barwami, nadnaturalnej wielkości anioł - czterokrotnie większy od przeciętnego mężczyzny - przybył do tej jaskini hazardu, ciśnięty w ciemne zakątki Londynu przez niebiańskie zastępy.

Upadły Anioł...

Miał przypominać - nie tylko o nazwie klubu, ale i o ryzyku, jakie podejmowali ci, którzy tu trafiali. Wszedłszy, kładli swe kwity zastawne na zielonym suknie, brali do ręki kości, patrzyli, jak wiruje koło ruletki, a podsycone pokusą kolory zlewają się w tęczową mgłę.

A gdy Anioł, jak zawsze, zwyciężał, okno przypominało tym, którzy przegrali, jak głęboki jest ich upadek.

Wzrok Bourne'a padł na stolik do pikiety w odległym krańcu parteru.

- Croix chce podwyższyć stawkę.

Kierownik stołów nie ruszył się ze swego miejsca w drzwiach prowadzących do apartamentu właścicieli.

- Tak.

- Jest winien więcej, niż kiedykolwiek będzie w stanie zwrócić.

- Tak.

Bourne odwrócił głowę i spojrzał w pogrążone w cieniu oczy swego najbardziej zaufanego pracownika.

- Co zamierza postawić w zamian?

- Dwieście akrów w Walii.

Bourne popatrzył na lorda, o którym mówili. Kręcił się nerwowo, spocony, czekając na rozstrzygnięcie.

- Zwiększ mu stawkę. A kiedy przegra, dopilnuj, żeby wyszedł. Jego członkostwo jest nieważne.

Rzadko kwestionowano jego decyzje, a już nigdy nie robili tego pracownicy Upadłego Anioła. Kierownik stołów ruszył ku drzwiom równie cicho, jak niedawno wszedł. Zanim opuścił pomieszczenie, Bourne rzekł:

- Justin. Cisza.

- Najpierw ziemia.

Jedynie ciche szcęknięcie drzwi przypomniało, że ten człowiek w ogóle tu przed chwilą był.

Za moment pojawił się w polu widzenia piętro niżej. Bourne patrzył, jak kierownik stołów daje znak krupierowi - i księżę przegrał. Jeszcze raz.

I jeszcze.

I jeszcze raz.

Są tacy, którzy tego nie rozumieją.

Ci, co nigdy nie grali. Co nigdy nie poczuli rozkoszy zwycięstwa. Co nigdy nie łamali się ze sobą o jeszcze jedną rundę, jeszcze jeden strzał - dopóki nie trafiają setki, tysiąca, dziesięciu tysięcy.

Ci, co nie znają kuszącego, euforycznego, nieporównywalnego z niczym poczucia, że stół jest gorący, że noc należy do nich, że wraz z jedną jedyną kartą wszystko może się odmienić.

Oni nigdy nie rozumieją, co trzymało w fotelu księcia Croix i sprawiało, że stawał znowu, i znowu, z dziką pasją, dopóki nie stracił wszystkiego. Jeszcze raz. Tak jakby nic, co stawał, nigdy do niego nie należało. Bourne rozumiał doskonale.

Justin podszedł do zrujnowanego nieszczęśnika i szepnął mu coś dyskretnie do ucha. Księżę zerwał się na nogi i zachwiał. Ze zmarszczonym czołem, pełen gniewu, wstydu i poczucia zniewagi, rzucił się ku kierownikowi stołów.

Błąd.

Bourne nie słyszał, co tamten powiedział. Nie potrzebował. Słyszał to już setki razy - i setki razy obserwował, jak mężczyźni tracą najpierw pieniądze, a potem panowanie nad sobą. Jak wściekają się na Anioła. Na niego.

Obserwował, jak Justin postępuje krok naprzód z dłońmi uniesionymi w powszechnie zrozumiałym geście ostrzeżenia. Jak jego wargi poruszają się w chybionej próbie uspokojenia nieszczęśnika. Patrzył, jak inni gracze zaczynają zwracać uwagę na incydent. Podobnie jak Tempie, potężnie zbudowany partner Bourne'a, który ruszył w kierunku zamieszania, gotów do walki.

Bourne drgnął. Wyciągnął rękę i szarpnął uchwyt, uruchamiający skomplikowany system bloków i dźwigni, które włączały ukryty pod stolikiem do pikietki dzwonek. Powiadamiał w ten sposób krupiera, że Tempie nie będzie walczył tego wieczoru.

Będzie walczył on, Bourne.

Krupier jednym słowem powstrzymał potężnego Temple'a i głową wskazał mu ścianę, skąd patrzyli Bourne i Lucyfer, każdy gotów do konfrontacji z tym, co nieuchronne.

Wzrok Temple'a padł na szybę. Skinąwszy głową, poprowadził księcia poprzez zalegające parter tłupy.

Bourne zszedł z góry, z apartamentu właścicieli, by spotkać się z nimi w niewielkim przedpokoju, na uboczu głównego pomieszczenia klubu. Kiedy otworzył drzwi i wszedł, Croix klął niczym marynarz. Okrzyknął Bourne'a, patrząc na niego zmrużonymi z nienawiści oczami.

- Ty łajdaku... Nie możesz mi tego zrobić! Nie możesz zabrać tego, co moje!

Bourne wsparł się plecami o grube dębowe drzwi i założył ręce na piersi.

- Kopiesz sobie grób, Croix. Idź do domu. I ciesz się, że nie zabrałem ci więcej, niż wynosi moja należność.

Croix rzucił się ku niemu na oślep, bez namysłu. Bourne zareagował błyskawicznie, ze zręcznością, jaką mało kto u niego podejrzewał: chwycił ramię księcia, ścisnął i wykręcił mu obie ręce, przyciskając przeciwnika twarzą do drzwi.

- Zastanów się dwa razy, zanim zrobisz następny ruch - powiedział, potrząsnąwszy raz i drugi jego chudym ciałem. - Czuję, że nie jestem już tak wspaniałomyślny jak przed chwilą.

- Chcę się widzieć z Chase'em - wybełkotał tamten niewyraźnie.

- Nie. Zobaczysz się z nami.

- Byłem członkiem Anioła od samego początku. Jesteście mi dłużni. On jest mi dłużny.

- Przeciwnie, to ty jesteś dłużny nam.

- Włożyłem w to miejsce dość pieniędzy...

- Co za hojność. Czy mamy poprosić o książkę i sprawdzić, ile wciąż jesteś winien? - Croix zeszywniał. - Ach, widzę, że zaczynasz rozumieć. Ziemia jest teraz nasza. Rano wyślesz do dzierżawców swojego prawnika z aktem przeniesienia tytułu własności, inaczej sam cię poszukam. Czy to jasne? - Nie czekając na odpowiedź, puścił przeciwnika i odstał. - Wynoś się.

Croix odwrócił głowę. W oczach miał panikę.

- Zatrzymaj ziemię, Bourne. Ale nie zabieraj mi członkostwa! Wszystko, tylko nie to! Lada moment się ożenię. Jej posag pokryje moje przegrane, nawet z nawiązką. Nie zabieraj mi członkostwa!

Bourne nie cierpiał tego jęklivego błagania, podskórnego lęku, przebijającego przez słowa. Wiedział, że Croix nie potrafi się oprzeć popędowi gry. Pokusie zwycięstwa.

Gdyby miał w sobie choćby śliskie współczucia, żal by mu było niczego niepodejrzewającej dziewczyny.

Ale współczucie nie było cechą, na której posiadaniu by mu zależało.

Croix zwrócił szeroko rozwarte oczy na Temple'a.

- Temple... Proszę!

Temple założył potężne ramiona na szerokiej piersi i uniósł czarną brew.

- Z takim posagiem na pewno z radością cię powitają w jednym z niższych kręgów piekła.

Jasne, że tak. Dolne piekło - pełne oszustów i morderców - z otwartymi ramionami powita tę ludzką wesz i jej upiorne szczęście.

- Do diabła z piekłem! - warknął Croix. - Co ludzie sobie pomyślą? Ile to będzie kosztowało? Zapłacę podwójnie... potrójnie. Ona ma mnóstwo pieniędzy...

Bourne był, skromnie to ujmując, człowiekiem interesu.

- Ożenisz się i spłacisz długi z odsetkami, to przywrócimy ci członkostwo - rzekł.

- A co mam robić do tego czasu? - w tonie księcia zabrzmiał nieprzyjemny jęk.

- Może by tak spróbować wstrzemięźliwości? - podsunął niedbale Tempie.

Croix niemal zgłupiał z radości, dostrzegając szansę na negocjacje.

- I kto to mówi... Wszyscy znają twoje sprawki. Tempie zeszywniał.

- A mianowicie? - W jego głosie była pogróżka.

Strach odebrał księciu resztę rozumu. Wymierzył Temple'owi cios. Ten chwycił zaciśniętą pięść przeciwnika w nadnaturalnej wielkości dłoń i przyciągnął do siebie jego wątłe ciało.

- A mianowicie? - spytał ze złowrogim naciskiem. Croix zaczął kwilić jak niemowlę.

- Nic, nic... Przepraszam. Nie wiem, co mówię. Nie rób mi krzywdy, proszę, nie zabijaj mnie... Już wychodzę. Natychmiast. N-nie rób mi krzywdy!

Tempie westchnął.

- Nie wart jesteś mojego wysiłku. - Puścił księcia.

- Wynoś się - powtórzył Bourne. - Zanim uznam, że wart jesteś mojego. Croix wybiegł jak zdmuchnięty.

Bourne patrzył przez chwilę w ślad za nim, po czym wygładził kamizelkę i obciągnął surdut.

- Mało się nie zsikał, kiedy go złapałeś.

- Nie on pierwszy. - Tempie wyciągnął się w niskim fotelu i wyciągnawszy przed siebie nogi w długich, okrywających kolana cholewach, założył jedną na drugą. - Ciekawe, ile czasu ci to zabierze.

Bourne dotknął wystających spod rękawów białych lnianych mankietów, upewniając się, że półcalowy pasek tkaniny jest nienagannie równy, po czym przeniósł z powrotem uwagę na współnika.

- Co? - spytał, udając, że nie rozumie pytania.

- Przywrócenie ubrania do nienagannego wyglądu. - Jeden kącik ust Temple'a uniósł się w drwiącym uśmieszku. - Jesteś niczym kobieta.

Bourne zmierzył kolosa wzrokiem.

- Kobieta z nadzwyczajnym prawym sierpowym.

Uśmieszek Temple'a zmienił się w szeroki uśmiech, uwydatniając nos, złamany i zrośnięty w trzech miejscach.

- Chyba nie sugerujesz na poważnie, że mógłbyś mnie pokonać w walce wręcz?

Bourne oceniał w pobliskim lustrze stan krawata.

- Sugeruję dokładnie to.

- Czy mogę cię zaprosić na ring?

- W każdej chwili.

- Nikt nie pójdzie na ring - dało się słyszeć za nimi. - Na pewno nie z Temple'em. - Bourne i Tempie odwrócili się: w ukrytych drzwiach w odległym kątku sali stał Chase, trzeci współnik Upadłego Anioła.

Temple roześmiał się i spojrzał na Bourne'a.

- Widzisz? Chase wie, że nie jesteś dla mnie żadnym przeciwnikiem. Chase nalał sobie whisky ze stojącej w pobliskim kredensie karafki.

- To nie ma nic wspólnego z Bourne'em, Temple. Jesteś zbudowany niczym kamienna forteca. Nikt nie może być dla ciebie przeciwnikiem. Z wyjątkiem mnie, oczywiście - dodał z krzywym uśmiechem.

Temple odchylił się na oparcie fotela.

- Kiedykolwiek zechcesz spotkać się ze mną na ringu, natychmiast dostosuję mój plan dnia.

Chase zwrócił się do Bourne'a:

- Zrobiłeś z Croix nędzarza. Bourne przespacerował się po pokoju.

- Tak - odparł. - Zupełnie jakbym odebrał dziecku słodycze.

- Pięć lat jestem w tym interesie, a wciąż zaskakują mnie ci ludzie oraz ich słabość.

- To nie słabość. To choroba. Żądza zwycięstwa jest jak gorączka. Chase uniósł brwi, zaskoczony tym porównaniem.

- Temple ma słuszość. Przypominasz kobietę.

Temple ryknął śmiechem i dźwignął z fotela potężne ciało.

- Muszę iść na dół.

Chase patrzył, jak Temple przemierza pokój, kierując się ku drzwiom.

- Ominęła cię dziś rozróżba? Pokręcił głową.

- Bourne mi ją wyszarpnął.

- Jeszcze się okaże. Nie wszystko stracone.

- Miejmy nadzieję.

Temple wyszedł, zdecydowanie zamykając za sobą drzwi. Chase nalał drugi kieliszek whisky i podszedł z nim do Bourne'a, który stał przy kominku, nieruchomo patrząc w ogień. Ten wziął kieliszek i upił duży łyk złocistego płynu. Jak rozkosznie pali gardło i przełyk...

- Mam dla ciebie nowiny. - Chase dostrzegł napięcie na twarzy współnika. - Na temat Langforda.

Bourne od dziewięciu lat czekał na tę chwilę. Na to, co usłyszy zaraz z ust Chase'a, cokolwiek by to miało być. Od dziewięciu lat czekał na wiadomości o człowieku, który odarł go z przeszłości, z rodowych praw.

Z własnej historii.

Ze wszystkiego.

Tamtego wieczoru Langford odebrał mu cały majątek: ziemię, pieniądze, wszystko oprócz pustego dworu i paru akrów gruntu w środku dużego majątku - Falconwell. Patrząc, jak to wszystko wysuwa mu się z rąk, Bourne nie rozumiał motywów swego prawnego opiekuna. Nie znał przyjemności przekształcania skromnego majątku w bujną, kwitnącą posiadłość; nie pojmował, jakie to by było bolesne przekazać go zwykłemu chłopcu.

A dziś, po blisko dziesięciu latach, już go to nie obchodziło.

Pragnął zemsty.

Zemsty, na którą czekał tak długo.

Odbudował swoją fortunę - choć zajęło mu to dziewięć lat - a nawet ją podwoił. Dochody, jakie przynosił Upadły Anioł, wraz z paroma nadzwyczaj korzystnymi inwestycjami dały mu możliwość stworzenia nowego majątku, który mógł rywalizować z najwytworniejszymi w kraju.

Nigdy jednak nie był w stanie odzyskać tego, który stracił. Langford trzymał wszystko żelazną ręką i nie miał ochoty sprzedawać, bez względu na wysokość oferowanej sumy, bez względu na pozycję i potęgę oferenta. A oferentami byli naprawdę ludzie potężni.

Tak było do chwili obecnej.

- Mów.

- To skomplikowane.

Bourne z powrotem zwrócił twarz do kominka.

- Jak zawsze.

Pracował każdego dnia, gromadząc fortunę. Ale przecież nie robił tego dla swych posiadłości w Walii, Szkocji, Devonshire, Londynie. Robił to ze względu na Falconwell.

Tysiąc akrów bujnej zieleni, które stanowiły niegdyś chlubę markizatu Bourne. Ziemia, którą jego ojciec i dziadek, i pradziadek zgromadzili wokół rezydencji, która przechodziła z pokolenia na pokolenie, od jednego markiza do kolejnego.

- No? - Zanim Chase wymówił choć słowo, Bourne zobaczył odpowiedź w jego oczach i zaklął soczyście. - Co on z tym zrobił?

Chase się zawahał.

- Jeśli mi to uniemożliwi, zabiję go.

Tak jak powinien był zrobić dziewięć lat temu.

- Bourne...

- O nie! - Pięść przecięła powietrze. - Czekałem na to dziewięć lat. Zabrał mi wszystko. Wszystko! Nie wiesz, nie rozumiesz...

Chase odnalazł oczami jego wzrok.

- Wiem i rozumiem.

Bourne zamilkł. W tych słowach była prawda. To Chase podał mu niegdyś rękę w najgorszych chwilach. To Chase zabrał go do siebie, oczyścił z błota, dał mu pracę. Uratował go.

A przynajmniej starał się uratować.

- Bourne - zaczął Chase. W jego głosie była ostrożność. - To już nie jest jego. Poczul, jak lęnie się w nim przerażenie.

- Jak to: nie jest jego? Co przez to rozumiesz?

- Langford nie jest już właścicielem gruntów w Surrey. Pokręcił głową, jakby zmuszając się do tego, by zrozumieć.

- A kto jest właścicielem?

- Markiz Needham-Dolby.

Pradawny obraz ożył w pamięci na dźwięk tego nazwiska: krępy mężczyzna, ze strzelbą w ręce, idzie przez błotniste pole w Surrey, ciągnąc za sobą stadko dziewczynek, od małej do zupełnie maleńkiej. Ta, co szła na czele, miała poważne błękitne spojrzenie, jakiego Bourne nigdy przedtem ani potem u nikogo nie widział.

Sąsiedzi z czasów jego dzieciństwa, trzecia rodzina w trójcy świętej parostwa Surrey.

- Needham ma moją ziemię? Jak to się stało?

- Jak na ironię: wygrał w karty.

Bourne nie dostrzegł w tym fakcie nic śmiesznego. Myśl, że Falconwell znowu... zostało lekkomyślnie użyte jako zastaw w karcianej grze, a następnie przegrane, raczej go zdenerwowała.

- Przywieź go tutaj. Needham gra w *écarté*. Falconwell będzie moje. Chase odchylił się do tyłu, zaskoczony.

- Będziesz grał o Falconwell? Odpowiedź była natychmiastowa.

- Zrobię wszystko, aby je odzyskać.

- Wszystko?

Bourne z miejsca stał się podejrzliwy.

- Czy wiesz coś, o czym nie wiem? Brwi Chase'a się uniosły.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Zawsze wiesz więcej niż ja. I czerpiesz z tego satysfakcję.

- Po prostu baczniej obserwuję. Bourne zacisnął zęby.

- Wszystko jedno, mów.

Założyciel Upadłego Anioła udawał, że interesuje go jakiś pyłek na rękawie.

- Ziemia, która wchodziła kiedyś w skład Falconwell...

- Moja ziemia.

Chase zignorował ten wtęty.

- Nie możesz jej tak po prostu odzyskać.

- Dlaczego? Chase się zawahał.

- Bo została związana z... z czymś innym.

Bourne'a ogarnęła nienawiść. Blisko dziesięć lat na to czekał - na chwilę, gdy w końcu przyłączy folwark Falconwell do swych posiadłości...

- Z czym?

- Raczej: z kim.

- Nie mam nastroju do twoich zagadek.

- Needham ogłosił, że dawne grunty Falconwell mają być włączone do posagu jego najstarszej córki.

Bourne osłupiał.

- Penelopy?

- Znasz tę damę?

- Lata minęły, odkąd widziałem ją ostatni raz... prawie dwadzieścia. Szesnaście. Była tam, kiedy jako piętnastolatek, po śmierci i pogrzebie rodziców, opuszczał Surrey, przeniesiony w nowy, obcy świat, gdzie nie miał żadnej rodziny. Patrzyła, jak wsiada do powozu, i odprowadzała go nieruchomym spojrzeniem, gdy pojazd toczył się długim duktem, wyprawdzającym z Falconwell.

Dopiero gdy skręcił na trakt, odwróciła wzrok.

Wiedział o tym, bo on także nie spuszczał z niej wzroku.

Była jego przyjaciółką.

W czasach, gdy wierzył jeszcze w przyjaźń...

Była także najstarszą córką podwójnego markiza, który miał więcej pieniędzy, niż człowiek jest w stanie wydać przez całe życie. Nie było racji, dla której miałyby tak długo pozostawać w staropanieństwie. Powinna być dotąd zamężna i sprawować pieczę nad stadkiem młodych arystokratów.

- Po co Penelopie w posagu Falconwell? Czemu dotąd nie wyszła za mąż?

Chase westchnął.

- Wolałbym, żebyście wszyscy więcej interesowali się życiem towarzyskim w ogóle, a nie tylko naszym skromnym klubem.

- Nasz skromny klub liczy ponad pięć tysięcy członków. Każdy z nich ma *dossier* grube jak mój kciuk, a w nim pełno wiadomości. A to dzięki twoim współpracownikom.

- Niemniej jednak mam coś lepszego do roboty wieczorami niż edukować was na temat świata, w którym się urodziście.

Bourne zmrużył oczy. Nigdy nie zauważył, by Chase spędzał wieczory inaczej niż samotnie.

- Coś lepszego? Co?

Chase zignorował pytanie i pociągnął kolejny łyk whisky.

- Przed laty lady Penelopa zrobiła najlepszą partię w sezonie.

- I?

- Do ślubu nie doszło, bo narzeczony ożenił się z inną... z miłości.

To była stara historia, którą Bourne słyszał mnóstwo razy. Nadal jednak czuł jakieś dziwne, nieznanne wrażenie na myśl, że dziewczyna, którą pamiętał, mogła zostać zraniona przez zerwanie zaręczyn.

- Z miłości - prychnął kpiąco. - Raczej trafiła się ładniejsza i zamożniejsza. No i?

- Powiedziano mi, że od tego czasu miała paru konkurentów. Mimo to wciąż jest niezamężna. - Chase zdawał się tracić zainteresowanie tematem, bo westchnął ze znużeniem, zanim dokończył: - Ale chyba już niedługo, skoro Falconwell ma osłodzić garnek miodu. Na wieść o Falcon-well zaroi się od adoratorów.

- Skorzystają z szansy, aby pokazać, że są lepsi ode mnie.

- Prawdopodobnie. Nie jesteś wysoko notowany na liście faworytów.

- W ogóle nie ma mnie na liście faworytów. Ale i tak będę miał tę ziemię.

- Jesteś gotów na wszystko? Na wszystko, czego to będzie wymagało? -

Chase sprawiał wrażenie rozbawionego.

Bourne dobrze rozumiał, co współpracownik ma na myśli. Błysnął mu w wyobraźni obraz młodej, miłej Penelopy, skrajnego przeciwieństwa tego, kim był on sam. Kim się stał.

Odepchnął go. Dziewięć lat czekał na tę chwilę.

Na szansę odzyskania tego, co zostało stworzone z myślą o nim.

I co zostało mu przekazane w spadku.

Co stracił.

Nigdy dotąd nie był tak bliski jego odzyskania i nic mu w tym nie przeszkodzi.

- Na wszystko. - Wyprostował się i starannie wygładził surdut. - Jeśli razem z ziemią mam wziąć i żonę, niech będzie i tak.

Zatrzęsnęły się za nim drzwi.

Chase wzniosł kieliszek i powiedział do pustego pokoju:

- Powinszować.

Drogi M.

Koniecznie musisz przyjechać do domu! Bez Ciebie okropnie się nudzę; ani z Wiktoria, ani z Valerie nie można się kąpać w głębokim jeziorze.

Naprawdę musisz chodzić do szkoły? Moja guwernantka jest bardzo rozumna. Z pewnością potrafiłaby nauczyć Cię wszystkiego, co trzeba.

Pozdrawiam

P.

Dwór Needham, wrzesień 1813

Droga P.

Obawiam się, że będziesz zmuszona nudzić się okropnie aż do Bożego Narodzenia. Marna to pociecha, ale my tutaj nie mamy w ogóle dostępu do jeziora. Może zaczniesz uczyć bliźniaczki łowić ryby?

Naprawdę muszę chodzić do szkoły... twoja guwernantka mnie nie lubi.

M.

Eton College, wrzesień 1813

Koniec stycznia 1831, Surrey

Lady Penelopa Marbury, jako wysoko urodzona i dobrze wychowana, wiedziała, że powinna być doprawdy bardzo wdzięczna losowi, gdy w mroźne

styczniowe popołudnie, mając już dobre dwadzieścia osiem lat, otrzymała piątą w swoim życiu, i prawdopodobnie ostatnią, propozycję małżeństwa.

Wiedziała, że pół Londynu oczekuje, że ukłęknie, tak jak czcigodny pan Thomas Alles, na jedno kolano, dziękując jemu oraz własnej swatce za tę uprzejmą i niezwykle wielkoduszną propozycję. Bądź co bądź, dżentelmen, o którym mowa, był przystojny, miły i miał wszystkie zęby oraz gęstą czuprynę - a to kombinacja cech rzadka u konkurenta niezbyt już młodej kobiety, mającej w dorobku zerwane zaręczyny i zaledwie garstkę starających się dawno temu.

Wiedziała także, że ojciec, który bez wątpienia pobłogosławił ten związek już wcześniej, zanim doszło do oświadczyn, lubił Thomasa. Markiz Needham-Dolby lubił „tego Tommy'ego” od dnia, gdy przeszło dwadzieścia lat temu chłopak podwinął rękawy i przykucnąwszy w stajni przynależącej do domu jej dzieciństwa, asystował przy szczenieniu się jednej z ulubionych suk markiza.

Od tamtego pamiętnego dnia markiz mawiał o Tommym „porządny chłopak”.

Penelopa zawsze myślała, że ojciec chciałby, aby taki właśnie był jego syn. Gdyby oczywiście miał syna, a nie pięć córek.

No a poza tym Tommy zostanie kiedyś wicehrabią - w dodatku majątnym. Jak z pewnością powiedziałyby matka ze swego miejsca za drzwiami salonu, skąd bez wątpienia oglądała w cichej desperacji rozgrywającą się scenę: „Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma, Penelopo”.

Penelopa doskonale to wszystko wiedziała.

I dlatego, gdy napotkała ciepłe brązowe spojrzenie tego zmienionego w mężczyznę chłopca, którego znała całe życie, dobrego, miłego przyjaciela, doskonale zdawała sobie sprawę, że to zdecydowanie najlepsza propozycja małżeństwa, jaką kiedykolwiek otrzyma, i że powinna powiedzieć: „Tak”. Bez wahania.

A jednak tego nie zrobiła.

Spytała natomiast:

- Dlaczego?

W ciszy, jaka nastąpiła po tym pytaniu, dał się słyszeć dramatyczny szept: „Co ona robi?”, dochodzący zza drzwi salonu. Tommy podniósł się z kolan. W oczach miał rozbawienie i ani śladu zaskoczenia.

- A dlaczego nie? - odparł przyjaźnie, a po chwili dodał: - Znamy się od zawsze i lubimy nawzajem. Ja potrzebuję żony, ty męża.

Nie brzmiało to źle. A jednak...

- Weszłam w świat dziewięć lat temu, Tommy. Miałeś dotąd wiele czasu, aby się oświadczyć.

Tommy miał na tyle przyzwoitości, że przybrał wyraz zasmucenia, zanim uśmiechnął się ponownie. Nie, zupełnie nie wyglądał na salonowego pieska.

- To prawda. I nie mam żadnego usprawiedliwienia dla zwłoki, oprócz... cóż, po prostu zmądrzałem, Penny.

Uśmiechnęła się także.

- Głupstwo. Ty nigdy nie zmądrzejesz. Dlaczego ja, Tommy? - przycisnęła go. - Dlaczego teraz?

Kiedy roześmiał się na to pytanie, nie był to jego typowy swobodny, hałaśliwy, przyjacielski śmiech. Raczej jakby nerwowy. Taki, którym się śmiał zawsze, gdy nie chciał odpowiadać na pytanie.

- Pora się ustatkować - powiedział, po czym przechylił głowę na jedno ramię i uśmiechnąwszy się szeroko, dodał: - Ech, Pen... Jakoś to będzie, co?

Penelopa otrzymała dotąd cztery inne propozycje małżeństwa, a wyobrażała sobie niezliczone kolejne: od efektownych, dramatycznych wystąpień na balu, gdy muzyka przestaje nagle grać, a pary zamierają, olśnione tą sceną, do cudownie intymnych, szeptanych oświadczeń w ustronnej altance w pełni kipiącego bujną zielenią lata. Wyobrażała sobie wyznania miłości i namiętności, obfitość jej ulubionych kwiatów piwonii, pled rozścielany troskliwie na pełnej stokrotek łące, szczypiące bąbelki szampana na języku, gdy cały Londyn wznosi toast za jej szczęście... Uścisk ramion ukochanego, gdy rzuca mu się w objęcia, szepcząc: „Tak... tak!”

Wszystko to były rojenia, wiedziała o tym - jedno bardziej fantastyczne od drugiego. Bądź co bądź, dwudziestoosmioletnia stara panna nie opęda się nieustannie od zalotników.

Z pewnością jednak nie była aż tak zdesperowana i bez szans, by nie móc marzyć o czymś więcej niż: „Jakoś to będzie, co?”

Westchnęła leciutko. Nie chciała zranić Tommy'ego, który najwyraźniej starał się jak mógł. Byli jednak przyjaciółmi od niepamiętnych czasów i nie chciała wprowadzać fałszu w ich długoletnią znajomość.

- Żal ci mnie, tak?

Tommy otworzył szeroko oczy.

- Co takiego? Nie! Dlaczego tak myślisz? Uśmiechnęła się lekko.

- Bo to prawda. Żal ci przyjaciółki, która jest biedną starą panną. I chcesz poświęcić własne szczęście, bylebym ja wyszła za mąż.

Spojrzał na nią z rozdrażnieniem - takie spojrzenia są możliwe tylko pomiędzy bliskimi przyjaciółmi - i ująwszy jej dłonie, uniósł je do ust i ucałował kolejno palce jednej, a potem drugiej.

- Głupstwo. Czas się ożenić, Penny. A ty jesteś moją dobrą przyjaciółką. - Po twarzy przemknął mu smutek. - Zepsułem te oświadczyńy, tak?

Doprawdy, trudno było się na niego złościć. Uśmiechnęła się.

- Troszeczkę. Powinieneś był przysiąc mi wieczną miłość. Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Ręka do czoła i tak dalej? Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Właśnie. No i napisać dla mnie sonet, gdyby ci się udało.

- „O, piękna lady Penelopo... oddaj mi, proszę, serce swe!" Tak? Roześmiała się. Tommy zawsze doprowadzał ją do śmiechu. To była dobra cecha charakteru.

- Doprawdy, marnie ci to wyszło, milordzie. Skrzywił się w udanym strapieniu.

- To może wyhoduję nową rasę psa? I nazwę ją Lady P?

- To istotnie romantyczne - skwitowała. - Ale zajmie, jak sędzę, sporo czasu, nieprawdaż?

Nastała chwila ciszy. Oboje upajali się własnym towarzystwem. Po czym Tommy powiedział z nieoczekiwaną powagą:

- Proszę, Pen... Pozwól, żebym cię chronił.

Dziwne słowa. Ponieważ jednak całe te oświadczyńy były dość kulawe i osobliwe, nie przywiązywała wagi do formułek.

Zastanowiła się natomiast nad propozycją. Już zupełnie poważnie.

Był jej najdawniejszym przyjacielem. Jednym z najdawniejszych w każdym razie.

Tym, który jej nie opuścił.

Umiał doprowadzić ją do śmiechu, a ona bardzo, bardzo go lubiła. Był jedynym mężczyzną, który nie wyparł się jej po katastrofie zerwanych zaręczyn. Już choćby to jedno przemawiało na jego korzyść.

Powinna powiedzieć: tak.

Powiedz to, Penelopo!

Powinna zostać lady Thomasową Alles, dwudziestoośmioletnią matroną, uratowaną w ostatniej chwili z otchłani staropanieństwa.

Powiedz: „Tak, Tommy. Zgadzam się wyjść za ciebie. Jak to miło, że mi się oświadczyłeś”.

Powinna!

A jednak tego nie zrobiła. *Drogi M.*

Moja guwernantka nie lubi węgorki. Z pewnością jest dostatecznie wykształcona, by zrozumieć, że fakt, iż przyszedłeś z węgorką, nie oznacza, że jesteś zły. Nienawidźcie grzechu, a nie grzesznika.

Twoja P.

Postscriptum: Tommy przyjechał w zeszłym tygodniu w odwiedziny i poszliśmy łowić ryby. Jest oficjalnie moim najlepszym przyjacielem.

Dwór Needham, wrzesień 1813

Droga P.

Podejrzanie Twoje słowa przypominają mi kazanie pastora Comptona. Uważasz w kościele! Czuję się rozczarowany.

M.

Postscriptum: Nie jest.

Eton College, wrzesień 1813

Łoskot dębowych drzwi zatraskujących się za Thomasem wciąż jeszcze rozbrzmiewał echem w pokojach dworu Needham, gdy na podeście pierwszego piętra, o kondygnację wyżej niż hol, gdzie stała Penelopa, pojawiła się jej matka.

- Penelopo! Coś ty najlepszego zrobiła?! - Lady Needham rzuciła się schodami w dół. Tuż za nią podążyły siostry Penelopy: Olivia i Philippa, oraz trzy ojcowskie psy rasy beagle.

Penelopa zaczerpnęła głęboko tchu i zwróciła twarz ku matce.

- Piękny mamy dziś dzień - rzuciła niedbale i ruszyła do jadalni, pewna, że matka pójdzie jej śladem. - Napisałam list do kuzynki Catherine; nie wie mama, czy ona nadal cierpi na to okropne przeziębienie, którego nabawiła się przed Bożym Narodzeniem?

Pippa zachichotała. Lady Needham - nie.

- Co mnie obchodzi kuzynka Catherine! - zawołała cienkim ze wzburzenia głosem.

- To niezbyt uprzejmie z mamy strony. Nikt nie lubi być przeziębiony. - Penelopa otworzyła drzwi do jadalni. Ojciec już tu był; siedział przy stole, wciąż w swoim myśliwskim stroju, i oczekując na żeńską

część domu, spokojnie czytał „Post”. - Dobry wieczór, ojciec. Jak ci minął dzień?

- Zimno dziś jak diabli - mruknął markiz Needham-Dolby, nie podnosząc oczu znad gazety. - Czuję, że gotów jestem do kolacji. Mam ochotę na coś ciepłego.

Penelopa pomyślała, że ojciec może nie być natomiast gotów na to, co nastąpi właśnie podczas tego posiłku. Nie powiedziała jednak nic, tylko zepchnęła psa z krzesła i zajęła przeznaczone sobie miejsce, po lewej ręce markiza, a na wprost sióstr, które z szeroko otwartymi oczami czekały na rozwój wypadków. Penelopa jak gdyby nigdy nic rozłożyła serwetkę.

- Penelopa! - Lady Needham stanęła w drzwiach jadalni, sztywno wyprostowana, z zaciśniętymi w pięści dłońmi. Lokaje zamarli, niepewni, czy podawać kolację, czy nie. - Thomas się oświadczył!

- Tak. Byłam przy tym obecna - odezwała się Penelopa. Pippa uniosła kubek z wodą, aby ukryć uśmiezek.

- Needham! - Markiza postanowiła szukać wsparcia. - Thomas oświadczył się Penelopie!

Lord Needham odłożył gazetę.

- Tak? Zawsze lubiłem tego Tommy'ego Allesa. - I zwrócił się do najstarszej córki: - Wszystko w porządku, Penelopo?

Dziewczyna zaczerpnęła tchu.

- Niezupełnie, ojciec.

- Nie przyjęła go! - Tonacja głosu matki byłaby stosowna jedynie dla zawodzenia żałobnicy albo greckiego chóru. Choć najwyraźniej miała też inny cel: sprowokowanie obecnej w jadalni sfory do gwałtownego szczekania.

Przy wtórze zawodzenia własnego i psów lady Needham podeszła do stołu. Cerę miała w czerwone cętki, tak jakby dopiero co przedzierała się poprzez kłujące zarośla ostrokrzewu.

- Penelopo! Propozycje małżeństwa ze strony zamożnych, wolnych młodych dżentelmenów nie rosną na drzewach!

Zwłaszcza w styczniu, pomyślała Penelopa. Nie powiedziała jednak tego na głos.

Lokaj podszedł, by podać zupełne pierwsze danie ich wieczornego posiłku.

- Zabierz to! - jęknęła lady Needham, padając na krzesło. - Kto dzisiaj jest w stanie jeść? W tej sytuacji?

- Co do mnie, to jestem dosyć głodna - zaznaczyła Olivia, a Penelopa stłumiła uśmiech.

- Needham! Markiz westchnął.
- Odmówiłaś mu? - zwrócił się do najstarszej córki.
- Niezupełnie - zrobiła unik Penelopa.
- Nie przyjęła jego oświadczyn! - krzyknęła lady Needham.
- Dlaczego?

To było dobre pytanie. Z pewnością każdy, kto znajdował się przy stole, rad by znać na nie odpowiedź. Nawet Penelopa. Tyle że nie знаła odpowiedzi. Dobrej odpowiedzi.

- Chciałam się zastanowić.

- Nie bądź głupia. Przyjmij go - rzekł lord Needham, tak jakby to było takie łatwe, i skinął na lokaja, aby podał mu zupę.

- A może Penny nie chce przyjąć oświadczyn Tommy'ego? - podsunęła Pippa, a Penelopa gotowa była ją ucałować.

- Nie chodzi o to, czego chce lub nie chce! - zawołała markiza. - Chodzi o sprzedaż, skoro trafia się kupiec.

- Jakie to uroczę - stwierdziła sucho Penelopa, starając się ze wszystkich sił nie tracić ducha.

- Cóż, to prawda, Penelopo. I wygląda na to, że Thomas Alles jest jedynym mężczyzną w towarzystwie, który ma ochotę być kupcem.

- Jakżebym chciała, abyśmy wymyślili lepszą metaforę niż kupno i sprzedaż - odparła Penelopa. - I prawdę mówiąc, nie sądzę, aby miał on większą ochotę poślubić mnie niż ja jego. Myślę, że jest po prostu uprzejmy.

- Nie jest po prostu uprzejmy - sprostował lord Needham. Zanim jednak Penelopa zdążyła zgłębić sens ojcowskiej uwagi, znowu przemówiła markiza.

- Nie chodzi o to, czy masz ochotę wyjść za mąż, Penelopo. Ten etap masz już dawno za sobą. Musisz wyjść za mąż! Od czterech lat nikt ci się nie oświadczył! Zapomniałaś o tym?

- Zapomniałam, mamó. Dziękuję za przypomnienie. Lady Needham uniosła nos ku sufitowi.

- Przypuszczam, że to miał być żart?

Brwi OHvii poszybowały w górę, tak jakby sama myśl, iż starsza siostra miałaby być dowcipna, była dla niej trudna do przyjęcia. Penelopa stłumiła chęć, by obronić własne poczucie humoru; sama sądziła, że jest ono bez zarzutu.

Oczywiście, że o tym nie zapomniła. Doprawdy, trudno było zapomnieć, skoro matka nieustannie jej o tym przypominała. Penelopa była

zaskoczona, że markiza wymieniała liczby dni i godzin, jakie od tamtego czasu upłynęły. Westchnęła.

- Nie zamierzam być dowcipna, mamó. Po prostu... nie jestem pewna, czy chcę wyjść za Thomasa. Czy za kogokolwiek innego, kto nie jest pewny, że chce poślubić mnie. Tak naprawdę.

- Penelopo! - warknęła matka. - To, czego chcesz, nie jest najważniejsze w tej sytuacji!

Oczywiście, że nie. Przecież nie o to chodzi w małżeństwie...

- Doprawdy, jakież to zabawne! - Markiza zrobiła pauzę, by zebrać się w sobie i znaleźć stosowne słowa. - Penelopo... nie ma nikogo innego! Szukaliśmy! Co z tobą będzie?! - Padła z wdziękiem na krzesło, unosząc dłoń do czoła w dramatycznym geście, którego mogłaby jej pozazdrościć każda aktorka londyńskich scen. - Kto cię weźmie?

Było to dobre pytanie, które Penelopa sama prawdopodobnie powinna była starannie rozważyć, zanim ujawniła własną niepewność co do swej matrymonialnej przyszłości. Ale po prostu nie przemyślała swojego oświadczenia, w każdym razie dopóki go nie uczyniła.

Teraz jednak wyglądało to na najlepszą decyzję, jaką podjęła od bardzo dawna.

W istocie Penelopa miała w ciągu ostatnich dziewięciu lat mnóstwo okazji, aby ktoś ją „wziął”. Był czas, kiedy znajdowała się na ustach wszystkich - ponętna, dobrze wychowana, o nienagannych manierach, z doskonałą opinią, idealnie... idealna.

Była nawet zaręczona. Ze swoim równie idealnym męskim odpowiednikiem.

Tak, to byłoby małżeństwo idealne. Tyle że on kochał idealną miłością - inną.

Skandal ułatwił Penelopie zerwanie zaręczyn, zanim zostałyby porzucona.

A tak przynajmniej nie było to porzucenie. Raczej potrząśnięcie.

I wcale nie tak znów niepożądane.

Ale, naturalnie, matka o tym wiedzieć nie będzie.

- Penelopo! - Markiza wyprostowała się ponownie i utkwiała w najstarszej córce pełne udreki spojrzenie. - Odpowiedz mi! Jeśli nie Thomas, to kto w takim razie? Czyja będziesz?

- Wygląda na to, że będę należeć tylko do siebie.

Olivia wydała krótkie: yh! Pippa, która unosiła właśnie łyżkę do ust, zatrzymała ją w pół drogi.

- Och, och! - Markiza znowu padła na oparcie. - Nie, ty tego nie powiedziałaś! - Panika pomieszana z irytacją zabrzmiała w jej tonie. - Jesteś z mocniejszego materiału niż ten, z którego są zrobione stare panny! Wprost strach pomyśleć... stara panna!

Odwrotnie, pomyślała Penelopa, to stare panny są z mocniejszego materiału niż matka. Nie powiedziała jej tego jednak, bo markiza, w stanie skrajnej desperacji, sprawiała wrażenie, jakby miała za chwilę runąć z krzesła na podłogę.

- A ja? - dociskała matka. - Co ze mną? Nie urodziłam się na matkę starej panny! Co ludzie pomyślą? Co powiedzą?

Penelopa doskonale zdawała sobie sprawę, co myślą i mówią już teraz.

- Był czas, Penelopo, kiedy zanosilo się, że będziesz przeciwieństwem tego, kim stałaś się obecnie! Zanosilo się, że będę matką księżny!

Właśnie. To było to widmo, stojące pomiędzy lady Needham a jej najstarszą córką. Księżna.

Ciekawe, czy matka wybaczy jej kiedykolwiek to zerwanie zaręczyn... Zupełnie jakby ona, Penelopa, w czymkolwiek tu zawiniła! Zaczepnęła tchu i spróbowała przemówić rozsądnie.

- Mamo, księżę Leighton był zakochany w innej kobiecie...

- Istny skandal!

Którą kochał bez pamięci. Nawet teraz, po upływie ośmiu lat, poczuła ukłucie zazdrości... nie, nie o księcia, ale o uczucie. Stłumiła ten odruch.

- Skandal czy nie, to tamta dama jest obecnie księżną Leighton. Dodam, że nosi ten tytuł od ośmiu lat i urodziła w tym czasie swemu małżonkowi przyszłego księcia Leighton oraz troje innych dzieci.

- To powinien być twój małżonek! Twoje dzieci! Penelopa westchnęła.

- Co więc powinnam zrobić, zdaniem mamy? Markiza znowu poderwała się do pionu.

- Powinnaś, moje dziecko, trochę bardziej się starać! Po księciu mogłaś przyjąć jednego z wielu konkurentów, gdybyś tylko wykazała dobrą wolę! -Znowu opadła na oparcie. - Było ich czterech! Dwóch hrabiów - wyliczała, tak jakby przeszłe oświadczyzny mogły zatrzeć się córce w pamięci - a potem

George Hayes! A teraz Thomas! Przyszły wicehrabia! Tak, przyszłego wicehrabiego mogłabym zaakceptować...

- Jakie to wspaniałomyślne z twojej strony, mamó.

Penelopa usiadła z powrotem na krześle. Tak, to chyba prawda. Uczono ją, by bardzo się starała usidlić męża... to znaczy bardzo, ale naturalnie nie tak, by wyglądało, że za bardzo.

Jednak w ciągu ostatnich paru lat nie wkładała w to serca. Tak naprawdę - nie. W pierwszym roku po zerwaniu zaręczyn łatwo było sobie mówić, że nie ma co się troszczyć o zamążpójście, bo otacza ją skandal i nikt się nią poważnie nie zainteresuje jako potencjalną narzeczoną.

Później pojawiło się parę propozycji. Wszystkie pochodziły od mężczyzn, którzy mieli jakieś ukryte motywy: byli gotowi ożenić się z córką markiza Needham-Dolby ze względu na jego karierę polityczną albo pozycję finansową. Markiz nie sprzeciwiał się za bardzo, kiedy Penelopa grzecznie im odmówiła.

Nie miało dla niego znaczenia, dlaczego powiedziała: „nie”.

Nie przyszło mu do głowy, że odmówiła, bo przez mgnienie dostrzegła, czym może być małżeński związek. Bo widziała, z jaką miłością patrzył w oczy swej żony ksiądz Leighton. Zrozumiała, że małżeństwo może być czymś znacznie więcej niż kontrakt - jeśli tylko będzie miała dość czasu, aby to „coś” znaleźć.

Nie wiadomo jednak, jak i kiedy - w czasie gdy mówiła sobie, że czeka na coś więcej - jej szanse przeminęły. Stała się za stara, zbyt brzydka, o za bardzo zszarganej reputacji.

A dziś, widząc, jak Tommy - miły, drogi przyjaciel, ale nikt więcej - proponuje, że spędzi z nią resztę życia, choć to małżeństwo właściwie go nie interesuje... po prostu nie mogła powiedzieć „tak”.

Nie mogła zrujnować jego szans na coś więcej.

Choćby nie wiem jak marne były jej szanse.

- Och! - rozległ się znowu jęk matki. - Pomyśl o siostrach! Co się z nimi stanie?

Penelopa spojrzała na siostry, które śledziły przebieg rozmowy, jakby to był mecz badmintonu.

- Towarzystwo będzie musiało zadowolić się młodszymi i ładniejszymi siostrami Marbury. Biorąc pod uwagę, że dwie ich zamężne siostry to hrabina i baronowa, myślę, że wszystko będzie jak najlepiej.

- Dzięki Bogu, że bliźniaczki tak znakomicie wyszły za mąż...

„Znakomicie” to nie było słowo, jakiego użyłaby Penelopa w stosunku do zamążpójścia Wiktorii czy Valerie - oba związki zostały zawarte ze względu na tytuł i posag. Jednak ich mężowie byli dość nieszkodliwi i przynajmniej zachowywali dyskrecję co do swych pozamałżeńskich podbojów. Penelopa nie widziała więc powodu do sporu.

Nieważne... Matka parła naprzód.

- A twój biedny ojciec? Całkiem jakbyś zapomniała, że ma na głowie cały dom dziewcząt! Ach, gdybyś urodziła się chłopcem, Penelopo... Byłoby całkiem inaczej! Wasz ojciec jest literalnie chory ze zmartwienia!

Penelopa przeniosła wzrok na ojca, który zanurzył właśnie kawałek chleba w gęstej mięsnej zupie i podawał go wielkiemu czarnemu wodo-lazowi, który siedział po jego lewej ręce i wywiesiwszy różowy jęzor, nie spuszczał spojrzenia ze swego pana. Ani człowiek, ani pies nie sprawiali wrażenia chorych ze zmartwienia.

- Mamo, ja...

- I Philippa! Lord Castleton przejawiał zainteresowanie Philippą. Co z nią będzie?

Teraz Penelopa wyraźnie się zmieszała.

- Co będzie z Philippą?

- No właśnie! - Lady Needham powachlowała się dramatycznie białą lnianą chusteczką. - Co będzie z Philippą?

Penelopa westchnęła i zwróciła się ku siostrze.

- Czy sądzisz, Pippo, że moja sytuacja wpłynie negatywnie na twoją znajomość z lordem Castletonem?

Dziewczyna otworzyła szeroko oczy i pokręciła głową.

- Nie potrafię sobie tego wyobrazić. Jest mną zajęty już dwa sezony. A jeśli nawet by wpłynęło, to prawdę mówiąc, nie będę zdesperowana. Castleton jest odrobinę... hm, niemądry.

Penelopa użyłaby określenia „głupi”, pozwoliła jednak Pippie na tę uprzejmość.

- Nie bądź głupia, Philippo - upomniała markiza córkę. - Lord Castleton jest hrabią! Pamiętaj, że żebrak nie wybiera. Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma!

Penelopa zazgrzytała zębami. To było ulubione porzekadło matki, gdy rozważała perspektywy swych niezamężnych córek... Pippa zwróciła na matkę błękitne spojrzenie.

- Nie miałam pojęcia, że jestem żebraczką.

- Naturalnie, że jesteś! Wszystkie jesteście. Nawet Wiktor i Valerie musiały zebrać. Skandal nie rozplywa się w powietrzu.

„Penelopa zrujnowała szanse was wszystkich” - usłyszała Penelopa prawdziwe, choć niewypowiedziane znaczenie matczyńskich słów.

Poczuła nagły przypływ wyrzutów sumienia. Starła się je stłumić, wiedząc, że są bezzasadne. To nie była jej wina!

Ale jednak...

Odsunęła siłą tę myśl. Nie była winna. To on kochał inną. Dlaczego jednak nie kochał jej?

To pytanie zadawała sobie setki razy podczas tamtej odległej zimy, kiedy ukryto ją tu, na wsi, z dala od towarzystwa. Przerzucała strony brukowych gazet, donoszących o skandalu, wiedząc, że wybrał ładniejszą, wdzięczniejszą, bardziej pociągającą. Wiedząc, że on jest szczęśliwy, a ona... odrzucona.

Nie kochała go. W ogóle nie myślała o nim zbyt wiele.

A jednak jej to doskwierało.

- Nie mam zamiaru zebrać - włączyła się do rozmowy Olivia. - To mój drugi sezon. Jestem ładna, mam wdzięk i bogate wiano. Na pewno nikt go nie przeoczy.

- O tak. Masz mnóstwo wdzięku - rzekła Pippa, a Penelopa spuściła wzrok na talerz, aby ukryć uśmiech.

Olivia wyczuła ironię.

- Śmieście się, ile chcecie. Znam moją wartość. Nie zamierzam pozwolić, aby przydarzyło mi się to co Penelopie. Znajdę sobie prawdziwego arystokratę.

- Doskonały plan, kochanie! - Lady Needham promieniała dumą. Olivia się uśmiechnęła.

- Dzięki Bogu, dostałam od ciebie dobrą nauczkę, Penny. Penelopa nie mogła się powstrzymać od obrony.

- Ja go nie przepędziłam, Olivio. To ojciec zerwał te zaręczyny z powodu skandalu związanego z siostrą Leightona.

- Nonsens. Gdyby Leighton cię chciał, walczyłby o ciebie, choćby nie wiem jaki skandal stał na przeszkodzie - zauważyła młodsza siostra z wrodzoną otwartością. - Ale nie. To znaczy nie chciał ciebie. Choć myślę, że i nie walczył. Mogę tylko się domyślać, że powodem było to, że nie starałaś się dostatecznie podtrzymać jego zainteresowanie.

Jako najmłodsza, Olivia nigdy nie była zmuszona, by zastanowić się, dlaczego jej słowa, zawsze odrobinę zbyt szczerze i bezpośrednio, mogą

ranić. Podobnie było i tym razem. Penelopa przygryzła policzek, walcząc z chęcią, by wrzasnąć: „On kochał inną!” Wiedziała jednak, że byłoby to daremne. Zerwane zaręczyny to zawsze wina kobiety. Zawsze. Jak widać, nawet wtedy gdy ta kobieta jest twoją starszą siostrą.

- Tak! - podchwyciła ochoczo lady Needham. - Olivio, masz za sobą zaledwie jeden sezon i już jesteś taka bystra! - zaczęła z aprobatą. - A nie zapominajmy też o innych konkurentach.

- Może Penelopa nie miała ochoty poślubić żadnego z tych innych - zauważyła Pippa z za swojej książki, a Penelopa miała ochotę ją ucałować. Istotnie, nie miała ochoty poślubić żadnego.

Nadal jednak czuła, że powinna bronić swoich racji.

- Jeśli pamiętacie, otrzymałam propozycję małżeństwa dziś po południu.

Olivia machnęła lekceważąco ręką.

- Od Tommy'ego... To nie jest dobra propozycja. Nikt nie uwierzy, że oświadczył ci się dlatego, że chciał się z tobą ożenić.

Na OHwie zawsze można było liczyć, że powie prawdę.

- A skoro o tym mowa, to właściwie dlaczego się oświadczył? - wtrąciła Pippa. Penelopa była pewna, że siostra nie chciała być okrutna. Bądź co bądź, i ona przed godziną zapytywała o to siebie samą... i Tommy'ego.

Jakże chętnie odpowiedziałyby: „Bo mnie kocha”. Nie, ściśle biorąc, prawda była inna: chętnie wypowiedziałyby takie słowa, pod warunkiem, że nie dotyczyłyby Tommy'ego. I właśnie dlatego nie odpowiedziała mu: „tak”. On nigdy nie był tym, o którym marzyła.

- Czy to ważne dlaczego? - pospieszyła matka. - Ważne jest to, że chce pojąć Penelopę za żonę! Ze chce jej dać dom, nazwisko i troszczyć się o nią tak, jak troszczył się o was przez te wszystkie lata wasz ojciec! - Utkwiła w Penelopie przenikliwe spojrzenie. - Zastanów się, kochanie! Co będzie, jeśli twój ojciec umrze?

Lord Needham podniósł wzrok znad swojej porcji bażanta.

- Proszę?

Lady Needham machnęła ręką, tak jakby nie miała czasu zastanawiać się nad uczuciami małżonka, i drażyła nadal:

- On nie będzie żył wiecznie, Penelopo! I co wtedy?

Penelopa nie miała pojęcia, dlaczego miałyby to w tym wypadku mieć znaczenie.

- No cóż, myślę, że będzie nam bardzo smutno. Lady Needham pokręciła głową, bardzo zawiedziona.

- Penelopo!

- Mamo, naprawdę nie mam pojęcia, o co mamie chodzi.

- Kto się tobą zaopiekuje? Wtedy, kiedy umrze twój ojciec?

- Czy ojciec zamierza wkrótce umrzeć?

- Nie - powiedział z naciskiem lord Needham.

- Nikt nie zna dnia ani godziny! - Oczy markizy wezbrały łzami.

- Och, na litość... - Lord Needham miał dość. - Jeszcze nie umieram! I czuję się dosyć dotknięty, że podobna myśl w ogóle wyszła z twoich ust. A jeśli chodzi o ciebie - zwrócił się do Penelopy - to niedługo wyjdiesz za mąż.

Penelope się wyprostowała.

- Nie żyjemy w średniowieczu, ojczu. Nie możesz mnie zmusić, bym poślubiła kogoś, kogo poślubić nie mam ochoty.

Lord Needham niezbyt interesował się prawami kobiet.

- Mam pięć córek i ani jednego syna. Byłbym nieudacznikiem, gdyby choć jedna z was pozostała niezamężna, zmuszona troszczyć się sama o swój byt, podczas gdy ten idiota, mój bratanek, doprowadzi majątek do ruiny. - Pokręcił głową. - Dopilnuję, żebyś wyszła za mąż, Penelopo, i to wyszła dobrze. Pora przestać zbijać bąki i przyjąć jakiegoś konkurenta.

Penelopa otworzyła szeroko oczy.

- A więc ja zbijam bąki, ojczu?

- Penelopo! Cóż to za język!

- Prawdę mówiąc, mamo, ojciec pierwszy tak się wyraził - zwróciła uwagę Pippa.

- Cóż z tego? Nie wychowałam was po to, żebyście się wyrażały jak pospolity... pospolity... och, wiecie, co mam na myśli.

- Oczywiście, że zbijasz bąki. Minęło osiem lat od skandalu z Leightonem. Jesteś córką podwójnego markiza, który ma pieniądze niczym Midas.

- Needham! Cóż za prostactwo!

Lord Needham wznosił oczy do sufitu, modląc się w duchu o cierpliwość.

- Nie wiem, na co czekasz, ale wiem, że cackałem się z tobą za długo, ignorując fakt, że skandal z Leightonem rzuca cień na was wszystkie. - Penelopa spojrzała na siostry, które siedziały ze wzrokiem utkwionym w podołku, i poczuła ukłucie wyrzutów sumienia. - Dosyć tego! - ciągnął ojciec. - W tym sezonie wyjdiesz za mąż, Penny.

Penelopa z trudem usiłowała przełknąć ślinę. Miała wrażenie, że w gardle ma pakuły.

- Ale... od czterech lat nie oświadczył mi się nikt oprócz Tommy'ego.

- Tommy to dopiero początek. Wkrótce pojawią się inni. - Wystarczająco wiele razy widziała w ojcowskich oczach ten wyraz pewności, by wiedzieć, że jest tak, jak mówi.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Dlaczego?

- Ponieważ dorzuciłem Falconwell do twojego wiana. Powiedział to tak, jak można by powiedzieć: „Chłodno dziś trochę”.

Albo: „Trzeba dosolić tę rybę”. Tak jakby wszyscy obecni przy stole mieli po prostu przyjąć ten fakt do wiadomości. Tak jakby się nie spodziewał, że cztery twarze o szeroko otwartych oczach i ustach zwrócą się ku niemu, pełne zdumienia.

- Och! Needham! - Markiza znowu była bliska omdlenia. Penelopa siedziała nieruchomo ze wzrokiem utkwionym w ojcu.

- Proszę?

W pamięci błysnęło wspomnienie: roześmiany ciemnowłosy chłopak, siedząc na niskim konarze potężnej wierzby, wyciąga ku niej rękę i zachęca, by wspięła się i ona i spenetrowała wraz z nim jego kryjówkę.

Trzeci z ich trójki...

Falconwell należało do Michaela.

Nawet jeśli nie był jego właścicielem od dziesięciu lat, ona wciąż o nim tak myślała. Dziwnie i jakoś niestosownie było pomyśleć, że teraz posiadłość należy do niej. Cała ta piękna, urodzajna ziemia, wszystko prócz domu i przyległych do niej gruntów, ordynacja.

Rodowa własność Michaela.

A teraz - jej własność...

- Jak ojciec wszedł w posiadanie Falconwell?

- Nieważne jak - rzekł markiz, nie podnosząc oczu znad talerza. - Nie mogę dłużej pozwolić, aby z twojego powodu były narażone na szwank szanse twoich siostr na rynku matrymonialnym. Trzeba cię wydać za mąż. Nie będziesz do końca swoich dni starą panną; sprawi to Falconwell. Już sprawiło, jak widać. Jeśli nie podoba ci się Tommy, to jestem w posiadaniu pół tuzina listów od innych zainteresowanych mężczyzn z całego kraju.

Mężczyzn zainteresowanych Falconwell... „Pozwól, żebym cię chronił”, powiedział Tommy.

Te dziwne słowa teraz nabrały sensu. Oświadczył się, żeby ją ochronić przed najazdem tych, którzy będą się starać o jej posag. Oświadczył się, bo był jej przyjacielem.

A także z powodu Falconwell. Do tej posiadłości przylegały ubogie grunty, należące do wicehrabiego Langford. Kiedyś staną się własnością Tommy'ego, a gdyby się z nią ożenił, będzie miał na dodatek i Falconwell.

- No, oczywiście! - zawołała Olivia. - To wszystko wyjaśnia. Nie powiedział jej prawdy...

Od początku wiedziała, że nie jest nią zainteresowany, a jednak uzyskanie niewątpliwego dowodu nie było zbyt przyjemnym odkryciem.

- Wiano... Czy podano to do wiadomości publicznej? - spytała, nie spuszczać wzroku z ojca.

- Naturalnie, że tak. Co za pożytek z potrojenia wartości wiana córki bez podania tego do wiadomości publicznej? - Penelopa grzebała widelcem w purée z rzepy, pragnąc znaleźć się gdziekolwiek, byle nie przy stole, a ojciec kontynuował: - Nie rób takiej nieszczęśliwej miny. Podziękuj lepiej swoim gwiazdom, że w końcu będziesz miała męża. Z Falconwell w posagu możesz znaleźć nawet księcia.

- Zmęczona jestem książętami, ojczu.

- Penelopo! Jak można być zmęczoną książętami? - upomniała ją matka.

- A ja bym chciała poznać jakiegoś księcia - wtrąciła Olivia, żując w zamyśleniu. - Jeśli Penelopa nie chce Falconwell, z chęcią wezmę je jako część mojego wiana.

Penelopa spojrzała na młodszą siostrę.

- Wierzę, że z chęcią je weźmiesz, Olivio. Wątpię jednak, abyś go potrzebowała. - Olivia miała takie same jasne włosy, białą cerę i błękitne oczy jak Penelopa, ale gdy ona wyglądała z tym mdło i nieciekawie, Olivia była prawdziwą piękną, typem kobiety, która na pstryknięcie palcami może mieć każdego.

- I właśnie dlatego włączyłem je do posagu Penelopy. To jej jest ono potrzebne. Zwłaszcza teraz - wyjaśnił rzeczowo ojciec i zwrócił się do najstarszej córki. - Był czas, kiedy byłaś dość młoda, aby zwrócić uwagę porządnego mężczyzny, ale to masz już za sobą.

Penelopa marzyła, by któraś z sióstr włączyła się do sporu. By wzięła ją w obronę, zaprotestowała przeciwko temu, co mówi ojciec. By powiedziała na przykład: „Penelopa wcale nie potrzebuje Falconwell. Tylko pa-

trzeć, jak pojawi się wspaniały mężczyzna i zakocha w niej od pierwszego wejrzenia".

Milcząca akceptacja ojcowskich słów zabolą ją, ale zignorowała ten ból. Widziała w jego oczach prawdę i pewność. Wiedziała, że zostanie wydana za mąż zgodnie z wolą ojca, tak jakby to było średniowiecze, a on odcinał dla niej kawałek swojego lenna.

On jednak niczego nie odcinał.

- Jak to się stało, że Falconwell należy obecnie do markiza Needham-Dolby?

- To nie powinno cię interesować.

- Jednak interesuje mnie - naciskała Penelopa. - Skąd je masz? Czy Michael o tym wie?

- Nie wiem - odparł markiz, podnosząc kieliszek z winem. - Myślę, że się dowie; to tylko kwestia czasu.

- Kto może wiedzieć, co wie lub nie wie Michael? - sarknęła matka. - Nikt z towarzystwa nie widział od lat markiza Bourne.

Odkąd zniknął w atmosferze skandalu. Odkąd stracił wszystko na rzecz ojca Tommy'ego.

Penelopa pokręciła głową.

- Czy próbowałeś mu je zwrócić?

- Nie bądźże niewdzięcznicą, Penelopo! - upomniała ją matka. - Dodanie Falconwell do twojego wiana to wspaniały dowód hojności twego ojca!

Dowód jego pragnienia, by pozbyć się kłopotliwej córki.

- Ja go nie chcę.

Wiedziała, że te słowa to kłamstwo. Oczywiście, że chciała Falconwell... Tereny należące do ordynacji były bujne, tętniące życiem, przepełnione wspomnieniami z jej dzieciństwa.

Wspomnieniami Michaela...

Lata upłynęły, odkąd widziała go po raz ostatni. Była dzieckiem, kiedy wyjeżdżał z Falconwell, a nie zaczęła jeszcze bywać w świecie, gdy związany z jego osobą skandal stał się przedmiotem rozmów londyńskich arystokratów i służby hrabstwa Surrey. Jeśli obecnie w ogóle o nim słyszała, to wyłącznie w strzępach plotek, zasłyszanych z ust bardziej doświadczonych kobiet. Kiedyś, stojąc obok szczególnie rozwierkanej grupki w damskim salonie, złowiła uchem wiadomość, że żyje gdzieś w Londynie i prowadzi jaskinię hazardu. Nie spytała jednak, gdzie dokładnie - wiedziała instynktownie, że takie damy jak ona nie uczęszczają do miejsc, gdzie trafił Michael, kiedy stracił dobre imię.

- Nie masz wyboru, Penelopo. Falconwell jest moje. A wkrótce będzie należeć do twojego męża. Z całej Brytanii zjadą się chętni, aby je uzyskać. Wychodź za Tommy'ego już teraz albo za któregoś z nich trochę później, jeśli wolisz. Ale w tym sezonie wyjdiesz za męża. - Odchylił się na oparcie krzesła i rozpostarł dłonie na szerokiej piersi. - Kiedyś mi za to podziękujesz.

„W tym sezonie wyjdiesz za męża”...

- Dlaczego nie zwrócisz Falconwell Michaelowi?

Lord Needham westchnął i rzuciwszy serwetkę, wstał od stołu.

- Markiz czy nie markiz, Michael nie interesuje się prowadzeniem ziemskiego majątku. A przede wszystkim jest zbyt lekkomyślny.

Upłynęło już wprawdzie osiemnaście lat, odkąd widziała Michaela Lawlera, markiza Bourne po raz ostatni. Wciąż jednak uważała go za bliskiego przyjaciela i raziło ją, że ojciec mówi o nim w taki sposób. Tak jakby był kimś mało ważnym i jeszcze mniej wartym.

Z drugiej strony jednak - nie znała Michaela jako mężczyzny. Od lat zresztą wcale o nim nie myślała. Kiedy jednak przyszedł jej na myśl, to nie jako dwudziestojednolatek, który stracił wszystko w głupiej hazardowej grze.

Nie, w jej myślach Michael wciąż był przyjacielem z dzieciństwa - pierwszym, jakiego miała. Dwunastoletni, wiódł ją poprzez podmokłe łąki od jednej przygody do drugiej; wybuchał zaraźliwym śmiechem w najbardziej niestosownych momentach, tak że i ona nie mogła się powstrzymać i śmiała się wraz z nim. Błocąc nogi aż po kolana, brnął przez wilgotne pole, dzielące ich domostwa, i ciskał kamykami w jej okno w letnie poranki, a po chwili szli już razem na ryby ku jezioru, które rozciągało się pomiędzy gruntami Needhamów i Bourne'ów.

Pewnie i jezioro stanowi teraz część jej wiana...

Michael będzie musiał poprosić ją o pozwolenie, jeśli zechce w nim łowić.

Nie, będzie musiał poprosić o pozwolenie jej małżonka. Ta myśl byłaby naprawdę bardzo śmieszna, gdyby nie wydawała się taka... niestosowna.

I, jak się zdaje, nikt tego nie dostrzegął!

Penelopa podniosła wzrok: Pippa patrzyła na nią zza okularów szeroko otwartymi błękitnymi oczami. Spojrzała z kolei w oczy Olivii i dostrzegła w nich... ulgę?

- Wyznam, że nie czułam się dobrze w sytuacji, gdy moja siostra poniosła porażkę na rynku matrymonialnym - oznajmiła Olivia, widząc jej pytające spojrzenie. - Tak będzie dla mnie o wiele lepiej.

- Jakże mi miło, że jest ktoś, kogo uradowały wypadki dzisiejszego dnia.

- Cóż, Penny, musisz przyznać, że twoje zamążpójście będzie korzystne dla wszystkich - dociskała Olivia. - Twoja sytuacja była ważnym powodem, dla którego Wiktor i Valerie mają swoich nudnych starych mężów.

Przecież ona nie planowała takiego rozwoju wypadków!

- Olivio! - odezwała się spokojnie Pippa. - To niezbyt miłe z twojej strony.

- Och, wielkie rzeczy. Penny dobrze wie, że taka jest prawda. Doprawdy?

Spojrzała na Pippę.

- Czy miałaś kłopoty z mojego powodu?

- Skądże. Właśnie w zeszłym tygodniu Castleton przysłał ojcu list, że zamierza na poważnie się o mnie starać - odparła wymijająco siostra. - No i nie jestem przecież najpospolitszą z debiutantek.

Za mało powiedziane... Pippa była kimś w rodzaju sawantki: fascynowały ją przyroda i nauki ścisłe, a już szczególnie to, co znajduje się wewnątrz żywych istot, od roślin do ludzi. Kiedyś ukradła z kuchni przeznaczoną do pieczenia gęś i poddała ją sekcji w swojej sypialni. Wszystko było dobrze, dopóki nie weszła pokojówka: gdy ujrzała Pippę z rękami zanurzonymi po łokcie we wnętrzościach ptaka, wrzasnęła, jakby natknęła się na scenę mordu pod zegarem słonecznym na Seven Dials.

Pippa została surowo złajana, pokojówkę zaś odesłano na niższe piętra rezydencji.

- Powinien się nazywać Simpleton - powiedziała otwarcie Olivia. Pippa zachichotała.

- Przestań... Jest dosyć miły. Lubi psy... - Spojrzała na Penelopę. - Tak samo jak Tommy.

- Do tego żeśmy doszły? - spytała ze zgrozą Olivia. - Wybieramy kandydatów na mężów pod kątem tego, czy lubią psy?

Pippa wzruszyła ramionami.

- Tak to jest. Sympatia dla psów to i tak więcej niż ma ze sobą wspólnego większość par małżeńskich w naszej sferze.

Miała rację.

Nie tak jednak powinno być... Młode kobiety z taką prezencją i wychowaniem jak jej siostry nie powinny wybierać mężów wyłącznie pod kątem wspólnej sympatii dla psów. Powinny być gwiazdami w towarzystwie, mieć u stóp tabuny mężczyzn, czekających, by zwróciły na nich uwagę.

Nie były jednak - przez Penelopę, którą jak na ironię uważano za najjaśniejszą z gwiazd, gdy weszła w świat po raz pierwszy. Narzeczoną księcia Leighton, arystokraty o nienagannym rodowodzie i nienagannych manierach... Kiedy ich związek się rozpadł, Penelopa, na nieszczęście swych sióstr, straciła pozycję ulubienicy towarzystwa. Została zdegradowana do pozycji dobrej przyjaciółki, potem mile widzianej znajomej, a wreszcie gościa, ostatnio przyjmowanego już tylko z grzeczności.

Nie była ładna. Nie była mądra. W ogóle nie wyróżniała się niczym szczególnym - poza tym, że była najstarszą córką bardzo bogatego i bardzo utytułowanego arystokraty. Zrodzoną i wychowaną, by stać się żoną arystokraty równie bogatego i utytułowanego.

I niemalże nią została.

Dopóki wszystko się nie zmieniło.

Z jej oczekiwaniami włącznie.

Niestety, oczekiwania nie miały żadnego wpływu na zawarcie dobrego małżeństwa. Ani przez nią, ani przez siostry. I podobnie jak ona nie powinna dłużej cierpieć z powodu zerwanego niemal dziesięć lat temu narzeczeństwa, również i siostry cierpieć nie powinny.

- Nigdy nie chciałam utrudnić wam zamążpójścia - powiedziała cicho.

- Szczęśliwie masz więc okazję, żeby naprawić sytuację - podchwyciła Olivia. Wyraźnie nie obchodziły jej uczucia starszej siostry. - Twoje szanse na znalezienie przyzwoitego męża mogą zresztą być skromne, ale moje są doprawdy znaczne. A jeśli poślubisz przyszłego wicehrabiego, mogą być jeszcze większe!

Penelopę znowu ukłuło poczucie winy.

- A ty co o tym myślisz, Pippo? - zwróciła się do drugiej z sióstr, która zamknęła książkę i przyglądała się jej bacznie.

Pippa uniosła głowę, rozważając możliwe odpowiedzi.

- To przecież nie boli, Penny - stwierdziła wreszcie.

No cóż, ciebie na pewno nie, pomyślała Penelopa melancholijnie, uprzytamniając sobie, że zapewne przyjmie konkury Tommy'ego. Dla dobra sióstr...

Mogłoby być zresztą znacznie gorzej. Może z czasem go pokocha?

Drogi M.

Dziś wieczorem w Coldharbour było święto palenia Guya, więc cały klan z Marbury wziął udział w hucznych zabawach. Musiałam do Ciebie napisać, bo ku mojemu niesmakowi tym razem nikt z młodych ludzi nie miał dość odwagi ani sprawności, żeby się wspiąć na słup i zwędzić panu Fawkesowi kapelusz. Może w święta nauczysz ich paru swoich sposobów.*

Twoja lojalna przyjaciółka P. Dwór Needham, listopad 1813

Droga P.

Nie muszą się uczyć ode mnie, skoro Ty tam jesteś i z łatwością możesz sama zdobyć ten śmieszny kapelusz. A może zrobiła się z ciebie taka dama, że ci już nie wypada?

Przyjadę do domu na Święta i jeśli byłaś naprawdę grzeczna, dostaniesz ode mnie prezent.

M.

Eton College, listopad 1813

Nocą, gdy cała rodzina była pogrążona we śnie, Penelopa ubrała się w najcieplejszy płaszcz, zabrała mufkę, wzięła do ręki latarnię ze swego biurka i poszła przejść się po swoich gruntach.

No, ściśle biorąc, nie po swoich. Po gruntach, które były przypisane do jej ręki. Gruntach, które Tommy i każdy inny młody, przystojny konkurent z radością przyjmą w zamian za wyrwanie Penelopy z objęć rodziny i poślubienie jej.

Jakież to romantyczne...

Ileż to lat spędziła, marząc o czymś więcej. Wierząc - nawet gdy nakazywała sobie, by nie wierzyć - że i ona może być szczęśliwa. Że może znaleźć coś więcej, kogoś więcej.

Nie. Nie będzie o tym myślała.

* Święto ludowe obchodzone hucznie 5 listopada w rocznicę wykrycia spisku prochowego Guya Fawkesa, będącego próbą wysadzenia w powietrze Parlamentu, czyli Izby Lordów (1605).

Tradycją tego dnia są palenie przez dzieci kukieł wyobrażających Guya Fawkesa, a także pokazy ogni sztucznych oraz festyny (przyp. tłum.).

Zwłaszcza teraz, kiedy zmierzała wprost ku małżeństwu, jakiego zawsze miała nadzieję uniknąć. Teraz już nie miała wątpliwości, że ojciec nieodwołalnie postanowił wydać w tym sezonie za mąż swą najstarszą córkę - za Tommy'ego czy kogokolwiek. Przejrzała w myśli niezonatych mężczyzn z towarzystwa, na tyle zdesperowanych, by zechcieli poślubić pannę dwudziestoośmioletnią, mającą za sobą zerwane zaręczyny. Żaden nie sprawiał wrażenia małżonka, na jakim by jej zależało.

Małżonka, którego mogłaby pokochać.

Aha, był jeszcze Tommy.

Cóż, niech będzie Tommy...

Było mroźno. Penelopa otuliła się ciasno płaszczem, wtuliła twarz w kołnierz i naciągnęła niżej kapiszon na czoło. Wiedziała, że dobrze wychowane damy nie włóczą się nocą po polach. Całe Surrey zapadło jednak w sen, od najbliższych sąsiadów dzieliły ją całe mile, a ostry chłód harmonizował z jej ostrą irytacją, spowodowaną wypadkami wieczoru.

To niesprawiedliwe, że zerwane w odległej przeszłości zaręczyny doprowadziły w rezultacie do tak trudnej terażniejszości. Można by pomyśleć, że po upływie ośmiu lat zapomniano już w Londynie o tej legendarnej jesieni 1823 roku... ale nie, wciąż prześladowała Penelopę jej historia. W salach balowych wciąż szeptano po kątach, w salonach dla dam wciąż trzepotały, niczym skrzydełka kolibra, wachlarze, kryjąc sekretne rozmowy, z których od czasu do czasu udawało jej się wyłowić strzęp: domysły, co też takiego zrobiła, że księżę stracił dla niej zainteresowanie, czemu ceni się tak wysoko, że odrzuca inne propozycje małżeństwa...

Oczywiście wcale nie ceniła wysoko siebie samej.

Ceniła wysoko nadzieję na szczęście.

Miłość.

Przygodę.

Na życie inne niż to, jakiego ją nauczono się spodziewać: mąż, choć miły i troskliwy, nie będzie jej kochał, a kochające, jak sądziła, dzieci będą ją widywać rzadziej niż swoją guwernantkę.

Czy to zbyt wygórowane oczekiwania chcieć czegoś więcej?

Wygląda na to, że tak.

Wspięła się po zaśnieżonym wzniesieniu. Na szczycie zatrzymała się na chwilę i popatrzyła na czarną taflę leżącego w dole jeziora między posiadłościami Needhamów i Bourne'ów... czy raczej Needhamów i tych, które dawniej należały do Boume'ów. Kiedy stała tak wpatrzona w ciem-

ność i myślała o czekającej ją przyszłości, zdała sobie sprawę, jak niewiele znaczy dla niej perspektywa spokojnego życia, z jego pastelowymi barwami, kadrylami i letnią lemoniadą. Pragnęła więcej.

- Więcej - wyszeptały bezwiednie jej usta.

Więcej niż los zechciał jej ofiarować.

Więcej niż kiedykolwiek powinna była marzyć.

Nie, nie była niezadowolona z własnego życia. Było komfortowe, pełne przepychu. Elegancko mieszkała, smacznie jadła, nie wymagano od niej zbyt wiele. Miała rodzinę, na ogół zupełnie znośną, przyjaciółki, z którymi mogła od czasu do czasu spędzić popołudnie. I właściwie, jeśli się zastanowić, jej obecne życie nie różniło się zanadto od tego, jakie będzie prowadziła, jeśli poślubi Tommy'ego.

Dlaczego więc myśl o jego poślubieniu budzi w niej taki smutek?

Bądź co bądź, jest miły, szczodry, dysponuje szczyptą humoru, ma ciepły uśmiech. Nie jest na tyle przystojny, by budzić zainteresowanie innych kobiet, ani na tyle mądry, by ją onieśmiał.

Wszystko to wydawało się właściwym zestawem cech.

Spróbowała sobie wyobrazić, że ujmuje jego dłoń i pozwala, by poprowadził ją na bal, do teatru, na przyjęcie. Że z nim tańczy. Że się do niego uśmiecha. Spróbowała sobie wyobrazić, jak to jest, kiedy trzymają się za ręce.

Jego dłoń była... wilgotna.

Doprawdy nie było powodu, by sądzić, że Tommy ma wilgotne ręce. Prawdopodobnie na odwrót, były ciepłe i zupełnie suche. Ale Penelopa i tak otarła dłoń o spódnicę. Czyż mężowie nie powinni mieć silnych, muskularnych rąk? Zwłaszcza gdy o nich marzymy?

Dlaczego nie miał ich Tommy?

Był dobrym przyjacielem. To nieładnie z jej strony wyobrażać go sobie z wilgotnymi dłońmi. Zasługiwał na lepsze traktowanie.

Odetchnęła, z przyjemnością wciągając w płuca mroźne powietrze, przymknęła oczy i spróbowała jeszcze raz. Spróbowała z całych sił wyobrazić sobie siebie jako lady Thomasową Alles.

Uśmiechnęła się do niego. Z miłością.

On uśmiechnął się także. „Jakoś to będzie, co?”

Otworzyła oczy.

Niech to lichy.

Zbiegła w dół zbocza ku zamrożonej tafli jeziora. Wyjdzie za Tommy'ego. Dla własnego dobra. Dla dobra sióstr.

Tyle że to w ogóle nie wydawało się dobre. Absolutnie. Nieważne. Tak postępują najstarsze, dobrze wychowane córki. Robią to, czego się od nich oczekuje. Nawet jeśli bynajmniej tego nie pragną. Nawet jeśli pragną więcej.

I właśnie w tej chwili ujrzała w oddali światelko. W gęstwinie na przeciwnym krańcu jeziora.

Zatrzymała się i nie zwracając uwagi na tnący w policzki wiatr, zmrużyła oczy, by lepiej widzieć. Może jej się zdawało? To pewnie blask księżyca odbija się w śniegu...

Całkiem rozumne przypuszczenie, gdyby nie to, że niebo zasnuwały chmury, z których właśnie zaczęło prószyć.

Znowu mignęło. Penelopie wyrwał się zduszony okrzyk. Rozszerzonymi oczyma wpatrywała się w światelko, przesuwające się pomiędzy drzewami.

Nie ruszając się z miejsca, wychyliła się do przodu i usiłując przeniknąć ciemności, wpatrzyła w punkt, gdzie połyskiwała słabiutka żółta plamka. Zupełnie jakby cal czy dwa mniej mogły ułatwić dostrzeżenie jego źródła.

- Tam ktoś jest... - wyszeptała.

Tak. Ktoś tam był.

Mógł to być służący, ale wydawało się to mało prawdopodobne. Służba Needhamów nie miała powodu błąkać się pośród nocy nad jeziorem, a w Falconwell od lat nie było żadnych służących. Kiedy wyjechał ostatni z nich, zabrano wyposażenie domu i ogromna kamienna budowla stała odtąd pusta i opuszczona. Ludzka noga nie postąpiła tu od lat.

Co robić?

To mogło być wszystko. Ogień. Intruz. Duch... Hm. Duch raczej nie.

Całkiem jednak możliwe, że to jakiś intruz, który wkroczył na cudzy teren i zamierza zająć Falconwell. A skoro tak, to stanowczo nie można pozwolić, by jakiś obcy po prostu zamieszkał sobie w posiadłości markiza Bourne!

Skoro on sam nie zadbał o zabezpieczenie swej posiadłości, wygląda, że zadanie to spada na nią, Penelopę. Ona jest teraz w równym stopniu

zainteresowana Falconwell, czyż nie? Jeśli rezydencję zajmą zbójcy czy piraci, z pewnością odbije się to na wartości jej posagu.

Co nie znaczy, by perspektywa korzystania z własnego posagu była szczególnie ekscytująca...

Chodziło jednak o zasadę.

Światelko znowu mignęło.

Nie wyglądało, aby było tam wielu zbójców. No, chyba że wybrali się zbyt skąpo wyposażeni w oświetlenie.

Ale jeśli się zastanowić, mało prawdopodobne, by zbójcy lub piraci zamierzali przejąć Falconwell, biorąc pod uwagę, że do oceanu było stąd dość daleko.

A jednak z pewnością ktoś tam był.

Ale kto?

I po co?

Jednej rzeczy jednak Penelopa była pewna. Najstarsza, dobrze wychowana córka nie sprawdza w środku nocy na pustkowiu pochodzenia jakichś dziwnych świateł.

Byłoby to stanowczo zbyt awanturnicze.

Byłoby to coś więcej...

I to przeważało szalę.

Powiedziała, że chce więcej, i oto „więcej” nadeszło!

Niewiarygodne są sposoby, w jakie działa wszechświat.

Zaczerpnęła tchu, wyprostowała się i ruszyła naprzód, ku zaroślom ostrokrzewu porastającym brzeg jeziora. Nagle jednak uderzyła ją lekko-myślność tego, co robi.

Była sama w środku nocy. Na mrozie.

I zmierzała ku nieznannej liczbie podejrzanych, prawdopodobnie nikczemnych postaci.

I nikt nie wiedział, gdzie się znajduje.

Małżeństwo z Tommym przestało jej się nagle wydawać tak odpychające.

Bo skoro jest całkiem możliwe, że wkrótce zamorduje ją zgraja piratów. ..

Wtem skrzyknął śnieg gdzieś w pobliżu. Stała jak wryta, uniosła latarnię i utkwiała wzrok w ciemnościach, tam gdzie poprzednio widziała światelko.

Teraz nie było nic.

Nic oprócz proszącego śniegu - i cienia, który mógł kryć rozwścieczonego niedźwiedzia.

- Co za głupstwo - szepnęła sama do siebie, czerpiąc otuchę z brzmienia własnego głosu. - W Surrey nie ma niedźwiedzi.

Nie była tego do końca pewna, nie zamierzała jednak dłużej czekać, by przekonać się, czy ten czarny cień to rzeczywiście ogromne zwierzę. Miała coś do zrobienia w domu. Przede wszystkim - trzeba przyjąć oświadczyzny Tommy'ego.

I posiedzieć z igłą i robótką w spokojne, bezpieczne popołudnie...

Ale w chwili gdy miała się odwrócić i ruszyć do domu jak marny pies gończy zmykający z podwiniętym ogonem, spomiędzy zarośli wyszedł jakiś człowiek z latarnią w dłoni.

3

Drogi M.

Prezent?! Co za ekstrawagancja. Szkoła naprawdę uczy Cię oglady. W zeszłym roku dostałam od Ciebie pół nadgryzionego pierniczka. Nie mogę się doczekać, co wymyśliłeś.

Rozumiem, że też mam znaleźć dla Ciebie prezent.

Do zobaczenia wkrótce, P. Dwór Needham, listopad 1813

Droga P.

Ale to był bardzo dobry pierniczek! Powinienem się domyślić, że nie docenisz mojej szczodroblewości. Czy w dzisiejszych czasach intencje nic już nie znaczą?

Miło będzie wrócić do domu. Tęsknię za Surrey. I za Tobą, moja Ty sześciopensówko, choć z trudem się do tego przyznaję.

M.

Eton College, listopad 1813

Uciekaj!

Te słowa rozległy się w jej głowie niczym wrzask pośród nocy, ale nogi nie były w stanie wypełnić polecenia. Przykucnąwszy, skryła się wśród

krzaków w nadziei, że mężczyzna jej nie zobaczy. Znowu zaskrzypiały na śniegu jego kroki... Penelopa sunęła chyłkiem wzdłuż żywopłotu ku jezioru z zamiarem ucieczki. Nagle przydepnęła sobie połą płaszcz, straciła równowagę i padła prosto w krzak ostrokrzewu. Zakłuło.

- Uff! - Wyciągnęła rękę, próbując się wydostać z zarośli, i znowu ukłuła ją jakaś złośliwa gałązka. Zagryzła wargi i zamarła: odgłos kroków ucichł.

Wstrzymała dech.

Chyba jej nie widział? Ciemność jest przecież gęsta. Gdyby tylko nie miała ze sobą latarni. Wepchnęła ją głęboko w krzak.

Nic to jednak nie dało, gdyż momentalnie oblało ją światło z innego źródła.

Jego światło. Cofnął się o krok.

Penelopa wcisnęła się z powrotem w krzak. Lepsze już kłujące ciernie niż ten ciemny, górujący nad nią kształt...

- Dobry wieczór - powiedziała.

Przystanął, ale nie odpowiedział. Zapadło długie, trudne do zniesienia milczenie. Serce waliło Penelopie w piersi, ono jedno w jej ciele nie zamarło w bezruchu. Kiedy czuła, że nie wytrzyma już ani chwili dłużej, odezwała się możliwie pewnym głosem, ignorując fakt, że jest wplątana w krzak ostrokrzewu:

- Wszedł pan na mój teren.

- Czyżby?

Jak na pirata miał całkiem miły głos. Wibrował mu w głębi piersi, przywodząc na myśl gęsi puch i ciepłe brandy. Pokręciła lekko głową: to najwyraźniej chłód wyczynia takie sztuczki z jej umysłem.

- Tak jest. Ten dom w oddali to dwór Falconwell. Należy do markiza Bourne.

- Imponujący - odparł pirat, a ona miała ulotne wrażenie, jakby wcale mu nie zaimponował.

Spróbowała z wyższością wstać. Nie udało się dwukrotnie. Po trzeciej próbie strzepnęła spódnice i przytaknęła:

- Tak, dosyć imponujący. I zapewniam pana, że markiz nie będzie szczęśliwy, gdy się dowie, że pan wszedł na jego teren z zamiarem... - zrobiła nieokreślony ruch okrytą mufką ręką - ...obojętne jakim.

- Doprawdy? - Pirat zdawał się nie przejmować. Zniżył latarnię, kryjąc w mroku górną część sylwetki, i powoli zbliżał się ku niej.

- Ależ tak. - Penelopa wyprostowała się i uniosła podbródek. -1 dam panu dobrą radę za trzy pensy: proszę nie próbować z nim igrzać. On tego nie lubi.

- Wygląda na to, że jesteście z markizem bliskimi przyjaciółmi. Podniosła latarnię i zaczęła cofać się małymi kroczkami.

- O tak, dosyć bliskimi. Nawet bardzo.

Właściwie nie było to kłamstwo. Byli bardzo bliskimi przyjaciółmi, kiedy nosił krótkie spodnie.

- Nie sądzę - stwierdził on. W niskim głosie pobrzmiwała pogrożka. -1 nie sądzę też, by markiz był tu gdzieś w pobliżu. Nie sądzę, by ktokolwiek był tu gdzieś w pobliżu.

Znieruchomiała, niczym jeleń na chwilę przed wystrzałem. Jakie ma wyjścia? - rozważyła błyskawicznie.

- Na pani miejscu nie uciekałbym - podjął, tak jakby czytał jej w myślach. - Jest ciemno i pada gęsty śnieg. Nie dobrnie pani daleko... - zawiesił głos.

Ona jednak знаła dalszy ciąg: „... .bo panią dogonię, złapię i zamorduję”. Zamknęła oczy.

Nie o to jej szło, gdy mówiła, że chce czegoś więcej. Zaraz padnie tu martwa. Odnajdą ją dopiero wiosną, kiedy śnieg stopnieje.

O ile, oczywiście, wcześniej nie rozszarpia jej ciała głodne wilki. Musi coś zrobić!

Otworzyła oczy. Mężczyzna był tuż-tuż.

- Stój, piekielniku! Nie waż się zbliżyć, bo... - szukała w myślach dostatecznie mocnej pogrożki - ...mam broń!

- Czy zamierza pani udusić mnie mufką? - spytał niewzruszenie.

- Nie jest pan dżentelmenem, sir.

- Ach, w końcu słowo prawdy. Znowu cofnęła się o krok.

- Idę do domu.

- Nie sądzę, Penelopo.

Serce stanęło jej na dźwięk własnego imienia. Po chwili podjęło pracę, waląc jej w piersi tak głośno, że ten... ten... ten łajdak na pewno je słyszał.

- Skąd pan wie, jak mi na imię?

- Wiem dużo różnych rzeczy.

- Kim pan jest? - Uniosła latarnię, tak jakby jej blask mógł odsunąć niebezpieczeństwo, a on wszedł w krąg światła.

Nie wyglądał jak pirat. Wyglądał... znajomo.

Coś było w tych regularnych rysach, w głębokich, ostrych cieniach, w zagłębieniach policzków, w prostej linii ust, w twardym zarysie szczęki... która domagała się ogolenia.

Głowę okrywał zaśniewany welwetowy kapelusz, ocieniający oczy. To ich brakło do rozpoznania.

Penelopa nie wiedziała i nigdy nie miała się dowiedzieć, skąd wziął się u niej ten odruch - może z pragnienia, by rozpoznać człowieka, który miał zakończyć jej żywot? Nie mogła jednak się powstrzymać: podeszła i zsunęła mu kapelusz z czoła, tak by zobaczyć jego oczy.

Dopiero później do niej dotarło, że jej nie powstrzymał.

Oczy miał orzechowe - mozaika brązu, zieleni i szarości, obramowana długimi ciemnymi rzęsami, pokrytymi teraz szronem. Poznałaby je wszędzie, nawet jeśli były dziś o wiele poważniejsze niż dawniej.

Przeszył ją prąd zaskoczenia, a zaraz po nim napłynęła fala radości.

Nie był piratem!

- Michael?

Na dźwięk swego imienia zeszytniał. Nie traciła jednak czasu na zastanawianie się dlaczego.

Ujęła palcami jego zimny policzek - później będzie się zdumiewać tym gestem - i wybuchła śmiechem, stłumionym przez gęsto padający śnieg.

- To ty, prawda?

Ujął jej rękę i zdjął ją ze swojej twarzy. Nie miał rękawiczek, a pomimo to dłonie miał zupełnie ciepłe. I bynajmniej nie wilgotne.

Zanim zdołała go powstrzymać, przyciągnął ją do siebie i odsunął kapiszon, wystawiając jej twarz na śnieg i światło. Przez długą chwilę wodził po niej wzrokiem, a ona zapomniiała, że powinna się czuć niezręcznie.

- Urosłaś.

Nie mogła się powstrzymać i znowu się roześmiała.

- To ty! Ty bestio! Przestraszyłeś mnie! Udawałeś, że mnie nie znasz! Gdzie się podziewałeś? Kiedy wróciłeś? - Pokręciła głową. - Nawet nie wiem, od czego zacząć!

Z uśmiechem objęła go spojrzeniem. Kiedy widziała go po raz ostatni, był o parę cali wyższym od niej, chudym, niezręcznym chłopakiem o zbyt

długich, niepasujących do ciała rękach i nogach. Teraz to już przeszłość... Obecny Michael był mężczyzną, wysokim i smukłym.

I bardzo, bardzo przystojnym.

Nadal nie do końca wierzyła, że to naprawdę on.

- Michael!

Spojrzał jej prosto w oczy, a ją przeszył przyjemny prąd, tak jakby spojrzenie było dotykiem, ciepłym i rozbijającym. Rondo kapelusza znowu ocieniało mu oczy. Milczał, więc odezwała się znowu:

- Co ty tu robisz?

Usta mu nie drgnęły, zachowując nienaganną, prostą linię. Nastąpiła długa pauza; Penelopa chłonęła jego bliskość. Co za radość znowu go widzieć. Nieważne, że jest ciemna noc i że on nie wydaje się choćby w połowie tak szczęśliwy jak ona.

- Dlaczego włóczysz się w środku nocy, nie wiadomo którą? Nie odpowiedział na jej pytanie, ale nie dbała o to.

- To nie jest żadne nie wiadomo którą. Najwyżej pół mili dzieli nas od naszych domów.

- Mógł cię napaść rabuś, bandyta...

- Albo pirat. Albo niedźwiedź. Zdążyłam już rozważyć wszystkie możliwości.

Michael, którego znała niegdyś, uśmiechnąłby się; obecny tego nie zrobił.

- W hrabstwie Surrey nie ma niedźwiedzi.

- Piraci też raczej nieczęsto się pojawiają, nie sądzisz? Żadnej odpowiedzi.

Spróbowała przywrócić do życia dawnego Michaela. Przywabić go żartami.

- Wciąż mi się zdarza, że biorę starego przyjaciela za pirata albo niedźwiedzia, Michaelu.

Śnieg zaskrzypiał mu pod nogami. Kiedy przemówił, w jego głosie była stal.

- Bourne.

- Proszę?

- Mów mi: Bourne.

Zaniemówiła z przykrego wrażenia. Tak, był markizem, nigdy jednak nie przypuszczała, że może mu tak zależeć na tytule... Przecież, bądź co bądź, znali się od dzieciństwa! Odchrząknęła.

- Oczywiście, lordzie Bourne.
- Bez tytułu. Tylko nazwisko. Po prostu: Bourne. Stłumiła zmieszanie.
- Bourne?

Ledwie dostrzegalnie skinął głową.

- Pytam cię po raz kolejny. Co tu robisz? Ona nie zignorowała pytania i wyjaśniła:

- Zobaczyłam twoją latarnię i przyszłam zbadać, co się tutaj dzieje.
- Przyszłaś w środku nocy, żeby sprawdzić, co to za dziwne światełko w zaroślach otaczających dom, w którym od szesnastu lat nikt nie mieszka?
- Tylko od dziewięciu. Milczał przez chwilę.
- Nie pamiętam, żebyś była dawniej taka irytująca.
- W takim razie nie pamiętasz mnie zbyt dobrze. Byłam bardzo irytująca jako dziecko.

- Nie, nie byłaś. Byłaś bardzo poważna. Uśmiechnęła się.
- A jednak pamiętasz. Zawsze starałeś się doprowadzić mnie do śmiechu. Po prostu ci się odwdzięczam; zadowala cię takie wyjaśnienie?

- Nie.

Uniosła wysoko latarnię, a on pozwolił, by wydobyła go z cienia, oblewając ciepłym złotym blaskiem. Wydoroślał wspaniale: długie nogi, ostro ciosana twarz... Zawsze sobie wyobrażała, że wyprzystojniał, ale on był więcej niż przystojny - był niemal piękny.

Gdyby tylko nie mrok, zalegający te rysy pomimo blasku lampy... Coś niebezpiecznego kryło się w zaciśniętych szczękach, w ściągniętych brwiach, w oczach, które zdawały się zapomnieć, co to radość, w ustach, które jak gdyby straciły zdolność uśmiechu.

Jako dziecko miał dołek w policzku. Dołek ukazywał się często i niemal zawsze stanowił zapowiedź przygody. Popatrzyła na lewy policzek, szukając tego tak wymownego zagłębienia. Nie znalazła go.

Cała ta nowa, twarda twarz nie była twarzą chłopca, którego niegdyś знаła. Gdyby nie oczy, nie uwierzyłaby, że to on.

- Jakie to smutne - szepnęła sama do siebie. Usłyszał.
- Co?

Spojrzała mu w oczy, jedyną rzecz w nim, która była znajoma, i pokręciła głową.

- Zniknął.
- Kto?
- Mój przyjaciel.

Nie sądziła, że to możliwe, ale jego rysy stwardniały jeszcze bardziej, jeszcze groźniejszy stał się spowijający je mrok. Przez jedną ulotną chwilę myślała, że posunęła się za daleko. Stał bez ruchu i patrzył na nią; jego wzrok zdawał się widzieć wszystko.

Instynkt nakazywał jej uciekać jak najszybciej. I nigdy tu nie wracać. Mimo to nie ruszała się z miejsca.

- Jak długo zostaniesz w Surrey?

Nie odpowiedział. Zrobiła krok w jego stronę, choć wiedziała, że nie powinna.

- Dom jest pusty. Zignorował ją.
- Gdzie śpisz? - naciskała. Czarne brwi się uniosły.
- A co? Zapraszasz mnie do łóżka?

Co za bezczelność... Penelopa miała wrażenie, jakby ją uderzył. Przez chwilę czekała. Z pewnością ją przeprosi? Milczenie.

- Zmieniłeś się.

- Być może powinnaś o tym pamiętać następnym razem, kiedy postanowisz szukać przygód po nocy.

Nie, w niczym nie przypominał Michaela, którego niegdyś znała.

Odwróciła się na pięcie i ruszyła w ciemność, kryjącą gdzieś w dali jej dom - dwór Needham. Uszła parę kroków i zwróciła się z powrotem ku Michaelowi. Stał nieporuszony.

- Było mi naprawdę bardzo miło cię spotkać - powiedziała i znowu ruszyła w kierunku domu. Czuła się zziębnięta do kości. A jednak nie mogła się oprzeć pokusie, by dociąć mu ostatni raz. Odwróciła się. - Jeszcze jedno, Michaelu.

Nie widziała jego oczu, wiedziała jednak, że ją obserwuje. Słucha jej.

- Jesteś na mojej ziemi.

Pożałowała tych słów już w chwili, gdy je wypowiadała. Wynikały z jej rozczarowania i irytacji, podszyte były drwiną, która przystoi raczej złośliwemu dziecku niż dwudziestoosmioletniej kobiecie.

A pożałowała ich jeszcze bardziej, gdy skoczył ku niej z ciemności niczym wilk.

- Twoja ziemia? - spytał z naciskiem na „twoja”. W jego głosie zabrzmiała pogróżka.

Odruchowo cofnęła się o krok.

- T-tak. - Och, nie powinna była dziś wychodzić z domu.

- Za pomocą mojej ziemi ojciec chce złapać dla ciebie męża? Wiedział.

Stłumiła odruch smutku, jaki towarzyszył uświadomieniu sobie, że przyszedł tu z powodu Falconwell. Nie dla niej.

Zbliżał się krok po kroku, a ona, z zapartym ze strachu tchem, krok po kroku się cofała, starając się iść równo z nim. Nie, zmyliła krok. Pokręciła gwałtownie głową. Powinna zaprzeczyć. Powinna rzucić się ku niemu i go ułagodzić. Okiełznać tę bestię, nacierającą na nią nieubłaganie poprzez śniegi.

Ale tego nie zrobiła, zanadto była zła.

- To nie twoja ziemia. Straciłeś ją. A ja już złapałam męża. - Nie musiał wiedzieć, że jeszcze nie przyjęła oświadczyn.

Przez chwilę milczał.

- Jesteś zameżna?

Znów pokręciła głową i przyspieszyła tempo, korzystając z szansy, by zwiększyć dystans między nimi.

- Nie, ale pobierzemy się... tylko patrzeć. I będziemy żyli długo i szczęśliwie... tu, na naszej ziemi.

Co jej się stało? Słowa same wyskoczyły jej z ust, szybkie, zapalczywe, i nie można było ich cofnąć.

On wciąż napierał, tym razem nie spuszczać z niej oczu.

- Każdy mężczyzna w Londynie pragnie mieć Falconwell na własność, jeśli nie z powodu ziemi, to po to, żeby kłuć mnie nim w oczy.

Jeśli będzie szła jeszcze trochę szybciej, niechybnie potknie się i upadnie w śnieg. Warto jednak było próbować, bo nagle zaczęła się obawiać, co się może stać, jeśli on ją złapie. Jeszcze trochę...

Wtem potknęła się o ukryty pod śniegiem korzeń i pisnąwszy cicho, upadła na wznak z rozrzuconymi w próbie utrzymania równowagi ramionami. Latarnia wypadła jej z rąk.

Był górą. Wielkie, silne dłonie objęły ją, uniosły i zanim jeszcze zdołała stanąć, przyparły do pnia wielkiego dębu. Opasał ją ramionami i trzymał jak w kleszczach.

Chłopiec, którego znała, zniknął bez śladu.

A z mężczyzną, który go zastąpił, nie było żartów.

Był blisko. Za blisko. Nachylony nad nią, łaskotał oddechem jej policzek, wzmagając jej zdenerwowanie. Wstrzymała dech, cała skupiona na bijącym od niego ciepłe, na tym, co on teraz powie.

- Poślubią nawet starą pannę, żeby je dostać.

Nienawidziła go. I słów, i sposobu, w jaki je wypowiedział: ze spokojnym okrucieństwem. Poczwała pod powiekami łzy. Nie. Nie! Nie będzie płakać. Z jego powodu?

Ten potwór w niczym nie przypominał chłopca, którego знаła dawno temu. Chłopca, o którym marzyła, że któregoś dnia powróci. Ale nie taki!

Jeszcze raz spróbowała mu się wyrwać, teraz zirytowana. Szarpnęła się, ale on był o połowę silniejszy. Wciąż przyciskając ją do pnia, nachylał się coraz niżej, niżej... Za blisko! Strach nią targnął, na szczęście szybko wyparty przez falę gniewu.

- Puszczaj!

Nie ruszył się. Przez długą chwilę miała wrażenie, że jej po prostu nie słyszał.

- Nie. - Nie było w tym śladu emocji.

Znowu się szarpnęła. Zaparłszy się jedną nogą o jego lśniący trzewik, drugą z całej siły wierzgnęła.

- Psiakrew! - krzyknęła. Wiedziała, że damy nie przeklinają, pewnie będzie smażyć się w piekle za ten występki, nie wiedziała jednak, jak inaczej porozumiewać się z tym brutalem, z tym obcym człowiekiem. - Masz zamiar mnie tu zostawić, w śniegu, żeby zamarła?

- Nie - powiedział tuż przy jej uchu, wciąż trzymając ją jak w kleszczach. Głos miał niski, mroczny.

Nie rezygnowała.

- To może mnie porwać? Żeby wziąć za mnie Falconwell jako okup?

- Nie, choć nie byłby to taki zły pomysł. - Był tak blisko, że czuła jego zapach: bergamotki i cedru, a na policzku jego oddech. - Planuję jednak coś znacznie gorszego.

Zamarła. Chyba jej nie zabije?

Bądź co bądź, kiedyś się przecież przyjaźnili. Dawno temu, zanim stał się przystojny jak szatan i jak on zimny i zły. Nie, nie zabije jej. A może ją...?

- C-co?

Przeciagnał koniuszkiem palca po jej szyi, pozostawiając na niej smugę ognia. Wstrzymała dech; wrażenie było niemal nie do zniesienia.

- Jesteś właścicielką mojej ziemi, Penelopo - szepnął jej w ucho. Głos miał niski, chrapliwy, i choć budził w niej dreszcz strachu, zarazem cała była skupiona na jego brzmieniu. - A ja chcę ją odzyskać.

Nie powinna była dziś wychodzić z domu. Jeśli przeżyje, to już nigdy więcej nie wyjdzie. Nie otwierając oczu, pokręciła głową, cała w zamęcie, jaki siał w jej zmysłach.

- Nie mogę ci jej dać.

Przeciagnał ręką wzdłuż jej ramienia w długiej, cudownej pieszczocie i mocną, ciepłą dłońią ścisnął jej przegub.

- Nie, ale ja mogę ją wziąć.

Podniosła powieki i spojrzała mu w oczy, czarne teraz w ciemności.

- Co to znaczy?

- To znaczy, moja droga - to poufałe słówko zabrzmiało jak drwina - że się pobierzemy.

Podniósł ją, przerzucił sobie przez ramię i poniósł tak, wstrząśniętą, ku zaroślom kryjącym dwór Falconwell.

Drogi M.

Nie mogę w to uwierzyć! Jak mogłeś mi się nie przyznać, że wybrali Cię przewodniczącym klasy! Dopiero twoja Mama mi o tym powiedziała (była zresztą bardzo z Ciebie dumna). Jestem wstrząśnięta i zniesmaczona, że nie podzieliłeś się tą nowiną... Jakimś cudem udało Ci się nie wygadać, ale to wcale a wcale nie robi na mnie wrażenia. Pewnie nie opowiedziałeś mi też mnóstwa innych rzeczy o twojej szkole. Czekam.

Bardzo cierpliwa P. Dwór Needham, luty 1814

Droga P.

Obawiam się, że tytuł przewodniczącego niewiele znaczy, kiedy jest się pierwszoklasistą. Po lekcjach i tak muszę spełniać kaprysy starszych uczniów. Nic się nie bój, jeśli zostanę przewodniczącym drugiej klasy, na pewno będę się bezwstydnie przechwalał.

Rzeczywiście, można by mnóstwo opowiadać... ale nie dziewczynom.

M.

Eton College, luty 1814

Bourne wymyślił z pół tuzina scenariuszy, kończących się tym, że wywabia Penelopę z rodzicielskiego domu i żeni się z nią, aby odzyskać swoje grunty. Planował uwiedzenie, zastosowanie przemocy, a nawet - jeśli inaczej się nie uda - uprowadzenie.

Żaden z tych scenariuszy nie przewidywał jednak - w głównej roli żeńskiej - awanturnicy, która najwyraźniej nie miała krzty rozsądku, skoro w środku nocy, pośród bezludnych pustkowi hrabstwa Surrey, gdy ziąb przenikał do szpiku kości, wyruszyła, by zbadać nieznane światelko w oddali.

Oszczędziła mu sporo zachodu.

Naturalnie popełniłby błąd, gdyby zaglądał w zęby temu darowanemu koniowi, a raczej klaczce. Więc ją sobie wziął.

- Ty brutalu!

Skrzywił się, bo zabębniła mu pięściami po plecach, a jej wierzgające na oślep nogi groziły utratą delikatnych fragmentów jego anatomii od jednego dobrze wymierzonego kopniaka. Unikając tego nieszczęścia, szedł niewygodnie zgięty.

- Puść mnie!

Zignorował jej krzyk, unieruchomił za to jednym ramieniem jej nogi i podrzucił ją wyżej. Wrzasnęła i żeby nie spaść, chwyciła go za palto na plecach. Całkiem przyjemnie było usłyszeć, jak stęknęła, gdy jego twarde ramię wpiło jej się w brzuch.

Wyglądało na to, że damie nie podoba się kierunek, w jakim zmierza ich wspólny wieczór.

- Czy ty masz kłopoty ze słuchem? - spytała wyniośle, w każdym razie na tyle wyniośle, na ile może się zdobyć ktoś, kogo niosą przerzuconego przez ramię.

Nie odpowiedział.

Nie musiał. Jej mamrotanie pod nosem dostatecznie wypełniało ciszę.

- Nie powinnam była wychodzić z domu... Gdybym tylko wiedziała, Bóg mi świadkiem, zaryglowałam drzwi i okna i posłała po konstabla... Pomyśleć tylko... ja się naprawdę ucieszyłam, że cię widzę!

Tak, ucieszyła się, to było wprost namacalnie. Jej śmiech był taki radosny! Jakże dawno nikt się szczerze nie cieszył na jego widok... Ale koniec tych sentymentów!

Nie będzie myślał, czy w ogóle kiedykolwiek ktoś się tak cieszył na jego widok.

Odarł ją z tej radości, chłodno, skutecznie, umiejętnie, licząc, że ją to przytłoczy, że odbierze jej siłę.

A ona powiedziała parę słów, cicho, lecz pewnie. Popłynęły nad taflą jeziora, niesione przez padający śnieg, przez szum krwi w jego uszach, przez gorzką, gryzącą pewność, że tak jest naprawdę.

„Jesteś na mojej ziemi”.

„To nie twoja ziemia”.

„Straciłeś ją”.

W tej kobiecie nie było słabości. Była twarda niczym stal.

Za pomocą paru słów przypomniała mu, że jest ostatnią przeszkodą, stojącą na drodze do zdobycia jedynej rzeczy, jakiej pragnął w swym dorosłym życiu. Jedynej rzeczy, która dawała mu w życiu jakiś cel.

Falconwell.

Ziemia, skąd pochodził, skąd pochodzili jego ojciec, ojciec ojca... i tak dalej. Zbyt wiele było tych przeszłych pokoleń, by je zliczyć. Ziemia, którą stracił i którą poprzysiągł sobie odzyskać. Za każdą cenę. Nawet za cenę małżeństwa.

- Nie możesz mnie tak nieść jak... jak... jak owcę! Zatrzymał się na sekundę.

- Jak owcę?

Milczała przez chwilę, najwyraźniej zastanawiając się nad tym porównaniem.

- Czyż farmerzy nie noszą owiec na ramieniu?

- Nigdy czegoś takiego nie widziałem, ale mieszkasz na wsi dłużej niż ja, więc... jeśli traktuję ciebie jak owcę, to zachowuj się jak ona.

- Najwyraźniej nic cię nie obchodzi, że czuję się przez ciebie maltretowana.

- Jeśli cię to pocieszy, nie zamierzam cię ostrzec.

- Żadna pociecha - powiedziała cierpko. - Jeszcze raz ci mówię: puść mnie! -

I znowu zaczęła się wić, niemal wyslizgując się z jego uchwytu, przy czym jedna z nóg znalazła się niebezpiecznie blisko najważniejszych części jego anatomii.

Stęknął i zacieśnił chwyt.

- Przestań. - Podniósł rękę i wymierzył jej klapsa w pośladek. Dość mocno.

Zesztywniała.

- Ty... Ja... Uderzyłeś mnie!

Jednym ruchem otworzył tylne drzwi i wniósł ją do kuchni Falconwell. Postawił latarnię na najbliższym stole i przesunął go na środek ciemnego pomieszczenia.

- Masz na sobie z pół tuzina halek i spódnic, i zimowy płaszcz. Dziwię się, że w ogóle coś poczułaś.

Oczy Penelopy rozbłysły furia.

- Niemniej dżentelmenowi nigdy by nie przyszło do głowy, żeby... żeby...

Słuchał z satysfakcją, jak jąka się w poszukiwaniu właściwych słów, delectował się jej zmieszaniem.

- Myślę, że określenie, którego szukasz, to „dać klapsa” - podsunął wreszcie. Otworzyła szeroko oczy.

- Tak. Rzeczywiście. Dżentelmenowi nigdy...

- Po pierwsze, chyba już ustaliliśmy, że nie jestem dżentelmenem. Ten okręt odplynął dawno temu. A po drugie, zdziwiłabyś się, co zdarza się robić dżentelmenom... i co sprawia przyjemność damom.

- Tej damie nie sprawia. Powinieneś mnie przeprosić.

- Nie tak prędko. - Usłyszał, jak chwyciła z wrażenia powietrze. Ruszył przez kuchnię w kierunku miejsca, gdzie wcześniej tego wieczoru zostawił butelkę whisky. - Napijesz się?

- Nie, dziękuję.

- Jakaś ty uprzejma.

- Jedno z nas powinno być, nie sądzisz?

Odwrócił się, na poły rozbawiony, na poły zaskoczony tym, że taka z niej mądrała, i stanął z nią twarzą w twarz.

Była niewysoka, sięgała mu zaledwie do ramienia, w tej chwili jednak wyglądała jak Amazonka.

Kapiszon spadł jej z głowy, blond włosy w nieładzie opadały na plecy, lśniąć blado w półmroku. Podbródek miała uniesiony w geście wyzwania i buntu, ramiona wyprostowane, a jej pierś falowała gniewnie pod płaszczem.

Wyglądała, jakby miała ochotę wyrzucić mu jakąś cielesną krzywdę.

- To porwanie!

Bourne pociągnął długi łyk wprost z butelki i delectując się jej osłupieniem, otarł wargi wierzchem dłoni. W milczeniu popatrzył jej w oczy.

Miło było obserwować, jak ta przedłużająca się cisza wyprowadza ją z równowagi.

- Nie możesz mnie porwać! - nie wytrzymała w końcu.

- Jak już mówiłem, nie mam zamiaru cię porywać. - Pochylił się ku niej, tak że jego twarz była teraz na jej poziomie. - Zamierzam cię poślubić, kochanie.

Wpatrywała się w niego długą chwilę.

- Wychodzę.

- Nie wyjdiesz.

- Nie jestem skrepowana. Wyjdę, jeśli zechcę.

- Nie muszę cię krepować. - Odchylił się i wsparł z powrotem o komodę. - Spróbuj wyjść, czemu nie.

Rzuciła mu niepewne spojrzenie, wzruszyła ramionami i ruszyła do drzwi. Zablokował jej drogę. Zatrzymała się.

- Zdaję sobie sprawę, że od jakiegoś czasu żyjesz poza społeczeństwem, jednak nie może tak po prostu porywać sąsiadek.

- Już mówiłem: to nie jest porwanie.

- Czymkolwiek to jest - powiedziała zjadliwie - tak postępować nie wypada.

- Sądziłem, że zauważyłaś już, iż bardzo mało mnie obchodzi, co wypada, a co nie.

Zastanowiła się przez chwilę.

- A powinno.

Było w niej coś mgliście znajomego, gdy stała tak, wyprostowana jakby kij połknęła, i pouczała go o tym, co właściwe.

- Mam ją.

- Kogo?

- Penelopę z mojego dzieciństwa. Nie zmieniłaś się ani na jotę. Uniosła podbródek.

- To nieprawda.

- Nie?

- Absolutnie. Bardzo się zmieniłam. Jestem teraz zupełnie inna.

- Jaka?

- Ja... - zaczęła i urwała, sama nie wiedząc, co chciała powiedzieć... -Po prostu inna. A teraz pozwól mi stąd iść. - I ruszyła, chcąc go wyminąć. Gdy jednak nie ruszył się z miejsca, przystanąła. Nie chciała go dotykać.

Szkoda... Przez głowę Michaela przemknęło wspomnienie ciepła jej odzianej w rękawiczkę dłoni, gdy ujęła jego zimny policzek. Pewnie jej zachowanie, wtedy na zewnątrz, było efektem zaskoczenia.

A także - przyjemności.

Co jeszcze mogłaby zrobić instynktownie w odpowiedzi na przyjemność? W wyobraźni błysnął mu obraz: blond włosy rozsypane po pościeli, lodowobłękitne oczy rozszerzone zdumieniem, gdy daje surowej, zasadniczej Penelopie pierwszy przebłysk ciemnej, oszołamiającej rozkoszy.

O mało nie pocałował jej w ciemności. Miał zamiar ją onieśmielić, aby stopniowo skompromitować skromną, bezpretensjonalną Penelopę Marbury. Nie mógł jednak sam przed sobą zaprzeczyć, że gdy stali tak w opustoszałej kuchni, przyszło mu nagle do głowy: ciekawe, jak ona smakuje. Jak dyszy, gdy jej oddech łaskocze mu skórę. Jak to by było czuć ją przy sobie. Pod sobą.

- Co za głupstwo - wyrwało mu się i to przywróciło go do rzeczywistości. - Jesteś pewna, że nie chcesz się napić?

Otworzyła szeroko oczy. -Ja... Nie!

Niełatwo ją było zbić z tropu. Nigdy nie było łatwo.

- Oferowanie gościowi poczęstunku nadal przecież mieści się w ramach właściwego, uprzejmego zachowania, czyż nie?

- Ale nie whisky! A już na pewno nie wprost z butelki!

- W takim razie zapomniałem dobrych manier. Może więc mi przypomnisz, co powinienem zaproponować gościowi w takiej sytuacji?

Otworzyła i zamknęła usta.

- Nie wiem. Nie zdarza mi się często, że ktoś mnie porywa w środku nocy do opustoszałego domu na pustkowiu. - Zaciśnęła wargi w wyrazie irytacji. - Chcę wrócić do domu. Położyć się do łóżka.

- Wiesz, to drugie możesz zrobić bez konieczności powrotu do domu.

- Michaelu! - zawołała ze złością.

Nienawidził tego imienia w jej ustach. Choć właściwie... wcale nie.

- Bourne.

Spojrzała mu w oczy.

- Bourne... Dowiodłeś, że masz rację. - Stał w milczeniu, zaciekawiony, a ona ciągnęła: - Zrozumiałam, że to zły pomysł włóczyć się nocą po bezdrożach. Teraz wiem, że mógł mnie ktoś napaść. Albo zgwałcić. Albo i gorzej... i jestem gotowa przyznać, że dostałam od ciebie właściwą nauczkę.

- Cóż za łaskawość z twojej strony.

Zignorowała te słowa i spróbowała go obejść. Zrobił krok i zastawił jej drogę. Zatrzymała się i napotkała jego wzrok; ten błysk w jej błękitnych oczach oznaczał chyba gniew?

- Jestem także gotowa pominąć milczeniem fakt, że skandalicznie złamałeś zasady etykiety, zabierając mnie, z użyciem przemocy fizycznej, z miejsca publicznego w to całkowicie niestosowne... całkowicie prywatne.

- Nie zapomnij też, że dałem ci klapsa.

- Tak, to też. Wszystko to jest absolutnie... całkowicie... poza jakimikolwiek uznanymi za właściwe formami zachowania.

- Przestrzeganie właściwych form zachowania nie zaprowadziło cię zbyt daleko.

Zesztywniała, i natychmiast wiedział, że trafił w czuły punkt. Jakby rozpalona igła ukłuła go w środku, ale stłumił to wrażenie.

Zamierzał wprawdzie się z nią ożenić, ale nie miał zamiaru się o nią troszczyć.

- Obawiam się, Penelopo, że mam pewne plany wobec ciebie, i nigdzie stąd nie pójdziesz tej nocy. - Wyciągnął ku niej butelkę. - Napij się - powiedział poważnie. - Łatwiej ci będzie przetrwać do jutra.

- A co będzie jutro?

- Jutro się pobieramy.

4

Penelopa chwyciła butelkę z ręki Michaela i przez jeden ulotny moment pomyślała, żeby ją wypić do dna. Z pewnością nie było lepszego momentu niż ten, żeby zostać pijaczką.

- Nie wyjdę za ciebie!

- Obawiam się, że to postanowione. Co za zniewaga! - zawrzało w niej.

- Nic nie jest postanowione! - Przyciskając butelkę do piersi, zaczęła przekradać się obok niego ku drzwiom. Nawet nie drgnął. Zatrzymała się o włos od niego, niemal ocierając się o Michaela płaszczem, i spojrzała prosto w jego poważne orzechowe oczy. Nie, nie ugnie się przed jego

dziwaczną zachcianką. - Proszę odstąpić, lordzie Bourne. Wracam do domu. Jest pan szalony.

Ciemna brew irytująco się uniosła.

- Co za ton - zadrwił. - Cóż, czuję, że nie mam nastroju, aby ruszać się z miejsca. Będziesz musiała znaleźć inny sposób.

- Nie doprowadzaj mnie do tego, abym zrobiła coś, czego będę żałować.

- Dlaczego żałować? - Wyciągnął rękę i uniosł palcem jej podbródek.

-Biedna Penelopa... Tak strasznie boi się ryzyka.

Biedna Penelopa! Zmrużyła z gniewem oczy.

- Nie boję się ryzyka. Ciebie też się nie boję. Znowu uniesienie brwi.

- Nie?

- Ani trochę.

Nachylił się nad nią. Był teraz blisko. Za blisko. Dostatecznie, by owionął ją jego zapach - bergamotki i tytoniu. Dostatecznie, by dostrzegła, że jego oczy mają piękny odcień brązu - piękniejszy niż pamiętała z przeszłości.

- Udowodnij to. - Głos miał niski, chropawy. Penelopa poczuła przebiegający jej po plecach dreszcz podniecenia.

Przysunął się jeszcze bliżej - dostatecznie, by poczuła promieniujące od niego w tym mroźnym wnętrzu ciepło. Palce wśliznęły się pomiędzy włosy na jej karku. Trzymał ją teraz mocno, górując nad nią groźnie... obiecująco.

Tak jakby jej pragnął.

Tak jakby przyszedł tu dla niej.

Choć naturalnie wcale nie przyszedł dla niej.

Nie byłoby go tutaj, gdyby nie Falconwell.

Lepiej, żeby o tym pamiętała.

Nie pragnął jej bardziej niż jakikolwiek inny mężczyzna wcześniej. To niesprawiedliwe!

Ale byłaby przeklęta, gdyby pozwoliła sobie odebrać jedyny wybór, jaki miała w obecnej sytuacji. Uniosła ręce i zaciskając w lewej butelkę whisky, odepchnęła go z całej mocy. Normalnie nie ruszyłaby z miejsca mężczyzny jego postury, wykorzystała jednak element zaskoczenia.

Bourne zachwiał się i cofnął, ona zaś rzuciła się do drzwi. Już prawie chwyciła za klamkę, gdy on odzyskał równowagę i z okrzykiem „O, nie!” dogonił ją, chwycił i odwrócił twarzą ku sobie.

- Puszczaj! - Targnął nią gniew.

- Nie - odparł po prostu. - Jesteś mi potrzebna.

- Z powodu Falconwell.

Nie odpowiedział. Nie musiał... Odetchnęła głęboko. Jak on ją traktuje! Zupełnie jakby to było średniowiecze. Jakby była cenną rzeczą, niczym więcej.

Tak jakby była warta tylko tyle, ile wart był majątek przypisany do jej ręki.

Przeniknął ją ból rozczarowania. On był jeszcze gorszy niż inni!

- Cóż - zaczęła. - W takim razie nie masz szczęścia. Powiedziałam już „tak” innemu.

- Po tej nocy stanie się to nieważne - oznajmił. - Nikt się z tobą nie ożeni, jeśli spędzisz ze mną noc pod jednym dachem, sam na sam.

W tych słowach powinien być niebezpieczny odcień pogrożki. Tymczasem zabrzmiały po prostu jak stwierdzenie faktu. To dopiero łotr nad łotry! Jej reputacja jutro legnie w gruzach.

Odebrał jej wszelką możliwość wyboru.

Tak jak wcześniej - ojciec.

Jak księżę Leighton przed laty.

Znowu znalazła się w pułapce, zastawionej przez mężczyznę.

- Kochasz go? Zaskoczyło ją to pytanie.

- Proszę?

- Swojego narzeczonego. Czujesz, że jesteś w nim zakochana? - W jego głosie była drwina, tak jakby samo połączenie Penelopy ze słowem „miłość” było śmiechu warte. - Rozpływasz się ze szczęścia na myśl o nim?

- Czy to ma jakieś znaczenie?

Zaskoczyła go. Dostrzegła to w jego oczach. Po chwili założył ręce na piersi i uniósł brwi.

- Najmniejszego.

Przez kuchnię przeciągnął zimny powiew. Penelopa otuliła się szczelnie płaszczem. Michael dostrzegł to i mruknął coś pod nosem - chyba raczej nie były to słowa, jakich używa się w przyzwoitym towarzystwie... Zdjął z siebie płaszcz, złożył go starannie i umieścił na pobliskim kontuarze, po czym przeniósł wzrok na stojący pośrodku kuchni duży dębowy stół. Brakowało mu nogi, a w pokrytym szramami blacie tkwiła siekiera. Dziwnie wyglądał ten pokiereszowany mebel, no ale przecież tego wieczoru mało co wyglądało normalnie.

Zanim zdołała wymyślić, co powiedzieć dalej, złapał siekierę i odwrócił się do niej. W nikłym świetle latarni jego twarz była mozaiką kantów, światła i cieni.

- Cofnij się.

Ten człowiek był pewien posłuchu. Nawet nie czekając, aż spełni jego polecenie, wznosił siekierę nad głowę i zajadle zaatakował stół. Szybko uskoczyła do kąta i patrzyła jak zahipnotyzowana, niezdolna się oprzeć przemożnej pokusie.

Był tak pięknie zbudowany! Niczym rzymski posąg!

Rękawy lnianej koszuli uwydatniały jego szczupłe, umięśnione ręce, gdy trzymając pewnie trzonek, umiejętnie unosił narzędzie i z potężnym łups! wbijał stalowe ostrze w liczące sto lat dębowe drewno. Fontanna drzazg wzbijała się w powietrze i łądowała na starym, wystygłym kuchennym piecu.

Rozpostarł na stole dłoń o długich palcach i ściskając drugą trzonek, wsparł się, by wyrwać ostrze z blatu. Obejrzał się, by się upewnić, że Penelopa nie stoi w zasięgu potencjalnego pocisku - osobliwie miły gest - i zwróciwszy się z powrotem do mebla, jednym potężnym ruchem spuścił nań ostrze po raz kolejny.

Siekiera wbiła się w blat, ale go nie rozłupała.

Pokręcił głową, jeszcze raz wyszarpnął ostrze i skierował je na jedną z pozostałych stołowych nóg. Łups!

Światło latarni wydobyło na moment z mroku jego potężne uda, opięte ciasno tkaniną spodni. Oczy Penelopy rozszerzyły się z wrażenia. Nie powinna tego dostrzegać... nie powinna zwracać uwagi na tę bijącą po oczach... męskość.

Ale nigdy dotąd nie widziała takich mięśni!

Łups!

Nigdy by jej nie przyszło do głowy, że to może być takie... fascynujące. Łups!

Nie mogła się oprzeć... Łups!

Ostatni cios rozłupał wreszcie drewno. Noga skrzywiła się, stół przechylił na bok. Michael cisnął siekierę i chwyciwszy nogę gołymi rękami, wyrwał ją z miejsca osadzenia.

Uderzając drewnem w rozpostartą dłoń, zwrócił się do Penelopy:

- Zwycięstwo - oznajmił.

Tak jakby spodziewał się czegoś innego.

Tak jakby kiedyś musiał zaakceptować coś innego...

- Dobra robota - mruknęła, bo nic lepszego nie przyszło jej do głowy. Położył sobie kawał drewna na barku.

- Nie skorzystałaś z okazji, żeby uciec. Zamarła.

- Nie. Nie skorzystałam. - Choć za nic w świecie nie potrafiłaby powiedzieć dlaczego.

Umieścił stołową nogę w kuchennym piecu, wziął płaszcz i starannie strzepnąwszy możliwe zagniecenia, włożył z powrotem.

Patrzyła, jak wsuwa jedną, potem drugą rękę w doskonale skrojone okrycie, uwydatniające równie doskonałą sylwetkę, przypominającą wzorzec proporcji ludzkiego ciała, stworzony przez Leonarda da Vinci.

Nie!

Pokręciła głową. Nie, nie będzie o nim myślała jako o kanonie piękna. Już teraz zanadto ją onieśmiał.

- Nie wyjdę za ciebie za męża.

Wygładził mankiety, pieczołowicie pozapinał guziki płaszcza i strzepnął z rękawów ślad śniegu.

- To nie podlega dyskusji. Spróbowała rozsądku.

- Byłbyś okropny jako mąż.

- Nigdy nie twierdziłem, że będę dobrym mężem.

- To znaczy, że skazujesz mnie na życie w nieszczęśliwym związku?

- Jeśli zajdzie potrzeba. Ale nie jest to mój bezpośredni cel, o ile stanowi to dla ciebie jakąś pociechę.

Zamrugła. Ta rozmowa jej się nie przyśniła.

- A ja mam poddać się twojej woli? Wzruszył ramionami.

- Nie zamierzam oszukiwać sam siebie, że celem małżeństwa jest szczęście któregoś ze stron... albo obu. Mój plan to przyłączenie na powrót gruntów Falconwell do dworu, a na nieszczęście dla ciebie wymaga to, żebyśmy się pobrali. Nie będę dobrym małżonkiem, ale nie mam także najmniejszego zamiaru, aby trzymać cię na smyczy.

Aż otworzyła usta. Cóż za bezlitosna uczciwość... Nawet nie próbował udawać uprzejmości, zainteresowania, troski.

- Rozumiem - powiedziała.

- Będiesz mogła mieć czy robić, co zechcesz i kiedy zechcesz. Mam dosc p,eniędzy, żebyś mogła je trwonić na rzeczy, które lubią kobiety twojego pokroju.

- Mojego pokroju?

- Stare panny, które marzą o czymś więcej.

Miała wrażenie, że powietrze ze świstem opuściło kuchnię Co za okropne, nieprzyjemne, w pełni trafne określenie! Tak jakby dziś wieczorem był w pokoju, gdzie oświadczał się jej Tommy, i był świadkiem jak te oświadczyzny napęniają ją rozczarowaniem. Nadzieją na coś więcej

Na coś innego.

No cóż, to z pewnością było coś innego.

Wyciągnął rękę i powiodł palcem po jej policzku. Drgnęła.

- Nie rób tego.

- Wyjdiesz za mnie, Penelopo.

Poderwała głowę w tył, tak by nie mógł jej dosięgnąć. Nie chciała, żeby jej dotykał.

- Dlaczego mam za ciebie wyjść?

- Ponieważ, kochanie - nachylił się i powiodł palcem po jej szyi i dekolcie, a ten dotyk i ciemna obietnica w jego głosie sprawiły, że jej serce i oddech przyspieszyły gwałtownie - nikt nie uwierzy, że nie skompromitowałem cię ostatecznie.

Chwycił suknię przy dekolcie i jednym potężnym szarpnięciem rozdarł ją wraz z koszulą na dwie połowy, obnażając Penelopę aż do pasa

Wciągnęła gwałtownie powietrze i upuściwszy butelkę, przycisnęła rozdartą suknię do piersi. Whisky chlusnęła na podłogę

- Ty... ty...

- Masz czas, kochanie - powiedział, odstępując o *krok*, aby podziwiać dzieło swoich rąk. - Poczekam, aż znajdziesz właściwe słowo.

Zmrużyła oczy. Nie potrzebowała słów. Potrzebowała bata Zrobiła jedyną rzecz, jaką potrafiła wymyślić. Ręka jak gdyby bez jej woli wyciągnęła się i z głośnym trzaśnięciem wymierzyła mu policzek Odgłos, jaki temu towarzyszył, sprawiłby jej głęboką satysfakcję, gdyby nie była tak skrajnie zawstydzona.

Głowa Michaela odskoczyła w tył. Złapał się za policzek, na którym już zaczynała występować rozległa czerwona plama o kształcie dłoni Penelopa znów cofnęła się ku drzwiom.

- Nigdy... nigdy... nie wyjdę za kogoś takiego jak ty! Czy ty już całkiem zapomniałeś, kim byłeś? Kim mogłeś się stać? Można by pomyśleć, że wychowały cię wilki!

Odwróciła się i zrobiła to, co powinna była zrobić w pierwszej chwili. Rzuciła się do ucieczki.

Pchnęła drzwi, otwierając je na oścież, i pobiegła na oślep w śnieg, instynktownie kierując się ku dworowi Needham. Ubiegła jednak zaledwie parę jardów, gdy Bourne doścignął ją i chwyciwszy mocnymi jak stal rękami, poderwał w górę.

- Puść mnie! - wrzasnęła. - Ty bestio! Pomocy!

Wierzgnęła, trafiając go obcasem w goleń. Zaklął jej prosto w ucho.

- Przestań się szarpać, ty harpio. Nigdy w życiu! Podwoiła wysiłki.

- Pomocy! Pomocy! - wrzasnęła znów ile sił w płucach.

- Nie ma tu żywego ducha w promieniu mili, ty wariatko. I nikogo, kto by nie spał, w dużo dalszej okolicy. - Tylko ją rozjątrzyły te słowa i z całej siły rąbnęła go łokciem w bok, aż stęknął. Byli już z powrotem w kuchni.

- Postaw mnie na ziemi! - krzyknęła, najgłośniej jak mogła, prosto do jego ucha.

Odchylił głowę i wzięwszy po drodze latarnię oraz odrąbaną stołową nogę, ruszył przez kuchnię. Znowu się zaszamotała, ale trzymał ją mocno.

- Co chcesz ze mną zrobić? Zgwałcić mnie tu, w tym pustym domu, i zwrócić memu ojcu lekko napoczętą? - Zmierzali teraz długim korytarzem; po jednej stronie widniał rząd drewnianych listew, które znaczyły podest klatki schodowej dla służby. Penelopa z całej siły uchwyciła się jednej i zawisała na niej.

Przystanął i czekał, aż zwolni chwyt. Kiedy przemówił, w jego głosie była nieskończona cierpliwość.

- Ja nie gwałcę kobiet. W każdym razie dopóki mnie o to naprawdę ładnie nie poproszą.

Zawahała się.

No tak, oczywiście. Nie zgwałci jej.

Pewnie ani przez chwilę nie myślał o niej inaczej niż o zwyczajnej, nieładnej Penelopie, jedynej, która stała pomiędzy nim a tym, co mu się z urodzenia należało.

Nie była pewna, czy sytuacja jest wskutek tego lepsza, czy gorsza.

Z pewnością jednak bolało ją serce. Nie zależy mu na niej. Nie chce jej. Nawet nie ceni jej na tyle, aby udawać, że mu zależy. Aby zagrać za-interesowanie. Aby spróbować ją uwieść.

Wykorzystuje ją tylko, aby odzyskać Falconwell.

A Tommy? Czyż nie było to także wykorzystywanie?

Oczywiście, że było. Tommy patrzył jej głęboko w oczy, ale widział nie ich błękit, lecz błękit nieba nad polami Falconwell. Tak, był jej przyjacielem, ale to nie dlatego oświadczył się o jej rękę.

Michael był przynajmniej uczciwy.

- Wiesz, zasłużyłeś na swoją reputację.

- Tak. Zasłużyłem. A nie jest to najgorsza rzecz, jaką zrobiłem. Powinnaś o tym wiedzieć.

Te słowa nie zabrzmiały dumnie ani też obojętnie. Wydawały się po prostu uczciwe. I było w nich coś jeszcze... Penelopa nie była do końca pewna, czy naprawdę to usłyszała. Coś, czego nie odważyłaby się określić.

Puściła jednak poręcz, a on postawił ją parę stopni nad sobą.

Ona naprawdę bierze to pod uwagę! Czy jest szalona?

Naprawdę się zastanawia, jak by to było - poślubić tego nowego, dziwnego Michaela. Tyle że to jest nie do wyobrażenia. Nie miała pojęcia, jak to by było - poślubić człowieka, który bez namysłu rąbie siekierą kuchenny stół. I który przemocą taszczy krzyczące dziko kobiety do opuszczonych domów.

Nie byłoby to normalne arystokratyczne małżeństwo, to pewne.

Spojrzała mu prosto w oczy. Nie musiała unosić głowy - dzięki temu, że stała parę schodków wyżej, ich wzrok znajdował się na jednym poziomie.

- Jeśli cię poślubię, będę zrujnowana.

- Wielki sekret wyższych sfer polega na tym, że zrujnowana reputacja nie jest wcale taka zła, jak się to przedstawia. Będziesz miała do dyspozycji wszelkie swobody, jakie wraz z tym przychodzą. Nie jest to bez znaczenia.

On o tym wiedział. Pokręciła głową.

- Nie chodzi wyłącznie o mnie. Tak samo będą zrujnowane moje siostry. Nigdy nie znajdą właściwych mężów, jeśli się pobierzemy. Wszyscy w towarzystwie będą uważali, że można je... zniewolić... równie łatwo jak mnie.

- Twoje siostry mnie nie obchodzą.

- Ale mnie tak. Uniósł brwi.

- Jesteś pewna, że w twojej sytuacji możesz stawiać warunki?

Nie, nie mogła. Absolutnie. A jednak się nie poddawała. Wprostowała ramiona.

- Zapominasz, że żaden pastor w całym kraju nie da nam ślubu, jeśli się nie zgodzę.

- Myślisz, że jeśli to zrobisz, to ja nie rozpowiem po całym Londynie, że cię skompromitowałem tej nocy?

- Owszem, myślę.

- Mylisz się. Rozpowiem. Wymyślę taką historię, że najordynarniejsza prostytutka zarumieni się, kiedy ją usłyszy.

Zarumieniła się teraz i Penelopa, ale walczyła nadal. Zaczerpnęła tchu i zagrała najpotężniejszą kartą.

- Nie wątpię, ale rujnując mi reputację, zrujnujesz także swoje szanse na odzyskanie Falconwell.

Skamieniał. Penelopie zapało dech z podniecenia, gdy czekała na jego odpowiedź.

- Wymień swoją cenę. Wygrała.

Wygrała!

Miała ochotę wykrzyknąć swój triumf, fakt, że pokonała tego niebezpiecznego szelmę. Przywołała jednak resztki instynktu samozachowawczego.

- Dzisiejsza noc nie może wpłynąć na reputację moich sióstr. Skinął głową.

- Masz moje słowo.

Zacisnęła w dłoni podartą tkaninę sukni.

- Słowo powszechnie znanego łotra?

Postąpił stopień wyżej. Był teraz blisko, kryjąc ją w cieniu. Kiedy przemówił, w jego głosie były pogroźka i obietnica zarazem:

- I złodzieje mają swój honor, Penelopo. A tym bardziej gracze. Przełknęła ślinę. Jego bliskość zdławiła jej odwagę.

- Ja... ja nie jestem ani tym, ani tym.

- Głupstwo - szepnął, a ona miała wrażenie, że czuje jego wargi na swojej skroni.

- Wygląda na to, że jesteś urodzoną hazardzistką. Trzeba cię tylko poduczyć.

Bez wątpienia może ją nauczyć więcej, niż kiedykolwiek przyszło jej do głowy...

Stłumiła tę myśl i obrazy, jakie za sobą pociągnęła.

- A zatem umowa stoi? - dodał. Triumf przemiął, wyparty przez trwogę. Gdyby mogła widzieć jego oczy...

- Czy mam wybór? - spytała retorycznie

- Nie.

Ani śladu emocji w tym słowie. Cienia żalu czy poczucia winy. Wyłącznie zimna uczciwość.

Wyciągnął do niej rozpostartą dłoń. Hades, proponujący pestki granatu.

Jeśli ją ujmie, wszystko się zmieni. Wszystko będzie odtąd inne. Nie będzie odwrotu. Aczkolwiek gdzieś w środku wiedziała, że odwrotu nie będzie tak czy owak.

Zasłoniwszy dekolt sukni, ujęła jego rękę.

Poprowadził ją schodami w górę. Czarne jak smoła ciemności rozświetlała tylko jego latarnia i Penelopa wbrew woli przywarła do niego. Gdyby tak miała odwagę go puścić, iść sama, stawić mu opór w tej drobnej sprawie! W tym powolnym marszu było jednak coś takiego... tajemniczego i mrocznego, choć nie tylko z braku światła... że nie mogła się zdobyć, aby go odepchnąć.

Zatrzymał się na półpiętrze. Oczy miał pogrążone w cieniu.

- Nadal boisz się ciemności?

Przywołanie ich wspólnego dzieciństwa zbiło ją z tropu.

- To była lisia nora. Wszystko tam mogło być... Zaczął wchodzić po stopniach.

- Na przykład?

- Może lis?

- Nie, w tej dziurze nie było lisów.

Wcześniej sprawdził. Tylko dlatego dała mu się przekonać, aby tam wejść.

- No więc... coś innego. Na przykład niedźwiedź.

- A może po prostu bałaś się ciemności.

- Może. Ale już się nie boję.

- Nie?

- Wyszłam dziś przecież po ciemku na dwór, prawda? Skręcili w długi korytarz.

- Rzeczywiście, wyszłaś. - Puścił jej rękę, a Penelopa poczuła, choć wcale tego nie chciała, że brak jej tego dotyku. Przekręcił klamkę jakichś

drzwi i pchnął; otworzyły się z długim, złowieszczym skrzypnięciem. - Choć nie potrzebujesz bać się ciemności, Penelopo - powiedział jej cicho wprost do ucha - to zupełnie słusznie boisz się rzeczy, które w niej rozkwitają.

Zmrużyła oczy, usiłując dojrzeć coś w pokoju. Drżała wewnętrznie ze zdenerwowania. W progu się zawahała. Rzeczy, które rozkwitają w ciemności... tak jak on.

Przeszedł obok niej, a ten ruch i bliskość były jak pogróżka i pieszczota zarazem.

- Okropna z ciebie oszustka - szepnął ledwie dosłyszalnie, gdy ją mijał. Miły powiew jego oddechu na jej twarzy był przeciwieństwem tej obelgi.

Migotliwe światło latarni wydobyło z cienia ściany jakiegoś niewielkiego, nieznanego jej pokoju. Złota poświata padła na niegdyś wytworne, dziś żałośnie wyblakłe tapety, które musiały dawniej mieć odcień żywego rózu. Pokój zaledwie był w stanie pomieścić ich oboje; jedną ścianę zajmował kominek, w przeciwności znajdowały się dwa nieduże okna wychodzące na gęsty zagajnik.

Michael nachylił się, by rozpaścić ogień, a Penelopa podeszła do okien i wyjrzała na śnieżny krajobraz. Zdawało się, że cienki sierp księżycy, zawieszony nisko nad horyzontem, przecinał roziskrzane pola.

- Co to za pokój? Nie pamiętam go.

- Raczej nigdy nie miałaś okazji go widzieć. To studio mojej matki.

W pamięci błysnęło jej wspomnienie markizy, wysokiej, pięknej, o miłym, serdecznym uśmiechu i łagodnych oczach. O tak, istotnie, ten cichy, pełen pogody pokój musiał należeć do niej.

- Michaelu... - Odwróciła się do niego. Przykucnąwszy przy kominku, podkładał pod drewno wiecheć słomy i podpalał. - Nie miałam możliwości, żeby... - szukała słów.

- Nieważne - powstrzymał ją. - Co się stało, to się stało. Chłód jego tonu wydawał się nie na miejscu.

- Niemniej... pisałam. Nie wiem, czy kiedykolwiek...

- Być może. - Wciąż tkwił górną połową ciała w kominku. Słyszała, jak zagrzynał krzemień. - Wiele osób pisało.

Te słowa nie powinny były ranić, a jednak raniły. Jakże była zdruzgotana, gdy dowiedziała się o śmierci markiza Bourne i jego małżonki... W przeciwieństwie do jej rodziców, między którymi było chyba niewiele ponad zwyczajową uprzejmość - rodzice Michaela sprawiali wrażenie, że są głęboko oddani sobie nawzajem, a także synowi.

Kiedy dowiedziała się, że oboje zginęli w wypadku powozu, długo nie mogła otrząsnąć się ze smutku. Co za strata. Wszystko byłoby inaczej gdyby...

Napisała wtedy do niego wiele listów. Chyba z tuzin. Wreszcie ojciec odmówił dalszej wysyłki. Pisała dalej, w nadziei, że on się jakoś dowie poczuje, że o nim myśli. Że zawsze będzie miał przyjaciół w Falconwell. w Surrey... choćby nie wiem jak czuł się samotny. Wierzyła, że któregoś dnia powróci.

Ale nie wrócił już nigdy.

W końcu przestała na niego czekać.

- Przykro mi.

Błysnął płomyk. Zapłonęła słoma. Michael wstał i obrócił się do niej twarzą.

- Będziesz musiała zadowolić się światłem kominka. Latarnię masz całą w śniegu.

Przelknęła gorycz. Skinęła głową.

- W zupełności mi wystarczy.

- Nie opuszczaj tego pokoju. Dom jest w złym stanie, a ja jeszcze się z tobą nie ożeniłem.

Odwrócił się i wyszedł.

5

Kiedy się obudziła, tylko wąty ogień na kominku rozjaśniał pokój. Nos jej zmarzł, ale poza tym dokuczało nieznośne gorąco.

Zamrugła powoli i rozejrzała się zdeorientowana dokoła. Dopiero po chwili rozpoznała ten mały pokój, żar w palenisku i różowe ściany.

Leżała na plecach, okutana kocami, w które sama się owinęła przed snem. Na wierzchu okrywał ją jeszcze jeden - wielki, ciepły pled, przesycony wspaniałym zapachem. Wtuliła weń zmarznięty nos i zaciągnęła się mocno, starając się rozpoznać zapach - połączenie bergamotki i kwiatów tytoniu.'

Odwróciła głowę.

Michael.

Szok, a potem fala paniki.

Michael spał tuż obok.

Właściwie nawet nie obok. Byli do siebie przytuleni. Trzymał ją w objęciach.

Leżał na boku, z głową opartą na ramieniu. Drugim trzymał ją mocno... poniżej pleców. Gwałtownie sapnęła, uświadamiając sobie, że jego dłoń spoczywa niebezpiecznie blisko pewnych części jej ciała, których nikt nie powinien dotykać.

Szczerze mówiąc, inne części jej ciała też nie znały męskiego dotyku, ale akurat teraz nie o to chodziło.

Zresztą, nie tylko ręka stanowiła problem. Michael był dosłownie w nią wtulony, bardzo intymnie... czuła dotyk jego piersi, ramienia, nogi i... czegoś jeszcze. Trudno powiedzieć, czy ją to przerażało czy napępniało dziwnym podnieceniem.

Może jednym i drugim?

Lepiej było się nad tym za bardzo nie zastanawiać.

Odwróciła się do niego, starając się unikać niepotrzebnych ruchów i odgłosów, ale nie była w stanie zignorować dotyku jego dłoni, która zaczęła rytmicznie gładzić jej plecy, kiedy poczuła ruch. Gdy znalazła się z nim twarzą w twarz, odetchnęła ostrożnie i zaczęła się zastanawiać, co dalej.

W końcu nie codziennie budziła się w ramionach dżentelmena.

Tyle że to chyba nie był dżentelmen...

Kiedy nie spał, był taki silny i twardy - mięśnie szczęki miał napięte jak postronki, jakby stale się powstrzymywał, żeby się na kogoś nie rzucić. Ale teraz, w półmroku, w blasku ognia, był...

Piękny.

Wewnętrzna siła wciąż była widoczna w stanowczych, klasycznych rysach jego twarzy, jakby stworzonych ręką rzeźbiarskiego mistrza - w zarysie szczęki, kształcie podbródka, długim, prostym nosie, regularnych łukach brwi i w czarnych rzęsach, długich jak u małego chłopca, rzucających cień na policzki.

I w tych jego ustach. Nie zaciśniętych w twardą, wąską kreskę, tylko pełnych i zachwycających. Kiedyś były skore do uśmiechu, ale teraz... teraz stały się groźne i kuszące - jak nigdy w dzieciństwie. Przesunęła spojrzeniem po wklęsłościach i wypukłościach górnej wargi, zastanawiając się, ile kobiet ją już całowało. Zastanawiając się, jakie byłyby jego usta - miękkie czy twarde, delikatne czy szorstkie.

Westchnęła ciężko, czując falę pożądania.

Tak bardzo chciała go dotknąć.

Zamarła na tę myśl, obcą, a jednak nieodparcie prawdziwą.

Nie powinna tego pragnąć. Przecież to zwykły łajdak. Zimny, odpychający, zupełnie odmienny od tego chłopca, którego kiedyś знаła. I od męża z jej wyobrażeń. Pomknęła myślą o kilka godzin wstecz, kiedy stała w swojej sypialni i próbowała zobaczyć w wyobraźni swojego przyszłego męża, prostackiego i nudnego.

Nie. Michael w niczym nie przypominał kogoś takiego.

Może właśnie dlatego pragnęła go dotknąć.

Zawisła spojrzeniem na jego ustach. Może bałaby się ich dotknąć... choć były kuszące i przerażające zarazem. Chyba wolałaby pogłodzić włosy, ciemne i kręcone jak niegdyś, choć już nie tak rozczochrane. Jego kędziory nabrały manier, posłusznie się układały, otaczając policzki i odsłaniając brwi, nawet po całym dniu wędrówki przez śniegi.

Wiedzą, że bunt się nie opłaca.

Tak. Pragnęła pogłodzić go po włosach.

To włosy mojego przyszłego męża.

Jej dłoń uniosła się niemal bez udziału jej świadomości, sięgając ku tym ciemnym lokom.

- Michael - szepnęła, muskając koniuszkami palców jedwabiste pasmo. Nie wiedziała, że igra z ogniem.

W jednej chwili otworzył oczy, jakby tylko czekał na jej ruch i błyskawicznie unieruchomił jej rękę w stalowym uścisku. Sapnęła ze strachu.

- Wybacz... nie chciałam... - Poruszyła dłonią raz i drugi, aż w końcu ją puścił.

Jego ręka powróciła tam, gdzie leżała przedtem - nieprzyzwoitym gestem obejmując jej korpus i przypominając jej o wszystkich miejscach, w których stykały się ich ciała - o dotyku jego nogi i o tym spojrzeniu, tak dobrze ukrywającym myśli.

Przełknęła ślinę, zawahała się i powiedziała jedyną rzecz, która przysła jej do głowy:

- Jesteś w moim łóżku. Nie odpowiedział. Drażyła dalej.

- Ale nic... - zabrakło jej słów.

- ...się nie stało? - dokończył miękkiem od snu głosem. Nie zdołała ukryć dreszczu podniecenia, jaki obudziły w niej te słowa.

Skinęła głową.

Zdjął rękę z jej biodra, bardzo powoli, a ona zignorowała ukłucie żalu, kiedy zniknął jej ciężar.

- Co ty tu robisz?

- Spałem.

- Ale dlaczego w moim łóżku?

- To nie twoje łóżko, Penelopo, tylko moje.

Zamilkli. Poczwała wzdłuż kręgosłupa dreszcz niepewności. Co na to odpowiedzieć? Rozmowa o jego łóżku była w złym tonie. Zresztą o jej łóżku też.

Przetoczył się na plecy, wysunął dłoń spod policzka, przeciągnął się rozkosznie, leniwie i odwrócił od niej.

Próbowała zasnąć. Naprawdę się starała.

Wzięła głęboki oddech, przyglądając się krzywiznom jego ramienia i napiętemu rękawowi koszuli. Była w łóżku z mężczyzną. Z mężczyzną, który choć niedługo zostanie jej mężem, jeszcze nim nie był. Co za szokujący skandal. Emocjonujący i nieprzyzwoity. A jednak... niezależnie od tego, co powie jej matka, cała sytuacja wcale nie wyglądała skandalicznie.

Szczerze mówiąc, była tym trochę rozczarowana. Wyglądało na to, że nawet taka przygoda jej nie wystarczy.

Może i jej przyszły mąż był skandalistą... ale ona na pewno nie budziła w nim skandalicznych instynktów. Właśnie dał jej to do zrozumienia.

Nawet gdy była sam na sam z mężczyzną w opuszczonym dworze, nie wydała mu się wystarczająco pociągająca.

Westchnęła głośno. Odwrócił do niej głowę, przez co w zasięgu jej wzroku znalazło się kształtne ucho. Nigdy przedtem nie zwracała uwagi na uszy ludzi.

- O co chodzi? - spytał chropowatym głosem.

- O nic. A czemu pytasz?

Znowu ułożył się na plecach, ściągając koc z jej ramienia i wpatrując się w sufit, rzekł:

- Wystarczająco dużo nauczyłem się o kobietach, żeby wiedzieć, iż takie westchnienia zawsze coś muszą znaczyć. Przeważnie jedną z dwóch rzeczy. To konkretne westchnienie było oznaką kobiecego niezadowolenia.

- Nic dziwnego, że znasz je tak dobrze. - Penelopa nie mogła się powstrzymać. - A inne?

Przeszył ją spojrzeniem pięknych orzechowych oczu.

- Oznacza kobiece zadowolenie.

Poczuła, jak płoną jej policzki. Najwyraźniej on dobrze znał takie westchnienia.

- Och...

Znowu zapatrzył się w sufit.

- Zechcesz mi powiedzieć, z jakiego powodu jesteś taka nieszczęśliwa?

Pokręciła głową.

- Nieważne.

- Niewygodnie ci?

- Wygodnie.

Koce tworzyły wystarczająco miękkie posłanie na drewnianej podłodze.

- Boisz się?

Zastanowiła się nad tym pytaniem.

- Nie. A powinnam? Spojrzał na nią z ukosa.

- Nie krzywdzę kobiet.

- Tylko je porywasz i bijesz?

- Stało ci się coś?

- Nie.

Znowu odwrócił się do niej plecami na znak, że skończyli rozmowę. Wpatrywała się w jego plecy przez dłuższą chwilę, a potem wyrzuciła z siebie - nie wiadomo, czy ze znużenia, czy z rozpacz:

- Chodzi o to, że jeśli już ktoś kobietę porwał i zmusza do małżeństwa, można by się spodziewać trochę więcej... emocji... Niż tylko to.

Przewrócił się znowu w jej stronę, irytująco powoli. Powietrze między nimi zgęstniało i Penelopa nagle uświadomiła sobie, że są bardzo blisko siebie, na ciepłym sienniku, w niewielkim pokoju, w pustym domu, przykryci jednym pledem - a raczej jego podróżnym płaszczem. Nagle uświadomiła sobie, że zrobiła błąd, dopraszając się o więcej emocji.

Chyba wcale nie była na nie gotowa.

- Nie chodziło mi o to... - zaczęła pośpiesznie.

- Ależ doskonale rozumiem, o co ci chodziło - powiedział cichym, mrocznym głosem. Chyba jednak go się bała. - Nie wywołuję w tobie żaru?

- Nie chodzi o ciebie... - wykrztusiła. - O to wszystko... - Gestem ręki objęła pokój, unosząc płaszcz, ale zdążyła się zreflektować na czas. - Nieważne.

Wbił w nią spojrzenie, skupione i nieruchome. Nawet nie drgnął, ale jakimś sposobem wydał jej się większy i potężniejszy. Jakby wchłonął prawie całe powietrze z pokoju.

- Jakże mam uczynić wieczór bardziej zadowolającym dla ciebie, moja pani?

To ciche pytanie sprawiło, że zadygotała z emocji... powiedział to jedno słowo - „zadowolający” - w tak leniwy i zmysłowy sposób, że serce w niej zabiło, a żołądek ścisnął się w supeł.

Nagle ten wieczór zaczął obiecywać aż nazbyt wiele wrażeń.

Wszystko zaczęło dziać się za szybko jak na gust Penelopy.

- Nie trzeba - odpowiedziała piskliwym ze strachu głosem. - Jest bardzo miło.

- Miło? - Znowu ten leniwy ton.

- Wręcz fascynująco. - Skinęła głową i udała, że ziewa. - Aż tak emocjonująco, że czuję się kompletnie wyczerpana.

Odwróciła się do niego plecami.

- Chyba powiem ci już dobranoc.

- Chyba raczej nie - odparł nieoczekiwanie, przerywając moment ciszy, która zapadła między nimi.

A potem jej dotknął.

Chwycił przegub jej dłoni, unieruchomił, odwrócił ją do siebie i zmierzył twardym spojrzeniem.

- Nie chciałbym, żebyś zasnęła taka... niezaspokojona. „Niezaspokojona”.

To słowo zabolęło ją głęboko w środku. Zaczepnęła haust powietrza, by opanować wzburzone emocje. Bez powodzenia.

Wtedy puścił nadgarstek i położył silną dłoń na jej biodrze. Uwaga Penelopy natychmiast skupiła się na tym miejscu, pod suknią, hałeczką i tym płaszczem... Naprawdę poczuła ten płonący dotyk. Nie przyciągnął jej do siebie, nie przytulił, w ogóle jej nie ruszał. Wiedziała, że może się odsunąć... że powinna to zrobić. A jednak...

Nie chciała.

Wolała balansować na krawędzi tego co nowe, inne i niesłychanie podniecające.

Spojrzała w jego ciemne oczy, lśniące w świetle ognia na kominku, bez słowa błagając, żeby w końcu coś zrobił.

Na próżno. Zamiast tego, powiedział tylko:

- Zagraj swoją kartę, Penelopo.

Otworzyła usta ze zdziwienia, że oddał jej władzę nad tą chwilą, uświadamiając sobie, że po raz pierwszy w życiu mężczyzna pozwolił jej samej dokonać wyboru.

O ironio, właśnie taki mężczyzna. Mężczyzna, który przed zaledwie kilkoma godzinami odebrał jej wszelki wybór.

Ale teraz było inaczej. To była wolność, o której mówił. To była obiecana przygoda. Własna moc uderzyła jej do głowy. Pokusa była nie do odparcia.

To niebezpieczne.

Nie dbała o to.

Bo ta nieprzyzwoita, wspaniała siła kazała jej powiedzieć:

- Pocałuj mnie.

Już się nad nią pochylał, chwytając słowa wargami. *Drogi M.*

U nas jest koszmarnie, gorąco jak w Hadesie, nawet nocami. Chyba tylko ja nie śpię w całym domu, ale kto by spał w te okropne letnie upały w Surrey? Gdybyś tu był, pewnie poszlibyśmy nad jezioro trochę porozrabiać.

Przyznam, że chętnie wybrałabym się na spacer... ale młodym damom pewnie to nie przystoi, prawda?

Pozdrawiam ciepło, P. Dwór Needham, lipiec 1815

Droga P.

Bujda. Gdybym tam był, ja na pewno bym rozrabiał, a Ty wyliczałabyś po kolei, co nam zrobią, jak nas przyłapią, i karcila mnie za wszystkie pomysły.

Nie jestem pewny, co przystoi młodym damom, a co nie, ale umiem dochowywać sekretów, nawet jeśli Twoja guwernantka czegoś nie pochwała. Szczególnie jeśli tego nie pochwała.

M.

Eton College, lipiec 1815

Można powiedzieć, że Penelopa Marbury ukrywała pewien sekret. Nie był to jeden z tych wielkich sekretów, które potrafią obalić parlament albo zdetronizować króla... ani nawet taki sekret, który zniszczyłby

jej rodzinę albo rodzinę kogoś innego. Mimo wszystko, był to sekret okropny i poniżający - taki, o którym najchętniej by zapomniała.

Aż do tego popołudnia Penelopa prowadziła wzorowe, cnotliwe życie, co nie powinno dziwić nikogo. Urocza, grzeczna dziewczynka przeistoczyła się w młodą pannę, której manieri były wzorem dla młodszych sióstr - zachowywała się dokładnie tak, jak panienka w jej wieku zachowywać się powinna. Trzeba było jednak ze wstydem przyznać, że pomimo kilku zalotników i zaręczyn z jednym z potężniejszych mężczyzn w Anglii, który był zresztą bardzo uczuciowy, Penelopa Marbury jeszcze z nikim się nie całowała.

Aż do tej pory.

To po prostu żenujące, wiedziała o tym dobrze.

Przecież, na litość boską, był już 1831 rok. Młode damy zwilżały pół-przejrzyste haleczki wodą i obniżały dekolty. Od pozostałych czterech sióstr dowiedziała się, że nie ma nic nieprzyzwoitego w muśnięciu warg zakochanego adoratora.

Tylko, że jej się nic takiego nigdy przedtem nie zdarzyło, a ten namiętny pocałunek nie miał nic wspólnego z przyzwoitością.

Był rozwiązły - wcale nie jak pocałunek przyszłego męża.

O czymś takim młoda panienka nie powinna nawet rozmawiać ze swoim przyszłym mężem.

Michael odsunął się na moment i szepnął prosto w jej usta:

- Przestań myśleć. Skąd on to wiedział?

Nieważne. Przecież nie wolno ignorować czyjejs prośby - to byłoby nieuprzejme.

Oddała się więc cała tej nowej, nieznannej emocji - pocałunkowi; dotykowi warg zarazem twardych i miękkich, muśnięciu oddechu na policzku, delikatnej pieśszczocie opuszków palców wzdłuż szyi, lekkiemu przechyleniu głowy, by łatwiej było zagarnąć jej usta.

- Tak lepiej.

Westchnęła, czując na wargach dotyk, który wygnał z jej głowy wszelkie myśli - jedną, niesamowitą... nieprzyzwoitą... cudowną pieśszczotą. Czy to jego język?

Tak... pieścił zamknięte wargi, kusząc, by je rozchyliła, a potem pochłonał ją całą, a ona chętnie na to pozwoliła. Przesunął ognistym muśnięciem po dolnej wardze, a Penelopa zaczęła się zastanawiać, czy można oszaleć z rozkoszy.

Na pewno nie każdy mężczyzna umiał tak całować... w przeciwnym razie kobiety nic by nie robiły, tylko marzyły. Odsunął się.

- Znowu zaczęłaś myśleć. Rzeczywiście. Pomyślała, że jest wspaniała.

- Nie potrafię inaczej. Pokręciła głową, szukając jego ust.

- To znaczy, że źle to robię.

Ojej. Jeśli zaczniesz ją jeszcze lepiej całować, to do reszty odbierze jej zdrowy rozsądek.

Może zresztą już go straciła.

Szczerze mówiąc, przestało ją to obchodzić.

Niech on tylko nie przestaje.

Bez udziału świadomości uniosła dłonie, zanurzyła w jego włosach i przyciągnęła go do siebie, aż jego wargi znowu dotknęły jej ust i tym razem... tym razem zatraciła się zupełnie.

Oddała mu pocałunek, zachwycając się głębokim pomrukiem, który wydobył się z jego gardła. Ten dźwięk spiralą dotarł do jej najgłębszej istoty; nie potrzebowała innych zapewnień, by zrozumieć, że pomimo braku doświadczenia pocałunek jej się udał.

Jego ręce powędrowały do góry, tak powoli, iż pomyślała, że umrze, jeśli znowu nie poczuje jego dotyku... a potem jedna przewrotnie wśliznęła się w rozdarcie sukni i spoczęła na jej piersi. Sam rozdarł materiał, żeby oszczędzić sobie kłopotów z uwiedzeniem jej.

Jak się okazało, nie był to żaden kłopot.

Gładziła go po ramieniu, aż dotarła do dłoni i przycisnęła ją mocniej do swojej skóry, szepcząc jego imię prosto w pełne wargi.

Odsunął się, słysząc jej szepc i odrzucił okrywający ich płaszcz, odsłaniając ich sylwetki w przygasającym blasku żaru, a potem odsunął tkaninę, by cieszyć się widokiem jej ciała. Potem dotknął ją znowu i gładził, kołysał, aż przyłgnęła ciaśniej do niego.

- Podoba ci się?

W tym pytaniu była już odpowiedź. Wiedział, że nigdy w życiu nie przeżywała czegoś tak oszalamiającego. I kuszącego.

- Nie powinno. - Znowu dotknęła jego ręki i przycisnęła ją mocniej.

- Ale się podoba.

Wycisnął pocałunek na miękkiej skórze u podstawy szyi, a potem jego doświadczone palce znalazły miejsce, które uchylało się od dotyku. Gardłowo szepnęła jego imię. Skubnął zębami miękki płatek ucha, aż zadygotała w jego ramionach.

- Mów do mnie.

- To cudowne - zamruczała posłusznie, żeby nie stracić tej chwili, żeby nie przerywał.

- Mów jeszcze - szepnął, odsuwając tkaninę jeszcze dalej. Chłodne powietrze musnęło obnażony, boleśnie obrzmiały sutek.

Popatrzył na niego, obserwując, jak nabrzmiewa jeszcze bardziej pod tym spojrzeniem albo pod jego ciepłym oddechem, albo od tego i od tego jednocześnie, a Penelopę nagle ogarnął straszny wstyd. Nienawidziła swojego niedoskonałego ciała, chciała być wszędzie, byle nie tu, byle nie z nim, tym doskonale pięknym... mężczyzną.

Chciała chwycić płaszcz, żeby na nią nie patrzył. Żeby jej nie oceniał. Żeby się nie rozmyślił.

Był szybszy od niej, chwycił ją za nadgarstki i zatrzymał.

- Nie rób tego - warknął gniewnie. - Nigdy się przede mną nie chowaj.

- Nie mogę inaczej. Nie chcę... Nie patrz na mnie.

- Jeśli myślisz, że będę cię teraz omijać wzrokiem, to chyba zwariowałeś.

Odsunął się i jednym szarpnięciem do końca rozdarł suknię, zsuwając ją na boki.

Zapatrzył się na nią i tkwił tak bez ruchu, aż zaczęła się bać, że ją w końcu odrzuci. Od przedstawicieli jego płci zaznała przecież tylko odrzucenia. Obojętności i braku zainteresowania. Nie zniosłaby, gdyby i on to jej okazał. Właśnie on. Właśnie teraz.

Zacisnęła powieki, wzięła głęboki oddech, przygotowując się, że odepchnie ją teraz od siebie, bo jest taka zwyczajna. Taka niedoskonała. Zaraz się od niej odwróci.

Kiedy poczuła jego wargi na swoich, pomyślała, że się rozplacze.

Wziął w posiadanie jej usta jednym, długim pocałunkiem, pieszcząc ją głęboko, aż wstyd pierzchnął, ustępując pożądaniu. Przestał dopiero, gdy przywarła kurczowo do kłap jego surduta.

Gładził jej pierś palcem leniwie, lubieżnie, jakby mieli przed sobą wieczność. Obserwowała ten ruch, ledwie widoczny w pomarańczowym

blasku żaru na kominku. Pod palcem gromadziła się rozkosz, rosła, przenosiła się w inne skryte miejsca...

- Podoba ci się? - spytał cichym, niskim głosem. Zagryzła wargi i skinęła głową.

- Powiedz to na głos.

- Tak... jest cudownie. - Wiedziała, że mówi jak prostytutka, ale nie potrafiła ukryć zachwytu w swoim głosie.

Jego palce pieściły ją dalej.

- Tak powinno być: cudownie. Powiedz mi, jeśli coś się zmieni, a ja postaram się to zaraz naprawić.

Pocałował ją w szyję, przesuwając po miękkiej skórze zębami. Spojrzał na nią.

- To też jest cudowne?

- Tak.

Nagrodził ją pocałunkami, ssąc delikatną skórę na ramieniu, przesuwając językiem po krągłej piersi, a potem omiatając nim twarde, nabrzmiąły sutek, skubiąc i pieszcząc - ale cały czas unikał miejsca, które go najbardziej pragnęło.

- Zamierzam cię zdeprawować - obiecał prosto w jej skórę, gładząc ją po brzuchu, wyczuwając napięcie mięśni dygocących pod tym dotykiem. - Zrobię z dnia noc, z cnotki upadłą kobietę. Zrujnuję cię.

Nic ją to nie obchodziło. Należała do niego. W tej chwili, pod tym dotykiem, była jego.

- I wiesz, jak to będzie?

- Cudownie - tchnęła. Albo jeszcze lepiej.

Lepiej niż sobie to wymarzyła.

Spojrzał jej w oczy i nie odrywając wzroku, zamknął ciepłe usta na piersi, dręcząc jej ciało językiem i zębami, pociągając i ssąc, aż wyjęczała jego imię i zacisnęła palce na włosach.

- Michael... - szepnęła, bojąc się, czy nie przerwie tej rozkosznej pieszczoty. Zamknęła oczy.

Uniósł głowę. Niemal znienawidziła go za to, że przestał.

- Patrz na mnie - zażądał.

Kiedy posłusznie spojrzała mu w oczy, wsunął ręce pod suknię, dotknął kędziorów między udami, a ona ze zgorszonym okrzykiem zsunęła nogi. Przecież on nie... chyba nie tutaj...

Ale on znowu był przy jej piersiach, całował je i ssał, aż przełamał jej opory i rozsunęła uda, pozwalając, by wsunął tam palce, darząc ją lubieżną, cudowną pieśczętą. Napięła się, ale tym razem go nie odepchnęła.

- Spodoba ci się, obiecuję. Zaufaj mi.

Zaśmiała się drżąco, gdy palce poruszyły się, rozsuwając jej nogi jeszcze bardziej, by poznać jej najskrytsze miejsce.

- Jak to mówił lew do jagniątko - szepnęła.

Przesunął językiem pod jedną piersią, a potem pod drugą, uważnie, namiętnie, aż znowu szepnęła jego imię i zadygotała. Lubieżnymi palcami rozsunął różowe fałdki i pieścił wnętrze, aż dotarł do ciepłego, wilgotnego wejścia.

Uniósł głowę, poszukał wzrokiem jej spojrzenia i wsunął tam palec, aż zadrżała z niespodziewanej rozkoszy. Ucałował skórę między piersiami i szepnął:

- Jesteś taka cudownie wilgotna... dla mnie... Nie potrafiła ukryć skrępowania.

- Och...

Uciszył ją długim, leniwym pocałunkiem, wsuwając głęboko język, który poruszał się w tym samym rytmie co palec, a potem odsunął się, dotknął jej czoła swoim i powiedział:

- To znaczy, że mnie pragniesz. To znaczy, że po tych wszystkich latach, po tym wszystkim, co zrobiłem, mimo tego, kim się stałem, potrafię sprawić, żebyś mnie zapragnęła.

Później miała się zastanawiać nad tymi słowami, żałować, że nie odpowiedziała, ale wtedy odebrało jej mowę, bo wsunął drugi palec tam, gdzie był już pierwszy, pieścąc ją kolistymi dotknięciami kciuka i szepnął prosto w jej ucho:

- Chcę cię poznać... zobaczyć, jaka jesteś gorąca i miękka, i jaka rozwiązała. .

Gładził ją, czując, jak pulsuje, i zachwycał się kołyszącym ruchem jej bioder, które wychodziły mu na spotkanie, gdy kciuk zataczał koła, darząc ją pieśczętą w miejscu, które odkrył na jej ciele.

- Mam na ciebie straszną chęć.

Szeroko otworzyła oczy na te słowa, ale nie dał jej czasu na myślenie, bo znowu poruszył ręką, a potem uniósł jej biodra, zsunął z niej suknię i zupełnie ją obnażył. Wtedy położył się między jej udami i rozsunął je

powoli, szepcząc najbardziej nieprzyzwoite słowa. Przesuwał dłońmi po jej nogach. Kusił i napierał, aż je rozsunął, wyciskając długie, słodkie pocałunki po wewnętrznej stronie ud, tuż nad pończochami.

- Szczerze mówiąc... - Przerwał na moment, by zatoczyć językiem powolny, pieszczotliwy krąg. - Nie mogę się doczekać... - przeniósł się na drugie udo - żeby cię spróbować.

Rozchylił palcami jej fałdki i musnął je wargami, a potem pieścił długimi, powolnymi liźnięciami, aż wezbrała w niej nieznośna rozkosz, domagając się ujścia. Krzyknęła cicho i usiadła wyprostowana jak trzcina, a on uniósł głowę i położył dużą, ciepłą dłoń na jej brzuchu.

- Połóż się... niech cię posmakuję. Pokażę ci rozkosz. Patrz. Mów mi, co ci się podoba. Mów, czego chcesz.

A ona to zrobiła. Niech jej Bóg wybaczy. Język igrał z nią, wargi ją pieściły, a ona szeptała zachęty, ucząc się własnych pragnień, choć nie wiedziała, do czego to ją doprowadzi.

- Jeszcze.

Wsunęła dłonie w jego kędziory, przyciągnęła go do siebie.

- Jeszcze raz.

Rozsunęła uda, chętnie i ulegle.

- Tutaj. Michael...

Stał się jej całym światem. Poza nimi nic już nie było.

Do języka dołączyły się palce, a ona pomyślała, że zaraz umrze, bo napierał coraz mocniej, masował coraz bardziej stanowczo, dając jej to, o co nawet nie umiała poprosić. Otworzyła oczy, jęcząc jego imię.

Język przyspieszył, wibrując tam, gdzie go potrzebowała. Uniosła bezwstydnie biodra, bez oporów, by wyjść naprzeciw narastającej rozkoszy... pragnęła tylko jednego - poznać to, co się za tym kryło.

- Proszę, nie przestawaj - błagała. Nie przestał.

Z jego imieniem na wargach dała się ponieść namiętności, ocierając się o niego, kołysząc, błagając o więcej, choć darzył ją szczerze pieszczotą języka, warg i palców, aż zapomniała o wszystkim poza tą niesłychaną, promieniującą rozkoszą.

Gdy odpłynęła w spełnienie, wycisnął kilka długich, czułych pocałunków we wnętrzu jej ud, aż zaczęła szeptać jego imię, i znowu zanurzyła

palce w miękkie, mahoniowe kędziory, pragnąc spędzić u jego boku całe godziny... dni... całe życie.

Zamarł, gdy poczuł dotyk palców, które przeczesywały jego włosy; przez chwilę oboje pozostali bez ruchu. Świat obezwładnionej rozkoszą Penelopy był już tylko dotykiem: prześlizgiwaniem się jedwabistych włosów przez palce i szorstkim ukłuciem brody na miękkiej skórze uda.

Michael.

Milczała, czekając, aż on odezwie się pierwszy. Aż wyrazi w słowach to, co czuła... wspaniałość tego przeżycia i przecucie, że jeśli ten wieczór należy traktować jako zapowiedź następnych, to ich małżeństwo przejdzie jej najśmielsze wyobrażenia.

Wszystko będzie wspaniale. Na pewno. Takie przeżycia nie zdarzają się przecież codziennie.

W końcu Michael się poruszył. Wydało jej się, że zrobił to niechętnie. Okrył ją płaszczem, otaczając ją chmurą swego aromatu i ciepła, a potem stoczył się na bok i wstał jednym płynnym ruchem, podnosząc ciepły płaszcz z miejsca, gdzie go wcześniej położył, troskliwie składając na pół.

Włożył go błyskawicznym ruchem.

- Twoja reputacja nieodwołalnie legła w gruzach - rzucił zimnym głosem.

Usiadła, tuląc do piersi swoje ubranie, kiedy otworzył drzwi i stanął w progu, nie oglądając się na nią. Szerokie ramiona ledwie było widać w ciemności.

- I dzięki temu nasze małżeństwo jest pewne.

Wyszedł, trzaskając drzwiami, jakby chciał podkreślić te słowa, i zostawił ją, skapaną w poświęceniach ognia, wpatrzoną w drzwi, przekonaną, że on za chwilę wróci, że się przesłyszała, że go źle zrozumiała.

Ze wszystko będzie dobrze.

Mijały minuty. Penelopa drżącymi rękami naciągnęła na siebie rozdartą suknię, przerażona siłą tego mężczyzny, który tego wieczoru zniszczył jej suknię i jej nadzieję.

Potem wróciła na posłanie, przełykając łzy.

Drogi M,

Może myślisz, że od Twojego powrotu do szkoły jestem nieustannie ennui (zauważ francuszczyznę), ale bardzo się mylisz. Emocja wciąż goni emocję.*

*Dwie noce temu z pastwiska lorda Langforda uciekł byk i świetnie się bawił, przewracając płoty i zaprzyjaźniając z miejscowym bydłem. Dopiero dziś rano złapał go pan Bullworth**.*

Załóżę się, że chciałbyś być w domu, mam rację?

Niezmiennie, P. Dwór Needham, wrzesień 1815

Droga P.

Wierzyłem w tę historię do momentu, kiedy pan Bullworth złapał swojego imiennika. Teraz uważam, że chcesz zwabić mnie z powrotem do domu i zmyślasz niesłychane opowiadki „z pamiętnika hodowcy bydła”.

Sklamałbym jednak, gdybym się nie przyznał, że podziałało. Szkoda, że nie widziałem twarzy Langforda. I Twojego uśmiechu.

M.

*Postscriptum: Cieszę się, że guwernantka w końcu Cię czegoś nauczyła. Très bon***.*

Eton College, wrzesień 1815

Ledwie świtało, gdy Bourne zatrzymał się pod drzwiami pokoju, w którym zostawił Penelopę na noc.

Od tej chwili nie zmrużył nawet oka, częściowo z zimna, a częściowo z powodu dręczących go myśli. Chodził po całym domu, budząc smutne wspomnienia i czekając, aż wstanie słońce i będzie mógł przywrócić Falconwell dawną chwałę i prawowitego właściciela.

Ani przez chwilę nie wątpił, że markiz Needham-Dolby odda mu Falconwell. Stary nie był przecież głupi. Miał trzy niezamężne córki, a noc

* *ennui* (franc.) - Znużona, zblazowana ** *buli* (ang) - byk, więc nazwisko Bullworth jest przypadkową/zamierzoną grą słów. *** *très bon* (franc.) - bardzo dobrze.

spędzona przez najstarszą z mężczyzn, w opuszczonym domu - co gorsza, z Bourne'em - na pewno nie przyciągnie do nich zalotników.

Jedynym wyjściem było małżeństwo. I to szybkie.

Oraz przekazanie związanego z nim prawa własności Falconwell.

Oddanie Falconwell i Penelopy zięciowi markiza.

Inny mężczyzna odczuwałby może wyrzuty sumienia z powodu roli, jaką Penelopa była zmuszona przyjąć w tej grze, ale Bourne wiedział swoje. To fakt, wykorzystał damę, ale czy to nie jest przyjęte w każdym małżeństwie? Czy małżeństwa nie wymyślono właśnie w tym celu - dla obopólnych korzyści?

Ona będzie miała jego pieniądze, swobodę i wszystko, co zechce.

On dostanie Falconwell.

I na tym koniec. Nie oni pierwsi biorą ślub z powodu ziemskiego majątku i nie oni ostatni. Szczerze mówiąc, dawał jej wielką szansę. Był bogaty i ustosunkowany, więc będzie mogła się przeistoczyć ze starej panny w prawdziwą markizę. Będzie miała wszystko, o czym tylko zamarzy. A on da jej to z przyjemnością.

W końcu, dzięki niej dostanie jedyną rzecz, której naprawdę w życiu pragnął.

No, nie do końca. Jeszcze nic od nikogo nie dostał za darmo. Zawsze sam sobie wszystko brał. Ją też wezmę, postanowił.

Przed oczyma przemknął mu obraz dużych błękitnych oczu w zwyczajnej twarzy, którą rozjaśniła rozkosz i coś jeszcze. Coś, co niebezpiecznie przypominało uczucie. Albo troskę.

Dlatego ją zostawił. To była strategiczna decyzja. Zimna i wykalkulowana.

Chciał jej od razu pokazać, że to małżeństwo będzie wyłącznie dobrym interesem.

Pomimo że tak bardzo chciał zostać.

Niesamowicie trudno było oderwać dłonie i usta od jej ciała. To była jedna z najtrudniejszych rzeczy, na jakie się zdobył w życiu. Pomimo że pragnął zrobić coś zupełnie przeciwnego - wtulić się w nią i cieszyć jej miękkością, słodyczą i kobiecością. Pomimo że te jej ciche gardłowe mruczenie, gdy ją całował, było najbardziej erotycznym dźwiękiem, jaki słyszał w życiu, i pomimo że smakowała jak sama niewinność.

Zmusił się, by odejść od tych drzwi. Nie było po co pukać. I tak wróci, zanim ona się obudzi, zabierze ją do najbliższego pastora, pokaże mu specjalną ślubną licencję, za którą zapłacił krocie, i uczyni ją swoją żoną.

Potem pojedą do Londynu i każde będzie żyło po swojemu.

Wziął głęboki oddech, radując się rześkim ukłuciem porannego powietrza w płucach, zadowolony ze swego planu.

Wtedy właśnie przenikliwie krzyknęła, do wtóru brzęku pękającej szyby.

Zareagował instynktownie, szarpnął drzwi, omal nie wyrrywając ich z zawiasów. Jednym susem znalazł się w pokoju, z bijącym dziko sercem.

Nic jej się nie stało; stała obok rozbitego okna, oparta o ścianę, bosa, otulona jego płaszczem, który rozchyłał się, ukazując rozdartą suknię, a pod nią brzoskwiniową skórę.

Widok tej skóry i pojedynczego pasma włosów, które jaśniało na jej tle, przykuł jego uwagę na ułamek sekundy; wzrok Bourne'a powędrował ku uroczemu, różowemu sutkowi, który dumnie przeżył się w zimnym powietrzu.

Zaschło mu w ustach, ale zmusił się, by spojrzeć na jej twarz, w której para niebieskich oczu mrugała z przerażeniem i niedowierzaniem, wpatrując się w wielkie okno. Jednej szybki brakowało, bo rozbiła ją...

Kula.

W jednej sekundzie znalazł się przy niej, zasłonił ją ciałem i wyciągnął z pokoju na korytarz.

- Nie ruszaj się stąd.

Skinęła głową. Ku jego zdziwieniu, przerażenie trochę złagodziło jej czupurne zachowanie. Wrócił do pokoju i zaczął oglądać okno, ale zanim poważnie się do tego zabrał, rozległ się drugi strzał, który wybił kolejną szybę i o mało go nie trafił. Wcale mu się to nie spodobało.

Co jest, do diaska?

Zaklął raz, ordynarnie, i przycisnął się do ściany obok tego okna. Strzelano do niego. Kto to mógł zrobić?

- Uważaj...

Penelopa wsunęła głowę do pokoju, więc ruszył w jej stronę, rzucając spojrzenie, przed którym zdrząłyby najgorsze typy z londyńskiego półświatka.

- Znikaj stąd. Nawet nie drgnęła.

- Tu jest niebezpiecznie - zaczęła. - Jeszcze ci się...

Na zewnątrz huknął kolejny strzał, przerywając jej słowa. Bourne skoczył ku niej, modląc się, żeby zdążyć przed kulą. Uderzył ją ciałem i wypchnął za drzwi z taką siłą, że oboje oparli się o przeciwległą ścianę.

Zamarli na długą chwilę, aż w końcu wykrztusiła głosem stłumionym pod ciężarem jego ciała:

- Mógł ci zrobić krzywdę! Czy ona zwariowała?

Złapał ją za ramiona i puścił wodze swego wybuchowego temperamentu.

- Ty idiotko! Co ci kazałem?

Począł na odpowiedź, ale ona milczała. W końcu nie wytrzymał. Potrząsnął nią raz i powtórzył:

- Co ja ci kazałem? Otworzyła szeroko oczy.

Bardzo dobrze. Powinna się mnie bać, pomyślał.

- Odpowiedz mi, Penelopo - usłyszał niebezpieczny ton w swoim głosie. Nie dbał o to.

- Kazałeś... - zająknęła się. - Kazałeś mi tu zostać.

- Czyżbyś nagle straciła zdolność rozumienia prostych poleceń? Zmrużyła oczy.

- Nie.

Obraził ją. O to także nie dbał.

- Masz tu zostać, do ciężkiej cholery - powtórzył dobitnie i ignorując jej minę, wrócił do pokoju, przesuwając się w stronę okna.

Właśnie miał zaryzykować i wyrzucić na zewnątrz, w nadziei że dostrzeże napastnika, kiedy z dołu rozległy się słowa:

- Poddajesz się? Co takiego?

Może Penelopa miała rację i w Surrey rzeczywiście pojawili się piraci. Nie miał zbyt wiele czasu na zastanowienie, bo z korytarza dobiegł go okrzyk Penelopy:

- Na litość boską! - Wpadła do pokoju, kurczowo przyciskając do siebie płaszcz i od razu ruszyła do okna.

- Stój! - Bourne skoczył, złapał ją w tali i odciągnął do tyłu. - Jeśli zbliżysz się do tego okna, to ci dam klapsa. Słyszałaś?

- Ale...

- Żadne ale.
- Ale to...
- Nie.
- To mój ojciec!

Znieruchomiał na dźwięk tych słów i wcale mu się to nie spodobało. To niemożliwe.

- Przybyłem po córkę, ty łotrze! I nie odejdę bez niej!
- Skąd wiedział, w którym jesteś pokoju?
- Ja... ja stałam przy oknie. Pewnie spostrzegł ruch.

Kolejna kula trafiła w szybę, rozbryzgując szkło, więc Bourne przycisnął się do Penelopy mocniej, zasłaniając ją przed ostrzałem.

- Czy on nie rozumie, że może cię trafić? - warknął.
- Obawiam się, że takie rzeczy do niego nie docierają. Zaklął.
- Powinien w łeb dostać tą swoją strzelbą.
- Myślę, że ponosi go fantazja, bo udało mu się trafić do celu. I to trzy razy. Zresztą, byłoby dziwne, gdyby chybił, w końcu celował w dom.

Czy ona sobie żartuje?

Niemożliwe. Gwizdnęła kolejna kula i Bourne w końcu nie wytrzymał. Podszedł do okna, nie dbając, że tamten może go trafić, i krzyknął:

- Do diabła, Needham! Przecież możesz ją zabić!

Markiz Needham-Dolby nawet nie oderwał wzroku od celownika drugiej strzelby, podczas gdy lokaj ładował pierwszą.

- Ciebie też mogę, więc chętnie podejmę to ryzyko! Penelopa stanęła mu za plecami.

- Jeśli to jakaś pociecha, to podejrzewam, że raczej cię nie zabije. Jest beznadziejnym strzelcem.

Michael rzucił jej twarde spojrzenie.

- Odejdź od okna, i to już. O dziwo, posłuchała.
- Powiniennem się domyślić, że po nią przyjdiesz, ty bękarcie. Zgodnie z twoją obrzydliwą reputacją.

Bourne zmusił się, by zachować spokój.

- Daj spokój, Needham. Nie można się tak zwracać do swojego przyszłego zięcia.

- Po moim trupie! - Staremu głos się łamał ze złości.
- To się da załatwić! - odkrzyknął Bourne.

- Odeślij dziewczynę na dół. Natychmiast! Nie wyjdzie za ciebie!

- Po minionej nocy? Mylisz się, Needham.

Trzasnął kurek i Bourne odskoczył od okna, pociągając Penelopę do kąta, bo kolejna szyba rozbryznęła się od strzału.

- Łajdak!

Chciał zwyzywać jej ojca za to, że tak mało dba o własną córkę, ale zamiast tego odwrócił się do okna i krzyknął beztrąsko:

- Znalazłem ją, więc ją sobie zabiorę!

Zapadła długa chwila ciszy, aż uniósł głowę nad framugę, by sprawdzić, czy markiz sobie poszedł. Nie.

Kula wbiła się w ścianę naprzeciw okna, o kilka cali od jego głowy.

- Nie dostaniesz Falconwell, Bourne. Mojej córki też nie!

- Będę z tobą szczerzy, Needham. Twoją córkę już sobie wziąłem.

- Kłamca! - przerwał mu ryk Needhama z dołu. Penelopa aż się zatchnęła.

- Czy ja dobrze słyszałam? Powiedziałeś ojcu, że mnie wziąłeś? Powinien to przewidzieć. Powinien się spodziewać, że nie pójdzie tak

łatwo. Wydarzenia wymykały mu się spod kontroli od samego rana, a Bourne bardzo tego nie lubił. Wziął długi, głęboki oddech, żeby się uspokoić.

- Penelopo, twój oszalały ze złości ojciec oblega nas w tym domu i próbuje mnie zastrzelić. Proszę, wybac mi, że robię, co mogę, abyśmy oboje uszli z tego z życiem.

- A nasza reputacja? Co z niej zostanie?

- Moją dawno już szlag trafił - wyjaśnił, przyciskając się do ściany.

- Ale mojej nie! - wykrzyknęła. - Czyś ty zwariował? Umilkła na moment, a potem dodała:

- Poza tym, jak ty się wyrażasz?

- Lepiej do tego przywyknij, kochanie. Wracając do tematu, to gdy zostaniesz moją żoną, twoją reputację również trafi szlag. Najwyższy czas, żebyś to sobie uświadomiła.

Nie mógł się powstrzymać i rzucił na nią okiem, żeby zobaczyć jak to przyjęła... jak przygasła i zeszywniała, jakby ją właśnie spoliczkował.

- Jesteś okropny - powiedziała po prostu. Szczerze i otwarcie.

Przez moment, pod jej spokojnym, oskarżycielskim spojrzeniem, szczerze znienawidził samego siebie. Ale był przecież mistrzem ukrywania emocji.

- Na to wygląda - odpowiedział bez troski. Ale to była wymuszona bez troska. Spojrzała na niego z niesmakiem.

- Dlaczego to robisz?

Był tylko jeden powód - jedyna siła, która pchała go do działania. To ona zmieniła go w zimnego wyrachowanego łajdaka.

- Czy Falconwell aż tyle dla ciebie znaczy?

Zapadła cisza, a on poczuł, jak coś mrocznego i nieprzyjemnego rozpięta mu się w żołądku. Dobrze znał to uczucie. Od dziewięciu lat robił wszystko, żeby odzyskać tę ziemię. Odbudować własną historię. Zapewnić sobie przyszłość. I nie zamierzał z tego rezygnować.

- Oczywiście, że tak - odparła i zaśmiała się z rezygnacją. - Ja jestem tylko środkiem do celu.

Przez tych kilkanaście godzin od chwili, gdy natrafił na nią nad jeziorem, bywała zirytowana, zaskoczona, oburzona, chłodna... ale ani razu nie słyszał w jej głosie takiego tonu.

Wydawało się, że się poddała.

Nie spodobało mu się to.

Po raz pierwszy od bardzo dawna - od dziewięciu lat - Bourne zapragnął kogoś przeprosić za to, że go wykorzystał. Zaciśnął zęby i zdławił to uczucie.

Odwrócił ku niej głowę - ale nie całkiem, żeby nie patrzeć wprost na nią. Tyle tylko, by widzieć ją kątem oka. Ujrzał pochyloną głowę, dłonie przyciśnięte do ciała.

- Chodź tu - powiedział i sam się trochę zdziwił, że posłuchała. Przeszła przez pokój, a on słuchał szelestu sukni, lekkich kroków, nierównego oddechu, który zdradzał niepokój i zdenerwowanie.

Stanąła z tyłu i znieruchomiała, podczas gdy on rozgrywał w myślach kilka następnych posunięć tego szachowego pojedynku. Przez chwilę zastanawiał się, czy jej nie uwolnić.

Nie.

Co się stało, to się nie odstanie.

- Wyjdiesz za mnie, Penelopo?

- Po co mnie pytasz? Przecież tak naprawdę nie mam wyboru, prawda?

Powiedziała to z taką irytacją, że chciał się uśmiechnąć, ale się opanował. Obserwowała go uważnie przez dłuższą chwilę, a on - człowiek, który zbił majątek dzięki umiejętności czytania z ludzkich twarzy - nie potrafił

odgadnąć jej myśli. Najpierw zdawało mu się, że odmówi, więc przygotował się na opór, przebiegając myślą listę pastorów, którzy mieli zobowiązania wobec niego i wobec Upadłego Anioła i zechcą dać ślub przy sprzeciwie panny młodej. Przygotowywał się, by podjąć kroki wiodące go do celu.

Przecież to tylko kolejne wykroczenie na stale rosnącej liście jego złych uczynków.

- Dotrzymasz słowa, które dałeś mi wczoraj? Czy moje siostry nie ucierpią z powodu naszego małżeństwa?

Nawet teraz myślała o siostrach, choć w perspektywie miała całe długie życie u jego boku.

Jest dla mnie o wiele za dobra. Odrzucił tę myśl.

- Dotrzymam słowa.

- Potrzebuję gwarancji.

Mądra dziewczyna. Naturalnie, żadnych gwarancji nie było. Miała rację, że mu nie ufała.

Sięgnął do kieszeni i wydobył gwineę, startą z jednej strony na gładko przez dziewięć długich lat, kiedy miał ją przy sobie. Podał ją Penelopie.

- Mój depozyt. Przyjęła monetę.

- Co mam z nią zrobić?

- Oddasz mi, kiedy twoje siostry powychodzą za mąż.

- Jedną gwineę?

- Wszystkim do tej pory wystarczała, kochanie. W całej Brytanii. Uniosła brwi.

- A mówią, że to mężczyźni są bardziej inteligentną płcią. - Wzięła głęboki oddech, wsunęła gwineę do kieszeni, a on od razu zatęsknił za ciężarem monety.

- Wyjdę za ciebie. Skinął głową.

- A narzeczony?

Zawahała się, umknęła wzrokiem gdzieś ponad jego ramię.

- Znajdzie sobie inną - powiedziała cicho, z sympatią. Trochę za dużo było tej sympatii. Bourne'a natychmiast ogarnął przewrotny gniew na mężczyznę, który nie stanął w jej obronie. Zostawił ją samą na świecie. Sprawił, że tak łatwo było ją zagarnąć.

W drzwiach ktoś się poruszył. Jej ojciec. Needham wyraźnie znudził się czekaniem, aż wyjdą, więc przyszedł po nich sam.

Bourne wykorzystał to natychmiast, by wbić ostatni gwóźdź do swej małżeńskiej trumny, doskonale świadom, że znowu wykorzystuje Penelo-pę. I że ona na to niczym nie zasłużyła.

I że to nie ma znaczenia.

Uniósł jej podbródek i wycisnął na wargach jeden delikatny pocałunek, starając się nie dostrzegać, jak do niego lgnie, jak wzdycha cichutko, gdy podniósł głowę...

W progu trzasnął odwodzony kurek, podkreślając słowa markiza Needham-Dolby.

- Psiakrew, Penelopo. Patrz, coś narobiła.

Drogi M.

Mój ojciec uważa, że powinniśmy przestać do siebie pisywać, fest przekonany że „tacy chłopcy jak on” (to znaczy Ty) nie mają czasu na „głupie liściki” od „głupich pannic” (to znaczy ode mnie). Uważa, że odpowiadasz na nie tylko dlatego, że jesteś dobrze wychowany i czujesz się zobowiązany. Wiem, że masz już prawie szesnaście lat i pewnie dużo ciekawsze rzeczy do roboty niż korespondowanie ze mną, ale pamiętaj jedno - tu nie dzieje się nic ciekawego. Pisz, choćby z litości.

Twoja głupia P.

Postscriptum: Chyba nie ma racji, co?

Dwór Needham, styczeń 1816

Droga P.

Twój ojciec nie wie, że głupie listy od głupich pannic to jedyna rzecz, która przerywa monotonię łaciny, Szekspira i marudzenia o odpowiedzialności, jaką chłopcy tacy jak ja będą kiedyś ponosić, gdy zasiądą w Izbie Lordów. Sama wiesz najlepiej, że zostałem kiepsko wychowany i mam gdzieś poczucie obowiązku.

M.

Postscriptum: Oczywiście, że nie ma racji.

Eton College, styczeń 1816

- Ty draniu.

Bourne podniósł głowę znad szklanki whisky w oberży Pod Psem i Kurą i napotykał gniewny wzrok swojego przyszłego teścia. Rozparł się na krześle i przybrał wyraz lekkiego rozbawienia, który rozkładał na łopatki

lepszemu przeciwnikowi niż markiz Needham-Dolby, a potem lekkim ruchem wskazał puste krzesło przy stole.

- Siadaj, tatusiu - powiedział.

Czekał od kilku godzin w zacisznym zakątku oberży, aż markiz przyjedzie z papierami przekazującymi mu Falconwell na własność. W miarę gdy zapadał wieczór, w sali rozbrzmiewał coraz większy gwar i śmiech, a on czekał. Palce go swędziały, żeby w końcu podpisać te papiery. Marzył o tym, co czeka go później.

O zemście.

Bardzo starał się zapomnieć, że jest zaręczony. Jeszcze bardziej starał się zapomnieć o narzeczonej - takiej szczerzej, niewinnej... zupełnie nieodpowiedniej dla niego.

Zresztą, nie miał pojęcia, jaka byłaby odpowiednia. Bez sensu. Nie miał innego wyboru.

Mógł dostać Falconwell tylko przez Penelopę. W związku z tym była dla niego idealną żoną.

Stary dobrze o tym wiedział.

Zażywny markiz usiadł wygodnie i machnął swoją ogromną łapą na kelnerkę. Niegłupia dziewczyna od razu przyniosła szklankę i butelkę whisky, postawiła je na stole i umknęła w jaśniejszy i bardziej przyjazny kąt oberży.

Needham pociągnął solidny haust i trzasnął szklanką o dębowy blat.

- Ty draniu. To szantaż.

Michael przybrał znudzony wyraz twarzy.

- Bzdura. Dobrze ci płacę. I zdejmuję ci z głowy kłopoty z najstarszą, niezamężną córką.

- Unieszczęśliwisz ją.

- Bardzo możliwe.

- Jest dla ciebie za słaba. Zniszczysz ją.

Bourne postanowił nie objaśniać mu, że Penelopa jest silniejsza od większości znanych mu kobiet.

- Trzeba było się nad tym zastanawiać, zanim dałeś jej moją ziemię jako wiano.

Postukał w pocięty nożami blat.

- Akt własności, Needham. Nie wezmę jej bez majątku. I chcę go teraz. Podpiszemy papiery, zanim Penelopa stanie przed pastorem.

- Bo inaczej?

Bourne odwrócił się w krześle, wyciągnął spod stołu nogi w wysokich butach, założył jedną na drugą.

- Bo inaczej Penelopa w ogóle nie stanie przed pastorem. Needham wbił w niego wzrok.

- Nie zrobisz tego. To by ją zrujnowało. Razem z matką. I siostrami.

- W takim razie zastanów się poważnie nad dalszymi krokami, jakie chcesz podjąć, Needham. Tęskniłem do tej chwili dziewięć długich lat. Tęskniłem za Falconwell. I jeśli ci się wydaje, że przeszkodzisz mi w przyłączeniu tych ziem do mojego markizatu, to się bardzo mylisz. Jestem dobrym znajomym wydawcy „Skandalisty”. Jedno słowo i nikt z twojej sfery nawet się nie zbliży do pańienek Marbury. - Przerwał i nalał sobie kolejną szklanę, pozwalając, by groźba dobrze zapadła w pamięć rozmówcy. - Ale twoja wola, możesz spróbować.

Needham zmrużył oczy.

- A więc to tak? Grozisz, że odbierzesz mi wszystko, co mam, jeśli nie spełnię twoich zachcianek?

Bourne uśmiechnął się krzywo.

- Gram, żeby wygrać.

- To zabawne, bo wszyscy utożsamiają cię z przegraną.

Cios trafił w czułe miejsce. Bourne oczywiście tego nie okazał. Zamiast tego milczał, wiedząc, że to najlepszy sposób, by zbić przeciwnika z tropu. Needham odezwał się pierwszy.

- Dureń z ciebie - warknął. Zaklął i sięgnął do kieszeni, wydobywając duży, złożony na cztery dokument.

Zwycięstwo upoiło Bourne'a jak wino. Przeczytał dokument. Falconwell było jego, jeśli przypieczętuje je ślubem, wyznaczonym na następny dzień. Jaka szkoda, że pastor Compton nie pracuje po nocach.

Kiedy włożył dokument do kieszeni, wyobrażając sobie, że czuje jego ciężar na piersi, Needham odezwał się znowu:

- Nie chcę, żeby to wszystko zrujnowało jej siostry. Jakże oni wszyscy się nimi przejmowali.

A kto przejmował się Penelopą?

Bourne odsunął od siebie to pytanie i zaczął bawić się z Needhamem - człowiekiem, który ze wszystkich sił starał się mu przeszkodzić w odzyskaniu Falconwell. Uniósł szklanę.

- Biorę ślub z Penelopą. Jutro majątek będzie mój. Powiedz mi, dlaczego miałbym zawracać sobie głowę reputacją twoich pozostałych córek? Przecież to twój problem, prawda? - Wychylił whisky i odstawił pustą szklanę na stół.

Needham pochylił się ku niemu i powiedział z mocą:

- Jesteś durniem, twój ojciec załamałby się na wieść, co z ciebie wyrosło.

Bourne wbił w niego wzrok. Zdziwił się, bo przez głowę przeleciała mu myśl, że Penelopa nie odziedziczyła po ojcu tych swoich niebieskich oczu. W ciemnobrązowych tęczęwkach markiza odbijało się uczucie, które Bourne znał aż nazbyt dobrze, świadomość, że udało mu się zranić przeciwnika. Zamarł, gdy napłynął nieproszony obraz: wspomnienie ojca, w bryczesach i koszuli, który stał na środku wielkiego holu i uśmiechał się do syna.

Napiął mięśnie szczęki.

- W takim razie dobrze się składa, że nie żyje.

Needham zorientował się w końcu, że wszedł na niepewny grunt i wiele ryzykuje. Odsunął się od stołu.

- Szczegóły zaręczyn będą tajemnicą. Muszę wydać za mąż jeszcze dwie córki. Nikt nie może wiedzieć, że Penelopa padła ofiarą łowcy majątków.

- Mam trzy razy tyle ziemi co ty, Needham. Spojrzenie markiza pociemniało.

- Ale tego jednego majątku nie dostałeś, co?

- Teraz jest mój. - Bourne odsunął krzesło od stołu. - Nie jesteś w dobrej sytuacji, by stawiać warunki, Needham. Jeśli twoje córki przetrwają to wszystko, będzie to tylko i wyłącznie z mojej łaski.

Stary markiz śledził go wzrokiem. Zacisnął szczęki.

- Nie. To zdarzy się tylko i wyłącznie dlatego, że mam coś, czego pragniesz bardziej od Falconwell.

Bourne zlustrował go uważnym spojrzeniem, a potem odparł lekceważąco:

- Nie jesteś w stanie dać mi tego, czego pragnę bardziej od Falconwell.

- Ruina Langforda. Zemsta.

To obiecujące słowo przeszło go jak błyskawica, więc powoli pochylił się do przodu.

- Kłamiesz.

- Powinienem cię wyzwąć za tę insynuację.

- Nie pierwszy raz stanę do pojedynku.

Czekał. Gdy Needham nie chwycił przynęty, powiedział:

- Szukałem. Nic nie znalazłem.

- Bo szukałeś w złych miejscach. To na pewno kłamstwo.

- Myślisz, że przy moich możliwościach, przy możliwościach Upadłego Anioła, nie przewróciłem całego Londynu do góry nogami, szukając najmniejszych śladów, które pozwoliłyby mi zniszczyć Langforda?

- Nawet akta twojego ukochanego, szatańskiego przybytku nie zawierają takich rzeczy.

- Wiem o nim wszystko, co robił, gdzie bywał. Znam go lepiej niż on sam. Powtarzam, ten człowiek zabrał mi wszystko i przez ostatnich dziewięć lat żył z moich dóbr, ale prowadził się bez zarzutu.

Needham znowu sięgnął do kieszeni. Wyciągnął kolejny dokument, tym razem nieco mniejszy. I starszy.

- To zdarzyło się o wiele dawniej.

Bourne nieufnie przyjrzał się papierowi. Widniała na nim pieczęć Langforda. Spojrzał na swego przyszłego teścia. Serce zaczęło mu łomotać w piersi, budząc uczucie, które niebezpiecznie przypominało nadzieję. Zaniepokoiła go ta niekontrolowana przerwa w rozmowie. Zmusił się, by odzyskać spokój.

- Kuisz mnie jakimiś... urodzinowymi życzeniami?

- Chcesz mieć ten list, Bourne. Jest wart tuzina twoich słynnych teczek. I będzie twój, pod warunkiem że utrzymasz imiona moich dziewczynek z dala od swojej kloaki.

Markiz od zawsze gardził strategią. Mówił, co myślał i wtedy, gdy miał na to ochotę - jak każdy potomek arystokratycznych rodów. Bourne w jakimś sensie podziwiał tę bezpośredniość. Ten człowiek wiedział, czego chce, zmierzał prosto do celu. Nie wiedział tylko jednego - że jego najstarsza córka już zdążyła wynegocjować te same warunki. Więc Bourne dostanie ten dokument za bezcen, niezależnie od tego, czy okaże się przydatny, czy nie. Ale Needham zasłużył sobie na karę - za to, że dawno temu zgodził się na decyzję Langforda. I że użył Falconwell, by złapać męża dla córki.

A Bourne aż się palił, żeby mu ją wymierzyć.

- Jesteś głupcem, jeśli myślisz, że zawrę z tobą umowę, nie znając jego treści. Zrobiłem fortunę na skandalach, wykradłem ją z kieszeni grzeszników. Sam osądzę, czy ten papier jest coś wart.

Needham rozłożył list i powoli położył go na stole. Podsunął go Bourne'owi i przytrzymał palcem. Ten zaś nie mógł się powstrzymać. Pochylił się szybciej, niż powinien, i przebiegł wzrokiem litery. Wielki Boże.

Podniósł wzrok i napotkał spojrzenie markiza, który wyraźnie wiedział, co się święci.

- Jest prawdziwy?

Starszy arystokrata skinął głową raz, a potem drugi.

Bourne przeczytał list ponownie. Przyjrzał się podpisowi pod spodem, który bezsprzecznie należał do Langforda, choć pismo było sprzed trzydziestu lat.

Dwudziestu dziewięciu.

- Dlaczego chcesz mi to dać? Po co to ujawniasz?

- Bo nie mam wyboru. - Needham się zirytował. - Lubię tego chłopaka... Trzymałem to w ukryciu, bo miałem nadzieję, że Penelopa za niego wyjdzie i będę musiał go chronić. A teraz muszę chronić córki. Taka jest rola ojca. Postaraj się, żeby Penelopa nie straciła reputacji przez ten ślub i żeby dziewczynki dobrze wyszły za mąż, a dokument będzie twój.

Bourne powoli obracał płyn w szklance, patrząc, jak odbija się w nim blask świec, a potem spojrzał na Needhama.

- Nie będę czekał aż do ich ślubów.

Markiz pochylił głowę, nieoczekiwanie ustępując placu przeciwnikowi.

- Wystarczą zaręczyny.

- Nie. Zaręczyny to, zdaje się, ryzykowna sprawa w przypadku twoich córek - dokuczył mu, nie mogąc się pohamować.

- Mogę się rozmyślić - postraszył go Needham.

- Nie zrobisz tego. Bo łączą nas interesy, prawda? - Rozsiadł się wygodnie w krześle, smakując zwycięstwo. - Zabierz dziewczęta do miasta, najszybciej jak możesz. Znajdę im zalotników. Małżeństwo siostry im nie zaszkodzi.

- Porządnych zalotników - poprawił go Needham. - Nie takich, którzy zostawili majątek Aniołowi.

- Zabierz je do miasta. Nie mogę się doczekać zemsty. Markiz zmrużył oczy.

- Będę żałował, że zgodziłem się na ten ślub.

Bourne wychylił whisky i postawił szklanekę do góry dnem na blacie.

- Przykro mi, ale nie masz wyboru.

Drogi M.

Dopiero co się pożegnaliśmy, a ja już biegnę, by do Ciebie napisać.

Właściwie nie mam dopowiedzenia nic, czego by Ci nie powiedzieli inni mieszkańcy Surrey. „Przykro mi”, to brzmi głupio, prawda? Naturalnie, wszystkim jest przykro. To było straszne.

Ale mi jest przykro nie tylko z powodu Twojej straty. Przykro mi jest że nie mieliśmy okazji porozmawiać, kiedy byłeś w domu. Przykro mi, że nie mogłam pójść na pogrzeb... to głupia zasada. Szkoda, że nie jestem mężczyzną, bo wtedy byłabym przy Tobie (zamierzam porozmawiać z ojcem Comptonem o tym idiotycznym zwyczaju). Przykro mi, że nie zachowałam się jak prawdziwa przyjaciółka.

Teraz nią jestem - na kartce papieru, bo tu dziewczętom wolno więcej. Proszę, napisz do mnie, jeśli znajdziesz czas. Albo ochotę.

Twoja przyjaciółka P. Dwór Needham, kwiecień 1816

Bez odpowiedzi.

Chyba żadna podróż nie ciągnęła się tak długo - cztery nieskończone godziny śmiertelnej ciszy po drodze z Surrey do Londynu. Penelopa wolałaby siedzieć w dylizansie z Olivią i naręczem czasopism dla pań.

Rzuciła spojrzenie na drugą stronę przestronnego powozu, gdzie siedział jej mąż, którego poślubiła przed kilkoma godzinami. Oparł się wygodnie, wyciągnął długie nogi, zamknął oczy i tkwił tak bez ruchu. Zmusiła się, by powściągnąć zbuntowane myśli, które skupiały się na kilku niezmiernie niepokojących tematach. Choćby na tym, że...

Wyszła za mąż.

Z czego wynikało, że została markizą Bourne.

I właśnie dlatego podróżowała powozem wypchanym po sam dach jej rzeczami, a niedługo znajdzie się w Londynie. Zamieszka tam na stałe z mężem.

Z Michaelem.

Co oznaczało, że właśnie z nim spędzi noc poślubną.

Może ją pocałuje. I znowu obejmie. A może coś więcej.

Przecież to chyba jego obowiązek, prawda? Mężowie i żony robią takie rzeczy. Po to jest małżeństwo. Przynajmniej taką miała nadzieję. Ojej.

Na samą myśl pożałowała, że brak jej odwagi, by otworzyć drzwi powozu i wyskoczyć na drogę.

Ślub był tak pośpieszny i krótki, że ledwie go pamiętała - ledwie pamiętała obietnicę miłości, szacunku, opieki i posłuszeństwa. Może i dobrze, bo wzmianka o miłości była przecież kłamstwem.

Ożenił się z nią, żeby dostać ziemię, i tyle.

Nieważne, że ją pieścił i pozwolił jej przeżyć coś, czego nawet sobie nie wyobrażała. W końcu po to ją wychowano - żeby wyszła za kogoś z rozsądku. Z obowiązku. I dla przyzwoitości.

Powiedział jej to wystarczająco jasno.

Powóz podskoczył na wybojach, a Penelopa wydała cichy okrzyk, bo omal nie spadła z eleganckiej tapicerki. Odzyskała równowagę i poprawiła się na siedzeniu, zapierając się nogami w podłogę. Rzuciła spojrzenie w stronę Michaela, który nawet nie drgnął, tylko odrobinę podniósł powieki. Pewnie sprawdzał, czy jej się nic nie stało.

Upewnił się, że obędzie się bez interwencji chirurga, i natychmiast zamknął je znowu.

Ignorował ją zupełnie tym niewymuszonym, odpychającym milczeniem.

Nawet nie udawał zainteresowania.

Być może, gdyby nie była tak zdenerwowana tym wszystkim, co zaszło w ciągu dnia, jakoś udałoby się jej zachować spokój i odpowiedzieć milczeniem na jego milczenie.

Być może.

Miała się tego nigdy nie dowiedzieć, bo właśnie postanowiła się odezwać. Nie mogła dłużej znieść tej ciszy.

Odchrząknęła, jakby przygotowywała się do wygłoszenia publicznej przemowy. Otworzył oczy i popatrzył na nią, ale poza tym nawet się nie poruszył.

- Wydaje mi się, że to dobry moment, by omówić nasz plan. Otworzył wreszcie oczy.

- Nasz plan?

- Plan wydania moich sióstr za mąż. Pamiętasz o swojej obietnicy? - Jej dłoń powędrowała do kieszeni sukni podróżnej. Czuła na udzie ciężar monety, którą dostała od niego dwie noce temu.

Michael przybrał nieodgadniony wyraz twarzy.

- Pamiętam o mojej obietnicy.

- Więc jaki masz plan?

Przeciągnął się i jeszcze bardziej wyprostował nogi.

- Planuję znaleźć mężów dla twoich sióstr. Penelopa zamrugała.

- Chyba zalotników.

- Jak sobie życzysz. Mam dwóch na uwadze. Zaciekawilo ją to.

- Jacy oni są?

- Utytułowani - odpowiedział, spoglądając w okno.

- I co jeszcze? - podrzuciła.

- Szukają żon. Był nieznośny.

- Będą się nadawać na mężów?

- Obaj są kawalerami.

Otworzyła szeroko oczy. Powiedział to poważnie.

- Nie o takie cechy mi chodzi. Spojrzał na nią.

- A o jakie?

- O cechy, które sprawiają, że mężczyzna jest dobrym mężem.

- Widzę, że jesteś znawczynią w tej dziedzinie. - Pochylił drwiąco głowę. -

Mów dalej. Oświeć mnie.

Wyprostowała się i zaczęła odliczać na palcach:

- Dobroć. Wielkoduszność. Odrobina serdeczności...

- Tylko odrobina? A na przykład we wtorki i czwartki będą mogli się złościć?

Zmrużyła oczy.

- Zatem dobroduszość - powtórzyła z naciskiem. Przerwała, a potem dodała:

- Serdeczny uśmiech. Chociaż w twoim przypadku wystarczy jakikolwiek uśmiech - zadrwiła, nie mogąc się oprzeć.

Nie uśmiechnął się.

- Czy oni mają te cechy? - nalegała.

Nie odpowiedział, ale widząc, że Penelopa nie zrezygnuje, mruknął w końcu:

- Nie mam pojęcia.

- Lubisz ich?

- Niespecjalnie.

- Jesteś strasznie uparty.

- Przyjmijmy, że to jedna z moich cech.

Znowu się odwrócił. Uniosła brew, nie potrafiąc ukryć dezaprobaty. W życiu nie spotkała nikogo równie irytującego jak ten człowiek. Jej mąż. Mąż, który bez skrupułów wyrwał ją z dawnego życia. Mąż, za którego zgodziła się wyjść, bo nie chciała, żeby siostry miały przez nią zszarganą reputację. Mąż, który obiecał jej pomagać. Nagle przyszło jej do głowy, że ta pomoc będzie polegała na zaaranżowaniu kolejnego małżeństwa bez miłości. Albo nawet dwóch.

Nic z tego.

Wiele nie zdziała, ale może postarać się, żeby Olivia i Pippa szczęśliwie powychodziły za mąż.

W odróżnieniu od niej samej.

- Nie wiesz przecież nawet, czy ci panowie je zechcą.

- Na pewno zechcą. - Oparł się o siedzenie i znowu przymknął oczy.

- Skąd wiesz?

- Bo są mi winni duże pieniądze, a ja daruję im długi w zamian za ślub.

Penelopa otworzyła usta ze zdziwienia.

- Zamierzasz kupić ich wierność?

- Nie jestem pewny, czy wierność będzie częścią transakcji. Powiedział to, nie otwierając oczu. Penelopa przez długie minuty rozważała jego bezwzględne słowa, a on nawet nie drgnął.

W końcu pochyliła się i mocno dźgnęła go palcem w nogę. Otworzył oczy.

Nie ucieszyła się z tego zwycięstwa, taka była oburzona.

- Nie - oznajmiła krótko i ostro. Powóz nagle wydał się za ciasny dla nich dwojga.

- Nie?

- Nie - powtórzyła. - Przecież dałeś słowo, że małżeństwo nie zrujnuje moich sióstr.

- Bo ich nie zrujnuje. A nawet pozwoli im zdobyć szacunek w towarzystwie.

- Małżeństwo z mężczyznami, którzy są u ciebie zadłużeni i mogą je zdradzać, zrujnuje je w inny sposób. W ten najważniejszy.

Jedna z jego czarnych brwi powędrowała do góry w ten irytujący sposób, którego zaczęła nienawidzić z głębi serca.

- W najważniejszy sposób? Nie dała się zastraszyć.

- Tak. W najważniejszy sposób. Moje siostry nie wejdą w jakieś głupie układy powiązane z hazardem. Wystarczy, że ja się w taki uwikłałam. Same wybiorą sobie mężów. Ich małżeństwa muszą opierać się na czymś więcej. Na... - przerwała, bo nie chciała, żeby znowu ją wyśmiał.

- Na czym mianowicie?

Nie odezwała się. Nie dała mu tej satysfakcji. Czekala, aż zacznie się dopytywać.

O dziwo, nie nalegał. Zamiast tego, zagadnął tylko:

- Rozumiem, że ty masz plan, który pomoże im wyjść za mąż za odpowiednich mężczyzn.

Niestety, nie miała żadnego planu.

- Oczywiście, że mam - zablefowała.

- Słucham.

- Zacznie znowu bywać w towarzystwie. Udowodnisz, że nasze małżeństwo nie było przymusowe.

Uniósł brew.

- Moja ziemia była twoim wianem. Myślisz, że nie będą węszyć przemocy?

Zagryzła wargi, nie mogąc zaprzeczyć temu rozumowaniu. A potem powiedziała pierwszą rzecz, która przyszła jej do głowy. Pierwszą, głupią, bezsensowną rzecz.

- Udawajmy, że pobraliśmy się z miłości. Wcale się nie zdziwił.

- Jak to wytłumaczymy? Że ujrzałem cię na rynku i tak się zachwyciłem, że postanowiłem zejść ze złej drogi?

Jak się powiedziało a, to trzeba powiedzieć b.

- To brzmi sensownie. Znowu ta brew.

- Naprawdę? Myślisz, że ktoś w to uwierzy, kiedy w rzeczywistości zbrukałem cię w opuszczonym dworze, zanim twój ojciec zaatakował nas ze strzelbą?

Zawahala się.

- Wcale nas nie atakował.

- Ostrzelał mój dom, i to parokrotnie. Może to nie atak? Miał rację.

- Dobrze. Zaatakował nas. Ale przecież nie będziemy o tym rozpowiadać.

Miała nadzieję, że go przekonała. Zgódź się, błagała go w duchu.

- Trzeba tak zrobić, jeśli mamy je dobrze wydać za mąż. Dałeś mi przecież słowo. Dałeś mi swój fant.

Milczał długo, aż przestraszyła się, że odmówi i da jej wybór między małżeństwem z rozsądku a staropanieństwem. I co wtedy? Co ona zrobi? Przecież została jego żoną i musi być mu posłuszna.

W końcu poprawił się na siedzeniu i rzucił drwiąco:

- Ależ naturalnie. Opowiedz mi swoją magiczną bajeczkę. Słucham uważnie. Zamknął oczy, odcinając się od niej i od świata.

Oddałyby wszystko, co najdroższe, za jedną kąśliwą, ostrą odpowiedź - taką, która by zraniła go równie skutecznie, jak on ranił ją. Naturalnie, nic takiego nie przyszło jej do głowy. Zignorowała go więc i zaczęła snuć opowieść:

- Ponieważ znamy się od dziecka, założmy, że odnowiliśmy tę znajomość na Świętego Stefana.

Odrobinę uchylił oczy.

- Na Świętego Stefana?

- Byłoby najlepiej, gdyby nasza historia zaczęła się, zanim Falconwell stało się... częścią mojego wiana. - Penelopa udała, że przygląda się plamce na podróźnej sukni, wściekła, że te słowa z trudem przechodzą jej przez gardło, przypominając o tym, jaką wyznaczono cenę za jej rękę. - Zawsze lubiłam Boże Narodzenie, a jarmark na Świętego Stefana w Coldharbour jest dość... zajmujący.

- Pudding z bakaliami i tak dalej, prawda? - To bynajmniej nie brzmiało jak pytanie.

- Właśnie. I kolędy - uzupełniła.

- W wykonaniu słodkich dzieciątek?

- Całej gromady.

- Łatwo sobie wyobrazić, że uwielbiam takie imprezy. Zauważyła sarkazm w jego głosie, ale nie pozwoliła się zbić z tropu.

Zmierzyła go stanowczym spojrzeniem i odparła, nie mogąc się powstrzymać:

- Gdybyś kiedyś odwiedził Falconwell w Święta, ręczę, że by ci się spodobało.

Przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią, ale chyba ugryzł się w język, a Penelope ogarnęła radość z tego drobnego zwycięstwa - pęknięcia w pancerzu chłodnej obojętności.

- Więc bawiłam się na jarmarku i nagle spotkałam ciebie, moją miłość z dzieciństwa.

- Nie kochaliśmy się w sobie w dzieciństwie.

- Nieważne. Liczy się to, czy nam uwierzą, a nie prawda. Logika tych słów była nieodparta.

- Pierwsza zasada opryszków?

- Pierwsza zasada szulerów.

- Pół na pół - zgodziła się z przekąsem.

- Daj spokój, myślisz, że ktoś potwierdzi historię, która sięga naszego dzieciństwa?

- Pewnie nie - mruknęła niechętnie.

- Właśnie. Tym bardziej że akurat ta część jest najbliższa prawdy w całej tej opowieści.

Naprawdę?

Skłamałaby, twierdząc, że nigdy nie wyobrażała sobie, że kiedyś weźmie ślub z tym chłopcem - pierwszym, którego poznała, pierwszym, który potrafił ją rozśmieszyć jak dziecko. On sobie oczywiście tego nie wyobrażał. Ale to nieważne. Patrzyła na niego i nie potrafiła znaleźć nic, co przypominałoby tego chłopca, którego znała dawno temu... chłopca, który być może uważał ją za słodką dziewczynę.

Podjął opowieść, wyrywając ją z zamyślenia:

- Stałaś więc tam, błękitnooka i śliczna, dosłownie promieniejąca od płomyków na świątecznym puddingu*, a ja nagle zacząłem mieć serdecznie dość mego nieokiełzanego, nieosiodłanego kawalerskiego stanu, który nagle wydał mi się nieznośny. Ujrzałem w tobie moje serce, cel mego życia, własną duszę.

Penelopa wiedziała, że to śmieszne, ale nie potrafiła powstrzymać rumieńca po tych słowach, które zabrzmiały cicho i miękko w intymnej przestrzeni powozu.

* Prawdziwy angielski bożonarodzeniowy pudding to wielka, słodka kula, którą oblewa się brandy i podpala.

- To... to brzmi doskonale.

Mruknął coś pod nosem. Trudno powiedzieć co.

- Miałam na sobie aksamitną suknię, zieloną jak ostrokrzew.

- Bardzo twarzową. Zignorowała docinek.

- A ty miałeś gałązkę ostrokrzewu w klapie.

- Żeby utrzymać się w świątecznym nastroju.

- Zatańczyliśmy ze sobą.

- Jiga?

Przekorny ton wyrwał ją z marzeń, przypominając o tym, co naprawdę się zdarzyło.

- Może i tak.

Wyprostował się gwałtownie.

- No co ty, Penelopo? - zakpił. - To było zaledwie kilka tygodni temu, a ty już zapomniałaś?

Zmrużyła oczy.

- To był reel.

- Ach, naturalnie. O wiele bardziej emocjonujący niż jig. Michael był po prostu okropny.

- Powiedz mi tylko, co ja robiłem na tym całym jarmarku w Coldhar-bour?

Ta rozmowa powoli przestawała jej się podobać.

- Nie mam pojęcia.

- Wiesz nawet, że miałem gałązkę ostrokrzewu w klapie... więc nie uwierzę, że nie wymyśliłaś moich motywów.

Sposób, w jaki cedził słowa, doprowadzał ją do szału. Co za arogancja, na granicy obelgi. Być może dlatego rzuciła:

- Przyjechałeś odwiedzić groby rodziców.

Znieruchomiał na te słowa. Ona także, więc tylko ich ciała kołysały się miękko w rytm ruchów powozu, do taktu turkotu kół.

- Groby rodziców.

Nie wycofała się z tego, nie umknęła oczami od jego spojrzenia.

- Tak jest. Przyjeżdżasz tam w każde Boże Narodzenie. Na grobie matki kładziesz róże, a u ojca dalie.

- Naprawdę?

Teraz Penelopa umknęła wzrokiem i spojrzała za okno.

- To muszę znać dobrze właścicieli najbliższej cieplarni.

- I znasz. Moja najmłodsza siostra Philippa hoduje w Needham cudowne kwiaty, kwitnące przez cały rok.

Pochylił się i syknął karykaturalnym szeptem spiskowca:

- Kochanie, pierwsza zasada oszusta mówi, że nie wplątuje się innych osób we własną opowiastkę.

Obserwowała, jak cienkie brzozy przy drodze stapiają się z białym śniegiem na polach.

- To przecież nie kłamstwo. Pippa jest naprawdę świetną ogrodniczką. Zapanowała długa cisza. W końcu spojrzała na niego znowu i przekonała się, że cały czas ją uważnie obserwował.

- Dajmy na to, że ktoś odwiedziłby groby moich rodziców w dzień Świętego Stefana. Co wtedy?

Mogła skłamać. Ale nie miała na to ochoty. Może to głupie, ale chciała, aby wiedział, że w każde Święta była przy nim myślami... że zależało jej na nim, że była ciekawa, co z nim się dzieje. Nawet jeśli jemu na tym nie zależało.

- Zobaczyłby róże i dalie. Kładziesz je tam przecież co roku.

Teraz on spojrzał w okno, a ona skorzystała z okazji, by przyjrzeć się jego twarzy, mocno zarysowanej szczęce, twardemu spojrzeniu, ustom zaciśniętym w wąską kreskę, choć - jak się przekonała - potrafiły być miękkie, pełne i cudowne. Tak się pilnował, taki był czujny... szkoda, że nie potrafiła obudzić w nim uczuć, wytrącić go z tej nieugiętej samokontroli. Przecież potrafił być taki łagodny, taki swobodny w ruchach. Patrząc na niego w tej chwili, nie mogła uwierzyć, że to ten sam człowiek. Oddałaby wszystko, żeby się dowiedzieć, dokąd biegły jego myśli.

Nadal nie zaszczycając jej spojrzeniem, powiedział:

- No cóż, rzeczywiście pomyślałaś o wszystkim. Postaram się zapamiętać tę opowieść o miłości od pierwszego wejrzenia. Rozumiem, że będziemy ją często powtarzać.

Zawahała się, a potem rzekła:

- Dzięki, mój panie. Odwrócił się gwałtownie.

- Mój panie? Czyżbyś zamierzała zostać żonką w starym stylu, Penelopo?

- Zona powinna okazywać szacunek mężowi. Ściągnął brwi w równą kreskę.

- Rozumiem, że nauczono cię takich manier.

- Zapomniałaś, że miałam być księżną.
- Przepraszam, że zamiast tego dostałaś skandalizującego markiza.
- Jakoś to przeżyję - odparła głosem szorstkim jak piasek. Jechali w milczeniu przez długą chwilę. W końcu je przerwała:
 - Musisz wrócić do socjety. Ze względu na moje siostry.
 - Szybko nauczyłaś się stawiać wymagania.
 - Wysłałam przecież za ciebie. Mógłbyś się zdobyć na poświęcenie, biorąc pod uwagę, że oddałam wszystko, co miałam, bylebyś ty dostał swoją ziemię.
 - Masz na myśli swoje idealne małżeństwo? Wyprostowała się.
 - Nie byłoby takie idealne. - Nie odpowiedział, ale spojrzał na nią tak, że dodała cicho: - Ale pewnie lepsze niż to.

Tommy by mnie tak nie irytował, pomyślała.

Znowu jechali dłuższą chwilę w milczeniu. W końcu Michael zaoferował:

- Będę się pojawiał na towarzyskich spotkaniach, które uznasz za stosowne. Wyglądał jak uosobienie znudzonego męża.
- Zaczniemy od Tottenhama. Jest dla mnie czymś w rodzaju przyjaciela. Lepszych nie mam.

To było dziwne. Przecież Michael zawsze miał mnóstwo przyjaciół. Był taki błyskotliwy, przystojny, uroczy i pełen życia... w dzieciństwie wszyscy go kochali. Ona też. Był jej najlepszym przyjacielem. Co się z nim stało? Co sprawiło, że zmienił się w tego chłodnego, mrocznego człowieka?

Odsunęła od siebie tę myśl. Wicehrabia Tottenham był jedną z najbardziej pożądanых partii w towarzystwie, a jego matkę uważano za wzór cnót.

- Doskonały wybór. Jest ci winien pieniądze?
- Nie. - Zapadła cisza. - Pójdziemy do niego na kolację w tym tygodniu.
- Masz zaproszenie?
- Nie.
- To jakim cudem... Westchnął.
- Wyjaśnijmy to sobie raz na zawsze, dobrze? Jestem właścicielem najbardziej lukratywnego kasyna w całym Londynie. Mało kto w całej Brytanii odmówi mi spotkania.

- A ich żony?

- Co z nimi?

- Myślisz, że cię nie będą oceniać?

- Myślę, że każda chciałaby mnie mieć w swoim łóżku, więc na pewno znajdzie się dla mnie miejsce w ich salonach.

Podarowała głowę, słysząc te bezduszne słowa. Nie potrafiła pojąć tego, że można coś takiego powiedzieć do własnej żony. Że mógłby wejść do łóżka cudzej żony.

- Zdaje mi się, że przeceniasz swoje talenty w alkowie. Uniósł brew.

- Założę się, że po dzisiejszej nocy zmienisz zdanie.

Między nimi zamajaczyło widmo nocy poślubnej, a Penelopa poczuła, jak przyspiesza jej puls, choć najchętniej splunęłaby z pogardą na Michaela.

- Niezależnie od magicznej mocy, jaką wywierasz na kobiety, przynajmniej według swego wyobrażenia, zapewniam cię, że publicznie są one o wiele bardziej wybredne niż prywatnie. I nie jesteś dla nich dość dobry.

„Nie jesteś dla nich dość dobry”.

Nie mogła uwierzyć, że to powiedziała. Za bardzo ją rozzłościł. Popatrzył na nią wzrokiem, w którym malował się podziw.

- Cieszę się, żono, że tak szybko odkryłaś prawdę. Dobrze, że tak wcześnie przestałaś mieć złudzenia co do tego, że okażę się porządnym człowiekiem albo porządnym mężem.

Strzepnął z rękawa niewidoczny pyłek.

- Nie potrzebuję kobiet.

- Kobiety to strażniczki wrót do socjety. Szczerze mówiąc, właśnie ich potrzebujesz.

- Dlatego mam ciebie.

- To za mało.

- Dlaczego? Czyż nie jesteś idealną angielską damą?

Zacisnęła zęby, bo ten opis zdradzał jej obecne i przyszłe zamiary. Oraz to, że była na polu towarzyskim zupełnie bezwartościowa.

- Ja się w ogóle nie mieszczę w obrazku. Minęło wiele lat, od czasu gdy ktokolwiek podziwiał mnie na balach.

- Ale teraz jesteś markizą Bourne. Bardzo szybko się tobą zainteresują, kochanie.

Zmrużyła oczy.

- Nie jestem twoim kochaniem.

On z kolei otworzył oczy szeroko.

- Jakże mnie zraniłaś. Nie pamiętasz jarmarku Świętego Stefana? Czy nasz reel nic już dla ciebie nie znaczy?

Co za irytujący człowiek. Naprawdę doprowadzał ją do szału. Wcale nie byłoby jej przykro, gdyby wypadł z powozu i potoczył się do rowu. Nawet by się nie zatrzymała, żeby wydobyć stamtąd jego doczesną powłokę.

Nic ją nie obchodziło to całe Falconwell.

Ale siostry ją obchodziły i nie mogła pozwolić, by zaszkodziła im reputacja jej męża. Wzięła głęboki oddech, nakazując sobie spokój.

- Musisz jeszcze raz udowodnić swoją wartość. Musisz je przekonać. A przede wszystkim mnie.

Rzucił jej znaczące spojrzenie.

- Jestem wart trzy razy tyle, co najbardziej szanowani członkowie socjety.

Pokręciła głową.

- Miałam na myśli twoją wartość. Jako markiza. Jako człowieka. Zamarł.

- Każdy, kto zna moją historię, doskonale wie, że pod tymi oboma względami jestem nic niewart. Od dziesięciu lat. Nie słyszałaś o tym?

W jego słowach brzmiała niewysłowiona pogarda. Penelopa wiedziała, że pytanie jest retoryczne, ale nie dała się zbić z tropu.

- Owszem, słyszałam.

Uniosła podbródek i spojrzała mu prosto w oczy.

- Chcesz pozwolić, żeby jeden głupi grzeszek młodości przesłonił twój wizerunek na zawsze? - I przy okazji mój też, dodała w myśli.

Pochylił się w jej stronę groźnym, przytłaczającym ruchem. Nie przestraszyła się i nie cofnęła. Nie odwróciła wzroku.

- Straciłem wszystko. Majątek wartości setek tysięcy. Przez jedną jedyną kartę. To była niesłychana przegrana. Przeszła do historii. A ty mówisz, że to grzeszek młodości?

Przełknęła ślinę.

- Powiedziałeś: setki tysięcy?

- Mniej więcej.

Oparła się pokusie, by zapytać, ile konkretnie.

- Przez jedną kartę?

- Przez jedną kartę.

- Więc może to nie był grzeszek, ale na pewno głupota.

Nie wiedziała, skąd przyszły do niej te słowa, ale mimo to je wypowiedziała. Musiała być brutalnie szczerą, żeby nie okazać strachu. Jakimś cudem udało jej się utrzymać to spokojne, wbite w niego spojrzenie.

Odezwał się cicho, gardłowo, jakby warczał:

- Czy ja się przesłyszałem, czy przed chwilą nazwałaś mnie głupcem? Serce tak jej biło, że powinno je być słycać w całym powozie. Machnęła ręką z nadzieją, że gest będzie wystarczająco nonszalancki.

- Nieważne. Pamiętaj, jeśli masz przekonać socjetę, że moje siostry są dobrymi partiami, musisz udowodnić, że jesteś dla nich doskonałym opiekunem.
- Przerwała. - Musisz się poprawić.

Milczał długą chwilę. Tak długą, że Penelopa zaczęła się bać, czy nie posunęła się za daleko.

- Muszę się poprawić - powiedział w końcu. Skinęła głową.

- Pomogę ci.

- Zawsze bywasz taka przekonywająca?

- Nigdy. Szczerze mówiąc, zwykle nawet nie próbuję. Od razu się poddaję. Zmrużył oczy.

- Od trzech dni ani razu się nie poddałaś.

To prawda, była zdecydowanie mniej uległa niż zwykle.

- Nieprawda. Zgodziłam się za ciebie wyjść, prawda?

- Fakt.

Ciepło jej się zrobiło na tę myśl. Uświadomiła sobie jego bliskość. Mój mąż.

- Czego mogę się jeszcze spodziewać? Nie rozumiała.

- Milordzie?

- Dochodzę do wniosku, że nasz związek niesie ze sobą mnóstwo niespodzianek, i wcale mi się to nie podoba. Wyłóżmy karty na stół, dobrze? Ty chcesz, żeby twoje siostry wyszły dobrze za mąż. Chcesz, żebym wrócił na łono socjety. Co jeszcze?

- Nic poza tym.

Przez jego twarz przemknęło jakieś uczucie - czyżby niezadowolenie?

- Jeśli przeciwnik nie pozwala ci przegrać, to blefuj, Penelopo.

- Kolejna szulerska zasada?

- Kolejna łajdacka zasada. Ale na mężów też działa. A na takich jak ja w dwójnasób.

Na mężów takich jak on. Była ciekawa, co to może znaczyć, ale zanim zdążyła zapytać, nacisnął znowu.

- Więc co jeszcze, Penelopo? Proś teraz albo nigdy.

Pytanie było tak szerokie, tak otwarte... z miliardem możliwych odpowiedzi. Zawahała się. W głowie zaczęła się gonitwa myśli. Czego właściwie chciała? Tak naprawdę?

Czego chciała od niego?

Czegoś więcej.

Ten szept nie był echem minionego wieczoru, który wydawał się tak odległy... wieczoru, który zmienił wszystko. To była szansa na przyszłość. Szansa, by stać się czymś więcej niż marionetką - dla niego, dla rodziny i dla społeczności. Szansa, by przeżyć coś niezwykłego.

Spojrzała w jego złote oczy.

- Możesz tego pożałować.

- Na pewno nie.

- Sam chciałeś wiedzieć...

- Przyjmuję za to odpowiedzialność, zapewniam cię. Zaciśnęła wargi.

- Chcę czegoś więcej niż zwyczajnego, prostego życia w roli zwyczajnej, prostej żony.

To go ostudziło.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Przez całe życie byłam idealną młodą damą... powoli przeistaczającą się w modelową starą pannę. To było... straszne.

Zaskoczyły ją własne słowa. Nigdy o tym tak nie myślała. Nie wyobrażała sobie niczego innego. Do tej pory. Do chwili, gdy się pojawił. I dał jej szansę na zmianę.

- Chcę, żeby moje małżeństwo było czymś innym. Chcę mieć więcej możliwości niż lady, która spędza dnie nad haftami albo zajmuje się tak zwaną dobroczynnością, a jej wiedza ogranicza się do ulubionych puddingów jej męża.

- Nie zależy mi na twoich haftach. Dodał jej tym odwagi.

- To świetnie. Na początek.

- Nawet jeśli nie poświęcisz na dobroczynność ani pięciu minut... szczerze mówiąc, wcale mnie to nie wzruszy.

Uśmiechnęła się szerzej.

- To również obiecujące. Rozumiem, że nie masz ulubionego puddingu?
- Niespecjalnie. - Przerwał, wpatrując się w nią bacznie. - Chodzi o coś więcej, prawda?

Spodobał jej się sposób, w jaki to powiedział. Tak lekko. Tak obiecująco.

- To prawda. Bardzo chciałabym, żebyś mnie tego nauczył.

Jego spojrzenie niemal natychmiast stało się cudownie błyszczące.

- Nie jestem pewien, czy za tobą nadążam?

- To bardzo proste. Chcę przygód.

- Jakich przygód?

- Tych, które obiecałeś mi w Falconwell.

Usiadł wygodnie, a w jego oczach błysnęło rozbawienie. Pamiętała tę iskierkę z dzieciństwa.

- Powiedz zatem, jakież to mają być przygody, lady Penelopo.

- Lady Bourne, za pozwoleniem - poprawiła.

Otworzył oczy nieco szerzej. Zanim przechylił głowę, zdążyła dostrzec błysk zaskoczenia.

- Lady Bourne.

Spodobało jej się brzmienie tego tytułu. Choć być może nie powinno. Bo nie było po temu powodu.

- Chciałabym zobaczyć to twoje szatańskie kasyno. Uniósł brew.

- Dlaczego?

- To będzie przygoda.

- Niewątpliwie.

- Pewnie kobiety tam nie bywają?

- Nie takie jak ty. Kobiety takie jak ja?

Nie spodobała jej się insynuacja, że jest zwyczajna, nudna i na pewno nie zrobi niczego awanturniczego. Nie zamierzała się poddawać.

- Mimo to chciałabym tam pójść. - Zawahała się, a potem dodała- -W nocy.

- Dlaczego akurat wtedy?

- Bo w nocy jest bardziej awanturniczo. Bardziej bezprawnie.

- Co ty możesz wiedzieć o bezprawiu?

- Niewiele. Ale bardzo szybko się uczę. - Serce zabiło jej na wspomnienie ich pierwszej nocy, przyjemności, jaką dawały jego dłonie ale potem przypomniała sobie, że ją zostawił, gdy tylko zapewnił sobie małżeństwo. Odchrząknęła, nagle niepokorna siebie.

- Mam szczęście, że trafił mi się mąż, który oprowadzi mnie po tych mrocznych atrakcjach.

- Rzeczywiście, masz - stwierdził, przeciągając słowa. - Szkoda tylko, że twoja żądza przygód tak bardzo kłóci się z szacownym wizerunkiem, w jaki chciałabyś mnie przyoblec. Niestety, muszę ci odmówić.

Zapłonęła gniewem.

A więc jego propozycja czegoś więcej nie miała żadnego znaczenia. Był gotów spełniać jej kaprysy, zapłacić cenę za to małżeństwo i za Falconwell - ale to miała być jego cena.

Był taki sam jak wszyscy. Jak ojciec, jak narzeczony, jak zalotnicy, którzy otaczali ją przez te wszystkie lata.

Nie zamierzała się z tym pogodzić.

Zgodziła się na przymusowe małżeństwo, bo sytuacja wymknęła się spod jej kontroli. Zgodziła się na małżeństwo z łajdakiem i skandalistą. Ale nie zamierzała być pionkiem w grze.

Tym bardziej że obiecywano jej rolę gracza.

- Przecież tak się umówiliśmy. Tej nocy, gdy zgodziłam się na ślub. Powiedziałeś, że będę mogła żyć tak, jak zechcę, przeżywać przygody. Obiecywałeś, że pozwolisz mi poznawać świat. Mówiłeś, że splamiony tytuł markizy Bourne może mnie wykreślić z socjety, ale w zamian dostanę cały świat.

- Tylko że potem postanowiłaś zmienić mnie w szanowanego członka społeczności - odpowiedział, pochylając się w jej stronę. - Chcesz dobrze wydać siostry za mąż. Nie licytuj, jeśli nie jesteś gotowa na przegraną, kochanie. To trzecia zasada szulera.

- I łajdaka - odpowiedziała z irytacją.

- Tak jest. - Wpatrywał się w nią dłuższą chwilę, jakby oceniał poziom jej gniewu. - Problem w tym, że tak naprawdę sama nie wiesz, czego chcesz. Wiesz, czego powinnaś chcieć. A to nie to samo, co rzeczywiste pragnienia, prawda?

Naprawdę doprowadzał ją do szału.

- Co za ambaras - dodał z rozbawieniem, rozpierając się wygodnie na siedzeniu.

Pochyliła się do niego.

- Przynajmniej mi opowiedz.

- O czym?

- O tym twoim piekielku.

Skrzyżował ramiona na piersi.

- Moim zdaniem najgorsze piekło to wielogodzinna jazda powozem w towarzystwie nowo poślubionej żony, która właśnie odkrywa w sobie upodobanie do przygód.

Zaśmiała się, zaskoczona, że zaczął z nią żartować.

- Nie o takie piekło mi chodzi. Opowiedz mi o twojej szulerni.

- Co byś chciała wiedzieć? Wszystko.

- Czy to jest bardzo ekscytujące?

- Jeśli ktoś lubi hazard - odpowiedział po prostu. Zmarszczyła nos.

- Nigdy się nie hazardowałam.

- Bzdura. Od pierwszej chwili naszego spotkania nic, tylko rozgrywasz.

Najpierw stawką były twoje siostry, a dzisiaj ty sama.

Uśmiechnęła się.

- Chyba masz rację. W dodatku wygrywam.

- Bo ci na to pozwoliłem.

- Rozumiem, że w kasynie jest inaczej? Zaśmiał się cicho.

- Wolimy, żeby gracze przegrywali.

- Dlaczego? Zmierzył ją wzrokiem.

- Bo ich strata to nasz zysk.

- Chodzi o pieniądze?

- Pieniądze, ziemię, klejnoty... to, co ci głupcy zechcą postawić. To brzmiało doprawdy fascynująco.

- Mówiłeś, że nazwaliście to miejsce Anioł?

- Upadły Anioł. Zastanowiła się nad tym.

- To twój pomysł?

- Nie.

- Pasuje do ciebie.

- Pewnie dlatego Chase to wymyślił. Pasuje do nas wszystkich.

- Do was wszystkich?

Westchnął, otworzył oko i spojrzał na nią z wyrzutem.

- Jesteś nienasycona.

- „Ciekawska” brzmi lepiej.

Wyprostował się i zaczął miąć w palcach rękaw.

- Jest nas czterech - odezwał się w końcu.

- I wszyscy... upadliście? - kończąc, zniżyła głos do szeptu. Orzechowe oczy napotkały jej wzrok w półmroku powozu.

- W pewnym sensie tak.

Co ciekawe, powiedział to bez wstydu i bez dumy. Po prostu szczerze. Nagle wydał jej się bardziej pociągający przez to, że upadł tak nisko... że stał się wyrzutkiem. Że stracił wszystko - setki tysięcy funtów! - i tak szybko to odzyskał. Jakimś cudem udało mu się wszystko odbudować. Bez niczyjej pomocy. Dzięki nieugiętej sile woli i zdecydowaniu.

Nie tylko pociągający.

Był prawdziwym bohaterem.

Spojrzała mu w oczy i zobaczyła go w zupełnie nowym świetle. Zwrócił się ku niej szybko jak błyskawica; powóz wydał się nagle bardzo mały.

- Nie rób tego.

Oparła się o poduszki, byle dalej od niego.

- O co ci chodzi?

- Widzę, że zaczynasz robić z tego romantyczną historię. Zmieniasz Anioła w coś, czym nigdy nie był. I mnie w kogoś, kim nigdy nie byłem.

Pokręciła gwałtownie głową, zirytowana, że odczytał jej myśli.

- Ja wcale nie...

- Ależ oczywiście, że tak. Myślisz, że nie widziałem takiego samego spojrzenia w oczach dziesiątek innych kobiet? A może nawet setek? - Odwrócił wzrok i zapatrzył się w okno. Na drogę, która pozostała za nimi. - Nie rób tego - powtórzył stanowczo. - Tylko się rozczarujesz.

Zapadło milczenie. Wyprostował długie nogi w wysokich butach, a potem znowu założył jedną na drugą. Zamknął oczy. Odciał się od niej.

Patrzyła na niego w milczeniu, zastanawiając się nad tym jego spokojem. Mogłoby się wydawać, że są jedynie towarzyszami podróży, że przypadkiem spotkali się w tym powozie. Może zresztą miała rację, bo w tym mężczyźnie nie było nic z męża, a ona sama też nie czuła się żoną.

Żony są prawdopodobnie bardziej zdecydowane.

Z drugiej strony, kiedy ostatnim razem była bliska ołtarza, wcale nie czuła się zdecydowana. Też miała wtedy wyjść za nieznanego.

Zastanowiła się nad tym głębiej. Ten nowy, dorosły Michael wcale nie różnił się od księcia. Nic nie łączyło go z chłopcem, którego znała wiele lat

temu. Przez chwilę szukała w jego twarzy podobieństwa do swego przyjaciela z dzieciństwa: głębokich dołeczków w policzkach, miłego uśmiechu, który tak często się pojawiał, i wesołego chichotu, który zawsze zapowiadał kłopoty.

Nic nie znalazła.

Był tu tylko ten zimny, twardy, nieugięty mężczyzna... mężczyzna, który bez oporów zmieniał życie otaczających go ludzi i beztrąsko brał to, na co miał ochotę.

Jej mąż.

Nagle poczuła się bardzo samotna - bardziej niż kiedykolwiek przedtem - siedząc w tym powozie obok obcego człowieka, daleko od rodziców, sióstr, Tommy'ego i wszystkiego, co знаła tak dobrze, w drodze do Londynu i u schyłku najdziwniejszego dnia w jej życiu.

Tego ranka wszystko się zmieniło. Wszystko.

Już na zawsze będzie myślała o swoim życiu jako o dwóch osobnych okresach - przed ślubem i po nim.

Przedtem były rezydencja Dolby, posiadłość w Needham i jej rodzina. A potem był... Michael. Michael i nikt poza tym. Michael i nie wiadomo, co jeszcze. Michael, obcy człowiek, który został jej mężem. Poczuła w sercu kłujący ból. Smutek? Nie. Tęsknotę. Była teraz mężatką.

Wzięła głęboki, rozdygotany oddech, który słycać było w całym powozie.

Otworzył oczy i pochwycił jej wzrok, zanim zdążyła udać, że śpi.

- Co się z tobą dzieje?

Pewnie powinno ją ująć, że w ogóle zapytał, ale szczerze mówiąc, zirytował ją jego obojętny ton. Czy on nie rozumiał, że ten dzień był naprawdę emocjonalnie trudny?

- Objąłeś w posiadanie moje życie, mój posąg i moją rękę, milordzie. Ale moje myśli w dalszym ciągu należą do mnie, prawda?

Przyglądał jej się przez dłuższą chwilę, aż zaczęło ją trapić niepokojące wrażenie, że naprawdę umie czytać w jej myślach.

- Dlaczego musiał ci dać taki wielki posąg?

- Słucham?

- Dlaczego nie wyszłaś wcześniej za mąż?

Roześmiała się, nie potrafiąc się powstrzymać.

- Chyba jesteś jedynym mieszkańcem Brytanii, który o tym nie słyszał. Nie odpowiedział, więc po prostu wypełniła ciszę prawdą.

- Zostałam ofiarą zerwanych zaręczyn, i to w najgorszym gatunku.

- To mogą być różne gatunki zerwania?

- Oczywiście. Mnie przypadł w udziale gatunek fatalny... Nie chodzi o samo zerwanie. Okoliczności pozwoliły jakoś z tego wybrnąć. Ale to, co się stało później... W ciągu tygodnia on ożenił się z kobietą, którą naprawdę kochał. To był wyjątkowy afront. Przez długie lata musiałam znosić szept za plecami.

- Co mogło być ich powodem?

- To, że ja, idealna angielska narzeczona, rozpieszczana, utytułowana, z posagiem i tak dalej, nie potrafiłam zatrzymać przy sobie księcia nawet przez miesiąc.

- A właściwie dlaczego nie potrafiłaś?

Uciekła wzrokiem, nie mogąc powiedzieć mu tego prosto w oczy.

- Był do szaleństwa zakochany w innej. Chyba rzeczywiście miłość pokona wszystko. Nawet arystokratyczne párantele.

- Wierzysz w to?

- Wierzę. Widziałam ich razem. Są... - Przez chwilę szukała słów. - Są idealną parą. - Nie odpowiadał, więc dodała: - Przynajmniej według mnie.

- Dlaczego cię to obchodzi?

- Pewnie nie powinno. Ale pocieszam się myślą, że gdyby nie byli tak idealnie dopasowani... gdyby się tak bardzo nie kochali, to może by mi tego nie zrobił. I...

- I byłabyś już mężatką.

Spojrzała na niego z krzywym uśmiechem.

- I tak jestem.

- Ale byłoby to małżeństwo, do jakiego cię przygotowywano, a nie takie jak nasze: skandal, który tylko czeka, żeby go ktoś ujawnił.

- Wtedy tego nie wiedziałam, ale tamto też było związane z takim skandalem - odpowiedziała. Widząc jego pytające spojrzenie, wyjaśniła: - Siostra księcia. Bez męża, a z dzieckiem, które się urodziło, jeszcze zanim zaczęła bywać w towarzystwie. Chciał, żeby nasze małżeństwo zatarało pamięć tamtego skandalu i pokazało ród Leightonów w nowym świetle.

- Chciał cię wykorzystać do zatarcia skandalu? Nie mówiąc ci ani słowa?

- A czym to się różni od wykorzystania mnie dla pieniędzy? Albo ziemi?

- Oczywiście, że się różni. Ja ciebie nie okłamałem.

To była prawda, i z jakiegoś powodu wydała jej się ważna. Przez nią uświadomiła sobie nagle, że nie zamieniłaby swego obecnego małżeństwa na tamten związek z księciem.

W powozie zaczęło się robić zimno, więc poprawiła suknię, starając się siłą woli czerpać resztki ciepła z gorącej cegły, na której opierała nogi. Przez to zyskała nieco czasu na zastanowienie.

- Moje siostry, Wiktorii i Violet! - poczekała, aż Michael przypomni sobie bliźniaczki. Kiedy skinął głową, zaczęła wyjaśnienia: - Przyjechały do Londynu na swój pierwszy sezon balowy tuż po moim skandalu. I bardzo na tym ucierpiały. Matka była tak przerażona, że nazaczy je moja tragedia, że kazała im przyjąć pierwsze oferty, jakie im złożono. Wiktorii wyszła za starszego hrabiego, który rozpaczliwie potrzebował potomka. Violet dostała wicehrabiego, przystojniaka, który miał więcej pieniędzy niż rozumu. Nie jestem pewna, czy są ze sobą szczęśliwi... ale pewnie nikt tego nie oczekiwał. Od samego początku. - Przerwała i zastanawiała się przez chwilę. - Wszystkie wiedziałyśmy, co się dzieje. Wychowano nas w przekonaniu, że małżeństwo powinno być dobrym interesem, a one straciły na to szansę. Z mojego powodu.

Mówiła i mówiła, nie do końca uświadamiając sobie, dlaczego mu to wszystko opowiada.

- Moje małżeństwo miało być doskonale wykalkulowane, miało być najlepszym interesem ze wszystkich. Uczyniłoby mnie księżną Leighton. Zgodziłabym się na to. Z miłą chęcią.

Wzruszyła ramionami.

- Ale księżę miał inne plany.

- Udało ci się uciec.

Do tej pory nikt nie mówił o tym w taki sposób. Nawet sama przed sobą nie przyznała się do spokojnego zadowolenia, które ogarnęło ją po zerwaniu zaręczyn, mimo że wokół niej cały świat walił się w gruzy. Nie chciała, żeby matka oskarżała ją o samolubstwo. Nawet teraz nie potrafiła zgodzić się z Michaeliem.

- Nie jestem pewna, czy większość normalnych kobiet nazwałaby to ucieczką. To zabawne, jak drobiazg w rodzaju zerwanych zaręczyn potrafi odmienić całe życie.

- Zdaje mi się, że to jednak nie był drobiazg.

Spojrzała mu w oczy i uświadomiła sobie, że słuchał jej z wielką uwagą.

- No... raczej nie.

- W jaki sposób cię zmienił?

- Przestałam być cenną nagrodą. Przestałam być idealną arystokratyczną narzeczoną.

Rozprostowała dłońmi suknię, wygładzając zagniecenia, które pojawiły się podczas podróży.

- Przestałam być idealna. W ich oczach.

- Z mojego doświadczenia wynika, że opinie wygłaszane w towarzystwie rzadko kiedy są zgodne z prawdą. - Patrzył na nią uważnie, a w orzechowych oczach lśniło uczucie, którego nie potrafiła odczytać.

- Łatwo ci mówić, ty się od nich odciąłeś. Zignorował zmianę tematu i powtórzył swoje pytanie:

- Na razie powiedziałaś tylko o tym, co zmieniło się dla innych. A co zmieniło się w tobie, Penelopo?

Zastanowiła się. Od chwili, gdy książę Leighton wywołał skandal stulecia, odmawiając uczynienia Penelopy swoją księżną, minęło już tyle czasu, a ona nigdy nie zadała sobie tego pytania.

Prawda dotarła do niej dopiero teraz, kiedy spoglądała na swego męża, którego spotkała w środku nocy i poślubiła kilka dni później.

Poczułam, że to może być szansa na szczęśliwe życie, pomyślała.

Przełknęła ślinę i milczała, a on pośpiesznie pochylił się ku niej, jakby bardzo chciał usłyszeć tę prawdę.

- Mów. Mów, właśnie sobie odpowiedziałaś na to pytanie.

- Ja... - umilkła.

- Powiedz.

- To już nieważne.

- Już nieważne... przeze mnie?

Nigdy nie było mi dane to, co ich łączyło.

- Zrozumiałam wtedy, że są inne małżeństwa, nie tylko te z rozsądku. - Uważnie ważyła słowa. - Książę... kocha swoją żonę do szaleństwa. Ten ślub... nie było w nim nic udawanego ani skostniałego.

- I zapragnęłaś tego dla siebie?

Dopiero gdy zrozumiałam, że to możliwe. Ale to już nieważne. Lekko wzruszyła ramionami.

- Nieważne, czego pragnęłam. Jestem mężatką i kwita.

Przy tych słowach zadzwoniła zębami, a on mruknął coś z niezadowoleniem i usiadł obok niej.

- Zmarzłaś - zauważył i objął ją ramieniem, a potem przyciągnął do siebie. Otuliło ją ciepło jego ciała. - Chodź tu - powiedział, okrywając ich oboje podróżnym kocem. - Zaraz ci się zrobi lepiej.

Przylgnęła do niego, starając się nie przypominać sobie niedawnych chwil, kiedy byli tak blisko.

- Wygląda na to, że nabrałeś zwyczaju dzielenia się ze mną swoimi kocami, milordzie.

- Bourne - mruknął jej do ucha, otulając ich mocniej szorstką wełną. - Poza tym, gdybym się z tobą nie podzielił, to pewnie byś mi zabrała.

Nie wytrzymała i wybuchła śmiechem. Przez długą chwilę jechali w milczeniu.

- Więc przez te wszystkie lata czekałaś na szczęśliwe małżeństwo - odezwał się w końcu.

- Nie wiem, czy czekałam. Raczej chyba miałam nadzieję. - Nie odpowiedział. Zaczęła skubać guzik jego płaszcza.

- A ten narzeczony, ten któremu cię skradłem, dałby ci to szczęście? Może tak.

A może nie.

- Teraz nie ma co się nad tym zastanawiać. Ale chyba rozumiesz, dlaczego nie chcę, żeby siostry uwikłały się w nieszczęśliwe związki. Nie chcę ponosić winy za dwa następne małżeństwa z rozsądku. Nie łudzę się, że znajdą miłość. Ale przecież mogą być szczęśliwe, prawda? Mogą spotkać kogoś odpowiedniego... a może proszę o zbyt wiele?

- Naprawdę nie wiem - powiedział, otaczając ją ramieniem i przyciągając do siebie. Koła zaturkotały głośniejsze, gdy powóz wjechał na most nad Tamizą, a potem na ulice Londynu. - Nie znam się na takich rzeczach.

Nie powinna cieszyć się z tego, że ją objął, ale mimo wszystko pozwoliła sobie na złudzenia, że ta spokojna rozmowa była pierwszą z wielu. Jego dłoń powoli gładziła jej ramię, za każdym rozkosznym, ciepłym ruchem darząc ją ciepłem i cudownym uczuciem, którego nie potrafiła określić.

- Pippa jest praktycznie zaręczona z lordem Castleton; spodziewamy się, że jej się oświadczy w kilka dni po przyjeździe do Londynu.

Dłoń znieruchomiała na moment, a potem podjęła powolną pieszczotę.

- Jak oni się poznali?

Przywołała myślą postać zwyczajnego, nudnego hrabiego.

- Tak samo, jak wszyscy. Bale, kolacje, tańce. Wydaje się w miarę sympatyczny. Tylko... wcale mi się nie podoba jako kandydat dla Pippy.

- Czemu nie?

- Niektórzy powiedzieliby, że ona jest dziwaczką, ale to nieprawda. Wcale nie jest mołem książkowym, ona naprawdę kocha nauki ścisłe. Fascynuje ją, jak to wszystko działa. On za nią nie nadaży. Szczerze? Ją ani trochę nie obchodzi, za kogo wyjdzie albo czy w ogóle wyjdzie za męża. Potrzebuje do szczęścia tylko biblioteki i paru psów. Chciałabym, żeby znalazła kogoś bardziej... inteligentnego, choć wiem, że to strasznie zabrzmiało.

- Mhm - mruknął nieobowiązująco. - A druga siostra?

- Olivia jest bardzo piękna.

- W takim razie nie powinna mieć problemu z zalotnikami. Penelopa wyprostowała się nagle.

- Czy tylko o to chodzi?

- Uroda ma duże znaczenie - odpowiedział, patrząc jej w oczy. Penelopa nigdy nie była piękną. Była zwyczajna. Czasem nawet

ładna, jeśli miała dobry dzień i nową suknię. Ale piękna nigdy. Nawet zaloty księcia Leighton nie zmieniły jej w piękną. Była po prostu... idealna.

Uczciwość Michaela mocno ją zabolęła.

Nikt nie lubi przypominania, że narzeczony wolał ładniejszą.

- Tak, Olivia jest piękna i dobrze o tym wie...

- Nieźle się zapowiada.

Zbyła milczeniem jego kwaśny ton.

- Więc będzie potrzebowała mężczyzny, który będzie ją bardzo dobrze traktował. Musi mieć pieniądze i chętnie je na nią wydawać.

- Moim zdaniem potrzebuje kogoś zupełnie innego.

- Wcale nie. Sam zobaczysz.

Na moment zapadła cisza, ale Penelopie to nie przeszkadzało, bo rozkoszowała się ciepłem i dotykiem jego ciała, które zmieniły powóz w przytulne gniazdko. Właśnie zasypiała, ukołysana ruchem i turkotem kół, kiedy odezwał się znowu:

- A ty?

Otworzyła oczy.

- Co ja?

- Jakiego mężczyzny potrzebujesz?

Patrzyła, jak koc podnosi się i opada w rytm jego oddechu, czuła poruszenia jego piersi i cieszyła się tym dziwnym spokojem.

Takiego jak ty.

Przecież był jej mężem. To normalne, że widzi go w roli kogoś więcej niż tymczasowego towarzysza życia. Kogoś więcej niż znajomego. Albo przyjaciela. Albo tego zimnego, twardego mężczyzny, jakim się wydawał. Dobrze jej było z tym nowym Michaeliem, który ogrzewał ją własnym ciałem i z nią rozmawiał.

Naturalnie nie przyznała się do tego. Zamiast tego westchnęła:

- To już nieważne, prawda?

- A gdyby było? - Nie pozwolił jej się wykręcić od odpowiedzi. Może sprawiły to ciepło i spokój, a może jego obecność, bo odparła w końcu:

- Chyba chciałabym kogoś ciekawego... dobrego, kogoś kto chciałby mi pokazać...

Jak żyć.

Nie, za nic tego nie powie. Wyśmiałyby ją bezlitośnie.

- Kogoś, z kim mogłabym tańczyć... śmiać się... i troszczyć się o niego. I kogoś, kto zatroszczyłby się o mnie.

- Takiego jak twój narzeczony?

Pomyślała o Tommym i przez chwilę chciała powiedzieć Michaelowi, że ten nieznany mu narzeczony to po prostu dobry kompan, którego oboje znali od urodzenia. Syn człowieka, który odebrał mu wszystko. Na tę myśl poczuła, jak zabiło jej serce. Nie, nie zrobi mu tego. Nie teraz, gdy jest im tak spokojnie, ciepło i można udawać, że lubią się nawzajem.

Więc zamiast tego szepnęła:

- Takiego jak mój mąż.

Milczał tak długo, że zaczęła wątpić, czy to dosłyszał. Kiedy zaryzykowała spojrzenie przez rzęsy, spostrzegła, że wpatruje się w nią z natężeniem. Jego orzechowe oczy niemal lśniły złotem.

Przez moment myślała, że ją pocałuje.

Miała na to nadzieję.

Zarumieniła się na samą myśl i pośpiesznie odwróciła wzrok, chowając twarz na jego piersi, zaciskając oczy i marząc, by ta chwila - i jej głupota - jak najszybciej odeszły w przeszłość.

Nie, wcale nie byłoby źle, gdyby się do niej zalecał.

Drogi M.

Dziś tylko parę słów, żeby Ci powiedzieć, że wszyscy o Tobie myślimy, a szczególnie ja. Pytałam ojca, czy nie moglibyśmy pojechać z wizytą do Eton. Oczywiście odpowiedział, że to nie wypada, bo nie jesteśmy rodziną. Co za bzdura. Zawsze uważałam Cię za członka rodziny, na równi z siostrami. Na pewno jesteś mi bliższy od cioci Hester.

W wakacje przyjedzie Tommy. Trzymam kciuki, żebyś i Ty mógł przyjechać.

Jak zawsze, P. Dwór Needham, maj 1816

Bez odpowiedzi.

Wieczorem w dniu swego ślubu Bourne wyszedł z domu dosłownie w chwilę po tym, jak wprowadził do niego swoją nowo poślubioną żonę. Pośpiesznie ruszył w stronę Upadłego Anioła.

Skłamałby, mówiąc, że nie czuł się źle, zostawiając ją bezdusznie w nowym domu, wśród nieznamym służby, w zupełnie obcym otoczeniu, ale musiał osiągnąć cel, i to jak najszybciej. Dla dobra wszystkich.

Zamierzał wydać za mąż obie panny Marbury, a potem dokonać zemsty.

Nie miał więc czasu dla nowo poślubionej żony.

Oczywiście, że nie miał czasu na te wszystkie ciepłe uśmiechy, błyskotliwe uwagi i wspominki o tym wszystkim, co utracił. O wszystkim, od czego się odwrócił.

W jego życiu nie było miejsca na takie rozmowy. Ani na zainteresowanie jej słowami. Ani na uznanie, że dobrze się czuje w jej towarzystwie, ani nawet na to, by zatroszczyć się o jej uczucia do sióstr czy o to, jak poradziła sobie z zerwanym wiele lat temu narzeczeństwem.

I zdecydowanie nie czuł żądzę mordy skierowanej przeciw mężczyźnie, który ją tak rozczarował i sprawił, że zwątpiła w siebie oraz swoją wartość.

Nieważne, że w każde Święta kładła kwiaty na grobach jego rodziców. Nieważne, jaki mężczyzna byłby dla niej odpowiedni.

Musiał koniecznie trzymać się od niej na dystans. Dystans pozwoli im ustawić jakoś to małżeństwo - on będzie mógł dalej prowadzić swoje życie, a ona zbuduje sobie własne. Razem doprowadzą do mariaży jej siostr, ale każde z innego powodu.

Zostawił ją więc senną, w pomiętej podróźnej sukni i ruszył do Anioła, starając się zignorować fakt, że zostawia oblubienicę samą w noc poślubną i że w piekle prawdopodobnie przygotowują za to dla niego dodatkowe tortury.

Cztery godziny w powozie, a on już zrobił się dla niej za miękki.

Westchnął głęboko, rozkoszując się zimnym, wilgotnym nocnym powietrzem, gęstym od styczniowej mgły. Energicznie przemierzał Mayfair, aż w końcu dotarł do Regent Street, gdzie w półmroku pakowali się ostatni sklepikarze; ich sylwetki wychylały się z mgły, gdy byli dosłownie na odległość ramienia. Nie odzywali się do niego, widać czuli instynktownie, że nie szuka towarów, jakie mają na zbyciu. Znikali we mgle równie szybko, jak się pojawiali, a Bourne dalej kierował się w stronę wielkiego kamiennego budynku u wylotu St. James.

Klub był jeszcze zamknięty; kiedy Michael wśliznął się wejściem dla właścicieli i znalazł w ogromnym kasynie, ucieszył się, że jest sam. Na ścianach paliły się lampy, tu i ówdzie kręciły się służące, kończąc sprzątanie - czyściły dywany, polerowały mosiężne oprawki lamp i odkurzały obrazy w bogatych ramach.

Bourne wyszedł na środek kasyna i stał tam przez dłuższą chwilę, ogarniając wzrokiem klub - miejsce, które przez ostatnich pięć lat było jego domem.

Zazwyczaj pojawiał się w Upadłym Aniele jako pierwszy z właścicieli. Bardzo lubił te chwile - ciszę panującą w klubie o tej porze, zanim przyjdą krupierzy i zaczną ważyć kości, sprawdzać, czy ruletki są dobrze naoliwione, a karty gładkie, i przygotowują to miejsce na ludzki tłum, który spadnie na nie jak szarańcza i wypełni kasyno okrzykami, śmiechem i gadaniną.

Lubił te chwile pustki i nieskończonych możliwości.

I pokus.

Sięgnął do kieszeni kamizelki, szukając talizmanu, który zawsze miał przy sobie, żeby mu przypominał, że to pokusa gromadzi tłumy przy tych stołach.

Że to pokusa doprowadziła go do ruiny. Nie ryzykuj, jeśli nie stać cię na przegraną.

Podszedł do stołu z ruletką, musnął palcami ciężką srebrną rączkę, zakręcił kołem. Kolory zlały się ze sobą, pomknęły dokoła, błysnęły luksusem. Sięgnął po kościaną kulkę, z którą wiązano tyle nadziei... i tyle ich tracono. Wyćwiczonym ruchem nadgarstka posłał kulkę w ruch, zachwycając się stuknięciem kości o metal i grzesznym dreszczem, o który go przyprawił.

- Czerwone - rozległ się szept, nieproszony i przenikliwy. I dobrze znany.

Odwrócił się, zanim koło zwolniło bieg, zanim siła przyciągania i Opatrzność osadziły kulkę w polu.

- Wróciłeś.

Po drugiej stronie kasyna, w otwartych drzwiach kantoru kasjerskiego rysowała się sylwetka Crossa, czwartego wspólnika w Upadłym Aniele. Zajmował się finansami klubu i rejestrował każdego pensa, który przeniknął do tego szatańskiego przybytku. Był genialnym rachmistrzem, ale nie wyglądał jak niezrównany mistrz finansów ani nie prowadził życia na odpowiedniej do tego stopie. Przerastał Michaela o dobrych kilka cali, był wyższy nawet od Temple'a. Ale Tempie był zbudowany potężnie jak stodoła, podczas gdy Cross, chudy i wysoki, składał się wyłącznie ze ścięgien i kości. Bourne bardzo rzadko widywał go przy jedzeniu, a sądząc po ciemnych kręgach pod oczyma, Cross nie spał co najmniej od dwóch dni.

- Wcześniej przyszedłeś.

Cross potarł ręką nieogolony podbródek.

- Właściwie późno - odpowiedział. Odsunął się, przepuszczając do kasyna piękną kobietę. Uśmiechnęła się do Bourne'a nieśmiało i osłoniła twarz wielkim kapturem płaszcza.

Bourne obserwował, jak wychodzi, niemal bezgłośnie otwierając drzwi. Potem spojrzał na swego wspólnika.

- Widzę, że się zaharowujesz. Tamten uniósł kącik ust w uśmiechu.

- Świetna z niej księgowa.

- Domyślam się.

- Nie spodziewaliśmy się ciebie tak szybko. Sam się nie spodziewałem, że zaraz wróci.

- Trochę mi się pozmieniało.

- Na dobre czy na złe?

Poczuł się nieswojo, bo zabrzmiało to jak niechciane echo przysięgi ślubnej, którą tak niedawno wypowiedział do Penelopy.

- Zależy jak na to spojrzeć.
- Rozumiem.
- Wątpię.
- Falconwell?
- Jest moje.
- Ożeniłeś się z dziewczyną?
- Tak jest.

Cross cicho gwizdnął. Bourne był dokładnie tego samego zdania.

- Gdzie jest? Za blisko.
- Tu, w Londynie.
- W twoim domu?
- A gdzie? Tu nie mogłem jej sprowadzić, to byłoby w złym guście. Cross umilkł na chwilę.

- Przyznam, że chętnie poznam kobietę, która zmierzyła się z perspektywą małżeństwa z zimnym, bezwzględnym twardzielem Bourne'em i nie uciekła gdzie pieprz rośnie.

Nie miała wyboru.

Na pewno nie zgodziłaby się na ten ślub, gdyby jej nie zmusił. Gdyby dał jej więcej czasu do zastanowienia. Był jej dokładnym przeciwieństwem - prostakiem i złoŹnikiem, bez szans powrotu do świata, w którym się urodził. W którym ona się urodziła.

Penelopa była doskonale obyta i wychowana, przygotowana do życia w tamtym świecie. Ale ten świat - hazardu, alkoholu, seksu i jeszcze gorszych rzeczy - śmiertelnie by ją przeraził. On sam, Bourne, przeraziłby ją jeszcze bardziej.

Jednak zażyczyła sobie, by go zwiedzić.

Pokaże jej wszystko.

Nie potrafił się oprzeć pokusie zdemoralizowania takiej kobiety. To było zbyt fascynujące. Zbyt rozkoszne.

Nie wiedziała, o co go poprosiła. Myślała, że przygoda to nocny spacer po lasach otaczających jej rodzinny dom. Wizyta w głównym kasynie Anioła o dowolnej porze nocy doprowadzi ją do ataku hysterii.

- Co się stało? - spytał Cross. Oparł się o ścianę i skrzyżował ramiona na piersi. - Powiedziałeś, że coś poszło nie tak.

- Zgodziłem się wydać za mąż jej siostry. Cross uniósł brwi.

- Ile tam tego jest?

- Dwie. Moim zdaniem, żaden problem. - Spojrzał w poważne oczy Crossa. - Uprzejmie cię informuję, że to była miłość od pierwszego wejrzenia. Wzięliśmy ślub dziś rano. Nie mogłem znieść ani chwili rozstania.

Cross w lot pochwyił sens tego kłamstwa.

- Ponieważ jesteście zakochani jak gołąbki.

- Tak jest.

- Dziś rano - powtórzył, smakując te słowa. Bourne odwrócił się, położył dłonie na stole do ruletki, przycisnął je mocno do zielonego sukna. Wiedział, co zaraz usłyszy.

- Zostawiłeś ją samą w noc poślubną.

- Tak jest.

- A co, ma końską twarz? Nie.

W przypiływie namiętności była cudowna. Chciał ją rzucić na łóżko i wziąć, żeby już zawsze należała do niego. Na samo wspomnienie jej ciała ocierającego się o niego w Falconwell musiał się poprawić, bo dopasowane spodnie nagle okazały się niewygodne.

Przysłonił twarz, wygłaszając następne kłamstwo.

- Muszę chwilę poćwiczyć na ringu z Temple'em.

- A jednak jest paskudna.

- Wcale nie.

- To może powinieneś jednak wrócić do domu i skonsumować związek z tą ślicznotką, którą tak gorąco kochasz. Bóg jeden wie, że to dużo przyjemniejsze niż pojedynek z Temple'em, który zamęczy cię na ringu.

Może na to zasłużyłem.

Bourne przez moment rozważał, czy nie powiedzieć tego głośno. Zabawiał się przewidywaniem, co by się stało, gdyby wrócił do domu, do swej niewinnej żony. Jak to by było znaleźć się z nią w łóżku i dopełnić dzieła, uczynić z niej swoją kobietę. Pokazać jej przygodę, o jakiej nawet nie śniła. Wyobraził sobie jedwabiste włosy wplątane w swój szorstki zarost, pełne usta rozchylone westchnieniem, gdy będzie gładził jej delikatną skórę, okrzyki rozkoszy, którą będzie ją darzył.

Cudowna, zmysłowa pokusa.

Ale ona nie poprzestanie na tych doświadczeniach.

Zażąda czegoś więcej. Więcej niż jest gotów jej dać.

Jego spojrzenie powróciło do ruletki; kościana kulka znalazła już swoje miejsce. Czarne. Naturalnie. Odwrócił się.

- Jest coś jeszcze.
- Jak zwykle.
- Zgodziłem się powrócić na łono socjety.
- Dobry Boże. Dlaczego?
- Trzeba wydać te siostry.

Cross zaklął, jednym wulgarnym słowem wyrażając całe swoje zdziwienie.

- Needham to wynegocjował? Genialny ruch.

Bourne nie przyznał się, że te warunki postawiła wpierw jego żona. I wymogła je z łatwością. Powiedział tylko:

- Ma informacje, które zrujnują Langforda. Cross szeroko otworzył oczy.
- Jakim cudem?
- Szukaliśmy w niewłaściwych miejscach.
- Jesteś pewny, że...
- To go zniszczy.
- I dostaniesz je, kiedy wydasz siostry?
- To nie potrwa długo, podobno jedna z nich jest już w drodze do ołtarza z

Castletonem.

Cross uniósł brwi.

- Castleton to idiota.

Bourne obojętnie wzruszył ramieniem.

- Nie będzie pierwszym arystokratą, który żeni się z kobietą mądrzejszą od siebie. I nie ostatnim.

- Wydałbyś za niego swoją siostrę?
- Nie mam siostry.
- Zdaje mi się, że teraz masz dwie.

Bourne dosłyszał krytykę w tych słowach i wiedział, o co chodzi jego partnerowi. Związek z Castletonem oznacza śmiertelnie nudne życie dla każdej kobiety, która ma choć trochę inteligencji.

Penelopa będzie wtedy nieszczęśliwa. „Nie łudzę się, że znajdą miłość. Ale przecież mogą być szczęśliwe, prawda?”

Odepchnął od siebie echo tych słów.

- Sprawa jest właściwie przesądzona. Posuwa mnie o krok bliżej do Langforda. Nie zamierzam się w to wtrącać. Poza tym, większość kobiet musi jakoś znosić swoich mężów.

Cross uniósł brew.

- Ale przyznaj, że małżeństwo z Castletonem to prawdziwa męka. Szczególnie dla młodej, pełnej nadziei damy. Powinieneś przedstawić ją komuś innemu. Jakiemuś myślącemu człowiekowi.

Bourne zrobił znaczącą minę.

- Masz na myśli siebie? Cross zmierzył go wzrokiem.

- Są lepsi ode mnie. *

- Dlaczego szukać kogoś innego, jeśli związek z Castletonem jest prawie przypieczętowany?

- Zimny drań z ciebie.

- Takie jest życie. - Bourne rzucił mu chłodne spojrzenie. - Może ty zmiękłeś.

- Może i tak, ale ty nie zmieniłeś się nawet na jotę. Bourne milczał, więc Cross dodał jeszcze:

. - Niektórzy przyjmą cię bez problemu, ale reszta, jeśli naprawdę chcesz wrócić do towarzystwa, zaakceptuje cię tylko z pomocą Chase'a. To jedyny sposób, by otworzyć wszystkie drzwi, które powinny was wpuścić.

Bourne skinął głową, wyprostował się, wziął głęboki oddech i starannie wygładził rękawy kaftana.

- W takim razie powinienem go poszukać. Popatrzył w szare oczy Crossa.

- A ty zacznij rozpuszczać pogłoskę... Tamten skinął głową.

- Że się zakochałeś.

Bourne zawahał się na moment, na jedno uderzenie serca, a potem przytaknął.

Cross natychmiast to zauważył.

- Musisz to lepiej odgrywać, jeśli chcesz, żeby ci uwierzono. Bourne odwrócił się, udając, że go nie dosłyszał, ale Cross zawołał za nim:

- Słuchaj, jeśli twoja zemsta zależy od udanego małżeństwa i od nieskazitelnej reputacji, to zatroszcz się o jedno i o drugie.

Bourne ściągnął brwi.

- O co ci chodzi?

Cross odpowiedział krzywym uśmiechem.

- Sugeruję, żebyś się postarał, bo dasz żonie powody do anulacji. Idź z nią do łóżka, Bourne. I to szybko.

Bourne nie zdążył odpowiedzieć, bo przy szerokich drzwiach wejściowych zapanowało jakieś zamieszanie, a potem ktoś uchylił jedno dębowe skrzydło.

- Nic mnie nie obchodzi, nie muszę nigdzie należeć. Proszę mnie wpuścić, bo jeśli zaraz z nim nie porozmawiam, to będę się na nim mścił przez całe życie... i zniszczę to miejsce.

Bourne i Cross spotkali się wzrokiem. Ten ostatni powiedział bez emocji:

- Zauważyłeś, że groźba jest zawsze taka sama? I zawsze pada z ust ludzi, którym brak możliwości, by ją wprowadzić w czyn?

- Czyżby twoja towarzyszka miała męża? Twarz Crossa skamieniała.

- Akurat w takie rzeczy się nie bawię.

- A więc to nie do ciebie.

Bourne podszedł do drzwi i otworzył je na oścież. Bruno i Asriel, dwaj strażnicy piekielnych wrót, przytrzymały jakiegoś mężczyznę twarzą do ściany. Był średniego wzrostu i postury.

- Witajcie, panowie - odezwał się, przeciągając słowa. - Co my tu mamy?

- Szukał pana - odpowiedział Asriel.

Na te słowa mężczyzna zaczął wyrywać się z całych sił.

- Bourne! Albo ze mną teraz porozmawiasz, albo spotkamy się o świcie. Poznał ten głos.

Tommy.

Od jego ostatniego spotkania z Tommym Allesem minęło dziewięć lat. Widzieli się tej nocy, gdy ojciec Tommy'ego zabrał z rozkoszą wszystko, co Michael miał. A Tommy wolał majątek - majątek Bourne'a - niż przyjaźń.

Dziewięć lat, a ta paląca zdrada wciąż mu dokuczała. Jak mógł odwrócić się wtedy plecami. Jak mógł zgodzić się na to, co zrobił jego ojciec?

- Sam nie wiesz, z jaką radością spotkałbym się z tobą o świcie w ustronnym zakątku - ostrzegł. - Na twoim miejscu nie śpieszyłbym się z takimi propozycjami.

Tommy odwrócił głowę od pokrytej zielonym suknem ściany, by na niego spojrzeć.

- Odwołaj swoje pieski.

Asriel głucho warknął, a Bruno uderzył ciałem Tommy'ego o ścianę. Ten jęknął, a Bourne poradził mu życzliwie:

- Pilnuj się lepiej, bo oni nie lubią niegrzecznych ludzi.

Któryś z wykidajłów podciągnął wyżej jego rękę wykręconą za plecami. Tommy skrzywił się i stęknął:

- To nie ich sprawa, tylko twoja.

Pewnie Needham powiedział mu o planach Bourne'a i o całej umowie. Nic innego nie zmusiłoby syna Langforda do spotkania twarzą w twarz z Bourne'em i jego gniewem.

- Nie ma tu tego, czego szukasz.

- Mam nadzieję, że jej tu nie wsadziłeś, do diaska. .Jej".

To jedno słowo wyjaśniło mu wszystko.

Tommy'ego guzik obchodził dokument Needhama. Pewnie nawet nie wiedział o jego istnieniu. Przyjechał po Penelopę. I po Falconwell.

- Puśćcie go.

Tommy naciągnął na ramiona płaszcz i rzucił pełne pogardy spojrzenie strażnikom.

- Dziękuję - odpowiedział.

Bruno i Asriel odstąpili o krok, ale nie odeszli, gotowi w razie potrzeby skoczyć na pomoc swemu chlebodawcy. Tommy spojrział zmrużonymi oczyma na Bourne'a. Ten zaś oznajmił:

- Powiem krótko i wężłowato. Dziś rano ożeniłem się z Penelopą i Falconwell jest moje. Ani ty, ani twój ojciec nie postawicie tam więcej nogi, bo każę was aresztować za wejście na cudzy teren.

Tommy otarł dłonią spuchniętą wargę i zaśmiał się suchym, niewesołym śmiechem.

- Myślisz, że nie wiedziałem, że przyjedziesz? Byłem pewny, że zrobisz wszystko, żeby odzyskać Falconwell, gdy tylko ojciec wypuści je z rąk. Jak myślisz, dlaczego chciałem się z nią ożenić, zanim ty ją dopadniesz?

Słowa zabrzmiały echem w przedśionku. Bourne ucieszył się, że półmrok ukrył jego zaskoczenie.

To Tommy był jej narzeczonym.

Oczywiście, powinien to przewidzieć. Domyślić się, że Tommy wciąż przebywał w tych samych kręgach, co ona. Że miał oko na Falconwell od chwili, gdy przestało należeć do jego dziedzicznych dóbr.

Więc oświadczył się jej, a ta idiotka go przyjęła, myśląc, że go kocha, swojego przyjaciela z dawnych lat. Przecież wszystkie głupie dzierlatki marzą o ślubie z przyjacielem z dzieciństwa. Z dobrze znanym towarzyszem codziennych zabaw, z bezpiecznym przyjacielem, który niczego nie żąda, poza dobrym humorem.

- Tatko dalej cię trzyma na krótkiej smyczy, Tom? Musisz się żenić z dziewczyną, żeby zapewnić sobie majątek? I to mój majątek?

- Nie należy do ciebie już od dziesięciu lat - wycedził Tommy. - Nie zasługujesz na niego. Na nią też nie.

Nagle uderzyło go wspomnienie. Płynęli w trójkę - on, Tommy i Penelopa - łódką przez jezioro w Falconwell. Tommy stanął w niebezpiecznej pozycji przy sterze, błaznując, że jest sławnym wilkiem morskim. Penelopa zaśmiewała się serdecznie, a jej blond włosy lśniły złotem w popołudniowym słońcu. Patrzyła tylko na Tommy'ego.

Nie spuszczać z niej oka, Bourne chwycił burty łódki, zakołysał nią raz, drugi i trzeci, aż Tommy stracił równowagę, wrzasnął i wpadł do wody.

„Tommy!” - wykrzyknęła Penelopa i rzuciła się do burty. Tommy wypłynął na powierzchnię, śmiejąc się i parszcząc wodą. Odwróciła się ku Bourne'owi, rzuciła mu karcące spojrzenie, ale nie odezwała się ani słowem.

Odsunął od siebie wspomnienie i wrócił do rzeczywistości, by znowu zachwiać światem Tommy'ego. Powinien się cieszyć, że znowu mu coś odebrał. Ale wcale nie czuł zadowolenia, tylko dziki gniew.

Gniew o to, że mało brakowało, a Tommy znowu by dostał to, co należało do Bourne'a. Falconwell. Penelopę. Zmrużył oczy.

- Tak czy owak, posiadłość i ręka damy należą już do mnie. Spóźniliście się razem z ojcem.

Tommy podszedł do niego i wyprostował się tak, że byli równego wzrostu.

- To nie ma nic wspólnego z Langfordem.

- Nie oszukuj się. To ma z nim bardzo wiele wspólnego. Myślisz, że nie przewidział, że spróbuję przejąć Falconwell, gdy tylko wpadło w ręce Needhama? Oczywiście, że przewidział. Poza tym, dobrze wie, że nie spocznę, póki go nie zrujnuję.

Przerwał na moment, spoglądając na mężczyznę, którego kiedyś nazywał przyjacielem.

- I ciebie przy okazji - dodał.

W spojrzeniu Tommy'ego błysnął cień zrozumienia.

- Nie wątpię, że będziesz się tym rozkoszował. Podobnie jak zniszczeniem jej.

Bourne skrzyżował ramiona na piersi.

- Moje cele są jasne. Falconwell i zemsta na twoim ojcu. Co za szkoda, że na drodze stoicie ty i Penelopa.

- Nie pozwolę ci jej skrzywdzić.

- Co za szlachetność. I co, zamierzasz ją odebrać? Jak Ginewrę, bo ci się zdaje, że jesteś Lancelotem? Myślisz, że on także był z nieprawego łoża?

Tommy znieruchomiał na te słowa.

- A więc takie są twoje plany: zniszczyć mojego ojca, niszcząc mnie. Bourne uniósł brew.

- Jego dziedzictwo za moje. Jego syn za syna mojego ojca.

- Masz zawodną pamięć, jeśli uważasz, że kiedykolwiek traktował mnie jak syna.

W jego słowach dźwięczała prawda. Jak sięgnąć pamięcią, Langford nigdy nie miał dobrego słowa dla Tommy'ego. Był zimny i nieczuły. Bourne'a już to nie obchodziło.

- Nieważne, co on czuje. Ważne, co myśli świat. Bez ciebie stary będzie nikim.

Tommy zakołysał się na obcasie i zacisnął zęby, tak samo jak ten chłopiec sprzed wielu lat.

- Ty jesteś łajdakiem, ja dżentelmenem. Nikt ci nie uwierzy.

- Uwierzą, jeśli pokażę dowody. Tommy się nachmurzył.

- Nie ma żadnych dowodów. Bourne znowu uniósł brew.

- Niedługo sam się przekonasz.

Tommy jeszcze mocniej zacisnął szczęki i ruszył do przodu; gniew popchnął go do ataku na Bourne'a, który sprawnie uniknął ciosu, zanim Bruno wychynął z ciemności, by powstrzymać nieuniknioną walkę. Obaj spoglądali na siebie znad potężnych bicepsów osiłka.

- Czego ode mnie chcesz? - spytał Tommy.

- Nie masz niczego, co się dla mnie liczy. - Bourne umilkł, by jego słowa dobrze wbiły się w pamięć przeciwnikowi. - Mam już Falconwell, zemstę i Penelopę. A ty nie masz niczego.

- Była moja, zanim ją zabrałeś - odparł Tommy ze złością. - Przez te wszystkie długie lata bez ciebie... cały ten czas byliśmy razem. A kiedy się przekona, kim jesteś... kim się stałeś... znowu do mnie wróci.

Bourne był wściekły, że Tommy i Penelopa pozostali w przyjaźni, kiedy on wszystko stracił i nie mógł wrócić do Surrey, by zająć należne mu miejsce w trzecim kącie tego trójkąta.

- Odważny jesteś, że mi grozisz - rzucił, a potem spojrzał na Brunona. - Pokaż mu drzwi.

Tommy wyrwał się z objęć potężnego strażnika.

- Sam trafię - warknął i poszedł ku drzwiom wyjściowym. Zatrzymał się na moment, a potem odwrócił się i zmierzył Bourne'a wzrokiem.

- Odwieź ją do Surrey, Michaelu. Zostaw ją w spokoju. Zanim ją zniszczysz gniewem i mściwością.

Chciał zaprzeczyć, ale nie był przecież głupi. Oczywiście, że ją zniszczy. Zawsze to robił.

- Na twoim miejscu mniej martwiłbym się o moją żonę, a bardziej o ochronę swojego imienia. Bo kiedy skończę z twoim ojcem, nie będziesz się mógł pokazać w Londynie.

Kiedy Tommy odpowiedział, w jego głosie zabrzmiała stal. Michael nie pamiętał go takim z dzieciństwa.

- Nie oszukuję się, że ochronię siebie przed skandalem, jaki zamierzasz wywołać, ale zrobię wszystko, co w mojej mocy, by cię pokonać i ochronić Penelopę. Przypomnieć jej, że był taki czas, gdy jej przyjaciele zrobiliby wszystko, żeby nie stała jej się krzywda.

Bourne uniósł brew.

- Chyba już przegrałeś na tym polu, prawda?

Na twarzy Tommy'ego pojawił się na moment smutek, zdradzający jego uczucia.

- To prawda. Ale nie miałem występować w tej roli.

Gdyby Bourne chciał, jego następne słowa zabrzmiałyby okrutnie. Ale postanowił być tylko złośliwy.

- Nic się nie martw, Tom, przynajmniej nie znajdzie się w środku skandalu, gdy przekażę twoją historię gazetom.

Tommy odwrócił się, znalazł Bourne'a wzrokiem w ciemności, rzucił mu spojrzenie, w którym malowało się zrozumienie całej sytuacji, i wycedził na pożegnanie:

- To prawda, będzie od tego daleko... pewnie wtedy właśnie pożałuje, że za ciebie wyszła. Możesz być o to spokojny.

Rzeczywiście, nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości.

Ciężkie drzwi zamknęły się za nieproszonym gościem, a Bourne odwrócił się od tego dźwięku, przepełniony gniewem, irytacją i czymś jeszcze - uczuciem, którego wolał nie określać słowami.

9

Drogi M.

Piszę do Ciebie z powozu, w którym spędziłam sześć ostatnich dni ze wszystkimi czterema siostrami i matką. Powoli toczymy się na północ z wizytą do ciotki Hester (którą pamiętasz z mojego ostatniego listu). Nie mam pojęcia, co opętało Rzymian i kazało im maszerować na północ, a potem budować mur Hadriana. Pewnie nie mieli sióstr, bo w przeciwnym wypadku daliby sobie spokój już w Toskanii.

Uparcie twoja P.

Gdzieś na Wielkim Północnym Trakcie, czerwiec 1816

Bez odpowiedzi. Zostawił ją samą.

Penelopa dopiero po kilku chwilach zorientowała się, co się stało. Tkwiła samotnie w przedsionku londyńskiego domu Michaela, w towarzystwie kilku stosów bagażu.

Zostawił ją, rzucając po prostu zwykłe „do widzenia”.

Wpatrywała się w potężne dębowe drzwi, przez które wyszedł. Zajęło to nieco dłużej, niż chciałaby to przyznać. W głowie wirowały jej myśli.

Po pierwsze, zostawił ją samą.

W swoim londyńskim domu. Nawet nie przedstawił jej służbie. Nie byli razem w noc poślubną.

Choć akurat nad tym wolałaby się przesadnie nie zastanawiać.

Zamiast tego skupiła się na tym, że stoi tu jak głupia w przedpokoju i za całe towarzystwo ma jakiś dwóch smarkatych lokajów, niepewnych, co się robi w takich przypadkach. Nie wiedziała, czy ma się cieszyć z faktu, że wyraźnie nie wiedzą, jak sobie radzić z młodymi, samotnymi damami w tym domu, czy też złościć, że nie zaprosili jej do salonu na czas przygotowywania dla niej pokoi.

Zmusiła się do uśmiechu i powiedziała do starszego - nie miał chyba nawet piętnastu lat:

- Czy w tym domu jest jakaś gospodyni?

Na twarzy chłopca odmalowała się ulga; trochę mu jej pozazdrościła. Sama nie wiedziała, co się robi w takich sytuacjach.

- Tak, milady - wykrztusił.

- Świetnie. To może byś ją przyprowadził? Lokaj skłonił się raz i drugi. Wyraźnie się starał.

- Tak jest, milady. Jak pani sobie życzy - wymamrotał i zniknął w jednej chwili, zostawiając swego kompana, który z minuty na minutę czuł się coraz bardziej niepewnie.

Doskonale to знаła.

Pomimo własnej niepewności, nie zamierzała dłużej dręczyć nieszczęsnego chłopca.

- Nie musisz tu stać - powiedziała z miłym uśmiechem. - Gospodyni pewnie zaraz się zjawi.

Lokaj - szczerze mówiąc o wiele za młody do tej roli - mruknął coś pod nosem i wymknął się natychmiast.

Penelopa westchnęła głęboko i zaczęła się rozglądać po holu wejściowym, całym w marmurach i pozłocie, modnym i bardzo kosztownym. Wszystko to było nieco zbyt ekstrawaganckie jak na jej gust, ale rozumiała, dlaczego tak jest.

Wprawdzie Michael stracił wszystko w tej niesławnej grze w karty, ale odzyskał dwadzieścia razy tyle i każdy, kto tu wchodził, musiał to widzieć.

Ścisnęło ją w piersi na myśl, że młody markiz musiał tak ciężko walczyć, by odzyskać majątek. Ile to musiało kosztować siły... ile zaangażowania.

Szkoda, że nie zaangażował się tak mocno w opiekę nad żoną.

Odsunęła od siebie tę myśl i przyjrzała się swemu potężnemu podróżnemu kufrowi, który przyjechał równo z nimi. Jeśli nie zamierzają przydzielić jej pokoi, powinna zadomowić się gdziekolwiek. Rozpięła podróż-

ny płaszcz i usiadła na kufrze, zastanawiając się, czy każą jej zamieszkać w tym przedpokoju.

Gdzieś w głębi domu zaczął się ruch... jakieś gorączkowe szepty i pośpieszne kroki. Penelopa się uśmiechnęła. Zdaje się, że nikogo ze służby nie poinformowano o tym, że ich pan się ożenił. Pewnie nie powinno jej to dziwić... dwa dni temu ona też nie wiedziała, że wkrótce zostanie mężatką.

Zachowanie męża coraz bardziej ją denerwowało. Mógł poświęcić przynajmniej kilka chwil, by ją przedstawić gospodyni, i dopiero potem zająć się swoimi niecierpiącymi zwłoki sprawami. Które musiał załatwiać w dzień swego ślubu.

Westchnęła i zdziwiła się, ile w tym dźwięku było zniecierpliwienia i irytacji. A przecież damy nie okazują tego typu emocji.

Mogła mieć tylko nadzieję, że ta zasada jest swobodniej interpretowana w przypadku dam, które poślubiły wykolejonego arystokratę.

Niewątpliwie damie, która siedziała w przedpokoju swego nowego domu, czekając, żeby ją zaproszono do jakiegokolwiek pokoju, należało się nieco zrozumienia.

Oglądała wnętrze swojej rękawiczki, zastanawiając się, jak zareagowałby Michael, gdyby wrócił za kilka godzin i zastał ją siedzącą na kufrze, czekającą na niego w przedpokoju, tam gdzie ją zostawił. Zaśmiała się, wyobrażając sobie, jaki byłby zaskoczony.

Może byłoby warto. Poruszyła się, nie dbając o ból pleców.

Markizy nie powinny zaprzętać sobie uwagi takimi błahostkami, jak bolące plecy.

- Milady?

Penelopa skoczyła na równe nogi i odwróciła się w stronę, z której dobiegał głos, wyrażający zaciekawienie, ale pełen rezerwy.

Nigdy w życiu nie widziała tak pięknej kobiety.

Nieważne, że miała na sobie prosty, typowy strój brytyjskiej gospodyni i że jej intensywnie rude włosy były ściągnięte w skromny kok. Miała ogromne, cudownie błękitne oczy, świetną sylwetkę i była po prostu doskonała.

Jakby zeszła z obrazu jakiegoś Holendra.

Penelopa nigdy w życiu nie widziała takiej służącej.

Ona cały czas mieszkała w domu Michaela.

- Ja... - zaczęła, ale zaraz przerwała, uświadamiając sobie, że się na nią gapi. Pokręciła głową. - Tak?

Gospodyni nie dała po sobie poznać, że zauważyła jej dziwne zachowanie. Podeszła o krok i dygnęła.

- Przepraszam, że nie powitałam pani od razu po przyjeździe. Ale my... - teraz z kolei ona przerwała.

„...nie spodziewaliśmy się pani”.

Penelopa dobrze wiedziała, co tamta chciała powiedzieć.

Gospodyni podjęła temat:

- Bourne nic nie... Bourne.

Nie „lord Bourne”. Po prostu Bourne.

Zapłonęło w niej nowe, nieznane potężne uczucie. Zazdrość.

- Rozumiem. Lord Bourne był bardzo zajęty przez ostatnich kilka dni. - Podkreśliła tytuł i zauważyła, że tamta pojęła. - Jesteś tu gospodynią, prawda?

Ślicznotka uśmiechnęła się skromnie i znowu dygnęła.

- Jestem pani Worth. A więc jest mężatką.

Penelopa odetchnęła głęboko. Nie wiedziała, że wstrzymuje oddech.

- Chciałaby pani obejrzeć dom? Czy najpierw porozmawiać ze służbą? - Pani Worth zawahała się nieco.

- Przede wszystkim chciałabym obejrzeć swoje pokoje - odpowiedziała Penelopa, litując się nad gospodynią, która wyraźnie była zaskoczona decyzją swego pana, co najmniej tak samo jak jego nowa małżonka. - Przez cały dzień byliśmy w drodze.

- Naturalnie - odpowiedziała pani Worth i poprowadziła ją ku szerokim schodom, prowadzącym do pokoiów na górze.

- Chłopcy zaraz przyniosą pani kufry.

Wchodząc po schodach, Penelopa uległa ciekawości i spytała:

- Czy pani mąż również pracuje u lorda Bourne?

Zapadła długa chwila ciszy, a potem kobieta skwitowała krótko:

- Nie, milady.

Penelopa wiedziała, że nie powinna się dopytywać, ale nie wytrzymała.

- To może tu gdzieś blisko? Znowu milczenie.

- Mojego męża nie ma już wśród nas.

- Przykro mi. - Penelopa tylko na tyle mogła się zdobyć.

- Bez przesady. Ja go nie żałuję - odparła pani Worth, rzucając jej spokojne spojrzenie.

Penelopa szeroko otworzyła oczy na tę nieoczekiwaną odpowiedź, ale gospodyni już się odwróciła, spokojnie otwierając drzwi do tonącej w półmroku sypialni.

Może się przesłyszałam?

- Zaraz rozpalimy ogień, milady. - Pani Worth ruszyła naprzód zdecydowanym krokiem i pozapalała świece, których blask rozjaśnił przytulną, bogato urządzone sypialnię, w uroczej, błękitnozielonej tonacji. - Zaraz przygotuję tacę. Na pewno jest pani głodna - powiedziała pani Worth, odwracając się do Penelopy, gdy tylko oświetliła pokój. - Nie ma u nas pokojówki, ale ja chętnie... - umilkła, nie kończąc zdania.

Penelopa pokręciła szybko głową.

- Moja pokojówka pewnie zaraz nadjedzie.

Na twarzy kobiety odmalowała się ulga. Pochyliła głowę w geście akceptacji. Penelopa bacznie ją obserwowała, zafascynowana tą ślicznotką, która z jednej strony zachowywała się jak wzorowa służąca, a z drugiej wcale nie wyglądała na kogoś ze służby.

- Od jak dawna pani tu pracuje?

Pani Worth poderwała głowę i spojrzała jej prosto w oczy.

- U Bou... - przerwała i poprawiła się natychmiast: - .. u lorda Bourne? Penelopa skinęła głową.

- Dwa lata.

- Jest pani... bardzo młoda jak na gospodynię. W spojrzeniu kobiety pojawiła się ostrożność.

- Miałam szczęście, że lord Bourne znalazł tu dla mnie miejsce.

W głowie Penelopy zawirowały dziesiątki pytań i z trudem zmusiła się, by ich nie zadać. Kim była ta piękna kobieta? Jak to się stało, że zamieszkała u Michaela?

Ale to nie był dobry moment, pomimo przemożnej ciekawości.

Zamiast tego, podniosła rękę i odpięła kapelusz, a potem położyła go na toalecie. Odwróciła się i odesłała gospodynię.

- Wspaniale, czekam zatem na kolację i kufry. I poproszę też o kąpiel. Pani Worth dygnęła.

- Jak pani sobie życzy, milady.

Wyszła pośpiesznie, zostawiając swoją nową panią samą.

Penelopa wzięła głęboki oddech, zmuszając się, by zachować spokój. Obróciła się dookoła, oglądając pokój. Był piękny i dostatni; na ścianach widniały jedwabie i wspaniały, wielki kobierzec, prawdopodobnie rodem

z Dalekiego Wschodu. Obrazy były w dobrym guście, a meble mistrzowsko wytoczone. Wszędzie paliły się świece, ale w powietrzu czuć było chłód i zapach dymu - widome oznaki nieprzygotowania na wizytę gościa.

Podeszła do umywalni ustawionej przy oknie wychodzącym na przestronny, oryginalnie urządzony ogród, nalała wody do miski i zanurzyła dłonie w białej porcelanie, patrząc, jak płyn zniekształca ich barwę i kształt. Wyglądały jak bezwładne istoty. Wzięła głęboki oddech i skupiła się na uczuciu chłodu i świeżości.

Ktoś otworzył drzwi. Penelopa odskoczyła od umywalni, o mało jej nie przewracając. Woda chlapnęła na dywan. Za nią stała dziewczynka -trzynasto-, a może czternastoletnia. Dygnęła pośpiesznie.

- Przyszłam napalić w kominku, milady.

Penelopa obserwowała, jak dziewczynka kuca przy palenisku, trzymając w ręku rozpałkę. Przypomniała sobie Michaela w tej samej sytuacji w Falcon-well -mniej niż tydzień temu. Płomienie zaczęły lizać rozpałkę, a policzki Penelopy oblało gorąco na myśl o tym, co zdarzyło się później... wieczorem. .. i następnego dnia rano. Poczula ukłucie żalu, że go teraz tu nie ma.

Dziewczynka wstała i zapytała, z grzecznie pochyloną głową:

- Czy pani czegoś jeszcze potrzebuje? Kolejny przyпіływ ciekawości.

- Jak masz na imię? Dziewczynka poderwała głowę do góry.

- J- ja?

Penelopa uśmiechnęła się ciepło.

- Powiedz mi, proszę.

- Alicja.

- Ile masz lat, Alicjo? Dziewczynka znowu dygnęła.

- Czternaście, milady.

- A jak długo tu już pracujesz?

- W Piekielnym Domu, proszę pani? Penelopa szeroko otworzyła oczy.

- To jest Piekielny Dom? Dobry Boże.

- Tak, proszę pani - odparła pokojówka, jakby nazwa była zupełnie normalna.

- Od trzech lat. Musieliśmy iść z bratem do pracy, kiedy nasi rodzice... - zamilkła, ale Penelopa bez trudu odgadła resztę.

- Twój brat też tu pracuje?

- Tak, proszę pani. Jest lokajem. Pewnie któryś z tych małych lokajów.
Pokojówka wyglądała na przestraszoną.

- Czy mogę jeszcze pani jakoś pomóc? Penelopa pokręciła głową.

- Dzisiaj już nie, Alicjo.

- Dziękuję pani.

Dziewczynka ruszyła ku drzwiom i była już blisko upragnionej wolności, kiedy Penelopa zawołała ją znowu:

- Jeszcze jedno!

Dziewczynka odwróciła się, patrząc na nią z wyczekiwaniem szeroko otwartymi oczyma.

- Czy możesz mi powiedzieć, gdzie jest sypialnia pana?

- Znaczący, pokoje Bourne'a ? Ona też nazywa go Bourne'em.

- Właśnie.

- My zwykle wchodzimy przez sąsiednie drzwi w korytarzu, ale pani ma drzwi wprost do niego - odpowiedziała Alicja, wskazując na drzwi po przeciwnej stronie, przysłonięte parawanem.

Drzwi wprost do niego. Serce Penelopy zabiło mocniej.

- Dziękuję.

Oczywiście, przecież ona musi mieć bezpośrednie przejście do jego sypialni.

Przecież to jej mąż.

Może będzie z niego korzystał.

Przeszył ją dreszcz, ale nie wiedziała dlaczego. Może ze strachu. Albo z podniecenia. Z emocji.

- Na pewno nie będzie mu tu pani przeszkadzała, milady. Nie byłabym tego aż tak pewna.

Penelopa znowu poczuła rumieniec na policzkach.

- Na pewno - odparła.

- Dobranoc, milady.

- Dobranoc, Alicjo.

Dziewczynka wyszła, a Penelopa zaczęła przyglądać się tamtym drzwiom, nieznośnie ciekawa tego, co się za nimi kryło. Ciekawość dręczyła

ją, gdy wnoszono kufry, a potem kolację - prosty, ale dostatni posiłek, na który składały się świeże pieczywo, ser, podsmażona szynka i smakowity, pikantny chutney. Dręczyła ją podczas jedzenia i gdy pokojówka, która w końcu nadjechała, rozpakowywała najważniejsze sztuki odzieży, i gdy chłopcy, którzy przynieśli kufry, napełniali potem jej wannę, podczas kąpieli, suszenia się, ubierania i pisania listu do kuzynki Catherine.

Dopiero kiedy zegar wybił północ i Penelopa zrozumiała, że właśnie minął dzień jej ślubu - i nocy poślubnej, ciekawość ustąpiła miejsca rozczarowaniu.

A potem irytacji. Znowu spojrzała na drzwi. Ze złością i niejakim skrepowaniem wpatrywała się w twarde mahoń. A potem w jednej sekundzie podjęła decyzję.

Podeszła do drzwi, otworzyła je na oścież i spojrzała w ciemność. Służba wiedziała, że nie wrócił wieczorem, w przeciwnym razie rozpaliliby ogień.

Ona jedna na niego czekała. Ona jedna myślała, że tej poślubnej nocy coś się może jeszcze wydarzyć. Głupia Penelopa. Wcale nie chciał się z nią żenić.

Musiał to zrobić, żeby odzyskać Falconwell. Dlaczego tak trudno jej było się z tym pogodzić? Przełknęła wielką kulę w gardle, wzięła głęboki oddech. Nie będzie płakać. Nie dziś. Nie w tym nowym domu pełnym ciekawskiej służby. Nie w pierwszą noc po ślubie.

Nie w pierwszą noc nowego życia.

W pierwszą noc w roli markizy Bourne, dysponującej sporą wolnością dzięki temu tytułowi.

Nie, nie będzie płakać. Zamiast tego, poszuka przygody. Choćby małej.

Wzięła ze stołu duży lichtarz i weszła do pokoju, a potem, skąpiana w kałuży złotego blasku, zaczęła się rozglądać. Wzdłuż długiej ściany stały półki wypchane książkami, a przy marmurowym kominku czekały dwa wygodne fotele. Zatrzymała się przy nich, przyglądając się ogromnemu obrazowi wiszącemu nad kominkiem. Podniosła świecę, żeby obejrzeć szczegóły namalowanego krajobrazu.

Rozpoznała go bez trudu.

To było Falconwell.

Nie dom, ale jego okolica. Łagodne wzgórza, które schodziły do cudownego, migotliwego jeziora na zachodniej granicy tej wspaniałej posiadłości - prawdziwego klejnotu Surrey.

Kiedyś był jego dziedzictwem.

Budził się i spoglądał na Falconwell.

Naturalnie w te noce, które spędzał we własnym pokoju.

Ta ostatnia myśl zgasła wszelkie współczucie. Odwróciła się na pięcie jak fryga, zła i rozczarowana. Blask świecy padł na ogromne łóżko - największe, jakie w życiu widziała. Westchnęła na ten widok: w czterech rogach wznosiły się ogromne dębowe kolumny, każda cudownie rzeźbiona, a opierający się na nich baldachim był wysoki chyba na sześć stóp, a może więcej. Welwetowe zasłony były koloru wytrawnego wina i północy; nie mogła się powstrzymać i pogładziła ich miękkie fałdy.

Co za ekstrawaganckie, luksusowe łożo.

I jakie porażająco męskie.

Na tę myśl odwróciła się, by obejrzeć resztę pokoju. Blask świecy wydobył z mroku lśniąca, kryształową karafkę napełnioną ciemnym płynem. Obok stały dwie szklanki.

Ciekawe, jak często Michael nalewał sobie łyk scotcha, a potem sączył go w tym ogromnym łożu. Ciekawe, jak często podawał drugą szklankę gościowi.

Myśl o innej kobiecie w łóżu Michaela - brunetce o posągowych kształtach, równie pięknej i odważnej jak on - doprowadziła Penelopę do szału. Zostawił ją samą w domu, w pierwszą noc po ślubie. I poszedł pić scotcha z tą mroczną boginią. Nieważne, że nie miała na to żadnego dowodu. I tak była wściekła.

Czy ta rozmowa w powozie nic dla niego nie znaczyła? Jak mają udowodnić londyńskiej socjecie, że to udawane małżeństwo wcale nie było skandaliczne, jeśli on z miejsca popędził na igraszki z... z... motylami nocy?

Co ja mam ze sobą robić, kiedy on będzie wiódł to łajdackie, libertyńskie życie?

Siedzieć z tamborkiem do haftu i czekać, aż mąż zaszczyci mnie swym towarzystwem? O nie.

Na pewno nie.

- Nic z tych rzeczy - oświadczyła cicho i triumfalnie, jakby głośno wypowiedziane słowa miały moc przysięgi. Może rzeczywiście miały.

Znowu spojrzała na karafkę, na głębokie nacięcia kryształu, szeroką podstawę, przydatną, by utrzymać naczynie w pionie podczas dalekomorskich rejsów. Naturalnie, w takim męskim pokoju musi być kapitańska karafka. To gniazdo, uwite z adamaszków i grzechu, jest godne każdego szanującego się pirata.

Świetnie. W takim razie pokażemy mu, jak to jest na pełnym morzu.

Nie zastanawiając się dłużej, odstawiła lichterz, sięgnęła po karafkę i nalała sobie bynajmniej nie damską porcję scotcha.

Szczerze mówiąc, właściwie nie miała pojęcia, ile scotcha może wypić porządna kobieta.

Z perwersyjnym zadowoleniem obserwowała, jak bursztynowy płyn mieni się w nacięciach kryształu, a potem prychnęła pogardliwie na myśl, co pomyślałby sobie jej mąż, gdyby właśnie wrócił do domu: oto jego żona, którą zawrócił z drogi ku staropanieństwu, siedzi sobie z pełną szklanicą whisky.

Pełną przyszłości. Pełną przygody.

Uśmiechając się szeroko, Penelopa przepiła do samej siebie w lustrze wiszącym nad karafką. Pociągnęła solidny łyk. I o mało nie umarła.

Nie była gotowa na żar, który palił jej gardło i spłynął do żołądka. Zrobiło jej się niedobrze, ale opanowała się szybko.

- Faj! - wykrzyknęła w ciszy pokoju. Spojrzała w głąb szklanki, zastanawiając się, dlaczego ktokolwiek, a w szczególności najwięksi brytyjscy bogacze, z własnej, nieprzymuszonej woli, miałby pić te gorzkie, pachnące wędzarnią pomyje. Smakowały jak płynny ogień. Ogień i drewniane wióry.

Co za obrzydlistwo.

Ta przygoda nie zapowiadała się zbyt obiecująco. Zebrało się jej na wymioty.

Przysiadła na brzegu komody, pochyliła się i nagle przyszło jej na myśl, że wyrzuciła sobie jakąś poważną, nieodwracalną krzywdę. Wzięła kilka głębokich oddechów i żar zaczął przygasać, pozostawiając leniwe, zachęcające ciepło.

Wyprostowała się.

Jednak nie było z nią tak źle.

Wstała, wzięła lichterz i ruszyła w stronę półek. Przechyliła głowę, by łatwiej jej było odczytywać tytuły oprawnych w skórę książek, które niemal wylewały się z półek. Dziwne, że Michael miał taką bibliotekę. Nie wyobrażała go sobie usadowionego wygodnie na tyle długo, by zdążyć coś przeczytać. Ale lektur do wyboru miał bardzo dużo - Homer, Szekspir, Chaucer, jakieś niemieckie książki o rolnictwie, cała półka biografii brytyjskich królów. I herbarz Debretta.

Pogładziła palcami pozłacane litery tomu, zawierającego pełną historię arystokracji w Brytanii. Grzbiet był wytarty od częstego używania. Jak na kogoś, kto z radością opuścił szeregi socjety, Michael aż nazbyt często używał tego tomu.

Wyciągnęła książkę z półki, pogładziła dłonią skórzaną oprawę i otworzyła na chybił trafił. Tom otworzył się na często używanej stronie.

Markizowie Bourne.

Penelopa przesunęła palcami po długim szeregu nazwisk osób, piastujących ten tytuł przed Michaeliem. Do tej pory. Aha, jest.

„Michael Henry Stephen, dziesiąty markiz Bourne, drugi hrabia Arran, urodzony w 1801 roku. W 1816 roku odziedziczył tytuł markiza Bourne, dla siebie i wszystkich swoich potomków płci męskiej”.

Mógł sobie do woli udawać, że tytuł go nie obchodzi... ale czuł się z nim tak czy inaczej związany, bo w przeciwnym wypadku nie kartkowałby bez przerwy tej książki. Ogarnęło ją miłe uczucie na myśl, że po prostu nie przyznawał się do tego, jak często rozmyślał o czasach spędzonych w Surrey, o swoich ziemiach, o dzieciństwie i o małej Penelopie.

Może wcale o niej nie zapomniał - tak jak ona nie zapomniała o nim.

Przesunęła wskazującym palcem po linijce tekstu. „I wszystkich swoich potomków płci męskiej”. Wyobraziła sobie grupkę długonogich, ciemnowłosych chłopców z dołeczkami w policzkach, w nieporządnym letnim ubrankach.

Grupkę małych Michaelów.

Jej męskich potomków.

Pod warunkiem że on w końcu przyjdzie do domu. Odstawiła książkę na półkę i zbliżyła się do łóżka, żeby lepiej się przyjrzeć temu ogromnemu meblowi; obejrzała ciemnoczerwoną narzutę,

zastanawiając się, czy jest aksamitna i czy z tego samego materiału, co zasłony. Odstawiła lichtarz na podłogę i wyciągnęła rękę, żeby dotknąć łóżka. Poczuła pod palcami miejsce, gdzie sypiał.

Narzuta nie była aksamitna.

Była futrzana.

Z miękkiego, cudownego futra. To chyba oczywiste.

Pogładziła dłonią tkaninę i przez jedną, przelotną chwilę wyobraziła sobie ich oboje razem w tym łóżku. Otula ich tylko mrok i to futro.

Był łajdakiem i opryszkiem, a podziwianie jego łóżka samo w sobie było przygodą.

Miękkie futro kusiło, zachęcało, by na nim usiadła i poczuła jego ciepło i całą tę atmosferę. Ledwie pojawiła się ta myśl, jej ciało już ruszyło do przodu. Upuściła szklankę na podłogę i wspięła się na łożo jak dziecko, które zdobywa kolejne półki w spiżarni, poszukując ulubionych ciasteczek.

Nigdy w życiu nie dotykała czegoś tak miękkiego i luksusowego.

Przewróciła się na plecy, szeroko rozłożyła ręce i nogi, ciesząc się pieśczołą futra i piór, zapadając w rozkosznie, cudownie miękkie piernaty.

To niemożliwe, żeby łóżko było aż tak wygodne.

A jednak było.

- On jest zdeprawowany - powiedziała na głos, słuchając, jak w ciemności cichnie echo tych słów.

Uniosła ramiona, nie wiedząc czemu cięższe niż zwykle, i podniosła je ku baldachimowi, zapadła się w poduszki i zamknęła oczy. Przechyliła głowę i potarła policzkiem o futro.

Westchnęła. To niesprawiedliwe, że nikt nie korzysta z tak wspaniałego łóżka.

Myśli płynęły powoli, jakby wychylały się z głębiny wody. Czują, jak jej ciało zapada się coraz głębiej.

Pewnie ludzie piją po to, żeby poczuć to cudowne odprężenie. Rzeczywiście, whisky pozwoliło jej się otworzyć na nowe idee.

- Chyba zabłądziłaś.

Otworzyła oczy na te ciche, spokojne słowa, które zabrzmiały w ciemnościach, i ujrzała swego męża, stojącego obok łóżka i przyglądającego się jej uważnie.

Drogi M.

Nie dostałam od Ciebie odpowiedzi po angielsku, więc pomyślałam, że może odpowiesz na list w innym języku. Uważaj, będzie też łacina (pewnie niepoprawna)

Escrives, s'il vous plait

Placet scribes

Bitte schreiben Sie

Scrivimi, per favore

Ysgrifennwch, os gwelwch yn dda!

Przyznaję, że przy ostatniej linijce pomagała mi walijska podkuchen-na, ale chodzi przecież o uczucie. Proszę, napisz do mnie.

P.

Dwór Needham, wrzesień 1816

Bez odpowiedzi (w jakimkolwiek języku).

Jako jeden z właścicieli najbardziej luksusowego kasyna w Londynie, Bourne dobrze wiedział, co to pokusa. Wręcz specjalizował się w grzechu. Był bliskim przyjacielem zepsucia. Wiedział, jak kuszące jest szmaragdowe sukno na stole bilardowym, rozumiał, dlaczego serce zaczyna ludziom szybciej bić na dźwięk kostek podrzucanych w dłoni, wiedział, że gracze balansują na krawędzi przepaści, czekając na tę jedyną kartę, która im da fortunę albo ją odbierze.

Ale nigdy w życiu nie doświadczył aż tak przemożnej pokusy - wezwania do grzechu i wszelkich nieprzyzwoitości, które donośnie brzmiało mu w uszach, gdy patrzył na swoją świeżo poślubioną, dziewiczą żonę, która leżała na futrzanej narzucie, odziana jedynie w ciekawą bawełnianą koszulkę.

Pożądanie przeszło go jak włócznia, gruba i potężna. Z trudem się pohamował, by nie zerwać z niej tej koszulki, obnażyć i sycić nią oczy i usta przez resztę nocy.

¹Napisz do mnie proszę (po francusku, łacinie, niemiecku, włosku i walijsku).

A potem ją posiąść na własność.

Gniew jej wcale nie przeszedł, ale teraz zmieszał się z pożądaniem, tworząc upajający koktajl; patrzyła na niego, a potem poruszyła się powoli, leniwie, w migotliwym blasku świecy. Posłała mu cień uśmiešku, który sprawił, że zapragnął zedrzeć z siebie ubranie, położyć się obok niej, patrzeć, jak futro pieści nieskazitelną skórę i pokazać tej dziewczynie, czym jest prawdziwa deprawacja.

Znowu zamrugwała mocno, a on jeszcze bardziej się napiął. Doskonale skrojone spodnie nagle wydały się mu zbyt ciasne.

- Michael - szepnęła, mile zaskoczona. Ten ton pogarszał sprawę. -Przecież miało cię tu nie być.

A jednak był, jak lis, który wdarł się do kurnika.

- A co, oczekujesz kogoś innego? - Słowa zabrzmiały ostro i brutalnie, pełne podtekstów, których pewnie by nie zrozumiała. - To w dalszym ciągu jest moja sypialnia.

Uśmiechnęła się.

- Jesteś w nastroju do żartów, prawda? Oczywiście, że twoja.

- Więc dlaczego miało mnie tu nie być?

To chyba było za trudne pytanie. Zmarszczyła nos.

- Miałeś być z boginią - odrzekła, zamknęła oczy i otarła się znów o futro, pomrukując z zachwytu.

- Z jaką boginią?

- Mhm. Alicja powiedziała mi, że u niej sypiasz.

Chciała usiąść, ale miękkie piernaty jej to utrudniały. Michael obserwował, jak jej nocna koszula powoli się rozchyła, porażająco i cudownie, ukazując nagą pierś.

- Taki jesteś milczący, Michaelu. Chcesz mnie zastraszyć? Zmusił się, by mówić spokojnym głosem.

- A boisz się mnie? Zastanawiała się dłuższą chwilę.

- Czasami. Ale nie teraz.

Podeszła do niego na czworakach, a potem uklękła, naciągając kolanem koszulkę. Bourne zaczął się modlić, by tkanina zsunęła się jeszcze pół cala... obnażając cudowny, różowy sutek.

Otrząsnął się z tych myśli. Przecież miał trzydzieści lat, a nie dwanaście. Widział już niejedne piersi. Wcale nie musi pożądać żony, która ko-

łyszę się tu przed nim, sprawdzając wytrzymałość swojej nocnej koszuli i przy okazji jego zdrowy rozsądek.

Przecież nie wrócił tu pod wpływem pożądania. Wrócił, bo był zły. Zły na nią, że o mało co nie wyszła za męża za innego. I że nie powiedziała mu prawdy.

Przerwała jego rozważania, bo zachwiała się gwałtownie. Musiał złapać ją za nadgarstek, żeby nie upadła.

- Przepraszam, że nie jestem ideałem.

Akurat w tym momencie jedyną niedoskonałością była ta koszulka na jej ciele.

- Dlaczego tak mówisz?

- Bo dziś wzięliśmy ślub. A może już nie pamiętasz?

- Pamiętam. - Ona sprawiła, że nigdy w życiu o tym nie zapomni.

- Naprawdę? Przecież mnie zostawiłeś.

- To też pamiętam. - Wrócił gotowy, by przypieczętować to małżeństwo. By uczynić ją swoją żoną i odsunąć wszelkie wątpliwości, że wzięli ślub i że Falconwell należy do niego.

I że ona należy do niego. A nie do Tommy'ego.

- Panny młode nie oczekują, że zostaną same w noc poślubną, Michaelu. - Nie odpowiedział, a ona odważnie brnęła dalej. Chwyciła go za ramiona, pokryte grubą tkaniną. - Nie lubimy takich rzeczy. Szczególnie jeśli zamiast zostawać z nami wolicie te swoje... kruczowłose piękności.

To było zupełnie bez sensu.

- O kim mówisz? Machnęła ręką.

- One zawsze są kruczowłose. Te, które zdobywają...

- Kto tu coś zdobył? I niby co takiego? Mówiła dalej, nie zważając na niego:

- Właściwie nieważne, czy jest kruczowłosa, czy nie. Najgorsze, że w ogóle jest. Nie podoba mi się to i już.

- Rozumiem - skwitował.

Czyżby ubzdurała sobie, że byłem z inną? - pomyślał. Może gdybym tak zrobił, nie siedziałbym tutaj, płonąc z pożądania.

- A mi się zdaje, że nic nie rozumiesz - odparła i zachwiała się, nie spuszczać zeń wzroku. - Czy się ze mnie śmiejesz?

- Nie. - Przynajmniej ta odpowiedź była na pewno właściwa.

- Powiedzieć ci, czego panny młode jeszcze nie lubią w noc poślubną?

- Bardzo proszę.
- Nie lubimy siedzieć w domu. Samotnie.
- Rozumiem, że to wiąże się z tym, że nie lubicie, jak się was zostawia.

Zmrużyła oczy i opuściła ręce, odchyliła się na tyle, że musiał ją złapać nieco mocniej, boby upadła. Poczł jej miękkość i ciepło pod koszulką i przypomniał sobie, jak topniała w jego dłoniach... pod jego wargami... pod nim całym.

- Żartujesz sobie ze mnie.
- Za nic w świecie, przysięgam.
- Nie lubimy też, jak się z nas żartuje.

Musiał przejąć kontrolę, zanim oszaleje do reszty.

- Penelopo. Uśmiechnęła się.
- Podoba mi się, jak wymawiasz moje imię.

Zignorował jej słowa i instynktowny, zalotny ton. Nie wiedziała, co robi.

- Dlaczego nie leżysz w swoim łóżku? Przechyliła głowę, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Wzięliśmy ślub zupełnie bez sensu. Albo zupełnie z sensem... jeżeli to miało być małżeństwo z rozsądku. Tak czy owak, nie był to ślub z miłości. Zastanów się nad tym dobrze. Wcale nie uwiodłeś mnie w Falcon-well.

Przypomniał sobie natychmiast, jak się pod nim wiała, jak tuliła się do jego dłoni i ust. Jak smakowała.

- A ja uważam, że uwiodłem. Pokręciła głową.

- Wcale nie. Wbrew pozorom, trochę wiem o miłosnej sztuce. Chętnie by się o tym przekonał.

- Rozumiem.

- Wiem, że musi być... coś więcej. - To ostatnie słowo powiedziała szeptem.

O wiele więcej. Miał straszną ochotę, by jej to wszystko pokazać. Po to właśnie wrócił do domu. Tylko że...

- Przecież ty piłaś.

- Tylko troszeczkę - westchnęła i spojrzała nad jego ramieniem w głąb pokoju. - Michael, przecież obiecywałeś mi przygody.

- To prawda.

- Nocne przygody.

Zacisnął mocniej palce na jej talii i przyciągnął ją do siebie. A może ona po prostu zachwiała się w jego stronę. Tak czy owak, nie starał się jej powstrzymać.

- Obiecałem, że pokażę ci Upadłego Anioła. Pokręciła głową.

- Ale nie dziś w nocy. Już mi się odechciało.

Miała takie cudowne, błękitne oczy. Można było zatonać w ich głębi.

- A co byś chciała zamiast tego?

- Dziś wzięliśmy ślub. Tak, to prawda.

- Jestem teraz twoją żoną.

Przesunął dłonie do góry, aż trafił w gęstwinę złocistych kędziorów, ujął jej głowę i przechylił tak, by móc wziąć Penelopę na zawsze, żeby przyjęła go jako swego męża.

Jego, i nikogo poza tym.

Pochylił się, musnął ją lekko wargami, jakby się z nią drażnił.

Westchnęła i chciała się przysunąć bliżej, ale trzymał ją na dystans, nie pozwalając, by przejęła inicjatywę. Wyszła za niego za męża. Dała mu szansę odzyskania nazwiska i ziem. Więc dziś, jako podziękowanie, wprowadzi ją w świat rozkoszy.

- Penelopo. Rozchyliła oczy.

- Tak?

- Ile wypiałś? Pokręciła głową.

- Nie jestem pijana. Zdaje się, że wypiałam tylko tyle, żeby znaleźć odwagę, by poprosić o to, czego chcę.

To znaczy, że przesadziła. Mimo wszystko, jej słowa sprawiły, że zadrżał z pożądania.

- A czego ty właściwie chcesz, kochanie? Spojrzała mu prosto w oczy.

- Chcę mojej nocy poślubnej.

Prosto i zwyczajnie. Nie sposób temu odmówić. Znowu dotknął jej warg, jakby mieli nieskończenie wiele czasu, jakby nie umierał z chęci stopienia się z nią w jedno. Wniknięcia w nią. Objęcia jej w posiadanie. Zaczął ssać jej pełną dolną wargę, pogryzać ją, lizać i pieścić językiem, aż usłyszał pomruk rozkoszy.

Odsunął się, ucałował ją w policzek i szepnął:

- Wypowiedz moje imię.

- Michael - odparła bez wahania. Ten dźwięk zawibrował w nim, budząc falę pożądania.

- Nie. Bourne. - Zaczął skubać płatek jej ucha, a potem go puścił i poprosił: - Powiedz je na głos.

- Bourne. - Poruszyła się i przytuliła do niego, prosząc o więcej. -Chodź do mnie.

- Potem nie będzie już odwrotu - obiecał, muskając wargami jej skroń. Zachwycała go miękkość jej ciała pod palcami.

Otworzyła błękitne oczy, niewiarygodnie jasne w ciemnościach, i szepnęła:

- Dlaczego myślisz, że chciałabym zawrócić?

Znieruchomiał, słysząc autentyczne zdziwienie w jej głosie. To na pewno przez alkohol. Nie może inaczej być. Przecież musiała wiedzieć, o co mu chodzi! Musiała dostrzec, że w niczym nie przypomina jej poprzednich zalotników.

- To nie za mnie planowałaś wyjść. - Powinien powiedzieć jej o Tom-mym. Ale nie chciał, żeby jego imię pojawiło się między nimi w tym momencie. I w tym miejscu.

Już obudziła w nim słabość.

Nie zdążył się zastanowić nad znaczeniem tych słów, bo uśmiechnęła się lekko, ze smutkiem.

- Ale za ciebie w końcu wyszłam. Wiem, że zrobiłeś to tylko dla Fal-conwell. Ale nie warto oglądać się wstecz, prawda? Jesteśmy małżeństwem i już. Więc chcę mieć noc poślubną, Michaelu. Myślę, że na nią zasłużyłam przez te wszystkie lata. Proszę cię. Jeśli nie sprawi *ci to* zbyt wielkiego kłopotu.

Sięgnął do dekoltu jej koszulki i jednym ruchem rozdarł ją na pół. Westchnęła z zaskoczenia i szeroko otworzyła oczy.

- Zniszczyłeś ją!

Była tak szczerze zdziwiona, że Bourne aż jęknął z zachwyty.

Miał zamiar zniszczyć jeszcze parę innych rzeczy.

Zabrał się do dzieła. Najpierw ściągnął jej koszulkę do kolan, odsłaniając nagą skórę, nieskazitelnie białą w blasku świateł. Trochę tu było za ciemno. Chciał widzieć każdy cal jej ciała... patrzeć, jak jej serce bije pod

jego dotykiem, jak zadrżą mięśnie, gdy będzie gładził wewnątrz jej ud, jak zacisną się palce, gdy on w nią wejdzie. Gdy ją weźmie w posiadanie.

Położył ją z powrotem na futrze, obserwując z zachwytem jej reakcje. Znowu westchnęła, czując na plecach miękkie dotyk nerek, gdy ogarnęła ją zmysłowa przyjemność. Pochylił się nad nią i całował jej wargi, aż wsunęła dłonie w jego włosy i przytuliła się do niego. Dopiero potem podniósł głowę i szepnął:

- Będę się z tobą kochał na tym futrze. Będziesz czuć jego pieszczotę na całym ciele. A ja dam ci więcej, niż marzyłaś. Dam ci taką rozkosz, że będziesz głośno wołać moje imię.

Odsunął się od niej, rozebrał się, starannie odłożył ubranie na krzesło i wrócił do łóżka. Leżała tam, zasłaniając jedną dłonią piersi, a drugą trójką kędziorów w intymnym miejscu. Ułożył się wygodnie obok niej, opierając głowę na rękę. Drugą położył na gładkim udzie, przesunął po delikatnej krągłości biodra na brzuch. Zacisnęła powieki i oddychała krótko, urywanie, tak że w końcu nie wytrzymał i pochylił się nad nią. Polizał jej ucho, skubnął je zębami i spytał:

- Co ci mówiłem o chowaniu się przede mną? Pokręciła głową, szeroko otwierając niebieskie oczy.

- Ja... nie mogę tak leżeć... Jestem naga. Musnął płatek ucha.

- Nie wspominałem nic o leżeniu, kochanie.

Uniósł dłoń, którą zakrywała piersi, i ujął ustami jeden palec, pieszcząc jego czubek. Potem skubnął go zębami.

- Och... - westchnęła, zawieszając wzrok na jego wargach. - Dobrze ci to wychodzi.

Powoli wysunął palec z ust i pochylił się, by ją ucałować, leniwie i długo.

- Nie tylko to - odpowiedział.

Zamrugła, słysząc tę erotyczną obietnicę i szepnęła:

- Pewnie masz o wiele więcej doświadczenia niż ja.

Nieważne, z iloma kobietami sypiał do tej pory. W tej chwili pragnął tylko jednego: poznać Penelopę. Być tym, który będzie dawał jej rozkosz. Tym, który nauczy ją brać.

- Pokaż mi, gdzie mnie pragniesz - szepnął. Zarumieniła się i pokręciła głową, zaciskając powieki.

- Nie mogę.

Znowu ujął w zęby jej palec i zaczął go ssać, aż otworzyła błękitne oczy, jasne i niesamowite w blasku świec. Spojrzała na jego wargi i napięcie między nimi stało się tak nieznośne, że zaczął się obawiać, czy zdoła dłużej wytrzymać.

- Pokaż mi. Powiedz: „Proszę cię, Bourne”, i pokaż mi gdzie.

W jej oczach błysnęła odwaga. Patrzył z zachwytem, jak ten paluszek, który przed chwilą całował, powędrował ku piersiom i wskazał naprężony, twardy sutek. Musnął wargami wierzch jej dłoni, nie mogąc oderwać oczu od tego niewiarygodnie kuszącego widoku.

- Proszę... - zaczęła i umilkła. Uniósł głowę.

- Kogo prosisz?

- Proszę cię, Bourne.

Chciał ją nagrodzić za to, że wypowiedziała jego imię. Pochylił się i zaczął delikatnie ssać sutek. Jej paluszek przesunął się ku drugiej piersi. Westchnęła, drżąc z rozkoszy.

- Tak...

Pogładziła dłonią swój brzuch, przesuwając ją coraz niżej i niżej, a on skubnął zębami miękką skórę pod jedną z piersi.

- Nie przerywaj, kochanie - poprosił.

Dłoń błądziła po miękkiej skórze jej ponętnego brzucha, a potem dotknęła kędziorów, które kryły to cudowne miejsce między udami. Obserwował ją i zachęcał szeptem, by poznała samą siebie, dowiedziała się wszystkiego, nauczyła się rozkoszy... aż w końcu pomyślał, że umrze, jeśli zaraz nie znajdzie się w niej.

Wycisnął długi, głęboki pocałunek na jej brzuchu, potem na przegubie dłoni, której dotyk był nagrodą sam w sobie. Szepnął prosto w to miejsce:

- Co teraz czujesz?

Pogładził dłoń, zatrzymał się przy kostkach palców. Gdy nie odpowiadała, spojrzał jej w oczy i wyczytał w nich zawstydzenie. Pokręciła głową i wyszeptała ledwie słyszalnie:

- Nie mogę...

Dotknął palcem jej jedwabistego, gorącego wnętrza i odpowiedział:

- A ja mogę.

Wsunął palec głębiej, a ona westchnęła.

- Jesteś wilgotna, kochanie... wilgotna i gotowa. Na mnie. Nikogo innego.

- Michael - szepnęła, budząc w nim nową falę zadowolenia. Z nieśmiałym, niepewnym uśmiechem rozsunęła uda i powitała go tak ufnie, że z trudem się opanował. Przesunął się ku niej, zatrzymał w aksamitnym wejściu. Oparł się na rękach i zajął jej w twarz, dostrzegając zdziwienie i zachwyt. Musiał ją pocałować w usta, głęboko. Potem odchylił się powoli. To była najtrudniejsza rzecz, jakiej dokonał w życiu - wycofać się na samym progu rozkoszy... w tak wspaniałej chwili. Najpierw lekko pchnął do przodu, a potem wyszedł.

O mało nie umarł z rozkoszy. Zmrużyła powieki, więc szepnęła:

- Otwórz oczy. Popatrz na mnie. Chcę, żebyś mnie widziała.

Kiedy usłuchała, wsunął się gładko, najdelikatniej, jak potrafił. Wciągnęła ostro powietrze, a w jej oczach błysnął ból. Zatrzymał się, by nie zadawać jej większego cierpienia. Pochylił się i pocałował ją, by odwrócić jej uwagę.

- Wszystko w porządku?

- O tak! - sapnęła z uśmiechem, w którym widać było napięcie. Pokręcił głową, nie potrafiąc zdobyć się na powagę.

- Kłamczucha.

Dotknął miejsca, które było tak cudownie ciasne - i mocno zaciśnięte. Znalazł maleńki nabrzmiały punkt i zaczął masować, aż Penelopa przymknęła oczy z rozkoszy. Nie zaprzestawał pieszczoty, jednocześnie wsuwając się coraz głębiej, aż zanurzył się w niej cały.

Znieruchomiał, choć bardzo pragnął kołysać się z nią w tym cudownym tańcu.

- A jak teraz, najdroższa?

Westchnęła głęboko, wpuszczając go jeszcze głębiej, ku zdziwieniu ich obojga. Dotknął czołem jej czoła.

- Powiedz mi, że wszystko dobrze. Powiedz, że mogę się poruszyć. Jego niewinna żona wsunęła mu palce we włosy na karku i szepnęła:

- Proszę cię, Michael.

Nie potrafił odmówić jej prośbie. Wycisnął na jej wargach bezwstydnym pocałunek i mrużąc gardłowo, poruszył się powoli, wycofując prawie całkiem, a potem powrócił, delikatnie, ostrożnie, pieszcząc ją kciukiem, starając się dać jej rozkosz i czując, że sam zaraz osiągnie spełnienie.

- Michael - szepnęła. Spojrzał w jej oczy, zaniepokojony, że sprawił jej ból. Znieruchomiał.

Wygięła plecy.

- Nie przestawaj... nie przestawaj. Miałaś rację...

Zamknęła oczy i jęknęła z rozkoszy, gdy wniknął w nią jednym długim posunięciem. Słyszając ten jęk, o mało nie stracił panowania nad sobą... był taki cichy i dźwięczny. Nie przestawał się poruszać.

Pokręciła głową, gładziła dłońmi jego ramiona, coraz niżej, aż w końcu dotknęła pośladków, przyciągając je w rytmie jego ruchów i pieszczoty kciuka.

- Michael! On też to czuł.

Nigdy nie zastanawiał się nad tym, kiedy powinien dojść. Nie potrzebował dzielić tego uczucia z partnerką. Tym razem liczyło się tylko jedno: prowadzić Penelopę w pełnym ognia tańcu, aż do ostatniego rozkosznego akordu.

- Poczekaj na mnie - szepnęła, wsuwając się w nią po raz kolejny. -Nie przechodź beze mnie.

- Nie mogę, nie dam rady!

Targnęły nią spazmy, skurczyła się wokół niego w gwałtownym, zadziwiającym rytmie, powtarzając jego imię. Na ten dźwięk rzucił się w zapomnienie, w przerażające, niesamowite spełnienie, jakiego nie zaznał jeszcze nigdy w życiu.

Opadł na nią, oddychając ciężko i wtulił twarz w jej szyję, oddając się falom niezwyklej, nieznaney dotąd rozkoszy.

Mijały minuty, aż w końcu zląkł się, że zgniecie ją swoim ciężarem. Stoczył się na bok, ale nie mogąc się z nią rozstać, wsunął pod nią rękę i przycisnął do siebie.

Wielki Boże. Z nikim się tak jeszcze nie kochał.

Co za niesamowite przeżycie.

Nie wyobrażał sobie nawet, że tak może być.

Poczuł chłód strachu na myśl, że przeżył coś takiego właśnie z Penelopą.

Z tą kobietą. W tym związku. W ten wieczór.

Przecież to nic nie znaczy.

Nie może nic znaczyć.

Ona jest tylko środkiem do celu. Narzędziem zemsty. Nie może być niczym więcej.

Bourne zawsze niszczy wszystko, co ma jakąkolwiek wartość. Kiedy Penelopa się o tym przekona... o tym, że z nim czekają ją tylko rozczarowania, będzie wdzięczna, że nie dopuścił jej do siebie zbyt blisko.

Będzie wdzięczna, że znajdzie się w cichym, spokojnym świecie, gdzie będzie miała wszystko, co zechce... i nie będzie musiała się nim przejmować. „Nie zasługujesz na nią”.

W myślach zadźwięczały słowa Tommy'ego - te same słowa, które kazały mu wrócić do domu, do żony i dowieść, że w jej życiu jest na niego miejsce. Że ona do niego należy. Że jest panem jej ciała - doskonalszym niż jakikolwiek inny mężczyzna.

Tylko, że to ona została jego panią.

- Michael - szepnęła prosto w jego pierś. To zabrzmiało obiecująco... Poglądziła dłonią jego tors. Długi, pieszczotliwy dotyk napełnił go rozkoszą, po której aż nazbyt szybko pojawiła się fala pożądania. Szepnęła kusząco: - To było cudowne.

Zamierzał jej powiedzieć, żeby nie przyzwyczajala się za bardzo do jego łóżka.

I do jego życia.

Chciał jej powiedzieć, że ten wieczór był tylko środkiem do celu. I że ich małżeństwo nigdy nie będzie takie, jak by chciała. Ale ona już spała.

Drogi M.

Wiem, że pewnie nie chcesz odpowiadać na moje listy, ale i tak będę do Ciebie pisać. Nieważne kiedy - czy za rok, za dwa czy za dziesięć - nie chcę żebyś pomyślał, że o Tobie zapomniałam. Mam nadzieję, że i tak byś w to nie uwierzył, prawda?

W przyszłym tygodniu będą Twoje urodziny. Wysyłałabym dla Ciebie chusteczkę, ale wiesz dobrze, że haftowanie i ja to nie jest dobre połączenie.

Pamiętam o tobie, P. Dwór Needham, styczeń 1817

Bez odpowiedzi.

Następnego dnia rano Penelopa weszła do jadalni w nadziei, że zobaczy tam swego męża - człowieka, który zmienił wszystko w jej życiu, w jeden wspaniały dzień i cudowną noc, człowieka, który pokazał jej, że małżeństwo naprawdę może być czymś więcej. Że w ich udawanym małżeństwie z miłości może być mniej udawania, a więcej... więcej miłości.

Przecież nie może być nic lepszego niż uczucie, jakie w niej obudził zeszłej nocy. Nieważne, że obudziła się nie na wspaniałym futrze,

ale wśród idealnie wyprasowanych białych prześcieradeł we własnej sypialni.

Właściwie nawet ją wzruszyło to, że przeniósł ją tam w nocy, nawet jej nie budząc. Był naprawdę dobry, troskliwy i kochający, a małżeństwo, które zaczęło się jak tragiczna farsa, na pewno z czasem stanie się o wiele lepsze.

Usiadła z nadzieją, że on za chwilę przyjdzie i usiądzie obok niej przy długim stole w uroczym, bogato urządzonej pokoju śniadaniowym i zastanawiała się, czy dalej lubi kielbaski, tak jak w dzieciństwie. Przyjęła od młodego lokaja talerz z sadzonym jajkiem i tostem, w dalszym ciągu licząc na to, że Michael zaraz się zjawi. Lokaj teatralnie strzelił obcasami i wrócił na swoje miejsce w kącie. Powoli chrupała tost, w dalszym ciągu czekając na męża.

Sączyła herbatę, która szybko wystygła.

Patrzyła na złożoną gazetę po lewej stronie nakrycia, czekającego po przeciwnej stronie stołu, który nagle wydał jej się zbyt długi. Po godzinie czekania nadzieja opuściła ją na dobre. Nie przyjdzie. Zostawił ją samą.

Nagle uświadomiła sobie obecność lokaja w kącie, który miał trudne zadanie - czekać w gotowości na każde życzenie swojej pani i nie rzucać się w oczy. Poczuła, że się rumieni.

Ten dzieciak pewnie myśli sobie jakieś okropnie krępujące dla niej rzeczy.

Zerknęła ukradkiem w jego stronę.

Nie patrzył na nią.

Ale na pewno coś sobie myślał.

Michael już nie przyjdzie.

Głupia, głupia Penelopa.

Przecież to oczywiste, że nie przyjdzie.

To, co zdarzyło się w nocy, nie było dla niego niczym niezwykłym. Po prostu oficjalnie posiadał swoją żonę. A potem, jak każdy typowy mąż, zostawił ją samą sobie.

Zupełnie samą.

Penelopa spojrzała na pusty talerz, na którym zsiadło się jaskrawe żółtko, jak groteskowa kulka przyklejona do porcelany.

Już pierwszego dnia małżeństwa siedzi sama przy śniadaniu. Cóż za ironia, biorąc pod uwagę, że zawsze uważała, że towarzystwo niechcia-

nego męża to tylko inny rodzaj samotności. Teraz wolałaby jednak zjeść z mężem niż w samotności, pod baczny spojrzeniem małego lokaja, który starał się nie okazywać rozbawienia.

Zdaje się, że pragnęła męża, któremu będzie zależało na niej bardziej, niż to się zwykle dzieje, a dostała takiego, któremu zależało na niej dużo mniej.

Może wczoraj zrobiła coś złe.

Poczuła, jak na tę myśl czerwienieją jej uszy, przybierając barwę rozkwitłych róż. Może wszystko powinno wyglądać inaczej.

Tylko, że co chwila przypominała sobie o tym lokaju, który tkwił w kącie i też się czerwienił, nie wiedząc, co powiedzieć i pewnie marząc, by skończyła w końcu jeść i wyszła z pokoju.

Tak, powinna stąd wyjść.

Wstała od stołu z wdziękiem godnym markizy i ignorując własne skrępowanie, ruszyła ku drzwiom. Na szczęście, lokaj nie spojrzał na nią, gdy szła w jego stronę zamaszystym krokiem, który można by określić jako bliski truchtu, gdyby nie to, że damy przecież nie poruszają się truchtem.

Zanim jednak dotarła do celu, drzwi stanęły otworem i pojawiła się w nich pani Worth. Penelopa znieruchomiała w pół kroku, aż zafalowała fałdzista spódnica jej żółtej sukni, pięknej, ale zbyt lekkiej na ten chłodny styczniowy dzień.

Piękna, młoda gospodyni zatrzymała się w progu, beznamiętnie dygnęła i powitała ją grzecznie.

- Dzień dobry, milady.

Penelopa powstrzymała chęć odpowiedzenia podobnym dygiem, zaplotła dłonie na podołku i odpowiedziała:

- Dzień dobry, pani Worth.

Po tej wymianie uprzejmości zapadła chwila ciszy. W końcu gospodyni oznajmiła:

- Lord Bourne prosił, żeby pani przekazać, że w środę jesteście zaproszeni na kolację do Tottenhamów. Za dwa dni.

- Aha. - To, że Michael przesłał tę prostą wiadomość przez gospodynię, uświadomiło jej, jak bardzo się myliła w ocenie poprzedniej nocy. Jeśli nie miał czasu, by powiedzieć żonie o zaproszeniu na kolację, to naprawdę mało mu na niej zależało.

Wzięła głęboki oddech i zmusiła się, by pogodzić się z rozczarowaniem.

- Poprosił mnie również, by przypomnieć pani, że to pierwsza kolacja, na której wystąpicie jako małżeństwo.

Teraz już nie musiała walczyć z rozczarowaniem, bo niemal natychmiast zastąpiła je irytacja. Spojrzała na gospodynię. Zastanawiała się przez chwilę, czy pani Worth dodała tę ostatnią uwagę z własnej inicjatywy, jakby uznała Penelopę za okropną idiotkę, która nie jest w stanie pamiętać wydarzeń z poprzedniego dnia. Jakby można było zapomnieć, że jeszcze ich nie przyjmowano w towarzystwie.

Wystarczyło jedno spojrzenie na opuszczoną głowę pani Worth, żeby zorientować się, kto kazał jej dodać tę uwagę. Na pewno pochodziła od męża i pana, który ewidentnie nie ufał jej zdolnościom odpowiadania na zaproszenia oraz pojmowania, jak bardzo są ważne w pewnych sytuacjach.

Bez dłuższego zastanawiania się uniosła brew, spojrzała gospodyni prosto w oczy i oświadczyła:

- Cóż za celna uwaga. Nie zdawałam sobie sprawy, że jesteśmy małżeństwem od niespełna dwudziestu czterech godzin i że od tego czasu nie wychodziłam z domu. Co za szczęście, że mój mąż pomyślał i mi o tym przypomniał.

Pani Worth szeroko otworzyła oczy na ten sarkazm, ale nie odpowiedziała ani słowem.

- Szkoda, że sam mi o tym nie przypomniał przy śniadaniu. Czy jest w domu? Gospodyni z wahaniem odparła:

- Nie, milady. Nie było go tu od powrotu z Surrey.

Nieprawda. Ale powiedziało to Penelopie, że wrócił późną nocą i wyszedł wkrótce po tym, gdy zasnęła. To chyba oczywiste. Gniew zapłonął mocniej.

Przyszedł tylko po to, żeby skonsumować małżeństwo, i zniknął zaraz potem.

Więc takie będzie jej życie. On będzie się pojawiał i zniknął według swego upodobania, a ona będzie posłusznie spełniać jego życzenia, chodzić na kolacje, jeśli ją zaproszą, i tkwić sama, jeśli zaproszenie jej nie obejmie.

Co za koszmar.

Spojrzała na panią Worth, dostrzegła w jej wzroku współczucie. Poczula się jeszcze gorzej.

Była na niego wściekła, że postawił ją w takiej sytuacji. Że ją unieszczęśliwił. Że ją upokorzył. Sama zdecydowała się na to małżeństwo. Z własnej woli. Chociaż to on dyktował warunki, coś w niej pragnęło tego związku. Marzyła, że będzie czymś ważnym.

Głupia Penelopa. Biedna, głupia Penelopa. Wyprostowała się i oznajmiła:
- Proszę powiedzieć mojemu mężowi, że zobaczymy się w środę. Na kolacji u Tottenhamów.

11

Drogi M.

Tommy powiedział mi, że widział się z Tobą w mieście na początku wakacji, ale nie miał czasu z nim porozmawiać. Przykro mi z tego powodu, jemu zresztą też.

Pippa wzięła sobie psa o trzech nogach i (choć to fatalnie brzmi) myślę o Tobie zawsze, kiedy patrzę, jak swawoli nad jeziorem. O mój Boże, do jakich metafor ja się zniżam, kiedy Cię tu nie ma i nie mam na kim ostrzyć sobie języka. Sytuacja staje się dramatyczna.

Zdesperowana P. Dwór Needham, czerwiec 1817

Bez odpowiedzi.

Kłamstwo ma pewną wadę: tak łatwo jest w nie uwierzyć. Nawet temu, kto kłamie. Szczególnie temu, kto kłamie.

W trzy dni później Penelopa i Michael występowali jako honorowi goście na kolacji w domu Tottenhamów. Była to idealna okazja, by opowiedzieć starannie obmyślaną historię ich miłości najbardziej wpływowym plotkarzom w towarzystwie.

Plotkarzom, którzy aż palili się, aby wystąpić w swej ulubionej roli -sądząc po tym, że spijali każde słowo z ust Penelopy i Michaela.

Nie wspominając o znaczących spojrzeńiach.

Penelopa nie omieszkała ich zauważyć... zaczęły się, gdy tylko się pojawili u Tottenhamów. Postanowili nie przychodzić ani za wcześnie, ani za późno. Jak się okazało, wszyscy goście postanowili przyjść wcześniej

pewnie nie chcieli stracić ani minuty pierwszego wieczoru markizostwa Bourne na londyńskich salonach.

Widziała ich spojrzenia, gdy Michael wystudiowanym ruchem położył dużą, ciepłą dłoń na jej plecach, wprowadzając ją do pokoju pełnego gości. Umieścił ją tak precyzyjnie i uśmiechnął się tak ciepło - dawno niewidzianym uśmiechem - że z trudem ukryła podziw dla strategii i zaskoczenie, że ten prosty gest sprawił jej taką przyjemność.

Spojrzeniom towarzyszyły trzepotanie wachlarzy, rozłożonych pomimo panującego chłodu, i kakofonia szeptów, które Penelopa starała się ignorować. Zamiast tego rzuciła swemu mężowi stosownie czułe spojrzenie. Chyba jej się udało, bo pochylił się i szepnął cicho:

- Doskonale ci idzie.

Na te słowa ogarnęła ją fala ciepła, choć z całych sił starała się zachować obojętność i nie dać mu władzy nad sobą. Skarciła się za to ciepłe, słodkie uczucie.

Przypomniała sobie, że nie widziała go od dnia ich ślubu i że wyraźnie dał jej do zrozumienia, iż wszelkie czułe gesty są wyłącznie na pokaz. Pomimo to poczuła, jak jej policzki się czerwienią, a kiedy znowu na niego popatrzyła, dostrzegła w jego oczach głębokie zadowolenie. Pochylił się do niej znowu.

- Ten rumieniec był mistrzowski, moje ty niewiniątko.

Te słowa rozgrzały ją jeszcze bardziej, jakby naprawdę byli zakochani i wpatrzeni w siebie nawzajem. Szkoda, że było dokładnie na odwrót.

Przy kolacji naturalnie posadzono ich osobno i wtedy zaczęła się prawdziwa gra. Wicehrabia Tottenham posadził ją za stołem u swego boku. Z drugiej strony siedział Donovan West, wydawca dwóch najpoczytniejszych gazet w całej Brytanii. Złotowłosa, ujmujący, dostrzegał wszystko i wszędzie, nawet jej zdenerwowanie.

Szepnął do niej cicho:

- Proszę nie dać im szansy, by panią wzięły na języki. Zrobią to bez wahania. I to będzie pani koniec. - Mówił o kobietach.

Było ich przy stole sześć - siedziały pomiędzy mężczyznami, sznurując wargi i rzucając spojrzenia pełne pogardy. Rozmowę - niby to niezobowiązującą - prowadzono tonem, który nadawał każdemu słowu podwójne znaczenie, jakby goście stale odwoływali się do jakiegoś sekretnego żartu o którym Michael z Penelopą nie mieli pojęcia.

Penelopa byłaby tym zirytowana, gdyby nie fakt, że dzieliła ze swoim mężem znacznie więcej sekretów niż zgromadzone przy stole towarzystwo.

Dopiero pod koniec posiłku rozmowa zeszła na temat nowożeńców.

- Proszę nam powiedzieć, lordzie Bourne, jak to się stało, że zaręczyliście się z lady Bourne? Uwielbiam opowieści o małżeństwach z miłości -zagadnęła słodko jedna z dam, zbyt głośno jak na prywatną rozmowę.

Pewnie, że je uwielbiała. Małżeństwa z miłości były przecież najbardziej pociągającym skandalem.

Tylko utrata majątku mogła się z nimi równać.

Penelopa odsunęła od siebie tę kąśliwą myśl. Rozmowy przy stole ucichły i wszyscy czekali w milczeniu na odpowiedź Michaela.

Objął Penelopę ciepłym, serdecznym spojrzeniem.

- Nie wyobrażam sobie, by ktoś mógł spędzić w towarzystwie mojej żony choćby kwadrans i jej nie pokochać. - Jego słowa same w sobie były skandaliczne, bo dobrze wychowani, chłodni arystokraci nie mówili takich rzeczy na głos, nawet jeśli tak myśleli. Całe towarzystwo westchnęło zgodnym chórem, rozbawione i zaskoczone. Michael chyba się tym nie przejął, bo dodał: - Miałem szczęście, że znalazłem się na tym jarmarku. I że ona tam była. Jej śmiech przypomni mi, jak wiele rzeczy w życiu muszę naprawić.

Serce Penelopy zabiło mocniej, gdy na jego twarzy pojawił się cień zadowolenia.

Siła słów jest naprawdę zdumiewająca. Nawet gdy są to kłamstwa. Nie potrafiła powstrzymać uśmiechu; nie musiała udawać, że schyla głowę, by ukryć skrepowanie jego słowami i uczuciem.

- Jak to szczęśliwie się złożyło, lordzie, że jej posag obejmuje ziemie należące do markizatu - rzuciła z pijacką szczerością hrabina Holloway, żalonna kreatura, którą cieszyło cierpienie innych. Penelopa nigdy jej nie lubiła. Nawet na nią nie spojrzała, skupiając uwagę na swoim mężu.

Nadeszła pora na nią.

- Ja miałam najwięcej szczęścia, lady Holloway - powiedziała, nie odwracając spokojnego wzroku od Bourne'a. - Bo gdyby nie nasza sąsiedzka znajomość z dzieciństwa, mój mąż pewnie nie zwróciłby na mnie uwagi.

W spojrzeniu Michaela błysnął podziw. Uniósł kieliszek w jej stronę.

- Prędzej czy później zorientowałbym się, czego mi brak, kochanie. I wtedy zacząłbym cię szukać.

Od tych słów zrobiło jej się ciepło na sercu, zanim przypomniała sobie, że to tylko gra.

Wzięła głęboki oddech, a Michael przejął kontrolę, snując swoją opowieść i przekonując towarzystwo, że stracił dla Penelopy głowę, serce i zdrowy rozsądek.

Był przystojny i mądry, uroczy i zabawny, okazywał wystarczająco dużo rezerwy... jakby naprawdę próbował naprawić błędy przeszłości i zrobić wszystko co w jego mocy, byleby tylko wrócić do towarzystwa - dla swojej młodej żony.

Był wręcz doskonały.

Uwierzyła, że naprawdę był w głównej sali probostwa w Coldharbour i świętował w tłumie gości, pośród wianków z ostrokrzewu i jemioly. Uwierzyła, że wypatrzył ją w tej sali - dosłownie poczuła, jak ścisnął się jej żołądek na widok tego długiego, poważnego spojrzenia, jakie jej posłał. Zakreśliło jej się w głowie, na moment wstrzymała oddech i uwierzyła, że jest dla niego jedyną kobietą na całym świecie.

Oczarował ją swoją wymową.

Podobnie jak resztę słuchaczy.

- Słowo honoru, nigdy w życiu nie tańczyłem reela. Ale dla niej zatańczyłem, i to niejednego.

Wszyscy wybuchli śmiechem, a Penelopa pociągnęła łyżeczek wina, mając nadzieję, że alkohol uspokoi żołądek, który zaciskał się coraz mocniej, gdy jej mąż czarował zebranych opowieścią o ich szalonej miłości.

- Pewnie prędzej czy później i tak bym wrócił do Coldharbour i zrozumiał, że zostawiłem w Surrey coś jeszcze ważniejszego od Falconwell. -Spojrzał na nią przez stół z takim błyskiem w oku, że dech jej zapało. -Dzięki Bogu, że zdążyłem przed innymi.

Wokół stołu rozległy się kobiece westchnienia, tworząc kontrapunkt do uderzeń jej serca. Michael był naprawdę złotoustym mówcą.

- Szczerze mówiąc, tłumy zalotników raczej nie było - wtrąciła złośliwie lady Holloway, śmiejąc się odrobinę za głośno. - Prawda, lady Bourne?

W głowie Penelopy zapanowała pustka na tę okrutną aluzję do jej staropanieństwa. Szukała w myślach ciętej riposty, gdy mąż przyszedł jej na ratunek.

- Wołałem się nad tym nie zastanawiać - powiedział, wpatrując się w nią z powagą, aż zarumieniła się pod tym spojrzeniem. - Dlatego tak pośpieszyliśmy się ze ślubem.

Lady Holloway mruknęła coś w głąb kieliszka. Pan West uśmiechnął się ciepło i zagadnął:

- A pani, lady Bourne? Czy była pani zaskoczona tym nagłym uczuciem?

Nie potrafiła oderwać wzroku od Michaela. Pochwycił ją w swoją sieć i trzymał, jak prawdziwy mistrz. Odpowiadając na pytanie żurnalisty, zwróciła się prosto do swego męża.

- Wcale nie. Prawdę mówiąc, miałam wrażenie, że od lat czekałam na powrót Michaela. - Przerwała i pokręciła głową na widok zaskoczonych min wokół stołu.

- Przepraszam. Nie na Michaela. Na lorda Bourne. - Zaśmiała się z własnej pomyłki. - Zawsze wiedziałam, że będzie doskonałym mężem. I jestem bardzo szczęśliwa, że wybrał właśnie mnie.

W jego oczach błysnęło zaskoczenie, ale już po chwili znikło, zamaskowane pełnym ciepła śmiechem, którego jeszcze u niego nie słyszała.

- Widzicie? Jak mógłbym nie obiecać poprawy?

- Rzeczywiście. - Pan West pociągnął łyk wina, przyglądając jej się nad krawędzią kieliszka. Przez chwilę była pewna, że przejrzał ich kłamstwo. Czuli się, jakby ktoś wyhaftował na jej sukni napis „kłamczucha”. Ten człowiek doskonale wiedział, że wzięli ślub z powodów niemających nic wspólnego z miłością i że jej mąż nie spędził nawet krótkiej chwili w jej towarzystwie, od kiedy zaniósł ją z powrotem do jej sypialni.

I zostawił ją samą.

To było oczywiste. Dotknął jej tylko dlatego, że musiał skonsumować małżeństwo. A teraz spędza całe noce z dala od niej, Bóg jeden wie z kim i Bóg jeden wie gdzie.

Zajęła się deserem, modląc się, by pan West nie starał się wydobyć z niej więcej informacji.

Michael odpowiedział z wdziękiem:

- To wcale nie jest prawda. Jestem beznadziejny jako mąż. Nie potrafię znieść myśli o rozłące z nią, szaleję, gdy zwraca uwagę na innych, i ostrzegam, będę koszmarny, gdy nadejdzie sezon balowy i będę musiał oddać ją innym tancerzom, siadać z dala od niej przy stole... - Przerwał, a Penelopę zachwyciło jego mistrzowskie wykorzystanie ciszy. Jego oczy lśniły wesołością, której nie widziała u niego od dzieciństwa.

To wcale nie wesołość. To zupełnie coś innego.

- Pewnie niedługo zaczniecie wszyscy żałować, że postanowiłem odkurzyć mój tytuł.

- Wręcz przeciwnie - odpowiedziała wicehrabina Tottenham. W jej oczach, zwykle tak chłodnych, lśniło podniecenie. - Z radością witamy

twój powrót do towarzystwa, lordzie Bourne. Małżeństwo z miłości naprawdę potrafi zmienić człowieka.

To było oczywiście kłamstwo. Małżeństwa z miłości były skandaliczne, ale Michael i Penelopa stali od niej wyżej w hierarchii, a zaproszenie otrzymali od młodego, nieżonatego Tottenhama. Starsza pani właściwie nie miała wyboru.

Michael mimo wszystko uśmiechnął się do niej, a Penelopa dosłownie nie mogła oderwać od niego wzroku. Dosłownie cały pojaśniał - na policzku pojawił się dołeczek, a pełne, szerokie usta wygięły się wdzięcznie, przydając mu jeszcze więcej urody.

Kim był ten mężczyzna, taki dowcipny i uroczy?

I jak go zatrzymać przy sobie?

- To rzeczywiście jest małżeństwo z miłości... twoja żona dosłownie spija ci słowa z ust - odezwał się wicehrabia Tottenham, dając im wyraźnie swoje poparcie. Penelopa nie musiała udawać skrepowania, gdy Michael odwrócił się do niej, nagle poważniejąc.

Wicehrabina rzuciła znaczące spojrzenie synowi i zaczęła drażnić temat:

- Powinieneś pójść za przykładem Bourne'a i też się ożenić. Wicehrabia zaśmiał się i pokręcił głową, a potem popatrzył na Penelopę.

- Obawiam się, że Bourne zagarnął ostatnią idealną kandydatkę.

- Ona ma siostry, Tottenham - rzucił Michael żartobliwie.

- Bardzo chętnie je poznam - odrzekł wicehrabia z miłym uśmiechem.

Dopiero teraz wszystko zrozumiała. Oto Michael, tak łatwo jakby podawał smoczek oseskowi, zaaranżował spotkanie OHvii z lordem Tottenham, a w konsekwencji może nawet ich małżeństwo.

Spojrzała na niego szeroko otwartymi ze zdziwienia oczyma, a on natychmiast wykorzystał to spojrzenie, dodając:

- Jestem tak zakochany we własnej żonie, że teraz namawiam wszystkich, by poszukali szczęścia.

Co za kłamstwo. I jak zręcznie opowiedziane. Jak łatwo w nie uwierzyć. Wicehrabina zawtórowała:

- Uważam, że to doskonały pomysł. Wstała, a za nią wszyscy goście.

- Chyba już czas, żebyśmy pozwoliły panom porozmawiać we własnym towarzystwie.

Na jej słowa damy ruszyły na ploteczki do innego pokoju, gdzie przygotowano dla nich sherry. Niewątpliwie Penelopa miała być główną atrakcją wieczoru.

Ruszyła ciężkim krokiem za wicehrabiną, która poprowadziła je do uroczego saloniku. Zanim jednak zdążyła tam wejść, czyjaś duża ciepła dłoń ujęła ją za rękę, a głęboki, znajomy głos Michaela oznajmił:

- Przepraszam, miłe panie, ale muszę porwać moją żonę na krótką chwilkę. Jak już mówiłem, trudno mi się z nią rozstawać.

Rozległy się zdumione westchnienia, gdy wyciągnął Penelopę z salonu na korytarz, zamykając za nimi drzwi.

Penelopa wyrwała mu rękę, rozejrzała się po korytarzu i szepnęła dramatycznie:

- Co ty wyprawiasz? To nie uchodzi!

- Przestań mi ciągle tłumaczyć, co uchodzi, a co nie - zaprotestował. - Nie widzisz, że robię się wtedy przekorny?

Pociągnął ją za sobą dalej, do tonącej w półmroku alkowy.

- Plotki o moim gorącym uczuciu działają na naszą korzyść, kochanie.

- Wcale nie musisz mnie tak nazywać. Nie jestem twoim kochaniem - odparła.

- W towarzystwie jesteś - odpowiedział i uniósł rękę, by dotknąć jej twarzy.

- Przestań! - Trzepnęła go po palcach. Zamilkła i dodała szeptem: - Jak myślisz, uwierzyli nam?

Spojrzał na nią z urazą.

- Dlaczego nie mieliby uwierzyć, kochanie? Przecież to prawda, co do joty.

Zmrużyła oczy.

- Wiesz, o co mi chodzi. Pochylił się bliżej i szepnął:

- Wiem, że ściany takich domów jak ten mają uszy, kochanie.

A potem ją polizał. Naprawdę polizał, pieszcząc płatek ucha tak czule, że zacisnęła palce na jego ramieniu, czując falę rozkoszy przepływającą przez całe ciało.

Zanim zdążyła zareagować, jego wargi uciekły. Uniósł jej podbródek i powiedział:

- Byłaś po prostu wspaniała.

„Wspaniała”. Pochwała sprawiła jej wielką przyjemność, tym bardziej że Michael przypieczętował ją pocałunkiem w miejscu, gdzie na szyi bił przyspieszony rytm pulsu.

- Nie podoba mi się, jak cię oceniają - odszepnęła. - Szczególnie Holloway.

- Holloway to dziwka. - Sapnęła, słysząc to słowo, a on dalej szeptał jej prosto do ucha: - Należy jej się lanie. Szkoda, że jej hrabia jest zbyt miękki, żeby nauczyć ją rozumu.

Penelope oblała falą ciepła. Nie potrafiła powstrzymać uśmiechu.

- Ty chyba lubisz dawać lanie kobietom.

- Tylko takim, które mi się podobają.

Uniósł głowę i przeszył ją mrocznym spojrzeniem.

Chciała zignorować słodką obietnicę, jaką kryły te słowa. Nie wolno jej zapomnieć, że to wszystko jest kłamstwem. Wszystkie wydarzenia tego wieczoru to tylko fasada. Ten dziwny mężczyzna właściwie nie jest jej mężem. Występuje w tej roli tylko po to, żeby ją wykorzystać dla własnych celów.

Tylko że ten wieczór nie przybliżał go do celu. Ten wieczór miał pomóc jej i jej siostrom.

- Dziękuję ci, Michael - szepnęła w ciemnościach. - Wiem, że nie musisz wypełniać tej części umowy. Wcale nie musisz pomagać moim siostrom.

Zapadła chwila ciszy.

- Muszę - odpowiedział w końcu.

Zdziwiło ją, że jest taki słowny, choć z drugiej strony zabołało ją przypomnienie o ich umowie.

- Pewnie i złodzieje mają swój honor - skwitowała w zadumie, a potem dodała: - A co z pozostałą częścią umowy?

Uniósł ciemną brew.

- Kiedy wizyta w salonie gry?

- Uczysz się zgrabnie targować.

- Bo nie mam innych rozrywek - odparła.

- Nudzi ci się, żono?

- Dlaczego miałabym się nudzić? Ściany w twoim domu są fascynujące. Mogę się w nie wpatrywać całymi godzinami.

Zaśmiał się na te słowa, a ją przeszył dreszcz.

- Słusznie. To może pójdziemy od razu?

- Nie, bo chcesz, żeby uwierzyli w twoją przemianę, a nasze nagłe zniknięcie by w tym nie pomogło.

- Wręcz przeciwnie, bardzo by pomogło. Przecież jesteśmy nowożeńcami. -
Przysunął się bliżej. - Co więcej, widzę, że ci się to podoba.

- Ukrywanie się po kątach, jakbym była złodziejką?

- Nie złodziejką - szepnął i rozejrzył się naokoło. - Dama, która oddaje się
grzesznym miłostkom.

Prychnęła pogardliwie.

- Z własnym mężem.

- Grzeszne miłostki z własnym mężem są takie... - zamilkł, a oczy mu
pociemniały.

- Mieszkańskie?

Kącik jego ust zadrgał od tłumionego śmiechu.

- Chciałem powiedzieć: awanturnicze. „Awanturnicze”.

Zamarła, słysząc to słowo. Spojrzała na jego wysoką postać, na usta wygięte
w ironicznym uśmiechu, dłonie, które ujmowały jej twarz... chłonęła wszystko -
ciepło, zapach... otaczając ją bliskość.

Powinna zaprzeczyć. Powinna powiedzieć, że ich noc poślubna była nudna i
sztampowa jak kolacja u Tottenhamów.

Powinna pokazać mu, gdzie jego miejsce.

Ale nie mogła. Bo pragnęła powtórek. Chciała pocałunków i tych cudownych
przeżyć, którymi ją darzył, zanim zostawił ją samą - tak jakby dla niego nic to nie
znaczyło.

Był tak blisko niej... taki przystojny i męski. Spojrzała w oczy tego
mężczyzny, który raz był pociągający i uroczy, a raz mroczny i niebezpieczny, i
uświadomiła sobie, że z nim odważy się na każdą przygodę. Nawet tu, w alkwie
domu Tottenhamów.

Nawet jeśli to będzie błąd.

Oparła dłonie na jego piersi, czując twarde, płaskie mięśnie, ukryte pod
doskonale skrojoną wełną i płótnem.

- Dziś jesteś jak odmieniony. Nie znałam cię takim.

W jego oczach błysnęło jakieś uczucie i znikło tak szybko, że nie zdążyła go
rozpoznać. Odezwał się cicho, miękko, z nutką ironii:

- To może poznamy się bliżej? Czemu nie?

Stała na palcach, a on pochylił się i zamknął jej wargi w gorącym
pocałunku.

Przysunął się bliżej, popychając ją na ścianę, osłaniając swoim ciałem;
uniosła ręce i otoczyła nimi jego szyję, a potem przyciągnęła go do siebie.

Jego usta, twarde i jedwabiste, dały jej to, o czym nawet nie marzyła, o czym nie miała pojęcia - stanowczy, władczy pocałunek, który miała zapamiętać na całe życie. Rozkoszowała się jego bliskością, szerokimi ramionami i siłą. Michael ujął jej twarz w dłonie i przybliżył do siebie jeszcze bardziej... tak blisko, że niemal stali się jednym.

Liznął jej wargi, drażniąc je językiem tak lekko, że westchnęła z wrażenia. Wykorzystał tę chwilę, wsunął język w jej usta i pieścił, łaskotał i gładził, doprowadzając ją do granic wytrzymałości. Wsunęła palce w jego włosy, chwyciła go za szyję i podciągnęła się, by być bliżej niego, całować go mocniej... bardziej skandalicznie... i wcale się tym nie przejęła.

O nic już nie dbała... byleby tylko nie przestawał. Wyglądało na to, że nigdy nie przestanie.

Gdy przytuliła się mocniej, przesunął dłonie w dół, długim, leniwym ruchem, który był jak tortura. Dotknął z boku jej piersi, aż jej ciało odpowiedziało słodkim bólem w miejscach, o których nigdy nie myślała, a potem zsunął dłonie jeszcze niżej, aż dotknął pośladków, objął je i przycisnął do siebie ze zdumiewającą i podniecającą siłą.

Jęknął z rozkoszy, a ona odsunęła się nieco, ciekawa, czy jest równie oszołomiony pieścotami jak ona. Otworzył na moment oczy, spojrzał na nią przelotnie i znowu wziął w posiadanie jej usta, zagłębił się bardziej, pieścił ją mocniej i mocniej, aż z rozkoszy zapomniała o wszystkim. Co za przygoda. Co za mężczyzna.

Mijały sekundy. Minuty. Może nawet godziny... A dla niej nic się nie liczyło. Poza jej mężem. I tym pocałunkiem.

I tym wszystkim.

W końcu uniósł głowę, wycisnął na jej wargach jeszcze jeden miękki pocałunek, a potem oswobodził szyję z jej uścisku. Uśmiechnął się i spojrzał na nią tak, że aż jej dech zapało, bo uświadomiła sobie, że to pierwszy uśmiech, jaki posłał do niej - tylko do niej - od czasów dzieciństwa.

To była czysta magia.

Otworzył usta, by coś powiedzieć... nie mogła się doczekać, co usłyszy. Niecierpliwość krążyła w jej żyłach. Patrzyła, jak wargi formują pierwsze słowo:

- Tottenham.

Niebotycznie zdziwiona, ściągnęła brwi.

- Zwykle niechętnie patrzę na mężczyzn, którzy romansują z damami w moim holu, Bourne.

- A na mężów, którzy całują się z żonami?

- Szczerze? - Głos Tottenhama był suchy jak wiór. - Chyba jeszcze mniej mi się to podoba.

Penelopa zamknęła oczy, poddając się fali śmiertelnego wstydu. Ależ on to rozegrał.

- Założę się, że zmienisz zdanie, kiedy poznasz moją szwagierkę Olivię. Powiedział to takim tonem, że zapragnęła zrobić mu coś okropnego.

Skrzywdzić jego tak jak on skrzywdził ją. Zrobił to celowo.

Cały czas chodziło mu o Tottenhama.

Chciał mu udowodnić, że zawarli małżeństwo z miłości.

Wcale nie był jej tak spragniony.

Czy ja się tego nigdy nie nauczę?

- Jeśli tylko jest podobna do siostry, wolę się nie zakładać, bo przegram. Michael zaśmiał się, a ona skrzywiła się, bo nagle znienawidziła ten dźwięk.

- Zostawisz nas samych na moment?

- Będę musiał, bo w przeciwnym razie lady Bourne nigdy nie zechce spojrzeć mi prosto w oczy.

Penelopa wpatrywała się w fałdy fularu swego męża. Zmusiła się, by mówić spokojnym głosem, bo wiedziała, że na beztronski ton nie będzie jej stać.

- Obawiam się, że moment to za mało, milordzie. Znowu ją wykorzystał.

Tottenham zaśmiał się cicho.

- Brandy już czeka.

I już go nie byto. Została sama.

Sama z mężem, który co chwila ją rozczarowywał. Nie podniosła głowy.

- Doskonale to rozegrałeś - odezwała się z cieniem smutku w głosie. Nawet jeśli go dosłyszał, nie okazał jej tego.

Odezwał się takim tonem, jakby przed chwilą rozmawiali o pogodzie, a nie całowali się po kątach.

- W ten sposób daliśmy przekonujący dowód, że Falconwell nie było jedynym powodem naszego ślubu.

Mało brakowało, a sama by w to uwierzyła.

Chyba nigdy się tego nie nauczy. Nie powinna się tak złościć ani tak wszystkiego przeżywać. Przecież sama wymyśliła tę opowiastkę o małżeństwie z miłości. Sama jest sobie winna, że teraz tak cierpi.

Bezwartościowa. Wykorzystana. Ale dzięki temu siostry zawrą prawdziwe, normalne małżeństwa. Taka jest cena. Muszę w to wierzyć. Odsunęła od siebie smutne myśli.

- Dlaczego to zrobiłeś?

Uniósł pytająco brwi, więc wyjaśniła:

- Dlaczego zgodziłeś się na tę farsę? Odwrócił wzrok.

- Dałem ci słowo. Pokręciła głową.

- Nie wydaje ci się... że cię wykorzystałam? Uśmiechnął się krzywo.

- A tobie się nie wydaje, że wykorzystałem ciebie, biorąc z tobą ślub? Nie myślała o tym z taką brutalną szczerością.

- Pewnie wykorzystałeś. Ale mimo wszystko...

„To było dużo gorsze” chciała powiedzieć. Czuję się tak, jakby wszystko, czym jestem, wszystko co mam, było wystawione na sprzedaż. Pokręciła głową.

- To nie to samo. Przykro mi, że cię namówiłam, żebyś to zrobił dla nich. I dla mnie.

Pokręcił głową.

- Nigdy niczego nie żałuj.

- Następna zasada?

- Tak, ale tylko łajdacka. Gracze zawsze żałują. Pomyślała, że on sam się o tym przekonał.

- Mimo wszystko, żałuję.

- Nie ma czego. Mam swoje powody, żeby odgrywać z tobą tę farsę. Znieruchomiła.

- Naprawdę? Skinął głową.

- Naprawdę. Każde z nas może na tym coś zyskać.

- Co takiego chcesz zyskać?

Milczał, a w niej obudziła się podejrzliwość.

- Od kogo to zyskasz? - Znowu nie odpowiedział, ale Penelopa nie była głupia. - Od mojego ojca? Coś ci obiecał. Co to jest?

- Nieważne - mruknął w taki sposób, że natychmiast zorientowała się, jak bardzo to jest ważne. - Tak czy owak, nie musisz żałować naszej umowy, bo ja na niej skorzystam. Odprowadzę cię teraz do salonu - zaproponował, ujmując ją pod rękę.

Dziwne, ale myśl, że Michael rozgrywał tę farsę dla własnej korzyści, jeszcze bardziej ją rozdrażniła. Wyglądało na to, że ona sama również padła ofiarą jego kłamstw.

Poczuła się zdradzona, więc odsunęła się od niego gwałtownie.

- Nie dotykaj mnie.

Uniósł brwi, zdziwiony jej słowami i gniewem.

- O co chodzi?

Chciała być od niego jak najdalej, żeby jak najszybciej zapomnieć o tym, że nabrała się na jego sztuczki.

- Możemy udawać miłość przed nimi, ale sami się nie oszukujmy. Nie dotykaj mnie więcej. Chyba że na pokaz.

Nie wiem, czy to wytrzymam, dodała w myślach.

Uniósł obie ręce na dowód, że jest gotów spełnić jej życzenie.

Odwróciła się bez słowa, żeby nie zdradzić swoich uczuć.

- Penelopo! - zawołał, gdy ruszyła tonącym w półcieniu korytarzem. Zatrzymała się, czując, jak budzi się w niej promyk nadziei... Może ją przeprosi. Może powie, że się myliła. Że pragnie jej cały czas.

- Przed tobą najtrudniejsze zadanie. Rozmowa z tymi damami. Rozumiesz, o co chodzi?

Próżne nadzieje. Chce, żeby dalej udawała. Przypomina, że w swoim gronie kobiety będą o wiele bardziej dociekliwe. Że czeka ją wyzwanie.

Chciało jej się śmiać na myśl, że według niego to będzie najtrudniejsze. Przecież najtrudniejsza część tego wieczoru właśnie się dla niej skończyła.

- Zajmę się damami, milordzie, zgodnie z naszą umową. Przekonam je, jak bardzo jesteśmy zakochani, i dzięki temu moje siostry będą miały szanse dobrze wyjść za mąż. - Po chwili dodała twardo: - Nie zapominaj, że obiecałeś mi zwiedzenie twojego klubu. Uważam, że to nie jest gest dobrej woli, tylko opłata za mój udział w twoim podstępie.

Wyprostował się.

- Umowa stoi. Kiwnęła głową.

- Kiedy?

- Zobaczymy.

Zmrużyła oczy, słysząc ten uprzejmy synonim słowa „nie”.

- Ano, zobaczymy.

Z tymi słowy odwróciła się i wróciła do salonu z wysoko uniesioną głową, wyprostowana jak trzcina. Uchyliła drzwi i weszła do środka, wzburzona, ale zdecydowana trzymać uczucia na wodzy.

Drogi M.

Tommy przyjechał do domu na Świętego Michała i świętowaliśmy ten dzień w wielkim stylu, choć brakowało nam własnego Michaela. Byliśmy dzielni i objadaliśmy się jeżynami do nieprzytomności, zgodnie z tradycją. Żeby mieliśmy czarnoniebieskie od soku - byłbyś z nas dumny.

Może pojawisz się u nas na Boże Narodzenie? Jarmark Świętego Stefana w Coldharbour staje się coraz większą atrakcją.

Wszyscy myślimy o Tobie i tęsknimy.

Twoja P.

Dwór Needham, wrzesień 1818

Bez odpowiedzi.

Powiedziała, żeby jej nie dotykał, a on posłuchał. Posunął się jeszcze dalej. Zostawił ją całkiem samą.

Tak jak po powrocie od Tottenhamów - gdy odprowadził ją do Piekielnego Domu i zostawił, jak najszybciej mógł, bez słowa, żeby zająć się sprawami, jakie mężowie załatwiają sami, bez swoich żon.

Zostawił ją samą kolejnej nocy. Jadła kolację w ogromnej, pustej sypialni pod baczny spojrzeniem kilku małych lokajów. Na szczęście zaczęła się do nich przyzwyczajać. Była dumna z tego, że coraz rzadziej zdarza jej się płonąć rumieńcem przez cały posiłek.

Potem zostawił ją znowu, a ona stała w oknie sypialni jak płaczące widmo, spoglądając za jego powozem, jakby łączyła ich niewidzialna nić. Jakby cierpliwe wyczekiwanie mogło sprawić, że do niej wróci.

I staną się takim małżeństwem, jakie ona sobie wymarzyła.

- Koniec z wystawaniem w oknie - zdenerwowała się w końcu, odwróciła się od zimnej, mrocznej ulicy i podeszła do umywalni. Zanurzyła dłonie w chłodnej wodzie, patrząc, jak ich obraz rozmywa się i blaknie. -Dosyć tego - powtórzyła twardo, słysząc, jak pod domem zatrzymuje się czyjś powóz, ignorując przyspieszone bicie serca i pokusę, by wyrzeć na zewnątrz.

Zamiast tego spokojnie osuszyła dłonie i podeszła do drzwi dzielących ją od sypialni męża. Przyłożyła do nich ucho, nasłuchując dźwięków zdradzających jego nadejście.

Mijały minuty, ale jedynym efektem podsłuchiwania była obolała szyja. W końcu ciekawość przemogła opory i Penelopa ruszyła ku swoim drzwiom, żeby wyjrzeć na korytarz i zobaczyć, czy jej mąż naprawdę wrócił do domu.

Uchyliła drzwi i chciała wyjrzeć na korytarz przez wąską szparę.

Nagle znalazła się twarzą w twarz z panią Worth.

Drgnęła zaskoczona i z bijącym sercem zatrzasnęła drzwi. Po chwili zorientowała się, że właśnie skompromitowała się przed tajemniczą gospodynią własnego męża.

Wzięła głęboki oddech i otworzyła drzwi z szerokim uśmiechem.

- Przestraszyła mnie pani. Gospodyni pochyliła głowę.

- Ma pani gościa. Penelopa ściągnęła brwi.

- Jakiego gościa? - Było już po jedenastej. Gospodyni podała jej kartę.

- Mówi, że to bardzo ważna sprawa. On.

Penelopa wzięła od niej tę kartę. Tommy.

Nagle poczuła się szczęśliwa. Pierwsza osoba, która zechciała ją odwiedzić w tym dużym, pustym domu. Nawet matka wstrzymywała się z wizytą i tylko przesłała wiadomość, że zjawi się, gdy nowożeńcy już nacieszą się sobą.

Nie miała pojęcia, że w tym związku nie ma żadnej radości.

Ale Tommy był jej przyjacielem. A przyjaciele się odwiedzają. Nie potrafiła ukryć radosnego uśmiechu przed panią Worth.

- Zaraz zejdę. Proszę podać mu herbatę. Albo wino. Albo scotcha. - Pokręciła głową. - Nie wiem, co pija się o tej porze.

Zamknęła drzwi i doprowadziła się do porządku, a potem pomknęła w dół po schodach do frontowego salonu dla gości. Tommy czekał przy wielkim marmurowym kominku, przytłoczony ekstrawaganckim wystrojem.

- Tommy! - zawołała i skoczyła ku niemu, ciesząc się z odwiedzin. - Co ty tu robisz?

Uśmiechnął się.

- Przyjechałem cię stąd wykraść, to chyba jasne.

To powinien być żart, ale coś w tych słowach jej się nie spodobało. Nagle uświadomiła sobie, że Tommy nie powinien tu się zjawiać i że Michael byłby wściekły, gdyby się dowiedział, że jego żona gościła Tommy'ego Allesa w ich wspólnym salonie. Nieważne, że Tommy przyjaźnił się z nią od dzieciństwa.

- Nie powinieneś tu przychodzić - powiedziała, gdy odwrócił się do niej, ujął jej dłonie i podniósł je do ust. - On będzie wściekły.

- Przecież w dalszym ciągu jesteśmy przyjaciółmi, prawda?

- Oczywiście, że tak - zapewniła bez wahania, bo ogarnęło ją poczucie winy w związku z tym, co ostatnio zdarzyło się pomiędzy nimi.

- Przyszedłem więc jako twój dobry przyjaciel, żeby się upewnić, że nic ci się nie stało. Rzuć go.

Po ostatnich kontaktach z Michaeliem powinna chętnie przystać na tę propozycję, ale nie mogła się na to zdecydować. Wręcz przeciwnie - spotkanie z Tommym wydało jej się nagle zdradą własnego męża i małżeństwa.

Pokręciła głową.

- Nie powinieneś tu być, Tommy.

Spojrzał na nią z niezwykłą dla siebie powagą.

- Powiedz mi tylko, czy nic ci się nie stało?

W jego słowach było tyle troski, że wywołały w niej nieoczekiwane poczucie żalu. Łzy napłynęły jej do oczu. Niespełna tydzień temu wzięła cichy, pośpieszny ślub w Surrey. Od tej pory nikt się nią nie interesował. Tylko Tommy. Nawet mąż zostawił ją samą.

- Ja... - zaczęła i przerwała, bo żal ścisnął ją za gardło. Przyjazne oczy Tommy'ego pociemniały.

- Jesteś nieszczęśliwa. Zabiję go.

- Nie! Nie... - Położyła mu rękę na ramieniu. - Nie jestem nieszczęśliwa. Naprawdę. Tylko, że... - Wzięła głęboki oddech i dokończyła: - Nie jest łatwo.

- Zrobił ci krzywdę?

- Nie! - Rzuciła się bronić Michaela, zanim dotarł do niej sens tego pytania. - Skądże... nie... - A przynajmniej nie w tym sensie, o który chodziło Tommy'emu.

Nie uwierzył jej. Skrzyżował ramiona na piersi.

- Nie broń go. Zrobił ci krzywdę?

- Nie.

- To o co chodzi?

- Rzadko go widuję.

- Co za niespodzianka - odpowiedział z przekąsem. Wyczuła w jego słowach gorycz z utraconej przyjaźni. Czuła się podobnie, kiedy Michael wyjechał. Gdy przestał pisać. Gdy przestało mu zależeć. Tommy milczał długą chwilę, a potem zapytał: - Chciałabyś widywać go częściej?

To było niełatwe pytanie. Nie chciała mieć nic wspólnego z tym chłodnym, pełnym rezerwy Michaelem, który ożenił się z nią dla ziemi. Ale z tym drugim - który ją tulił, dbał o nią i szczerze obdarzał jej ciało i pochłaniał myśli - z tym drugim chętnie by się zobaczyła.

Naturalnie, nie mogła tego powiedzieć Tommy'emu. Nie mogła mu tłumaczyć, że jest dwóch Michaelów i że jej mąż fascynuje ją i zarazem doprowadza do szału.

Z trudem przyznawała się do tego sama przed sobą.

- Penny?

Westchnęła, podeszła do kredensu, nalała mu trunku i odparła, ostrożnie dobierając słowa:

- Małżeństwo to dziwna instytucja. Uniósł brew i przyjął szklanekę z whisky.

- Pewnie tak. Szczególnie z Michaelem. Wiedziałem, że po ciebie przyjedzie. Wiedziałem, że będzie zimny, bez serca i że wymyśli jakiś sposób, żeby się z tobą szybko ożenić... i dostać Falconwell.

Penelopa nagle uświadomiła sobie, że powinna zaprotestować i opowiedzieć Tommy'emu historyjkę o miłości, ale teraz było już za późno.

- Chciałem go uprzedzić i oświadczyć się pierwszy, żebyś nie mogła za niego wyjść.

Przypomniała sobie, co powiedział, kiedy jej się oświadczał.

- Chciałeś mnie obronić przed Michaelem, prawda? O to ci chodziło?

- On jest inny niż dawniej.

- Dlaczego mnie nie uprzedziłeś? Przechylił głowę.

- Uwierzyłybyś?

- Tak... Nie.

Uśmiechnął się, ale inaczej niż zwykle. Z powagą.

- Penny, gdybyś wiedziała, że on do ciebie jedzie, czekałabyś na niego. - Umilkł na chwilę. - Zawsze ci na nim zależało.

Penelopa zmarszczyła brwi. To przecież nieprawda. Ale czy na pewno?

Przypomniała sobie nagle pewien ciepły wiosenny dzień, wspięli się we trójkę na starą normańską wieżę w pobliżu Falconwell. Kiedy po niej buszowali, pod Penelopą zarwały się schody. Została uwięziona piętro wyżej nad chłopcami. Nie było wysoko, może kilka stóp, ale bała się skoczyć. Zawołała ich na pomoc. Pierwszy znalazł ją Tommy. Zachęcał, by skoczyła, obiecywał, że ją złapie. Ale ona zamarła ze strachu.

Wtedy przyszedł Michael. Spokojny, nieustraszony Michael, który spojrzał jej prosto w oczy i dodał jej sił. „Skacz, Sześć Pensów. Hop do sakiewki!”

Uwierzyła.

Westchnęła głęboko na wspomnienie szczęśliwych chwil z Michael-em i poczucia bezpieczeństwa, jakie zawsze przy nim miała. Spojrzała na Tommy'ego.

- To już jest inny człowiek.

- Prawda. Mój ojciec się o to postarał. - Umilkł na chwilę. - Przykro mi, że nie mogłem temu zapobiec, Penny. Bardzo mi przykro.

Pokręciła głową.

- Nie przepraszaaj. On potrafi być obojętny i zimny, ale bardzo wiele sam zbudował. Udowodnił swoją wartość dziesięciokrotnie. Zgadzam się, że nasze małżeństwo jest trudne, ale które takie nie jest?

- Nasze byłoby inne.

- Też byłoby trudne, ale w inny sposób, Tommy. Dobrze o tym wiesz. Uśmiechnęła się i dodała:

- Twoja poezja jest po prostu koszmarna.

- A więc to mnie pograżyło. - Uśmiechnął się blado i zmienił temat.

- Myślałem o wyjeździe do Indii. Powiadają, że to kraj nieskończonych możliwości.

- Chcesz wyjechać z Anglii? Dlaczego?

Pociągnął solidny łyk i odstawił pustą szklanekę na stolik.

- Twój mąż chce mnie zrujnować. Dopiero po chwili zrozumiała sens tych słów.

- To nie może być prawda.

- A jednak. Sam mi powiedział.

- Kiedy? - spytała z niedowierzaniem.

- W dzień waszego ślubu pojechałem do dworu Needham, żeby się z tobą spotkać i przekonać do małżeństwa ze mną. Okazało się, że przy-

byłem za późno i że wyjechałaś z nim do Londynu. Pojechałem za wami. Prosto do jego klubu.

Michael ani słowem jej o tym nie wspomniał.

- Rozmawiałeś z nim?

- Przez chwilę, ale zdążył mi przez ten czas powiedzieć, że będzie się mścił na moim ojcu. I na mnie. Dlatego muszę wyjechać.

Nie zdziwiło jej to. Naturalnie, dla jej nieugiętego męża Falconwell to za mało. To oczywiste, że chce zemsty na Langfordzie. Ale dlaczego na Tommym?

- Nie zrobiłby ci tego, Tommy. Przecież znamy się od tak dawna. Dorastaliśmy we troje.

Tommy uśmiechnął się krzywo.

- Obawiam się, że zemsta jest ważniejsza niż wspólne dzieciństwo. Pokręciła głową.

- Ale co on może planować?

- Nie jestem... - Wziął głęboki oddech. - Dowiedział się... - Przerwał. Spuścił wzrok. Zaczął jeszcze raz: - Nie jestem synem Langforda.

Penelopa otworzyła szeroko usta.

- To niemożliwe - wymamrotała cicho. Zaśmiał się cicho, niewesoło.

- Nie myślisz chyba, że skłamałbym w takiej sprawie, Penny. Oczywiście, miał rację. Kłamstwo nie miałoby sensu.

- Nie jesteś więc...

- Nie.

- Więc kto...

- Nie mam pojęcia. Dowiedziałem się o tym kilka lat temu, kiedy oj... kiedy Langford wyznał mi prawdę.

Napotkała jego smutne, spokojne spojrzenie.

- Nigdy mi o tym nie mówiłeś.

- Takich rzeczy się nie mówi - odpowiedział i umilkł. - Trzyma się je w tajemnicy... w nadziei, że nikt się nie dowie.

Tym razem ktoś się dowiedział.

Penelopa przełknęła ślinę i zapatrzyła się w obraz wiszący na ścianie - dziki, surowy krajobraz. Pewnie jakiś pejzaż z północy. Wbiła wzrok w wielki głaz i po chwili zastanowienia zrozumiała całą sytuację.

- To zrujnowałoby twojego ojca.

- Jego jedyny syn okazałby się bastardecem.

Spojrzała mu w oczy.

- Nie mów tak o sobie.

- Niedługo wszyscy będą tak o mnie mówić.

Cisza. I świadomość, że Tommy ma rację. Że Michael chce go zrujnować. Środek do celu.

Tommy spostrzegł, że zrozumiała, o co chodzi, i zrobił krok w jej stronę.

- Jedź ze mną, Penny. Wyjedziemy daleko, zostawimy za sobą tutejsze życie i zaczniemy wszystko na nowo. W Indiach, Ameryce, Grecji albo Hiszpanii. Albo na Bliskim Wschodzie. Gdzie tylko zechcesz.

Otworzyła szeroko oczy. Mówił poważnie.

- Tommy, przecież ja mam męża. Uśmiechnął się pogardliwie.

- Ale to Michael. Musisz uciekać, tak samo jak ja. Albo jeszcze szybciej. Ze mną rozprawi się szybko, z tobą potrwa to dłużej.

- Niech i tak będzie. Jestem mężatką. A ty... - umilkła.

- A ja jestem nikim. A przynajmniej będę, kiedy on ze mną skończy. Pomyślała o swoim mężu, któremu przyrzekła wierność i lojalność,

który tak długo walczył, by odzyskać majątek, nie mając prawa do swego nazwiska. On najlepiej wiedział, ile znaczą tytuł i nazwisko. Tożsamość człowieka. Nie zrobiłby czegoś takiego. Pokręciła głową.

- Mylisz się, on by nie... - Ale zanim skończyła zdanie, zrozumiała, że nie ma racji.

Michael zrobiłby wszystko dla zemsty. Włącznie ze zniszczeniem swoich dawnych przyjaciół. Tommy zacisnął zęby. Zaczęła się niepokoić. Nigdy nie bywał taki poważny. Taki zdecydowany.

- Nie myślę się. Ma dowody. Na pewno zechce ich użyć. On jest bezlitosny, Penny, on się zmienił i już nie jest naszym przyjacielem.

Stanął blisko niej, ujął jej dłoń.

- On na ciebie nie zasługuje. Jedź ze mną. Jedź ze mną i żadne z nas już nigdy nie będzie samotne.

Milczała dłuższą chwilę, a potem odpowiedziała spokojnie:

- Michael jest moim mężem.

- On cię wykorzystuje.

Poczuła się urażona, choć Tommy powiedział prawdę. Spojrzała mu prosto w oczy.

- Oczywiście, że tak. Podobnie jak wszyscy inni mężczyźni w moim otoczeniu. Ojciec, ksiązę Leighton, inni zalotnicy, i ty też.

Otworzył usta, żeby zaprzeczyć, ale pokręciła głową i uniosła palec.

- Nic z tego, Tommy. Nie oszukasz ani mnie, ani siebie. Może nie chcesz mnie wykorzystać dla ziemi, pieniędzy albo reputacji. Ale boisz się o to, co się stanie, kiedy prawda wyjdzie na jaw, i chcesz sobie zapewnić przyjazną duszę do towarzystwa, kogoś, kto rozproszy twoją samotność.

- Czy to coś złego? - spytał zrozpaczonym głosem. - Czy nasza przyjaźń już się nie liczy? I te wszystkie spędzone razem lata? I ja?

Dobrze rozumiała desperację i ultimatum zawarte w tych słowach. Nie zamierzała tego ukrywać. Tommy kazał jej wybierać między sobą, najdawniejszym przyjacielem, który zawsze był przy niej, a jej mężem, rodziną, jej życiem. Ale tak naprawdę, to nie był żaden wybór. Nie dla niej.

- On jest moim mężem! - odpowiedziała z naciskiem. - Nie ja zaczęłam pisać naszą wspólną historię, ale to naprawdę jest wspólna historia.

Umilkła, gniewna i rozczarowana.

Tommy obserwował ją przez długą chwilę. Jej słowa zawisły w ciszy pomiędzy nimi.

Taka jest prawda, podsumowała to w myśli. Uśmiechnął się smutno, jakby usłyszał te słowa.

- Przyznam, że mnie to nie dziwi. Zawsze wolałaś jego.

- Nieprawda! - Pokręciła głową.

- Oczywiście, że prawda. Kiedyś to zrozumiesz.

Braterskim gestem uniósł jej podbródek. W tym właśnie tkwił problem. Tommy zawsze był dla niej jak brat, a nie jak kochanek. W odróżnieniu od Michaela, który był daleki od braterskich uczuć.

I równie daleki od ciepła i serdeczności. Wprawdzie postanowiła stanąć po jego stronie w tej dziwnej, smutnej wojnie, ale nie będzie tkwić z założonymi rękami, patrząc, jak on niszczy Tommy'ego.

- Nie pozwolę, by cię zrujnował - obiecała. - Przysięgam. Tommy machnął ręką z widocznym niedowierzaniem.

- Daj spokój, Penny. Mówisz, jakbyś mogła go powstrzymać. Powinno ją to zasmucić. Powinna pogodzić się z prawdą tych słów. Zamiast tego tylko się rozłościła.

Michael zabrał ją daleko od rodziny, zmienił całe jej życie, zmusił ją do tej oszukańczej rozgrywki i zagroził jej najlepszemu przyjacielowi. A przy

tym cały czas trzymał ją z dala od siebie, jakby była najmniej ważną w talii kartą, którą nie warto zaprzętać sobie głowy.

Czas, żeby zmienił zdanie.

Uniosła podbródek i wyprostowała się dumnie.

- Nie jest przecież Bogiem - oznajmiła twardo, z przekonaniem. - Nie ma prawa bawić się nami, jakbyśmy byli ołowianymi żołnierzami.

Tommy zauważył jej gniew. Uśmiechnął się żałośnie.

- Daj spokój, Pen. Nie jestem tego wart. Uniosła brew.

- Nie zgadzam się z tym. Zresztą, może masz rację. Ale ja na pewno jestem coś warta. Żarty się skończyły, Michaelu.

- Zrobi ci krzywdę.

Wygięła wargi w przekornym uśmiešku.

- I tak by ją zrobił. To kolejny powód, żeby wystąpić przeciwko niemu. Podeszła do drzwi, otworzyła je przed nim. Kiedy przeszedł obok niej, cicho krocząc w lśniących, czarnych oficerkach po miękkim dywanie, ogarnął ją smutek.

- Przykro mi, Tommy.

Wziął ją w objęcia i wycisnął na czole ciepły pocałunek, a potem powiedział:

- Naprawdę chcę twojego szczęścia, Penny. Wierzysz mi, prawda?

- Wierzę.

- Dasz mi znać, jeśli zmienisz zdanie? Skinęła głową.

- Na pewno.

Przyglądał jej się przez dłuższą chwilę, zanim się odwrócił. Jego przystojna twarz spochmurniała.

- Będę na ciebie czekał. Do ostatniej chwili.

Chciała powiedzieć, żeby się na nią nie oglądał. Żeby jechał od razu. Ale smutek, niepokój, a może wiedza, że jej mąż nie zboczy z obranej drogi, kazały jej milczeć, więc pożegnała go tylko:

- Dobranoc, Tommy.

Odwrócił się i wyszedł na korytarz. Penelopa obserwowała jego sylwetkę w obramowaniu drzwi wejściowych Piekielnego Domu. Drzwi zamknęły się za nim. Po chwili usłyszała turkot powozu w nocnej ciszy. Ten dźwięk przypominał jej o samotności. Znowu była sama.

Sama w tym domu, który przypominał mauzoleum, w domu wypełnionym rzeczami, nienależącymi do niej i zamieszkanym przez ludzi, których

nie знаła. Zupełnie sama w tym milczącym świecie - Penelopa czekająca na swego Odyseusza.

Zaśmiała się i wyskrobała palcem kółko na oszronionej szybie. Oczyszczyła cały środek, aż zalśnił jak czarne lustro, odbijając jej twarz. Zawsze nienawidziła swojego imienia, zawsze uważała, że to bez sensu czekać aż dwadzieścia lat na ukochanego mężczyznę. Tyle lat zupełnej samotności... można umrzeć z nudów na długo przed powrotem męża wojownika.

W cieniu przedpokoju coś się poruszyło. Natychmiast zorientowała się, że to pani Worth. Doskonale rozumiała, że gospodyni jest lojalna wobec swego pana.

Odezwała się do niej w ciemności:

- Ile mam czasu, zanim się dowie, że miałam gościa o jedenastej w nocy?

Gospodyni weszła w płamę światła i przez chwilę milczała. Potem odpowiedziała spokojnie:

- Wysłałam wiadomość do klubu, gdy tylko pan Alles tu przyjechał. Penelopa obserwowała piękną dziewczynę. Jej zdrada - choć oczekiwana i nieunikniona - jeszcze bardziej rozpałała jej gniew.

- Niepotrzebna strata papieru.

Ruszyła ku wielkim schodom i zaczęła wchodzić na piętro. W połowie drogi odwróciła się do gospodyni, która została na dole i obserwowała ją idealnie pięknymi oczyma, osadzonymi w cudownej twarzy pod grzywą idealnie ułożonych włosów. Jakby była strażniczką, dbającą, by Penelopa niepotrzebnie nie zdenerwowała jej pana.

Co oczywiście jeszcze bardziej rozdrażniło Penelopę.

Nagle poczuła przypływ straceńczej odwagi.

- Gdzie jest ten klub? Gospodyni szeroko otworzyła oczy.

- Nie mam pojęcia.

- Bardzo zabawne, bo zdaje mi się, że jednak pani ma. - Ściszyła głos i powiedziała szczerze: - Jestem pewna, że wie pani o wszystkim, co się dzieje w tym domu. Ze szczegółami. Włącznie z tym, że mój mąż spędza wieczory w klubie, zamiast być tutaj.

Pani Worth nie odzywała się przez dłuższą chwilę, a Penelopa zaczęła się zastanawiać, co by się stało, gdyby wymówiła pracę tej ślicznotce. W końcu machnęła ręką i ruszyła w swoją drogę.

- Zresztą, nieważne. Jeśli będę musiała, wynajmę powóz i pojedę na poszukiwania.

- To mu się nie spodoba. - Gospodyni ruszyła za nią. Skierowały się długim korytarzem wiodącym do sypialni Penelopy.

- Oczywiście, że nie. Ale jego upodobania przestały mnie obchodzić. Ta obojętność przyniosła zaskakujące poczucie wolności, co okazało się bardzo odświeżające. Otworzyła drzwi sypialni i podeszła do szafy, z której wyjęła obszerny płaszcz. Odwróciła się i spojrzała prosto w piękne, szeroko otwarte oczy gospodyni.

Zamarła. Może to ona jest tą kruczoczną boginią Michaela? Może jego serce, umysł i wieczory należą do pani Worth? Uważnie wpatrywała się w śliczną, delikatną jak porcelana twarz gospodyni, oceniła jej wzrost, zastanowiła się, czy pasują do siebie oboje i czy Michael woli tę piękność od niej, Penelopy. Pani Worth uśmiechnęła się do niej. Nie półgębkiem, ale szczerym, szerokim uśmiechem.

- Ten pan Alles wcale nie jest pani kochankiem.

Słowa gospodyni, kompletnie nie na miejscu w ustach służącej, tak zdumiały Penelopę, że na moment zabrakło jej słów. Potem odpowiedziała z absolutną szczerością:

- Nic z tych rzeczy.

A potem, skoro pierwsze lody zostały przełamane, stwierdziła spokojnie:

- A pani nie jest kochanką Michaela.

Gospodyni tak się zdziwiła, że odpowiedziała prosto z mostu:

- Wielki Boże, skądże znowu. Nie chciałabym go, nawet gdyby błagał na kolanach. - Zreflektowała się i umilkła na chwilę. - To znaczy... nie o to mi chodziło. To dobry człowiek, milady.

Penelopa zmieniła białe koźłące rękawiczki na granatowe, zamszowe. Wsuwając w nie palce, oświadczyła bez ceregieli:

- Jest skończonym głupcem. Dochodzę powoli do wniosku, że też go nie zechcę, nawet jeśli będzie błagał. Tyle że jestem jego żoną.

- Za pozwoleniem, naprawdę powinna pani poczekać, aż zacznie panią błagać. Nie powinien pani zostawiać samej tak...

- Tak często? - dokończyła Penelopa, dochodząc do wniosku, że źle oceniła gospodynię. - Niestety, pani Worth, obawiam się, że mój mąż nie ma zwyczaju nikogo o nic błagać.

Gospodyni uśmiechnęła się do niej.

- Proszę mnie nazywać Worth. Wszyscy tak na mnie mówią.

- Wszyscy?

- Wszyscy wspólnicy Upadłego Anioła. Penelopa ściągnęła brwi.

- Skąd znasz wspólników mojego męża?

- Kiedyś pracowałam w Aniele. Szorowałam garnki, skubałam kurczaki. Co było potrzeba.

Penelopę ogarnęła ciekawość.

- Dlaczego więc pracujesz tutaj? Kobieta spochmurniała.

- Dorosłam i dojrzałam. Zaczęli mnie zauważać.

- Mężczyźni? - Retoryczne pytanie. Penelopa знаła przecież odpowiedź.

Dziewczyna o urodzie Worth nigdzie się nie ukryje. Nawet w kuchni wytwornego kasyna.

- Wspólnicy robili wszystko, żeby gracze nie zbliżali się za bardzo do dziewczyn. Do żadnej z nas, nie tylko do mnie.

Penelopa pochyliła się, bo wiedziała, jaki będzie dalszy ciąg. Co za koszmar. Jaka szkoda, że nie można takich rzeczy wymazać ze świadomości.

- Ale ja byłam beztroska. A ci co mają władzę, zawsze dostaną to, czego chcą. Bogacze to wielka pokusa. I każdy mężczyzna umie kłamać jak najęty... i czarować słodkimi słówkami.

Penelopa dobrze o tym wiedziała, mając złotoustego kłamcę za męża. Worth uśmiechnęła się smutno.

- Bourne nas nakrył.

Gospodyni przesunęła palcem po pozłacanej ramie wielkiego olejnego obrazu.

- Był wściekły - domyśliła się Penelopa. Instynktownie wiedziała, że nie zniósłby czegoś takiego, choć sam miał niejednego grzeszek na sumieniu.

- O mało nie zabił tamtego - przytaknęła Worth, a Penelopa poczuła przyływ dumy. - Jest samolubny... i ponury. Ale to dobry człowiek - podsumowała gospodyni. Odsunęła się o krok i przyjrzała Penelopie. - Jeśli pani chce złożyć wizytę w kasynie, musi pani wejść drzwiami dla właścicieli. Inaczej nie dostanie się pani do głównej sali. I musi pani mieć większy kaptur, żeby dobrze zasłaniał twarz.

Penelopa nie pomyślała o tym. Pewnie by ich wszystkich zrujnowała, gdyby nie ta rozmowa z Worth. Wyszła na korytarz.

- Dziękuję ci.

- Będzie wściekły, kiedy panią tam zobaczy - ostrzegła ją gospodyni. - Moja notatka na pewno pani nie pomogła. Przepraszam - dodała po chwili milczenia.

Penelopa spojrzała na nią z ukosa, gdy schodziły po schodach.

- Kiedyś odbiorę ten dług - odparła. - Ale nie dziś. Dzisiaj uznajmy po prostu, że twoja wiadomość była niepełna. Zamierzam ją po prostu uzupełnić. I dostarczyć mu osobiście.

Drogi M.

Nadeszły moje kolejne urodziny, trudniejsze niż wszystkie dotąd. Matka chce wydać dla mnie bal, patrzą na mnie jak na cielę przeznaczone na rzeź. (Chyba wybrałam niezbyt odpowiednią metaforę, prawda?) Nie uwierzysz, ale ona układa już piany na marzec. Boję się, że nie przetrwam zimy.

Obiecuj mi, że przyjedziesz na ten koszmarne bal... wiem, że w wieku dwudziestu lat nie chce ci się chodzić na bale i spotkania towarzyskie dla debiutantek, ale bardzo bym chciała zobaczyć tego dnia choć jedną przyjazną twarz.

Jak zawsze P. Dwór Needham, sierpień 1820

Bez odpowiedzi.

- Powinieneś siedzieć w domu z żoną.

Bourne, stojący przy oknie, które wychodziło na główną salę Upadłego Anioła, nawet się nie odwrócił.

- Zona grzecznie leży w łóżku i śpi.

W wyobraźni ujrzał Penelopę w nieskazitelnie białej koszuli nocnej, owiniętą w koce, przytuloną do niego. Burza włosów leżała na poduszce, a ona cichutko wdychała przez sen i kusiała go... nawet w marzeniach.

Albo jeszcze lepiej: była w jego łóżku, na futrze - jak cudowna kraina czekająca na swego odkrywcę. Tydzień, który upłynął od chwili, gdy zabroniła mu dotykać jej ciała, ciągnął się w nieskończoność.

Wieczór u Tottenhamów zaczął się od postawienia sobie konkretnego, łatwego do osiągnięcia celu: miał być pierwszym etapem przekonania socjety, że Bourne i Penelopa pobrali się z miłości. Tylko, że ona stanęła u jego boku w tym kłębowisku żmij, wsparła go, uwiarygodniła całą opo-

wieść, udając uczucie i zaufanie. Stała w jego obronie i zrobiła to jak prawdziwa dama.

Chociaż przekonywał sam siebie, że wyciągnął ją z salonu, by ostatecznie przekonać zebranych o swej fascynacji nowo poślubioną żoną, w głębi serca wiedział, że to nieprawda. W ogóle nie myślał o gościach Tottenhama, a fascynacja bynajmniej nie była udawana. Po prostu musiał jej dotknąć. Musiał być blisko niej.

Gdy ją pocałował, stracił kontrolę nad sytuacją - stracił dech w piersiach i przyciskał ją do siebie, marząc, by nagle znaleźli się zupełnie gdzie indziej - byle nie w tym korytarzu, nie w tym domu i nie z tymi ludźmi. Miał ochotę zamordować Tottenhama za to, że im przeszkodził, ale Bóg jeden wie, co by się stało, gdyby wicehrabia nie pojawił się w porę. Zanim usłyszał jego chrząknięcie, Bourne właśnie zabierał się, by unieść suknię żony, opaść na kolana i pokazać jej, dokąd może ich oboje zaprowadzić prawdziwa rozkosz. Całe szczęście, że w czas oprzytomniał.

Wtedy zamarła w jego ramionach, sztywna jak posąg. Zorientował się, że straciła do niego zaufanie. Myślała, że odegrał tę scenę specjalnie dla Tottenhama... poniekąd miała rację, ale nie myślał, że posunie się aż tak daleko i straci panowanie nad sobą.

Więc powiedział jej prawdę o układzie z ojcem, wiedząc, że ją tym zrani. Że ona go wtedy znenawidzi za to, iż została oszukana. A kiedy z królewską miną zabroniła mu do siebie dostępu, uznał, że tak będzie najlepiej dla nich obojga.

Choć nade wszystko w świecie pragnął zabrać ją do domu i nakłonić, by odwołała te słowa.

Chase przerwał mu rozważania:

- Przesiadujesz tu co noc od swojego powrotu.

- Czemu cię to obchodzi?

- Znam kobiety. I wiem, że nie lubią, kiedy się je ignoruje. Bourne nie odpowiedział.

- Słyszałem, że chcesz wyswatać jedną z panien Marbury z Tottenhamem.

Bourne zmrużył oczy.

- Masz dobry słuch.

Wspólnik wzruszył ramieniem i uśmiechnął się krzywo.

- Mam swoje źródła.

Bourne spojrział przez okno na Tottenhama, siedzącego przy pikiecie.

- Niezameżne siostry mojej żony dziś zjechały do miasta. To mi daje kilka dni, by zainteresować wicehrabiego jedną z nich.

- Czy to znaczy, że kolacja się udała?

- Jutro będziemy odbierać stopy zaproszeń. Chase wybuchnął śmiechem.

- Biedny, smutny Bourne. Zmuszony, by odzyskać jedyną rzecz, na której mu nie zależy, po to by dostać tę jedyną, na której mu zależy.

Bourne rzucił mu niechętnie spojrzenie, ale nie zaprzeczył.

- Zdajesz sobie sprawę, że klub przynosi ci dużo większe pieniądze, niż możesz wydać, i już nie musisz udowadniać swojej wartości, dokonując zemsty, prawda?

- Nie chodzi o pieniądze.

- To o co? O tytuł? O to, że on go zbrukał?

- Nie obchodzi mnie tytuł.

- Wręcz przeciwnie. Jesteś jak każdy arystokrata. Wszystkim wam się zdaje, że tytuły mają magiczną moc. Choć niektórzy z was nimi gardzą.

Chase zamilkł na chwilę.

- Zresztą, to już nieważne. Ożeniłeś się i zmierzasz drogą zemsty. A może jednak nawrócenia?

Bourne skrzywił się i wbił wzrok w czerwone szybki witraża, przedstawiające piekielne płomienie. Mógł przez nie obserwować ruletkę, która wirowała na parterze.

- Nie zamierzam się nawracać. Zrobię wszystko, żeby doprowadzić Langforda do ruiny. Kiedy to osiągnę, wrócę do dawnego życia.

- Bez niej?

- Bez niej. - Chociaż tak bardzo jej pragnął.

Nie jeden już raz musiał obyć się bez tego, czego pragnął. I jakoś to przeżył.

- Jak zamierzasz jej to wyjaśnić?

- Nie potrzebuje mnie, żeby prowadzić swoje życie. Może mieszkać, gdzie chce, żyć po swojemu, w moich posiadłościach, za moje pieniądze. Chętnie pójdę na taki układ.

Powtarzał to już wcześniej wielokrotnie, ale coraz trudniej było mu w to uwierzyć.

- Jak to sobie wyobrażasz? - Chase irytująco przeciągał słowa. - Przecież jesteście małżeństwem.

- Na pewno znajdzie jakiś sposób, żeby być szczęśliwa.

- A więc o to ci cały czas chodzi? O jej szczęście?

Zdziwienie w głosie Chase'a dało mu wiele do myślenia. Z początku mało go obchodziło szczęście Penelopy. Nawet i teraz chętnie poświęciłby jej szczęście dla zemsty, choć przedstawiało go to w najgorszym świetle jako męża. Ale przecież nie był potworem. Gdyby mógł, dałby jej szczęście i oprócz tego zrujnował Langforda.

W dowód tego, postanowił spełnić jej życzenie i nie dotykać jej więcej.

Doskonale wiedział, że jeśli przywyknie do towarzystwa swojej uroczej dziewiczej żony w łóżku, popełni najgorszy błąd, bo taka kobieta ciągle chce czegoś więcej.

A on nie nastarczy jej tego dawać.

Więc powinien za wszelką cenę trzymać się od niej z daleka. Chociaż tak szaleńczo jej pragnął.

- Zmusiłem ją do ślubu, żeby dostać ziemię. Mogę przynajmniej sprawić, żeby była zadowolona, kiedy dopnę celu. Odeślę ją natychmiast, gdy doprowadzę do klęski Langforda.

- Dlaczego?

Bo ona zasługuje na więcej.

- Obiecałem jej wolność. I przygody - odpowiedział z udawaną nonszalancją. Chase zaśmiał się tylko.

- Naprawdę? Domyślam się, że szalała z radości. Tyle czasu czekała na kolejne oświadczenia... na pewno zdążyła zrozumieć, że małżeństwo jest mniej warte od papieru, na którym drukują akty ślubu. Zamierzasz dotrzymać słowa?

- Tak jest - odpowiedział Bourne, nie odwracając wzroku od kasyna.

- Zgodzisz się na każdą przygodę? Michael odwrócił głowę.

- Czemu pytasz?

- Bo z tego co wiem, damy potrafią być bardzo pomysłowe, kiedy da się im szansę. Jesteś gotów na podróż dookoła świata? Na wyrzucanie kroczi pieniędzy na głupstwa? Wydawanie awangardowych przyjęć, które będą towarzyskim skandalem? Na kochanków?

Ostatnie słowa rzucił obojętnym tonem, ale Bourne znał go dobrze i wiedział, że zrobił to, aby mu dokuczyć.

- Będzie robiła, co zechce.

- A jeśli uczyni z ciebie rogalca?

Wiedział, że to przynęta. Że nie powinien się na nią złapać. Mimo wszystko, zacisnął pięści.

- Jeśli będzie dyskretna, nie kiwnę nawet palcem.

- Nie chcesz jej dla siebie?

- Nie. - Kłamca.

- To znaczy, że było kiepsko? Rzeczywiście, w tej sytuacji lepiej oddać ją komuś innemu.

Bourne z trudem powstrzymał się, by nie pchnąć Chase'a na ścianę. Ogarniał go szal na samą myśl, że ktoś inny mógłby jej dotknąć. Że mógłby odkryć, jaka jest chętna i namiętna, bardziej kusząca niż karty, niż bilard i ruletka. Przy niej tracił opanowanie, zapominał o samokontroli, zaczynał słuchać podszeptów sumienia.

Nigdy nie będzie z nim szczęśliwa.

A jemu zacznie zależeć na niej coraz bardziej.

Niech zostanie tak, jak jest.

Tak będzie lepiej dla nich obojga.

Nagle otworzyły się drzwi do apartamentu właścicieli. Wszedł Tempie i położył kres tej irytującej rozmowie. Jego sylwetka przesłoniła światło, wpadające przez framugę. Była sobota wieczór - pora zwyczajowej rozgrywki w faraona, do której zasiadali trzej właściciele Anioła.

Za Temple'em wyszedł Cross, tasując talię kart. Zapytał zdziwiony:

- Cóż to, Bourne chce zagrać z nami?

Bourne zignorował pokusę, jaką obudziło w nim to pytanie. Chętnie zatraciłby się w tej prostej grze. Mógłby wtedy udawać, że w życiu ważne jest tylko ślepe szczęście.

Niestety, wiedział swoje.

Szczęście od dawna o nim zapomniało.

- Nie, nie gram.

Wszyscy wiedzieli, że nie gra, ale zawsze go zapraszali. Chase spojrzał mu w oczy.

- To chociaż napij się z nami.

Jeśli zostanie, Chase będzie go dalej męczył pytaniami. Ale jeśli wyjdzie, będzie go kusiło, żeby pójść do Penelopy, i na pewno zrobi z siebie ostatniego głupca. Został.

Tempie, Cross i Chase usiedli wokół stołu, którego używano tylko przy tej grze. Bourne zajął czwarte miejsce. Zawsze im towarzyszył, ale nigdy sam nie grał.

Tempie potasował karty. Michael patrzył, jak przesuwają się między wielkimi palcami siłacza, najpierw raz, a potem drugi; potem zaczęły opadać na stół w równym rytmie; szelest opadających na zielone sukno kart był sam w sobie pokusą.

Rozegrali dwie kolejki w milczeniu. W końcu Chase rzucił bezlitosne, proste pytanie:

- Co zrobisz, jeśli będzie chciała mieć dzieci?

Tempie i Cross spojrzeli na niego znad kart. Pytanie było tak nieoczekiwane, że nie udało im się zamaskować zaciekawienia. Cross odezwał się pierwszy:

- Kto ma zapragnąć dzieci? Chase rozparł się na krześle.

- Penelopa Bourne'a.

Bourne'owi nie spodobało się, że mówią o niej jak o jego własności.

Albo raczej aż za bardzo mu się to spodobało.

Dzieci. Będą potrzebowały czegoś więcej niż ojca w Londynie i matki na wsi. Będą potrzebowały czegoś więcej niż dzieciństwo spędzone w cieniu jaskini hazardu. A jeśli to będą dziewczynki, będą potrzebowały ojca o lepszej reputacji niż on. Ojca, który nie niszczy wszystkiego, czego się dotknie. Włącznie z ich matką.

Do wszystkich diabłów.

- Na pewno będzie chciała mieć dzieci - drażył Chase. - Wygląda na taką.

- Skąd wiesz? - zirytował się Bourne, wściekły, że rozmowa zesłała na taki temat.

- Ja w ogóle dużo o niej wiem.

Tempie i Cross spojrzeli na niego z zainteresowaniem.

- Naprawdę? - spytał Tempie z niedowierzaniem.

- Czy ma końską twarz? - spytał Cross. - Bourne twierdzi, że nie, ale ja uważam, że tak i że on właśnie dlatego spędza wieczory z nami, a nie w domu. Dlatego nie chce jej pokazać, że bycie markizą może się okazać bardzo interesujące, szczególnie nocami.

Bourne zirytował się na dobre.

- Nie wszyscy muszą spędzać całe noce, trykając się jak świnie. Cross uważnie spojrzął w swoje karty.

- Wolę króliki - odparł półgębkiem. Tempie wybuchnął śmiechem, a potem obaj znowu popatrzyli na Chase'a.

- Żarty na bok. Opowiedz nam coś o młodej lady Bourne. Chase machnął ręką.

- Nie ma końskiej twarzy. Bourne zacisnął zęby. Nie. Nie ma. Cross pochylił się lekko.

- To może jest po prostu nudna?

- Z tego co wiem, nie - odparł Chase i popatrzył na przyjaciela. - Powiedz, czy jest nudna?

Bourne przypomniał sobie, jak Penelopa przedzierała się przez śniegi w środku nocy, z latarnią, a potem oświadczyła, że ściga piratów. Potem ujrzał ją nagą, rozciągniętą na futrzanej narzucie. Poprawił się na krześle.

- W żadnym wypadku - odpowiedział. Tempie wysunął jedną z kart.

- To co się z tobą dzieje?

Zapadło milczenie. Bourne przenosił wzrok z jednej twarzy na drugą, zaglądając w ich szeroko otwarte oczy.

- Słowo honoru, jesteście gorsi niż te wszystkie plotkary, które żyją skandalami.

Chase uniósł brew.

- W takim razie, powiem im prawdę - oświadczył. Zapadła pełna oczekiwania cisza. - Wyobraźcie sobie, że postanowił odesłać swoją kobietę do rodziców.

Tempie podniósł wzrok.

- Na jak długo?

- Na zawsze.

Cross wydał wargi i spojrzał na Bourne'a.

- Czy to dlatego, że jest dziewicą? Daj spokój, Bourne. Przecież to nie jej wina. Bóg jeden wie czemu, ale większość arystokratów uważa, że to zaleta. Daj jej trochę czasu. W końcu się nauczy.

Bourne zacisnął wargi.

- Było świetnie.

Tempie pochylił się ku niemu z powagą.

- To jej się nie spodobało?

Chase wybuchnął złośliwym śmiechem, a Bourne zmrużył oczy i spojrzał na nich przez wąskie szparki.

- Wybornie się bawicie, co?

- Nie najgorzej.

- Może poproś Worth o radę - zaproponował Cross, wyrzucając jedną z kart. Chase ją podniósł.

- Chętnie podzielę się z tobą moimi doświadczeniami. Tempie uśmiechnął się do swoich kart.

- Ja też.

Bourne miał ich serdecznie dość.

- Nie potrzebuję waszych rad. Bardzo jej się spodobało.

- Słyszałem, że niektórzy potrzebują czasu, żeby to polubić - mruknął Cross.

- To prawda - przytaknął Chase z miną znawcy.

- Nie przejmuj się, stary. Zawsze możesz spróbować jeszcze raz - pocieszył go Tempie.

- Spodobało się jej - wycodził Bourne złowróżbnym tonem, jakby zamierzał zamordować następnego, który się waży odezwać.

- No cóż, wiadomo, co z tego wynika - zaczął beztrudnie Tempie. Bourne zdusił iskrę rozczarowania, bo akurat temu ze swoich współników nie dałby rady.

- Co takiego? - podsunął życzliwie Chase, rzucając kartę na stół.

- Jeśli będzie chciała dzieci, ktoś będzie się musiał tym zająć. Jeśli będzie chciała dzieci, sam się tym zajmę.

Cross rzucił swoją kartę.

- Bo jeśli rzeczywiście nie jest bardzo brzydka, to ja chętnie...

Nie skończył, bo Bourne rzucił się na niego i obaj potoczyli się po podłodze, przy akompaniamencie trzasku łamanych krzeseł, śmiechu pozostałych współników i soczystych uderzeń.

Tempie westchnął i rzucił karty na stół.

- Nasze gry nigdy nie kończą się tak, jak powinny.

- Wydawało mi się, że wszystkie dobre rozgrywki kończą się bójką - odpowiedział Chase. Cross z Bourne'em wpadli na krzesło i przewrócili je na podłogę. W tym momencie wszedł Justin. Okularnik zignorował walczących i pochylił się w stronę Temple'a oraz Chase'a, przekazując im szeptem jakąś wiadomość.

Po krótkiej chwili Tempie przerwał walkę. Po drodze trafiła go czyjaś pięść, więc zaklął soczyście i oderwał Crossa od Bourne'a. Cross wyciągnął chusteczkę, otarł krew z rozcięcia nad okiem i rzucił Bourne'owi długie, znaczące spojrzenie.

- Jeżeli już po pierwszym tygodniu małżeństwa jesteś tak nabuzowany, powinienes zaciągnąć tę swoją żonę do łóżka albo od razu się jej pozbyć z domu.

Bourne otarł ręką spuchniętą wargę. Cross miał rację.

- Potrzebuję jej. Bez niej nie mam szans dopaść Langforda. Ale jeśli jej znowu dotknę, nie będę chciał się z nią rozstać.

I zniszczę ją tak, jak zniszczyłem wszystko, co miałem cennego. Oczy Crossa błysnęły w półmroku, jakby odczytał jego myśli. Powieka mu spuchła i wyglądał groteskowo.

- W takim razie masz niewielki wybór.

- Bourne - odezwał się Justin. - Worth przysłała ci wiadomość.

Z dreszczem niepokoju złamał pieczęć Piekielnego Domu i przeczytał kilka pośpiesznie nakreślonych linijek. Natychmiast zapłonął gniewem i niedowierzaniem.

W jego domu był Tommy Alles. Sam na sam z jego żoną.

Zabiję go, jeśli ją choćby tknął.

Zresztą, i tak go pewnie zabiję.

Zaklął soczyście, skoczył na równe nogi i ruszył ku drzwiom. Był w połowie przestronnego pokoju, kiedy zabrzmiał głos Chase'a:

- Przed chwilą słyszałem, że przy ruletce też są jakieś problemy.

- Do diabła z ruletką - warknął i szarpnął za klamkę.

- No cóż, ponieważ tam jest twoja żona, to może Cross zdecyduje się zejść i zobaczyć, co tam się dzieje, ale...

Bourne zamarł, gdy dotarły do niego te słowa. Popatrzył na twarze swoich współników. Wszyscy uśmiechali się złośliwie, a jego aż ścisnęło w dołku ze strachu. Ledwie panując nad sobą, podszedł do okna i spojrział w dół, na kasyno. Natychmiast wypatrzył damę w płaszczu z kapturem, stojącą przy ruletce. Właśnie wyciągnęła delikatną rączkę i położyła złotą monetę na jednym z numerowanych pól.

- Wygląda na to, że postanowiła zaznać obiecanych jej przygód - stwierdził z przekąsem Chase.

Nie.

To na pewno nie ona. Nie zrobiłaby przecież takiego głupstwa. Nie naraziłaby swoich sióstr. Nie naraziłaby samej siebie.

Przecież tu wszystko może się zdarzyć - w tym kłębowskiu zmij, pełnym mężczyzn, którzy za dużo pili i za dużo ryzykowali... jedni byli upo-

jeni zwycięstwem, a inni koniecznie chcieli pokazać, że nad czymś panują, pomimo że zbyt chętnie sięgają do sakiewki.

Zaklął szpetnie i rzucił się biegiem na dół.

Rozległ się cichy gwizd. Cross rzucił w ślad za nim:

- Jeśli jest równie piękna, jak odważna, to spokojnie możesz mi ją oddać.

Po moim trupie.

13

Drogi M.

No cóż, markiza Needham i Dolby ma dziś powody do dumy. Miałam dziś debiut, prezentację u dworu, dostałam zaproszenia do Almacka² i w ogóle - ale raczej nie odniosłam szczególnego sukcesu.

To nie powinno nikogo dziwić, bo choć od dwóch tygodni oficjalnie jestem panną na wydaniu, to przez cały ten czas nie udało mi się z nikim sensownie porozmawiać. Ani razu, dajesz wiarę? Moja matka poluje na księcia, choć jakoś nie widzę tu tłumu młodych, odpowiednich kandydatów stosownej rangi.

Przyznam, iż miałam nadzieję, że w tym tygodniu spotkamy się na balu, kolacji albo jakiejś innej imprezie, ale nigdzie Cię nie ma i została mi do towarzystwa tylko ta głupia kartka.

Właśnie. Głupia. Co tu kryć.

Bez podpisu

Rezydencja Dolby, Londyn, marzec 1820

List niewysłany.

W Upadłym Aniele było wspaniale.

Penelopa nigdy w życiu nie widziała tak niezwykłego miejsca, cudownego, barwnego, rozjarzonego blaskiem świec. Podniecony tłum wykrzykiwał

² Klub angielskiej arystokracji.

szalone zakłady i ryczał ze śmiechu, ludzie całowali kostki do gry albo klęli na zły los.

Przedstawiła się cicho, nie chcąc się ujawniać, wiedząc jednak, że jeśli nie poda strażnikom nazwiska, nie wpuszczą jej do środka. Otworzyli szeroko oczy ze zdumienia, kiedy usłyszeli, czyją jest żoną. Czekala w progu, póki nie uznają, że można jej wierzyć.

Wreszcie jeden z wielkoludów uśmiechnął się szeroko i pięścią wielkości szynki popukał w drzwi wewnętrzne klubu, które uchyliły się lekko.

- Pani Bourne'a. Lepiej ją wpuśćmy.

„Pani Bourne'a”.

Penelopa zadrżała zażenowana, słysząc te słowa - ale nie mogła się sprzeciwić, by tak ją nazywano. Chciała wykorzystać w pełni szansę dzisiejszego wieczoru i powiedzieć mężowi, co myśli.

W tej chwili drzwi otworzyły się szeroko, ukazując ruchliwe, hałaśliwe wnętrze i Penelopa zapomniała na chwilę, po co przyszła.

Owinęła się ciasno peleryną, wdzięczna pani Worth za radę, zadowolona z obszernego kaptura, który pozwalał pozostawać w cieniu i obserwować ukradkiem, jak gracze pochylają się nad kartami, śledzą małą kościaną kulkę na tarczy ruletki albo biegnące po zielonym suknie kości, kierowane kaprysem losu.

Esencja przygody.

Zachwycał ją każdy moment.

Nic dziwnego, że Michael spędzał tutaj tyle czasu; oto jego bogini, jego mroczna piękność. Nie mogła go za to winić. To była wspaniała kochanka.

Mężczyźni w czarnych surdutach i idealnie wyprasowanych fularach, lokaje przemierzający kasyno z tacami zastawionymi szkocką i brandy, a także kobiety - żadnej nie znała - w różnobarwnych sukniach o głębokich dekoltach i obcisłych stanikach. Wymalowane i wystrojone, ufryzowane i barwne jak motyle.

Penelopa chciała należeć do tego tłumu. Przez jedną ulotną chwilę odczuć, co to znaczy trzymać fortunę w ręku. Rzucić kości i doznać dreszczu podniecenia.

Ale ten szklany witraż, wielki i niezaprzeczalnie piękny, sprawił, że straciła oddech. Ogromny, zadziwiający portret Lucyfera z łańcuchem owiniętym podwójnie wokół kostki i ciągnącym w przepaść, z berłem przelamanym na pół w dłoni i koroną w drugiej. Potężny anioł, którego zawiodły skrzydła, spadał głową w dół w płomień piekła.

Malowidło było zarazem piękne i groteskowe - doskonale tło dla tej jaskini grzechu.

Przesuwała się przez tłum z opuszczoną głową, zachwycona ruchem ciała, który pchał ją dalej i dalej. Pozwoliła się prowadzić i przyrzekła sobie, że zatrzyma się przy pierwszym stole, na który trafi.

To był stół ruletki.

Serce skoczyło jej do gardła, z radości i podniecenia. Znała tę grę. Znała jej reguły. Wiedziała, że polega przede wszystkim na szczęściu. I chciała spróbować swojego, bo nagle poczuła, że szczęście, w istocie, niezwykle jej sprzyja.

Napotkała wzrok krupiera, który uniósł brew i przesunął długimi grabkami po blacie.

- Panowie... pani - zaintonował poważnym głosem. - Prosimy o zakłady.

Jej dłoń była już w kieszeni, już bawiła się monetami. Wydobyła lśniącego złotego suwerena, przesuwając kciukiem po jego powierzchni, przyglądając się innym przy stole, jak robią zakłady. Monety układano na soczycie zielonym pluszu wokół blatu; oczy Penelopy przyciągało kuszące, czerwone miejsce pośrodku stołu.

Numer 23.

- Czekamy na zakład pani.

Spojrzała w oczy krupiera i wyciągnęła nieśmiało rękę, żeby położyć monetę na suknie. Na chwilę zauroczył ją błysk złota w świetle świec.

- Koniec zakładów.

Koło ruszyło, kulka potoczyła się w rowku; dźwięk kości słoniowej uderzającej o stal sam w sobie stanowił pokusę. Penelopa pochyliła się bliżej, nie chcąc, żeby cokolwiek przesłaniało jej widok, oddychała nierówno z przejęcia.

- Powiadają, że ruletka to gra Lucyfera - usłyszała koło swojego ramienia i nie mogła się powstrzymać, żeby się nie odwrócić, choć pamiętała, żeby trzymać kaptur nasunięty na twarz. - Pasuje, nieprawdaż?

Nieznajomy położył dłoń na brzegu stołu, na tyle blisko, żeby jej dotknąć. To pieścizotliwe muśnięcie trwało zbyt długo, żeby je wziąć za pomyłkę. Szarpnęła rękę do tyłu, uciekając przed niemiłym dotykiem.

- Fascynujące - powiedziała, odsuwając się od niechcianego towarzysza i mając nadzieję, że jednym słowem zakończy rozmowę. Zwróciła ponownie uwagę na koło, błyskające wspaniałą bielą i czernią, obracające się zbyt szybko, żeby śledzić bieg kulki.

- Jest taka historia o pewnym Francuzie, którego tak wciągnęła ruletka, że sprzedał diabłu duszę, żeby poznać sekrety tej gry.

Koło zaczynało zwalniać i Penelopa pochyliła się, rozumiejąc nieszczęsnego Francuza. Mężczyzna u jej boku przesunął palcem po jej ramieniu, budząc w niej dreszcz obrzydzenia i przyciągając jej uwagę.

- Jaka pokusa skłoniłaby panią, żeby sprzedać duszę?

Nie miała okazji odpowiedzieć ani kazać sąsiadowi trzymać rąk przy sobie, bo w jednej chwili jakaś siła porwała go z miejsca i rzuciła na podłogę kilkanaście stóp dalej. Odwróciła się zaskoczona.

Michael szedł ku mężczyźnie, cofającemu się pośpiesznie tyłem, jak krab, w stronę nóg grupy ludzi, którzy zatrzymali się na środku kasyna, zainteresowani zamieszaniem.

Jej mąż schylił się i chwycił nieszczęśnika za fular pod szyją; potężna sylwetka przysłoniła Penelopie widok leżącego na brzuchu mężczyzny.

- Nigdy więcej nie dotkniesz kobiety w tym kasynie - warknął Michael, pokazując groźnie pięść.

- A niech to, Bourne - wydusił z trudem leżący, sięgając niezdarnie do dławiącej go ręki. - To tylko...

Ręka Bourne'a zacisnęła się na jego szyi.

- Dokończ zdanie, Densmore i spraw mi tę przyjemność, że pozbawię cię możliwości oddychania tym powietrzem - powiedział, pochylony nisko nad ofiarą. - Jeśli zobaczę, albo usłyszę, że śmiałeś tknąć jakąś kobietę tutaj, to stracisz nie tylko wstęp do kasyna. Rozumiesz?

- Tak.

- Powiedz to wyraźnie. - Sprawiał wrażenie kogoś, kto gotów jest zabić, i Penelopa przypomniała sobie opowiadanie pani Worth.

- Tak. Tak, rozumiem.

Michael rzucił go z powrotem na podłogę i odwrócił się ku Penelopie, która instynktownie otuliła się mocniej peleryną. Chwycił ją za rękę i zaciągnął do tonącego w półmroku pomieszczenia, gdzie nikt nie mógł jej zobaczyć.

Podszedł bliżej, żeby zasłonić ją przed wzrokiem ciekawskich.

- A ty - szepnął z wściekłością w głosie. - Co ty, do diabła, tutaj robisz? Patrzyła mu prosto w oczy, nie dając się zastraszyć. Nadszedł czas, żeby odegrała swoją rolę: markizy na tropie przygody.

- Świetnie się bawiłam, zanim się zjawiłeś i wywołałeś scenę. Mięsień zadrgał w jego szczęce, zacisnął mocniej dłonie na jej nadgarstkach.

- Ja wywołałem scenę? Pół Londynu jest w sali, myślisz, że głupia peleryna ukryje cię przed nimi?

Poruszyła rękami w jego uścisku, usiłując się oswobodzić. Nie puścił jej.

- Właśnie tak było. Nikt mnie nie zauważył. - Popchnął ją w stronę ściany, głębiej w mrok. - Nikt mnie nie rozpoznał. Teraz, oczywiście, wszyscy zastanawiają się, kim jestem.

- Zapewne wiedzą. - Zaśmiał się szorstko. - Ja ciebie poznałem, jak tylko cię zobaczyłem, głupia kobieto.

Czy tak? Zignorowała przyjemność, jaką jej to sprawiło i wyprostowała się, nie chcąc ustąpić.

U wejścia do pokoju pojawił się krupier.

- Bourne.

Michael posiał mu przez ramię spojrzenie, które mogłoby zatrzymać armię.

- Nie teraz.

- Cóż, biorąc pod uwagę, że patrzy na mnie pół Londynu, jak zechciałeś z niezwykłą bystrością zauważyć, coś takiego najgorszego może mnie spotkać? - zapytała.

- Zastanówmy się - syknął głosem pełnym ironii. - Mogłabyś zostać porwana, maltretowana...

Penelopa zeszywniała.

- I czym by się to różniło od sposobu, w jaki ty mnie traktujesz? - szepnęła tak cicho, żeby słowa dotarły tylko do jego uszu; wiedziała, że igra z ogniem.

Oczy mu zabłysły.

- To byłoby zupełnie co innego. A skoro nie dostrzegasz różnicy...

- Och, proszę. Nie udawaj, że cię choć trochę obchodzi i troszczysz się o moje szczęście. Cela zostałaby ta sama, zmieniłby się strażnik.

Zacisnął zęby.

- Trzy minuty na osobności z tym łajdakiem Densmore'em i przekonałabyś się, że jestem prawdziwym świętym w porównaniu z niektórymi. Mówiłem ci, miałas tu nie przychodzić.

- Już nie mam ochoty słuchać poleceń, co mi wolno, a czego nie wolno. - Wciągnęła głęboko powietrze, nie wiedząc, skąd wzięła się u niej ta odwaga, ale mając nadzieję, że jej teraz nie zawiedzie, bo sprawiał wrażenie bardzo, bardzo rozgniewanego.

I, jak sobie uświadomiła, był wyjątkowo niechlujny. Miał pognieciony fular, surdut leżał na nim krzywo, brakowało jednego mankietu.

To nie było zwyczajne u Michaela.

- Co ci się stało? - zapytała.

- Bourne. - Kiedy krupier po raz trzeci wymówił jego nazwisko, Michael się odwrócił.

- Do diabła. O co chodzi?

- Chodzi o panią.

- Co z nią?

Penelopa wyjrzała zza Michaela, naciągając kaptur, żeby jej nie rozpoznano. Krupier uniósł brwi, uśmiechając się lekko.

- Wygrała.

Minęła chwila, po czym odezwał się Bourne:

- Co powiedziałaś?

- Wygrała. - Krupier nie był w stanie ukryć zaskoczenia. - Numer 23 okazał się szczęśliwy.

Spojrzenie Michaela pobiegło w stronę stołu i koła ruletki.

- Czy tak?

Penelopa otworzyła szeroko oczy.

- Naprawdę wygrałam? Krupier uśmiechnął się niemądrze.

- Wygrała pani.

- Prześlij jej wygraną do pokoju. - Michael popchnął ją przez dobrze ukryte drzwi nieopodal.

Kiedy wdrapywali się po wysokich, ciemnych schodach, Penelopa zbierała odwagę, przygotowując się do starcia. Jej dłoń tkwiła w jego dłoni, a on najwyraźniej nie zamierzał jej uwolnić, prowadząc długim korytarzem aż do dużego pokoju, który tonąłby w ciemności, gdyby nie światło z głównej sali kasyna wpadające przez witrażową ścianę. Całe pomieszczenie mieniło się mozaiką barw.

- Jakie to cudowne - szepnęła, nie zwracając uwagi, że puścił ją, zanim zamknął za nimi drzwi. - Z dołu nie widać, że coś jest za szkłem.

- W tym rzecz.

- To niezwykle. - Podeszła do szyby i podniosła rękę, żeby dotknąć złotej płytki tworzącej lok Lucyfera.

- Co tu robisz, Penelopo?

Cofnęła dłoń i odwróciła się do niego, ledwie go dostrzegając w mroku. Wydawał się stapiać w jedno z ciemnością w dalekim kącie pokoju. Serce zabiło jej gwałtownie, przypomniawszy sobie, po co przyszła do klubu.

- Musimy porozmawiać.

- To nie mogło poczekać, aż wrócę do domu?

- Gdybym mogła uwierzyć, że kiedykolwiek wrócisz do domu, mój panie, czekałabym - odparła cierpko. - Jako że nie jestem pewna twoich planów co do tego, uznałam, że lepiej będzie, jeśli to ja odwiedzę ciebie.

Skrzyżował ręce na szerokiej piersi, materiał surduta napiął się na jego muskularnych ramionach.

- Wyrzucę woźnicę, który cię tu przywiózł.

- Niemożliwe. Wynajęłam powóz. - Nie mogła ukryć triumfu w głosie.

- Jeśli Tommy pomógł ci w jakiś sposób, zniszczę go z największą przyjemnością.

Uniosła brodę.

- A zatem doszliśmy do sedna. Zrobił krok w jej stronę.

- Masz się z nim więcej nie spotykać.

Nie przejmowała się tym, że góruje nad nią w ciemności, najwyraźniej rozgniewany. Ponieważ ona też była zła na niego.

- Nie jestem taka pewna, czy posłucham tego rozkazu.

- Posłuchasz. - Zastawiał jej ciałem drzwi. - Spotkasz się z nim, a go zniszczę. Niech to spadnie na twoją głowę.

Na to właśnie czekała.

- Powiedziano mi, że i tak zamierzasz go zniszczyć. - Nie zaprzeczył, odczuła ukłucie rozczarowania. Pokręciła głową. - Jakie to dziwne, że wciąż myślę o tobie lepiej, niż na to zasługujesz. - Odwróciła się od niego i podeszła znowu do szklanej ściany. Spojrzała w dół. - Jesteś bez serca.

- Chcę, żebyś to sobie uświadomiła teraz, zanim nasze małżeństwo dojrzeje.

Obróciła się na pięcie, wściekła, że tak bezdusznie mówi o ich życiu. O jej życiu.

- Może to nasze żałosne małżeństwo nie powinno w ogóle dojrzewać. Podeszedł bliżej w jej stronę.

- Co to znaczy? Zaśmiała się z goryczą.

- Och, tylko tyle, że ono najwidoczniej nic cię nie obchodzi.

- Twój kochany Tommy namawia cię, żebyś z nim uciekła, nieprawdaż? - Teraz z kolei ona zamilkła. Niech wierzy, w co mu się podoba. Podeszedł jeszcze bliżej. - Czy zamierzasz odejść, Penelopo? Zamierzasz

zrujnować nasze małżeństwo oraz swoją reputację i zbrukać nazwisko sióstr jednym samolubnym krokiem? Nie mogła się powstrzymać.

- Ja jestem samolubna? - Roześmiała się i przeszła obok niego ku drzwiom. - To zabawne w twoich ustach: najbardziej samolubnego człowieka, jakiego znam, na tyle samolubnego, żeby niszczyć swoich przyjaciół i żonę dla własnych celów.

Sięgnęła do klamki i sapnęła zaskoczona, kiedy jego ręka wysunęła się z mroku, więżąc jej nadgarstek.

- Nie wyjdiesz, zanim nie skończymy. Póki nie dasz mi słowa, że będziesz się trzymać z daleka od Tommy'ego Allea.

Naturalnie nie zamierzała nigdzie uciekać z Tommym. Ale nie chciała, żeby miał satysfakcję, dowiadując się o tym.

- Dlaczego? Czy nie byłoby ci łatwiej, gdybym z nim wyjechała? Wtedy miałbyś swoją zemstę i przy okazji zyskałbyś nieograniczoną wolność.

- Należysz do mnie.

- Jesteś nieźrównoważony.

- Być może. Ale jestem także twoim mężem. Lepiej, żebyś o tym pamiętała. Oraz o tym, że przysięgłaś mi posłuszeństwo.

Parsknęła szyderczo.

- A ty przysięgłeś mnie szanować - odparowała. I oboje przysięgliśmy kochać się nawzajem. To także nie wyszło, dodała w myśli.

Znieruchomiał.

- Uważasz, że cię zhańbiłem?

- Myślę, że mnie hańbisz za każdym razem, kiedy mnie dotykasz. Puścił ją tak szybko, jakby się oparzył.

- Co to znaczy?

Zawahała się, niepewna, rozmowa nagle przybrała obrót, który niezbyt jej odpowiadał.

- O nie, moja pani - niemal wypluł ten grzecznościowy zwrot. Uświadomiła sobie, że go uraziła. - Odpowiesz na to pytanie.

Owszem. Odpowie.

- Za każdym razem, kiedy mnie dotykasz, kiedy okazujesz mi najdrobniejsze zainteresowanie, robisz to tylko dla własnej korzyści. Dla swoich celów. Zemsty, w której nie chcę brać udziału. Nie ma w tym niczego dla mnie.

- Nie? - W jego głosie brzmiało szyderstwo. - Interesujące, mój dotyk wydawał się sprawiać ci przyjemność.

- Oczywiście, że sprawiał. Zrobiłeś wszystko, co mogłeś, żebym była gotowa w takich chwilach pójść za tobą w ogień. Wykorzystałeś swoją niewątpliwą... - przerwała, machnąwszy dłonią w jego stronę - biegłość w sypialni, żeby osiągnąć swoje cele. - Słowa padały teraz szybko i z gniewem. - I powiodło ci się znakomicie. Przyznaję, jestem pod wrażeniem. Twojej sprytniej strategii i bezbłędnego wprowadzania jej w życie. Ale przyjemność jest ulotna, panie Bourne, na tyle ulotna, że niewarta bolesnej świadomości, że zostało się wykorzystaną. - Położyła dłoń na klamce, nie mogąc się doczekać, by opuścić ten pokój. I jego. - Wybacz, jeśli nie czuję ochoty mimo wszystko pamiętać o ślubach, podczas gdy zrobiłeś z nich taki zły użytek.

- Myślisz, że byłoby inaczej z twoim ukochanym Tommym? Zmrużyła oczy.

- Nie zamierzam przeproszać za to, że się troszczę o niego. Był czas, kiedy i tobie na nim zależało. Był twoim najstarszym przyjacielem. - Trzecim w ich trio. Dała mu odczuć swoje rozczerowanie.

Spojrzał na nią ze złością.

- Wcale nie okazał się przyjacielem, kiedy przyszła pora, żeby to udowodnić.

Pokręciła głową.

- Myślisz, że nie żałował postępów ojca? Mylisz się. Żałował ich głęboko. Od samego początku.

- Nie dosyć. Ale jeszcze pożałuje, kiedy z nim skończę.

- Nie pozwolę ci go skrzywdzić.

- Nie masz wyboru. Twój najdroższy Tommy zostanie zrujnowany razem ze swoim ojcem. Poprzysiągłem zemstę dziesięć lat temu i nic mi nie przeszkodzi. Powinnaś dziękować Bogu, że go nie poślubiłaś, inaczej podzieliłabyś ich los.

Posłała mu gniewne spojrzenie.

- Jeśli zrujnujesz Tommy'ego, przyrzekam, że będę żałować każdej chwili tego małżeństwa.

Roześmiał się bez wesołości.

- Wyobrażam sobie, że już wkroczyłaś na tę drogę, moja droga.

- Posłuchaj: to bezsensowna zemsta. Jeśli jej dokonasz, dowiedziesz tylko, że to, kim byłeś, że wszystko, co w tobie dobre... zniknęło.

Nie poruszył się. Nie dał nawet znaku, że ją usłyszał. Nie obchodziło go nic. Ani Tommy. Ani ona. Ani ich przeszłość, uświadomiła to sobie z bólem. Nie zdołała powstrzymać słów:

- Był nieszczęśliwy, że cię stracił, tak samo jak... - urwała.

- Jak?

- Jak ja - wyrzuciła te słowa z siebie, nienawidząc ich i nienawidząc smutnych wspomnień. - Tęsknił za tobą, tak jak ja. Martwił się o ciebie, jak ja się martwiłam. Szukał cię. Próbował cię znaleźć. Podobnie jak ja. Ale ty rozpułyłaś się w powietrzu. - Zrobiła krok w jego stronę. - Myślisz, że on cię zostawił? Ty to zrobiłaś. Zostawiłaś nas. - Głos jej drżał, był w nim cały gniew, smutek i strach, jaki czuła miesiącami, latami po zniknięciu Michaela. - Ty mnie zostawiłaś. - Położyła mu dłonie na piersi, popychając go z całej siły. - A ja tak za tobą tęskniłam. - Cofnął się o parę kroków i Penelopa uświadomiła sobie, że powiedziała więcej niż powinna, więcej niż wyobrażała sobie, że mogłaby powiedzieć. Wciągnęła głęboko powietrze, powstrzymując łzy, które zebrały się pod powiekami. Nie będzie płakać. Nie przy nim.

Zamiast tego wyszeptała przez ściśnięte gardło:

- Tak za tobą tęskniłam. Nadal tęsknię, niech cię diabli. Czekala w mroku, żeby się odezwał. Żeby powiedział cokolwiek. Przeprosił.

Albo powiedział, że też za nią tęsknił. Minęła minuta. Dwie. Więcej.

Zrozumiała, że on nic nie powie, odwróciła się na pięcie i szarpnęła kłamkę, otwierając drzwi; sięgnął ręką ponad jej ramieniem i natychmiast je zatrzasnął. Ciągnęła za kłamkę, ale trzymał je zamknięte szeroką dłonią.

- Jesteś draniem. Wypuść mnie.

- Nie. Dopóki nie skończymy. Nie jestem już tym chłopcem. Zaśmiała się kpiąco.

- Wiem.

- I nie jestem Tommym.

- To także wiem.

Położył rękę na jej szyi, przesuwał palcami po napiętych mięśniach. Wiedziała, że wyczuwa jej przyspieszony puls.

- Myślisz, że ja za tobą nie tęskniłem? - Zamarła; oddychała płytko, czekając rozpaczliwie na dalsze wyznania. - Myślisz, że nie tęskniłem za wszystkim, co się z tobą wiązało? Wszystkim, co sobą reprezentowałaś?

Przysunął się do niej, czuła jego oddech na skroni. Zamknęła oczy. Jakim cudem znaleźli się tutaj, w ciemności, on taki zmieniony, złamany nieszczęściem?

- Myślisz, że nie chciałem wrócić do domu? - Jego głos drżał z emocji. - Ale nie było domu, do którego mógłbym wrócić. Nikogo tam nie było.

- Mylisz się. Ja tam byłam. Ja byłam... i byłam... - Samotna. Przełknęła ślinę.
- Ja tam byłam.

- Nie - rzucił szorstko. - Langford wszystko zabrał. I tego chłopca... tego, za którym tęsknisz... jego także zabrał.

- Może i tak, ale nie Tommy. Nie rozumiesz, Michael? On jest tylko pionkiem w twojej grze... tak jak ja... jak moje siostry. Poślubiłeś mnie, wyswatasz moje siostry. Ale jeśli jego zrujnujesz, nigdy sobie tego nie wybaczysz. Wiem o tym.

- O nie - odparł. - Będę spać spokojnie. Spokojniej, niż przez ostatnie dziesięć lat.

Pokręciła głową.

- Nieprawda. Sądzisz, że zemsta nie będzie bolała? Myślisz, że nie odczujesz jej ciężaru? Że nie zaboli cię świadomość, że zniszczyłeś innego człowieka w zaplanowany, okropny sposób, jak Langford ciebie?

- Tommy był niewinną ofiarą. Ale po dzisiejszym dniu, po propozycji, jaką ci złożył, nie jestem pewien, czy nie zasługuje na karę, którą mu zgotuję.

- Założę się z tobą - powiedziała to, zanim zdążyła się dobrze zastanowić. Niech wybierze grę i poda stawkę. - Zagram. Za sekret Tommy'ego.

Znieruchomiał.

- Nie masz niczego, czego chcę.

Znienawidziła go za to, że to powiedział. Miała siebie. Miała ich małżeństwo. Ich przyszłość. Nic z tego nie przedstawiało dla niego wartości.

W tej chwili uświadomiła sobie, że Tommy miał rację - że to zawsze był Michael, ten silny, pewny siebie chłopiec, którego znała. Ten, z którym się śmiała, z którym dorastała i po którym zbyt długo nosiła żalobę. Odszedł, pozostawiając na swoim miejscu tego mrocznego, niespokojnego mężczyznę, który był na swój sposób równie pociągający.

Straciła ochotę do walki.

- Pozwól mi odejść.

Podszedł bliżej i szepnął jej do ucha:

- Zemszczę się. Im szybciej to przyjmiesz do wiadomości, tym łatwiejsze będzie nasze małżeństwo.

Nie odezwała się; milczenie stanowiło sprzeciw.

- Chcesz odejść? - zapytał szorstko. Nie. Chcę, żebyś ty chciał, żebym została.

Dlaczego? Dlaczego on ma na nią taki wpływ? Odetchnęła głęboko.

- Tak.

Zdjął rękę z drzwi i odsunął się, a ona niemal natychmiast zateśniła za jego bliskością.

- A zatem idź. Nie zawahała się.

Wybiegła na korytarz, nie mogąc otrząsnąć się z wrażenia, że właśnie coś się między nimi wydarzyło. Coś, czego nie można było cofnąć. Przystanęła i oparła się o ścianę, oddychając ciężko; otaczał ją mrok, z kasyna dochodził stłumiony zgiełk.

Objęła się mocno ramionami, zamykając oczy, broniąc się przed myślami, słowami, które między nimi padły; przed świadomością, że osiem lat czekała na małżeństwo, które było czymś więcej niż wszystko, co miała, co reprezentowała, do czego ją wychowano, tylko po to, żeby poślubić człowieka, niewidzącego nic poza zemstą.

Co gorsza, człowieka, o którym zawsze myślała, że będzie inny.

Ten człowiek nigdy nie istniał.

Chłopiec, którego znała... kochała, był przeszłością.

Westchnęła przeciągle i zaśmiała się gorzko.

Los bywał, zaiste, okrutny.

- Lady Bourne?

Wzdrygnęła się na te słowa - wciąż tak obco brzmiące - i przycisnęła do ściany, podczas gdy przed nią wyłonił się z ciemności bardzo wysoki mężczyzna. Był chudy jak trzcina, z mocną, kwadratową szczęką i spojrzeniem wyrażającym mieszaninę współczucia i czegoś jeszcze, czego nie potrafiła nazwać, ale co sprawiało, że zobaczyła w nim bardziej przyjaciela niż wroga.

Skłonił się ledwo zauważalnie.

- Jestem Cross. Mam pani wygraną.

Wyciągnął ciemną sakiewkę i Penelopa musiała zastanowić się chwilę, co to jest - i przypomnieć sobie, że zjawiała się tu dzisiaj, szukając podniecającej przygody i przyjemności, a wychodziła, doznawszy jedynie rozczarowania.

Sięgnęła po sakiewkę, jej ciężar ją zaskoczył. Roześmiał się niskim, melodyjnym głosem.

- Trzydzieści pięć funtów to ładna sumka - stwierdził. -1 to w ruletce? Ma pani wiele szczęścia.

- W ogóle nie mam szczęścia. - W każdym razie nie dzisiaj.

- Cóż, być może pani szczęście się zmienia. Wątpliwe.

- Być może.

Nastąpiła długa cisza, w trakcie której przyglądał się jej, a w końcu schylił lekko głowę, mówiąc:

- Proszę zachować ostrożność w drodze powrotnej do domu. To dość pieniędzy, żeby starczyło złodziejowi na rok.

Odwrócił się, a ona przerzuciła sakiewkę do drugiej ręki, badając ciężar monet, dźwięk, jaki wydawały, pocierając się o siebie. A potem, zanim zdążyła się zastanowić, zawołała:

- Panie Cross? Zatrzymał się i odwrócił.

- Tak, pani?

- Czy dobrze zna pan mojego męża? - rzuciła w ciemność i przez dłuższą chwilę sądziła, że nie odpowie.

Jednak odparł:

- Na tyle dobrze, na ile wszyscy znają Bourne'a. Roześmiała się mimo woli.

- Z pewnością lepiej ode mnie.

Nie zareagował na to stwierdzenie. Nie musiał.

- Czy jest coś, o co chciałaby pani zapytać? O tyle rzeczy chciała zapytać. O zbyt wiele.

Kim on jest? Co się stało z chłopcem, którego kiedyś знаła? Co sprawiło, że stał się taki daleki? Dlaczego nie chciał dać szansy ich małżeństwu?

Żadnego z tych pytań nie mogła zadać.

- Nie.

Czekał cierpliwie, żeby zmieniła zdanie. Kiedy tak się nie stało, rzekł:

- Jest pani dokładnie taka, jak się spodziewałem.

- Co to znaczy?

- Tylko tyle, że kobieta, która budzi w Bournie takie emocje, musi być kimś niezwykłym.

- Nie budzę w nim żadnych emocji. Nie interesuję go, poza tym, w jaki sposób może mnie użyć do swoich wyższych celów. - Natychmiast pożałowała tych słów. Rozżalenia, jakie wyrażały.

Cross uniósł brew.

- Zapewniam panią, że wcale tak nie jest. Gdyby to była prawda.

Oczywiście, nie była.

- Wygląda na to, że rzeczywiście nie zna pan go zbyt dobrze. Wydawał się rozumieć, że Penelopa nie życzy sobie dalszej dyskusji na ten temat. Zmienił go więc natychmiast.

- Gdzie on jest? Pokręciła głową.

- Nie wiem. Zostawiłam go. Błysnął zębami w ciemności.

- To mu się z pewnością nie spodobało. Zmusił ją, żeby to zrobiła.

- Nie dbam o to, co czuł w związku z tym. Roześmiał się.

- Jest pani doskonała.

Nie czuła się doskonała. Miała wrażenie, że jest wyjątkowo głupia.

- Słucham?

- Przez wszystkie te lata, odkąd znam Bourne'a, nigdy nie poznałem kobiety, która tak by na niego wpływała. Nigdy nie widziałem, żeby opierał się jakiegś, tak jak pani.

- To nie jest opór. To brak zainteresowania. Jedna rudawa brew strzeliła do góry.

- Lady Bourne, zapewniam panią, że to nie jest brak zainteresowania. Nie wiedział. Nie widział, jak Michael ją zostawił. Jak przebywał gdzieś daleko. Jak mało go obchodziła.

Nie chciała o tym myśleć. Nie dzisiaj.

- Czy może mi pan pomóc wynająć powóz? Chciałabym wrócić do domu.

Zamachał rękami.

- Bourne by mnie zamordował, gdyby się dowiedział, że pozwoliłem pani wrócić wynajętym powozem. Proszę mi pozwolić go znaleźć.

- Nie! - zawołała bez zastanowienia. Spuściła wzrok, patrząc w podłogę. - Nie chcę go widzieć.

210

On nie chce mnie widzieć.

Nie wiedziała już, co liczyło się bardziej.

- Jeśli nie on, to osobiście panią odwiozę. Ze mną będzie pani bezpieczna.

Spojrzała podejrzliwie.

- Skąd mogę wiedzieć, czy mówi pan prawdę? Wykrzywił lekko usta.

- Poza wszystkim innym, Bourne zniszczyłby mnie z rozkoszą, gdybym panią skrzywdził.

Przypomniała sobie, jak Michael cisnął Densmore'a na podłogę kasyna. Jak stał nad nieszczęsnym hrabią, z zaciśniętą pięścią, mówiąc głosem drżącym z gniewu.

Jeśli była czegoś pewna, to tego, że Bourne nigdy nie pozwoliłby jej

skrzywdzić.

O ile, rzecz jasna, to nie on byłby krzywdzicielem.

14

Drogi M.

Słyszałam o Langfordzie, tej bestii w ludzkim ciele, i o tym, co zrobił. To okrutne. Nikt nie wierzy, że mógł postąpić tak niegodnie - nikt poza Tommym i mną.

Co do Tommy'ego... Szuka Ciebie. Modlę się, żeby Cię znalazł.

I to szybko.

P.

Dwór Needham, luty 1821

List niewysłany.

Lewy sierpowy Temple'a był w porę wymierzony i paskudny. I dobrze zasłużony.

Trafił Bourne'a w szczękę, aż jego głowa odskoczyła do tyłu, a on sam zatoczył się na drewniany słupek przy krawędzi ringu w podziemiach Anioła. Bourne chwycił się go, zanim upadł na pokrytą wiórkami podłogę;

spojrzał Chase'owi w oczy nad górną liną, po czym podciągnął się i stanął twarzą do partnera.

Tempie przeskakiwał z nogi na nogę, kiedy Bourne się zbliżał.

- Jesteś głupcem.

Bourne zignorował słowa i prawdę, jaką zawierały, i wymierzył cios, który powaliłby dąb.

Tempie schylił się i zrobił unik, uśmiechając się szeroko.

- Jesteś głupcem i tracisz wigor. Może wobec dam także?

Bourne wymierzył szybki cios w policzek Temple'a, ciesząc się przyjemnością, jaką wywołał odgłos uderzenia.

- A co teraz powiesz o moim wigorze?

- Połowicznie udane uderzenie - odparł Tempie z uśmiechem, odskakując w lewo, unikając kolejnego ciosu Bourne'a. - Ale twoja żona wróciła do domu z Crossem, więc trudno mi coś na ten temat powiedzieć.

Bourne zaklął i ruszył na przyjaciela, wyższego o parę cali i szerszego na pół stopy, co on z kolei nadrabiał szybkością i zręcznością, a dzisiejszego wieczoru także siłą woli.

Zaatakował bez wahania, jego pięści, owinięte w płótno, paliły się do tego, żeby uderzyć w nagi tors większego mężczyzny. Najpierw lewa, potem prawa. Jego ruchom towarzyszyły krótkie pomruki Temple'a, zanim ten odskoczył do tyłu.

- Nie drażnij go, Tempie - odezwał się Chase spoza ringu, przewracając papiery i ledwie zwracając uwagę na walkę. - I bez tego ma raczej trudny wieczór.

Bogu wiadomo, że to prawda.

Pozwolił jej jechać do domu. To była najtrudniejsza rzecz, jaką w życiu zrobił.

Ponieważ jedyne, czego chciał naprawdę, to kochać się z nią na podłodze, w wielobarwnym świetle sączącym się przez witraż w ścianie. Chciał udowodnić, że nigdy, przenigdy, nie zamierzał jej zhańbić.

W istocie myśl, że mógł ją zhańbić, sprawiała, że czuł się jak skończony głupiec.

Pięść Temple'a zetknęła się z jego szczęką w doskonałym prawym prostym i Bourne zachwiał się na nogach.

- Dlaczego za nią nie pojedziesz? - zapytał Tempie, schylając się, żeby uniknąć pięści Bourne'a, i wracając szybko, żeby rąbnąć go w pierś. - Nie weźmiesz jej do łóżka? To im zwykle poprawia humor, czyż nie?

Bourne nie mógł wyznać przyjacielowi, że właśnie pójście z żoną do łóżka naraziło go na tę mękę.

- Kiedy sam znajdziesz sobie żonę, będziesz mógł udzielać wszelkich możliwych rad.

- Potem nie będę musiał. Odstraszysz swoją na dobre do tego czasu. -Odsunął się. - Lubię tę dziewczynę.

Godne politowania, że Michael także.

- Nawet jej nie znasz.

- Nie muszę. - Prawy sierpowy Bourne'a zwałyby z nóg mniejszego mężczyznę, ale na Temple'u nie zrobił wrażenia. Niestety. Tempie mówił dalej: - Każdy, kto wytrąca cię z równowagi do tego stopnia, zasługuje na mój podziw. Zdobyła moją przychylność, przychodząc tutaj sama. I wyobrażam sobie, że Cross zdąży się w niej prawie zakochać, zanim wróci.

Słowa miały go wzburzyć i tak się stało. Bourne rzucił się na Temple'a z głuchym jękiem; ten zablokował dwa szybkie ciosy, po czym wymierzył jeden celny w żołądek napastnika. Bourne zaklął i pochylił się ku niemu, dyszał równie szybko, jak się pocił przez sekundę, dwie. Pięć. W końcu Tempie cofnął się i zanim Bourne zdołał się poruszyć, dostał dwa ciosy i potoczył się na liny, krwawiąc z nosa.

Tym razem nie był na tyle szybki, żeby się przytrzymać. Wylądował na kolanach.

- Koniec rundy! - zawołał Chase i Bourne zaklął paskudnie, kiedy Tempie podszedł, żeby pomóc mu wstać.

- Zostaw - warknął, wstając z trudem, i poszedł do krzesła w rogu, zaznaczonego zieloną chusteczką. - Trzydzieści osiem sekund - oznajmił, zrywając chustkę, przykładając ją do nosa i odchylając głowę do tyłu. -Zajmij się lepiej przygotowaniem następnego kontrataku.

Tempie wziął napój od Brunona, swojego zastępcy, i pociągnął duży łyk, po czym oparł się na linach, rozkładając szeroko ramiona - oba masywne bicepsy pokryte były tatuażami - zajmując niemal połowę ringu. Tempie mógł urodzić się arystokratą, ale teraz tutaj znajdowało się jego królestwo.

- Co powiedziała, że tak ci spieszno oberwać?

Bourne puścił pytanie mimo uszu, nagły ból w policzku nie zdołał zagłuszyć wspomnień o tym, co się stało wcześniej z jego żoną. O tym, jak jej niebieskie oczy załśniły, kiedy oskarżyła go, że wykorzystał jej ciało, żeby zabezpieczyć własne interesy. O tym, jak wyprostowała się dumnie, broniąc swojego honoru - co powinno być jego zadaniem.

Jak patrzyła na niego ze łzami w oczach, mówiąc, że za nim tęskniła. Słowa, które zdławiły mu dech w piersi - świadczące o tym, że czysta, doskonała Penelopa myślała o nim i martwiła się o niego. Ponieważ on także za nią tęsknił.

Minęły lata, zanim zapomniał - lata, które zostały wymazane jedną chwilą szczerości, kiedy spojrzała mu w oczy i go oskarżyła, że ją opuścił. I że ją zhańbił.

Tutaj, na dnie żołądka, wciąż nieprzysłonięte bólem, jaki sprawiły ciosy Temple'a, tkwiło uczucie, którego obawiał się od początku tej szarady. Poczucie winy.

Miała rację. Wykorzystał ją. Nie traktował jej tak, jak na to zasługiwała. I broniła się, okazując siłę i dumę. Wspaniale.

A nawet wtedy, gdy próbował pozwolić jej odejść, odepchnąć ją, wiedział, że jej pragnie. Nie oszukiwał siebie, wmawiając sobie, że to pożądanie to coś nowego. Pragnął jej w Surrey, kiedy stała w ciemności, z lampą jako tarczą w ręce. Ale teraz... pożądanie przerodziło się w coś poważniejszego. Głębokiego. Bardziej niebezpiecznego. Teraz pragnął jej -swojej silnej, inteligentnej żony o dobrym sercu, która była coraz bardziej ponętna, z każdym dniem rozkwitając i stając się kimś nowym, innym niż tamta dziewczyna, którą spotkał pewnego ciemnego wieczoru w Surrey.

A teraz był jej mężem; prawa boskie i ludzkie nakazywały mu ją posiadać. Spać z nią i czcić ją. Dotykać jej w każdy bezpieczny sposób, jaki mógł sobie wyobrazić.

Ogłaszać wszem wobec, że do niego należy.

A ona nie chciała mieć z nim nic wspólnego.

Zacisnął w pięść lewą rękę, ciesząc się z palącego bólu pod paskami płótna - efektu walki, którą odbył, obietnicy następnej - i opuścił chustkę. Nos przestał mu krwawić.

Gdyby dzisiaj nie postanowiła go odrzucić, kiedyś i tak by do tego doszło - być może za późno, a wtedy nie byłby już skłonny jej wypuścić.

- Potrzebuję kogoś, kto będzie ją śledzić. Chase podniósł głowę.

- Dlaczego?

- Alles poprosił, żeby z nim uciekła, kiedy go unurzam w błocie. Pozostali mężczyźni wymienili spojrzenia, zanim odezwał się Temple:

- Chcesz komuś zapłacić, żeby mieć pewność, że do tego nie dojdzie? Chciał wierzyć, że tak się nie stanie. Ze ona wybierze jego.

Że będzie o niego walczyła, tak jak walczy o Tommy'ego.

Nagle wróciło odległe wspomnienie - mała Penelopa na przyjęciu w ogrodzie, z rozłożonymi ramionami, bawiąca się w ciuciubabkę. Inne dzieci biegały dookoła, wołając ją, a ona pochylała się i machała rękami, śmiejąc się z niemądrej zabawy. On i Tommy podkradli się do niej i jednocześnie wyszeptali jej imię. Odwróciła się, chwytając go z łatwością, kładąc dłonie na jego policzkach, uśmiechając się szeroko, ślicznie.

„Michael. Złapałam cię” - powiedziała cicho.

Przesunął rękami po twarzy i spojrzał na swoje stopy.

- Myślę, że tak będzie najlepiej. Chase zareagował pierwszy.

- To może nie być najlepszy sposób, żeby pozyskać przychylność damy, Bourne... kazać ją śledzić.

Wstał.

- Jestem otwarty na mniej niecne pomysły. Tempie uśmiechnął się krzywo.

- A może byś zostawił ring i poszedł do niej? Dał jej słowa, na które czeka, wziął ją do łóżka i pokazał, że jesteś lepszy od Allesa w tych sprawach? - Zakołysał się lubieżnie na linach. - To inny rodzaj walki, dużo przyjemniejszy.

Bourne skrzywił się; potrzęsął rękami i poruszył się, sprawdzając, jak zmęczone nogi wytrzymują jego ciężar.

- Jak dawno nie śpisz? - zapyta! Chase.

- Śpię. - Niewiele.

Zrobił krok w stronę środka ringu, czując, że pokój kołysze się lekko. Tempie nie markował ciosów. Nigdy. To czyniło z niego tak wspaniałego przeciwnika teraz, kiedy Bourne nie marzył o niczym innym, jak tylko o zapomnieniu.

- Ile czasu upłynęło, odkąd przespałeś całą godzinę?

- Nie potrzebuję matki. Chase uniósł brwi.

- A zatem żony, być może?

Bourne żałował, że Chase'a nie ma na tym przeklętym ringu. Tempie nakreślił linię w drewnianych wiórach na środku ringu, chrobot poniósł się echem w mrocznym, przypominającym jaskinię pomieszczeniu.

- Chodź, stary. Niech cię stłukę, jak na to zasługujesz. Poślemy cię do domu, do twojej markizy w takim stanie, że będziesz rozpaczliwie potrzebować jej troski i opieki.

Bourne zmierzał do środka ringu, starając się nie zwracać uwagi na te słowa i na uczucie przykrości na myśl o tym, że jego markiza nie miała już ochoty zapewniać mu opieki ani okazywać troski.

Po kolejnej rundzie Bourne zszedł z ringu, ledwie widząc na lewe oko. Tempie pozostał na miejscu, rozciągając się na linach i patrząc, jak Bourne bierze zamarznięty stek wołowy z pudła z lodem stojącym u stóp Brunona, siada obok Chase'a, odchyła się do tyłu i robi okład na opuchnięte oko.

Minęły minuty - wiele minut - zanim Chase przerwał milczenie:

- Dlaczego wyszła bez ciebie? Bourne odetchnął głęboko.

- Jest na mnie wściekła.

- Zawsze są - stwierdził Tempie, odwijając płócienne paski z dłoni, które nawinał sobie przed walką.

- Co zrobiłeś? - zapytał Chase.

Sto powodów wywołało jej wściekłość. Ale tylko jeden istotny; to spłynęło na niego szybko i w sposób oczywisty, jak cios masywnej pięści Temple'a.

- Jestem durniem.

Bourne spodziewał się natychmiastowej zgody pozostałych, więc kiedy nikt się nie odezwał, pomyślał, że może zostawili go samego w piwnicy. Podniósł okład z twarzy i spojrzał w górę, stwierdzając, że Chase, Tempie i Bruno wpatrują się w niego szeroko otwartymi oczami.

- Co? - zapytał.

Chase pierwszy odzyskał głos:

- Tylko tyle, że w ciągu pięciu lat, odkąd się znamy...

- Dużo dłużej, jeśli chodzi o mnie - wtrącił Tempie.

- ...nigdy nie słyszałem, żebyś się przyznał do błędu.

Bourne przesunął wzrokiem od Chase'a do Temple'a i z powrotem.

- Idźcie do diabła. - Położył stek z powrotem na oku i odchylił się znowu to tyłu. - Nie mogę jej dać tego, czego chce.

- To znaczy?

Łatwiej było mówić, nie musząc na nich patrzeć.

- Normalnego małżeństwa. Normalnego życia.

- Dlaczego nie? - nie ustępował Chase.

- Jedyne, w czym odnoszę sukcesy, to grzech i występki. Ona jest przeciwnieństwem tych rzeczy. Będzie chciała więcej. Będzie chciała... - urwał.

Miłości.

Jedyną rzecz, której nie mógł jej kupić. Jedyną rzecz, którą bał się ją obdarzyć.

Chase zaszeleścił papierami.

- Stąd strach przed Allesem. Bourne zeszywniał.

- To nie strach.

- Oczywiście, że nie - poprawił Chase kpiącym tonem. - Śledzenie damy niczego nie rozwiąże, Bourne. Trzeba dać jej to, czego chce. A mianowicie męża, na którego zasługuje.

Do diaska, chciał być tym mężem. Niszczyła go powoli swoją siłą i duchem. To nie miało tak być. Miało być łatwo i bez komplikacji - szybkie wprowadzenie, łatwe małżeństwo i rozstanie, które służyłoby im obojgu.

Tyle że nic, co wiązało się z jego żoną, nie wydawało się łatwe ani spokojne.

Michael poruszył palcami, kostki bolały po walce.

- To nie takie łatwe.

- Z kobietami nigdy nie jest łatwo - ciągnął Chase. - Możesz sobie mówić, że porzucisz ją, kiedy dokonasz zemsty, ale nie zdołasz tego zrobić. Niezupełnie. Wciąż będziesz jej mężem.

- Chyba że ucieknie z Allesem! - zawołał urągliwie Tempie z ringu. Michael zaklął.

- Ona nie potrzebuje Allesea, żeby jej zapewnić takie życie, jakiego chce. Ja jej to dam. Wszystko, czego potrzebuje.

- Wszystko? - zapytał Chase. Michael nie odpowiedział. - To już nie tylko ziemia i zemsta, tak? Zależy ci na tej damie.

Nie powinno. Stracił wszystko, co było mu drogie. Zniszczył wszystko, co dobre, a czego tknął się kiedykolwiek. To, na czym mu zależało, było skazane na zagładę.

Nie życzyłby sobie jednak, żeby kto inny przejął jego rolę w stosunku do żony.

- W najgorszym razie jej pożąda - wtrącił Tempie. -1 trudno się dziwić. Jej odwaga dzisiaj skusiłaby świętego.

- I skusiła świętego - zauważył Chase. - Cross odwiózł ją do domu. Michaela ogarnął gniew.

- Cross jej nie dotknie.

- Nie. Nie dotknie. I nie dlatego, że nie jest kusząca, lecz dlatego, że jest Crossem - stwierdził Chase.

- A gdyby nie był, nie dotknąłby jej, ponieważ jest twoja - dodał Tempie.

Boże dopomóż, chciał, żeby była jego.

- Nie jest moja. Nie mogę jej mieć. Ona nie chce mieć ze mną do czynienia.

Zniszczyłby każdą szansę, żeby było inaczej, tak jak zniszczył wszystko inne w swoim życiu, co było dobre i prawe.

- Bourne - odezwał się Tempie. - Przecież ona do ciebie należy. Zapanowała długa cisza, podczas której pobrzmiwało echo tych słów.

Nie były, oczywiście, prawdziwe. Nie były właściwe. Gdyby do niego należała, nie bałby się tak bardzo iść do niej, do domu. Gdyby była jego, nie siedziałby tutaj, śmierdząc potem i surowym mięsem. Gdyby była jego, nie zostawiłaby go w ten sposób.

- Jestem jej mężem - powiedział w końcu. - To nie to samo.

- Cóż, myślę, że to początek. - Chase wstał, podnosząc stos papierów. - Jest twoja, kupiona i zapłacona - dodał. - A ponieważ jesteście na siebie skazani, niech Bóg ma ją w opiece. Może już pora podjąć próbę, żeby to małżeństwo nie skończyło się równie źle, jak się zaczęło.

Myśl - że któregoś dnia mógłby coś dla niej znaczyć - że pewnego dnia mogliby stworzyć coś więcej niż małżeństwo na pokaz, pociągała go bardziej niż karty, bardziej niż ruletka.

Pociągało go to, żeby stać się mężem, na jakiego zasługiwała.

Drogi M.

Jej Wysokość, księżna Leighton. Okazało się, że nie trzeba było tłumy młodych, odpowiednich kandydatów stosownej rangi. Księżę Leighton wyraził chęć rozpoczęcia zalotów, ojciec się zgodził, a matka szaleje z radości.

Naturalnie, wiele przemawia na jego korzyść. Jest przystojny i inteligentny, ma władzę i majątek i jak to matka lubi mi przypominać przy każdej okazji - jest księciem. Gdyby był koniem, pewnie wystawiliby go u Tattersalla³, co do tego nie ma dwóch zdań.

Naturalnie, zrobię, co mi każą. To ci dopiero małżeństwo stulecia. Trudno uwierzyć, że zostanę księżną - dla najstarszej córki z dobrej rodziny taka pąrantela to jak zdobycie świętego Graala.

³Brytyjski dom aukcyjny zajmujący się sprzedażą koni, założony w 1766 roku przez Richarda Tattersalla.

Tęsknię za Tobą tak bardzo i od tak dawna. Gdzie Ty się podziewasz?

Bez podpisu

Rezydencja Dolby, Londyn, wrzesień 1823

List niewysłany.

Następnego ranka Penelopa wysłała liścik do zamieszkanego na nowo domu Dolby, żeby zaprosić OUVię i Philipę na cały dzień - pierwszy, w którym postanowiła przestać czekać na swojego męża i raz jeszcze zacząć żyć własnym życiem.

Wybierała się na łyżwy.

Popołudnie z siostrami było jej niezwykle potrzebne, żeby sobie przypomnieć, że istnieją powody do kłótni z Michaeliem i jej niezadowolenia, i żeby podtrzymać pozory: przekonać innych, że jej małżeństwo jest prawdziwe, że nie zapanował w nim tragiczny bałagan.

Musiała sobie przypomnieć, że skandal z jej udziałem skompromituje również siostry w jednej chwili, a Philippa i Olivia zasługiwały na szansę na coś lepszego. „Na coś więcej”.

Zazgrzytała zębami, wspominając te słowa, to co znaczyły owej brzemiennej w skutki nocy, kiedy pozwoliła się wciągnąć w przygodę małżeństwa - przygodę z Michaeliem. Tłumiąc tę myśl, skinęła głową pokojówce, która pomogła jej się ubrać, zacisnęła tasiemki gorsetu i zawiązała kokardy, a także umocowała taśmy i pozapinała guziki.

Penelopa wiedziała, że poza ścianami Piekielnego Domu czekają ją badawcze spojrzenia, i ubierała się starannie dla całego Londynu - przynajmniej tych, którzy przebywali w mieście w styczniu - tych, którzy będą patrzeć, szukać rysy w zbroi nowej markizy Bourne.

Kobiety, o której sędzono, że zdobyła serce niecieszącego się dobrą sławą Michaela Bourne'a, właściciela Upadłego Anioła, przekonując go, żeby wrócił do tytułu i na łono socjety.

A w rzeczywistości kobiety, której Michael Bourne unikał za wszelką cenę.

Wybrała jasnozieloną wełnianą suknię, uznając, że ciepła i wesola, będzie się nadawała na wyjście, do tego granatowy płaszcz, który nosiła owego szczególnego wieczoru, kiedy wyruszyła przez ziemie Needham i Falconwell i spotkała Michaela, obecnie Bourne'a, w zimną, ciemną noc.

To będzie jak echo tamtego wieczoru, chwili, kiedy otworzyła przed sobą tę dziwną przyszłość, nadziei, że może znajdzie coś więcej, pomimo męża, który nie chciał jej znać. Przeżyje swoją przygodę w tej pelerynie, z nim albo bez niego.

Obszyte futrem kołpak i rękawiczki dopełniły stroju i to w samą porę; schodziła szerokimi, głównymi schodami Piekielnego Domu, słysząc szczebiot sióstr w holu na dole. Odgłos ich rozmowy wznosił się, wypełniając wszechobecną, jak się wydawało, pustkę w domu jej męża.

Jej domu, jak sądziła.

Kiedy przechodziła pośpiesznie przez pierwsze piętro, chcąc jak najszybciej spotkać się z siostrami i wyjść z domu, drzwi prywatnego gabinetu Bourne'a otworzyły się i markiz wyszedł z jakimiś papierami w ręku, w rozpiętym kubraku, z naciągniętą na szerokiej piersi białą płócienną koszulą. Zatrzymał się gwałtownie na jej widok i natychmiast sięgnął dłońmi, żeby zapiąć kubrak.

Znieruchomiała, przesuwając wzrokiem po jego twarzy, zauważając paskudnego siniaka pod okiem i brzydkie przecięcie na dolnej wardze. Podeszła bliżej, jej dłoń w rękawicze podniosła się odruchowo; nie mogła się powstrzymać, żeby nie sięgnąć do jego zmaltretowanej twarzy.

- Co ci się stało? Cofnął się przed dotykaniem.

- Dokąd idziesz?

Nagła zmiana w rozmowie nie dała jej czasu, żeby zdecydować, czy chce mu powiedzieć prawdę.

- Na łyżwy. Twoje oko...

- To nic. - Podniósł rękę do sińca.

- Wygląda okropnie. - Uniósł brew, a Penelopa pokręciła głową. - To znaczy... och, wiesz doskonale, co chcę powiedzieć. Jest cały czarny i żółty.

- Czy to odstręczające? Kiwnęła głową.

- Dostyc.

- Taką miałem nadzieję. - Czyżby z niej kpił? - Dziękuję za troskę. - Nastąpiła długa przerwa, podczas której mogłaby sądzić, że Michael czuje się niezręcznie, gdyby go nie znała.

- Widziałas, że przyjąłem zaproszenie na bal Beaufetheringstone'ów -dodał w końcu.

Nie mogła powstrzymać odpowiedzi:

- Owszem. Wiesz, że to zwykle żona przyjmuje zaproszenia towarzyskie, czyż nie?

- Kiedy będziemy ich mieli więcej, z przyjemnością powierzę ci to zadanie. Zdziwiłem się, że w ogóle nas zaproszono.

- Nie dziwiłabym się. Lady B. uwielbia skandale nade wszystko. Zwłaszcza we własnej sali balowej.

Z dołu dobiegł śmiech, wdzierając się w rozmowę. Michael podszedł do poręczy, żeby zerknąć na hol.

- Młode panny Marbury, jak się domyślam?

Penelopa starała się usilnie nie patrzeć na ranek na jego wardze. Naprawdę się starała.

To nie miało znaczenia, że jej się nie udało.

- Wróciły do miasta. - Milczała chwilę. - Z pewnością, żeby wkrótce wyjść za mąż... - dodała z goryczą.

Ponownie zwrócił uwagę na nią.

- Łyżwy? - Był wyraźnie zaskoczony.

- Nie pamiętasz, jak jeździliśmy po stawie, kiedy byliśmy dziećmi? - Słowa zabrzmiały, zanim zdołała je stłumić, żałowała, że nie powiedziała czegoś innego... czegokolwiek innego... czegoś, co nie przypominałoby jej Michaela, którego kiedyś znała. Którego rozumiała.

To było tak, jakby wymazał ją z pamięci. Nienawidziła uczuć, jakie to w niej budziło.

- Muszę iść. - Odwróciła się od niego, zмирzając ku schodom. Nie spodziewała się, że jeszcze się odezwie. Tak dobrze mu wychodziło milczenie, przestała się już spodziewać, że zacznie mówić bez uporczywej zachęty. A ona nie miała ochoty więcej go zachęcać.

Tak więc, kiedy się odezwał, była w szoku.

- Penelopo.

Wstrząsnęło nią, że wymówił jej imię. Odwróciła się natychmiast.

- Tak?

- Czy mogę iść z tobą? Penelopa zamrugała.

- Słucham? Odetchnął głęboko.

- Na łyżwy. Czy mogę pójść z tobą? Zmrużyła oczy.

- Dlaczego? Czy myślisz, że lord i lady Bourne zasłużą na wzmiankę w gazecie, jeśli zostaną zauważeni, jak ślizgają się ręka w rękę po Serpentine?

Przesunął ręką po ciemnych włosach.

- Zasłużyłem na to.

Nie miała zamiaru czuć się winna.

- Tak. Owszem. I na jeszcze więcej.

- Powiniennem ci to wynagrodzić. Otworzyła szeroko oczy. A to co znowu?

Najpewniej manipulował nią oraz ich przyszłością równie skutecznie jak przez ostatnich parę tygodni, ale tym razem będzie twarda. Nie da się oszukać.

Zmądrzała. Zmęczył ją ból, który czuła w piersi zawsze, kiedy był w pobliżu - i kiedy go nie było. Zmęczyły ją utarczki, gierki, fałsz. Zmęczyły rozczarowania.

Nie mogła sobie wyobrazić, żeby zgłaszając ni stąd, ni zowąd chęć towarzyszenia jej na spacerze, mógł wynagrodzić jej wszystko, co zrobił... wszystko, czemu zagrażał. Zebrała siły i postarała się, żeby głos jej nie zadrżał.

- Raczej nie. Zamrugał.

- Powiniennem się tego spodziewać.

Po tym, w jaki sposób rozstali się poprzedniego wieczoru? Owszem, powinien. Zaczęła schodzić po schodach w stronę sióstr.

- Penelopo. - Zatrzymał ją imieniem, które tak słodko brzmiało w jego ustach. Zerknęła przez ramię mimo woli.

- Tak?

- Co mam zrobić, żeby pójść z tobą?

- Co masz zrobić?

- Podaj cenę. - Urwał. - Jedno popołudnie z żoną bez duchów przeszłości czy przyszłości. Ile to by mnie kosztowało?

Odparła bez wahania, prosto i poważnie:

- Nie rujnuj Tommy'ego.

- Zawsze dla innych. Nigdy dla siebie.

Doprowadzał ją do furii. Podszedł bliżej, mówił cicho, sprawiając, że poczuła ciarki na całym ciele.

- Ile by mnie kosztowało, żeby mieć cię dla siebie przez jedno popołudnie?

Jej oddech przyspieszył, ponieważ słowa wywołały serię obrazów, które nie miały nic wspólnego z jazdą na łyżwach ani z jej siostrami, a wszystko z futrzaną narzutą w jego luksusowej sypialni.

Wyciągnął rękę i przesunął palcem po jej policzku.

- Podaj cenę.

Boże dopomóż, jak łatwo dawał sobie z nią radę.

- Jeden tydzień - powiedziała drżącym głosem. - Jeden tydzień bezpieczeństwa dla niego. - Jeden tydzień, żeby przekonać cię, że się mylisz. Ze zemsta nie jest odpowiedzią.

Milczał. Zmusiła się, żeby znowu ruszyć w stronę schodów, rozczarowana, że nie jest w stanie na niego wpłynąć w żaden sposób. Postawiła nogę na stopniu i wtedy Philippa ją zauważyła.

- Penny! - zawołała. - I lord Bourne! Penelopa spojrzała na Michaela i szepnęła:

- Nie musisz mnie odprowadzać. Zapewniam cię, że trafię do drzwi wejściowych.

- Umowa stoi - odrzekł również szeptem. - Tydzień.

Poczucie zwycięstwa uderzyło jej do głowy. Zeszli na dół, zanim zdążyła się zebrać na odpowiedź i Olivia nie dała jej dojść do głosu:

- Czy widzieliście dzisiejsze „Skandale”?

- Żałuję, ale nie - zakpiła Penelopa, starając się nie zwracać uwagi, że Michael znajduje się tak niepokojąco blisko za nią. - Jakie podniecające plotki masz na myśli?

- To nie takie sobie plotki - odparła Pippa. - Plotki o nas... w każdym razie o tobie.

Och, nie. Ktoś odkrył prawdę o ich małżeństwie. O tym, co się stało na wsi.

- Co to za plotki?

- Takie, że cały Londyn ci zazdrości wspaniałego, nieznośnie romantycznego małżeństwa! - zachwyciła się Olivia.

Trwało chwilę, zanim dotarło do niej znaczenie tych słów.

- Nie wiedziałyśmy, że spotkaliście się w Dniu Świętego Stefana, Penelopo - dziwiła się Olivia. - Nie wiedziałyśmy nawet, że lord Bourne był w Surrey podczas świąt!

Pippa spojrzała Penelopie w oczy z głęboką powagą.

- Nie. Nie wiedziałyśmy.

Pippa nie była głupia, ale Penelopa zmusiła się do uśmiechu.

- Czytaj, Pippo - zażądała Olivia.

Młodsza z sióstr Marbury podsunęła okulary wyżej na nosie i podniosła gazetę.

- „Styczeń nie zawsze jest najbardziej owocny, jeśli chodzi o plotki, ale w tym roku mamy wyjątkowo smaczny kęs w postaci markiza Bourne'a, który właśnie powrócił!” - Spojrzała na Michaela.

- To pan.

- Podejrzewam, że jest tego świadomy - zauważyła Olivia. Pippa zignorowała siostrę i ciągnęła:

- „Z pewnością nasi przenikliwi czytelnicy...”

- Nie jestem przekonana, że czytelnicy skandalizującej gazety należą do szczególnie przenikliwych, nie sądzicie?

- Philippo, błagam cię! Czytaj dalej!

- „Z pewnością nasi przenikliwi czytelnicy wiedzą, że markiz się ożenił”.

Philippa spojrzała na Penelopę, ale zanim zdążyła coś powiedzieć, Olivia jęknęła i wyrwała jej pismo z rąk.

- Dobrze, ja to przeczytam: „Dochodzą nas słuchy, że lord i lady Bourne są tak bardzo pochłonięci sobą, że rzadko widuje się ich osobno. Dodamy jeszcze smakowite spostrzeżenie! Wydaje się, że nie tylko oczy lorda Bourne wędrują wszędzie za żoną... ale także jego ręce i usta! I to publicznie!” - Cudownie!

- To ostatnie to już dodatek redakcyjny Olivii - wtrąciła Philippa. Penelopa myślała, że umrze ze wstydu. Tutaj. Na miejscu. Olivia czytała dalej:

- „Nie to, żebyśmy się mniej spodziewali po lordzie B. Mąż, nie mąż, pozostaje hultajem! A ten, którego zwiemy hultajem, pod każdym innym imieniem szokowałby nas pikantnymi skandalami tak samo!”

- Och, na Boga! - Penelopa przewróciła oczami i popatrzyła na Michaela, który... sprawiał wrażenie zadowolonego. - To ci pochlebia?

Zwrócił na nią niewinne spojrzenie.

- A nie powinno?

- Cóż - dodała w zamyśleniu Philippa. - Wszystko, co wywodzi się od Szekspira, musi być przynajmniej w jakimś stopniu komplementem.

- Właśnie. - Michael nagrodził Pippę uśmiechem, który wzbudził w Penelopie zazdrość. - Czytaj dalej, proszę.

- „Wystarczy powiedzieć, drodzy czytelnicy, że bardzo jesteśmy radzi z tej zimowej opowieści...”

- Myślisz, że kpią sobie z Szekspira? - przerwała Philippa.

- Tak - stwierdziła Olivia.

- Nie - oznajmiła Penelopa.

- „...i możemy mieć tylko nadzieję, że przybycie, na koniec, dwójki pań Marbury...”

- To o nas - wtrąciła Philippa, poprawiając okulary na nosie.

- „...dostarczy tyle podniecających wydarzeń, żeby nas ogrzać w te zimne dni”. Czy to nie najbardziej dwuznaczna wiadomość, jaką słyszałaś? - zapytała Olivia, a Penelopa powstrzymała się, żeby nie podrzeć głupiego artykułu na strzępy.

Nie przyszło jej dotąd do głowy, że siostry mogą nie znać prawdy. Że jej małżeństwo jest oszustwem.

To było, naturalnie, zrozumiałe. Im mniej ludzi wiedziało - im mniej skłonnych do plotek młodych kobiet wiedziało - tym łatwiej było je wyswatać. Bourne otoczył ramieniem jej kibić. Siostry śledziły jego rękę, sposób, w jaki przesunęła się, ciepła i zdecydowana, po ciele Penelopy, spoczywając na krągłości jej biodra, jakby tam było jej miejsce. Jakby jego miejsce było u jej boku.

A jej miejsce przy nim.

Odsunęła się, przerywając dotyk.

Mogła kłamać wobec połowy chrześcijańskiego świata, ale nie będzie oszukiwać sióstr.

Otworzyła usta, żeby zaprzeczyć artykułowi, żeby wyznać prawdę. Ale się powstrzymała.

Małżeństwo może być farsą, Michael mógł je zawrzeć dla własnych, tajemnych celów, ale Penelopa też miała powód. Miała powód od początku. Jej siostry zbyt długo żyły w cieniu jej kłeski. Dłużej na to nie pozwoli.

- Po tym artykule trzeba będzie was chronić przed hordami wielbicieli, którzy bez wątplenia nadciągną tłumnie - zdążył się już odezwać złotousty Michael.

- Musisz pójść z nami! - zawołała Olivia, a Penelopa miała ochotę krzyknąć, przerażona, jak łatwo siostry dawały się wciągnąć w jego grę.

Przesunął wzrok na nią i Penelopa myślami próbowała go zmusić, żeby odmówił, żeby przypomniawszy sobie, co mówiła na górze.

- Obawiam się, że nie mogę.

Powinna się ucieszyć, ale triumf przy jej mężu zwykle zamieniał się w swoje przeciwieństwo. Natomiast uhonorowanie jej życzenia było dla niej tak miłym zaskoczeniem, że zaczęła żałować, iż nie zgodził się z nimi pójść.

A to było, rzecz jasna, żalosne.

Mężczyźni są zaiste nieznośni.

A szczególnie jej mąż.

- Och, proszę - naciskała Olivia - byłoby cudownie móc zapoznać się z naszym nowym bratem.

- Istotnie - dołączyła do niej Pippa. - Pobraliście się tak szybko... nigdy nie mieliśmy okazji dobrze się poznać.

Penelopa posłała siostrze szybkie spojrzenie. Coś było nie tak. Pippa wiedziała. Musiała. Pokręcił głową.

- Przykro mi, moje panie, ale nie mam żadnych łyżew.

- Mam zapasowe łyżwy w powozie - oznajmiła Olivia. - Teraz nie masz już wymówki, żeby z nami nie pójść.

Penelopa natychmiast nabrała podejrzeń.

- Po co wam zapasowe łyżwy? Olivia uśmiechnęła się radośnie.

- Nigdy nie wiadomo, kiedy się spotka kogoś, z kim chciałoby się pojeździć.

Penelopa zwróciła zdumiony wzrok na Michaela, który z trudem powstrzymywał uśmiech.

Uniosła brwi, kiedy stwierdził:

- Świetnie powiedziane. Wygląda na to, że nie mam wyjścia, jak tylko grać przyzwoitkę.

- Możesz nie być najlepszą przyzwoitką, Bourne - wycedziła przez zęby Penelopa. - Skoro taki z ciebie hultaj.

Mrugnął do niej. Otóż, mrugnął! Kim jest ten człowiek?

- Ach, ale któż lepiej od hultaja, który pragnie się nawrócić, rozpozna podobnego sobie? I przyznaję, chętnie skorzystam z okazji, żeby znowu pojeździć na łyżwach z moją żoną. Tyle czasu minęło.

Kłamstwo.

Nie pamiętał, jak chodzili na łyżwy. Praktycznie sam jej to wcześniej powiedział, na górze.

Nie sądziła, żeby była w stanie znieść wspólne wyjście z nimi wszystkimi, z Michaeliem, który będzie jej ciągle dotykał, pytał ją o samopoczucie, drażnił, kusił.

Nie po ostatniej nocy, kiedy okazała tyle siły. Kiedy była taka pewna siebie. Czego jej teraz brakowało.

Nagle, z dnia na dzień, ten miłszy, łagodniejszy Michael przestał wydawać się kimś, kogo łatwo było odrzucić.

I to była zdecydowanie zła wiadomość.

15

Drogi M.

Do tej pory musiałeś usłyszeć te wieści, gdziekolwiek jesteś. Jestem zrujnowana. Książkę robił wszystko, żeby oszczędzić mi przykrości, ale to jest Londyn i takie próby, rzecz jasna, spełzają na niczym. Ożenił się w ciągu tygodnia - z miłości, ni mniej, ni więcej. Matka (nic dziwnego) traci rozum, zawodzi jak chór płaczek na pogrzebie.

Czy to źle, że czuję się tak, jakby mi ujęto jakiś ciężar? Pewnie tak.

Żałuję, że Ciebie tu nie ma. Wiedziałbyś, co powiedzieć.

Bez podpisu

Rezydencja Dolby, Londyn, listopad 1823

List niewysłany.

Penelopa usiadła na drewnianej ławce, patrząc w stronę zamarzniętego Serpentine, na którym roiło się od ludzi - wydawało się, że była tu połowa Londynu. Wyjątkowe mrozy tej zimy skuły jezioro lodową pokrywą, grubszą niż w ciągu poprzedniej dekady, zachęcając tłumy, żeby spędzić tu popołudnie na łyżwach.

A to oznaczało, że nie da się uciec przed badawczymi spojrzeniami socjety.

Kiedy ich niewielka grupka wysiadła z powozu i wdrapała się na wzgórze, które opadało łagodnie ku tafli Serpentine, każde z nich siadało po kolei, żeby przymocować drewniano-metalowe łyżwy do podeszew butów. Penelopa zwlekała najdłużej, jak się dało, świadoma, że jazda w towarzystwie Michaela to wyzwanie, bo ten z całą pewnością wykorzysta okazję, żeby pokazać wszem wobec, jak bardzo się kochają.

Po raz setny Penelopa przeklęła farsę, która stała się jej udziałem. Patrzyła na siostry, które właśnie schodziły, trzymając się za ręce.

Zamyślenie spowodowało, że trudno jej było przypiąć łyżwy; po jej trzeciej próbie Michael odłożył własne łyżwy na bok i ukucnął przed nią, ujmując ją za kostkę u nogi, zanim zdała sobie sprawę z jego intencji. Wyszarpnęła nogę, a Michael przewrócił się do tyłu, opierając na rękach w śniegu i zwracając uwagę gromadki młodych kobiet nieopodal.

- Co ty wyprawiasz? - szepnęła, pochylając się dyskretnie do przodu, by nie wywoływać sceny.

Podniósł ku niej przystojną twarz, patrząc fałszywie niewinnymi oczami i stwierdził po prostu:

- Pomagam ci założyć łyżwy.

- Nie potrzebuję twojej pomocy.

- Wybacz, ale wydaje się, że jednak potrzebujesz. - Zniżył głos tak, żeby tylko ona mogła go słyszeć: - Pozwól sobie pomóc.

Nie pomagał jej dla niej samej. Robił to dla innych, tych czujnych obserwatorów, którzy zachwyciliby się uroczą scenką i połamaliby sobie nogi, spiesząc, żeby donieść znajomym i rodzinie, jakim to pomocnym, czułym, cudownym mężczyzną jest markiz Bourne, który raczył postawić stopę na brzegu Serpentine.

Jej to jednak nie przypadło do gustu.

Sama przypnie przeklęte łyżwy.

- Poradzę sobie. Dziękuję.

Szybko wsunęła zrobione z drewna i metalu łyżwy, zapinając mocno paski.

- Proszę. - Spojrzała na Michaela, który przyglądał jej się uważnie, z dziwnym, nieodgadnionym wyrazem oczu. - Doskonale.

Wyprostował się, sięgając, żeby pomóc jej wstać.

- Przynajmniej pozwól mi to zrobić - szepnął, a ona nie mogła się oprzeć cichym słowom.

Wsunęła dłonie w jego ręce.

Podniósł ją i przytrzymał, aż odzyskała równowagę.

- O ile pamięć mnie nie myli, nigdy nie chodziłaś na łyżwach równie dobrze, jak na nich jeździłaś.

Zamrugła i omal się nie przewróciła; chwyciła go mocno za ramiona.

- Powiedziałeś, że nie pamiętasz.

- Nie - odparł cicho, prowadząc ją w dół wzgórza, ku jezioru. - Ty powiedziałaś, że nie pamiętam.

- Jednak pamiętasz.

Uniósł kącik ust w nieznacznym, smutnym uśmiechu.

- Zdumiałoby cię, ile pamiętam.

Te słowa zabrzmiały... jakoś dziwnie miękko, co wzbudziło w niej podejrzliwość.

- Dlaczego zachowujesz się w ten sposób? - Zmarszczyła czoło. - Kolejna okazja, by pokazać, że to miłość nas połączyła?

W jego oczach pojawił się błysk, który zaraz zniknął.

- Każda okazja dobra - powiedział cicho i odwrócił wzrok. Poszła za jego spojrzeniem; Pippa i Olivia szły w stronę tafli lodu, trzymając się za ręce. Każda okazja dobra, żeby wyswatać jej siostry.

- Przyłączę się do nich - oznajmiła, podnosząc głowę i patrząc w jego piękne orzechowe tęczówki. Dopiero wtedy zauważyła, jak blisko ją trzyma i jak delikatna pochyłość wzgórza sprawia, że ich oczy znajdują się niemal na równym poziomie.

Kącik jego ust zadrżał.

- Twoje policzki są jak czereśnie. Wcisnęła brodę w futrzany kaptur.

- Jest zimno - odparła wymijająco. Pokręcił głową.

- Ja nie narzekam. Myślę, że to czarujące. Sprawiają, że wyglądasz jak zimowa nimfa.

- W żaden sposób nie przypominam nimfy. Podniósł dłoń i dotknął palcem jej uniesionych brwi.

- Nigdy taka nie byłaś. Nie znałaś ironii. Wysunęła się z ciepłego uścisku.

- Musiałam się jej nauczyć od ciebie.

Patrzył na nią długo, po czym pochylił się nisko i szepnął jej do ucha:

- Nimfy nie powinny być cyniczne, kochanie. Nagle zimno przestało być tak dojmujące. Odsunął się, kręcąc głową.

- Jaka szkoda.

- Mianowicie?

Pochylił ku niej twarz, niemal dotykając jej czoła.

- Jestem prawie pewien, że się czerwienisz. Ale mróz powoduje, że trudno powiedzieć na pewno.

Penelopa uśmiechnęła się mimo woli, rozbawiona słowną utarczką, zapominając na jedną ulotną chwilę, że to wszystko nieprawda.

- Jakie to smutne, że nigdy się tego nie dowiesz.

Podniósł jej dłonie do ust, całując jej kostki przez miękką kozłą skórę na jednej, a potem drugiej ręce, a ona pożałowała, że w ogóle nosi rękawiczki.

- Łód czeka, pani. Wkrótce się do ciebie przyłączę.

Spojrzała na zatłoczone jezioro, gdzie siostry dołączyły do innych łyżwiarzy, zataczających koła na pięknej, gładkiej tafli i nagle to, że z nim tutaj stoi, wydało jej się dużo bardziej ekscytujące niż cokolwiek, co mogłoby się zdarzyć na lodzie. Ale nie mogła z nim zostać.

- A zatem idę.

Michael odprowadził ją do brzegu jeziora, gdzie odepchnęła się i znikła w tłumie, dołączając do sióstr. Olivia wsunęła rękę pod ramię Penelopy.

- Bourne jest cudowny, Penny - powiedziała. - Czy czujesz ekstazę? - Westchnęła. - Ja bym czuła.

Penelopa patrzyła w dół na swoje stopy ślizgające się po lodzie, wysuwające się spod spódnicy.

- Można to nazwać ekstazą. - Albo lepiej frustracją i głębokim zmieszaniem. Olivia rozejrzała się dookoła.

- Ciekawa jestem, czy zna któregoś z tych, jeszcze nieżonatych, dżentelmenów?

Jeśli mu wierzyć, połowa z nich miała długi w Upadłym Aniele.

- Sądzę, że tak, owszem.

- Wspaniale! - zawołała Olivia. - Doskonale się składa, Penny. Myślę, że okaże się dobrym szwagrem! I do tego jest przystojny, nieprawdaż? Och! Widzę Louisa Holbrooke!

Pomachała energicznie do przyjaciółki po drugiej stronie ślizgawki i ruszyła, żeby się z nią spotkać. Penelopa została sama.

- Tak, jest przystojny - powiedziała cicho, wdzięczna za tę jedną chwilę, kiedy nie musiała kłamać.

Przesunęła spojrzenie na miejsce na wzgórzu, gdzie tak niedawno stali razem. Stał, jak przedtem, skupiając na niej całą uwagę. Ręka świerzbiła ją, żeby pomachać. Ale to byłoby niemądre, prawda?

Byłoby.

Kiedy się nad tym zastanawiała, okazało się, że nie musi podejmować decyzji. On podniósł rękę i pomachał do niej.

Byłoby niegrzecznie udawać, że nie zauważyła. Pomachała w odpowiedzi.

Usiadł na ławce i zaczął przypinać łyżwy; Penelopa westchnęła lekko i zmusiła się, żeby patrzeć w drugą stronę, zanim zrobi coś jeszcze głupszego.

- Coś się stało.

Penelopa pomyślała w pierwszej chwili, że Pippa spostrzegła dziwne zachowanie jej i Michaela. Z kłębiącymi się w głowie myślami odwróciła się twarzą do młodszej siostry.

- Co masz na myśli?

- Castleton mi się oświadczył.

Penelopa otworzyła szeroko oczy, spodziewając się, że Pippa oznajmi, że spędziła z nim większość przedpołudnia, a ona dopiero teraz zdecydowała się powiedzieć o oświadczeniach.

Ponieważ siostra milczała, sunąc naprzód, jakby rozmawiały o pogodzie, a nie o jej przyszłości, Penelopa nie wytrzymała:

- Nie wydajesz się uszczęśliwiona tym faktem. Pippa nie podnosiła głowy przez parę długich minut.

- Jest hrabią. Wydaje się dość przyjazny, nie przeszkadza mu, że nienawidzę tańczyć, i ma stajnię pełną pięknych koni.

Penelopa uśmiechnęłaby się na ten opis - jakby te cechy wystarczały, żeby zapewnić udane małżeństwo - gdyby nie nutka rezygnacji w głosie siostry.

Penelopie przyszło do głowy, że Pippa mogła wybrać ten moment, żeby powiedzieć o oświadczeniach, ponieważ wokół kręciło się tylu ludzi - tyle oczu, które je śledziły, i tyle uszu, które słuchały - zbyt wielu, żeby prowadzić poważną rozmowę.

Jednak Penelopa chwyciła ją za rękę i zatrzymała na środku jeziora. Pochyliła się, mówiąc cicho:

- Nie musisz się zgadzać.

- Czy to ma znaczenie? - Pippa uśmiechnęła się szeroko, jakby rozmawiały o jakimś zabawnym wydarzeniu z tego przedpołudnia, a nie o jej przyszłym życiu. Jej marzeniach. - Czy nie pojawi się zaraz inny mężczyzna, polujący na mój posag? I następny po nim? I jeszcze inny? Aż nie będę mogła wybierać. Wie, że jestem bystrzejsza od niego, i chce, żebym

zarządzała jego majątkiem. To już coś. - Pippa spojrzała Penelopie w oczy.
-Wiem, co zrobiłaś.

- Co masz na myśli?

- Byłam tam na Świętego Stefana, Penny. Myślę, że zauważyłabym, jak Bourne wraca. Podobnie jak połowa parafii.

Penelopa zagryzła wargę, zastanawiając się, co powiedzieć.

- Nie musisz mówić, że mam rację - wybawiła ją Pippa z zakłopotania. - Ale wiedz, że rozumiem, co zrobiłaś. Doceniam to.

Ślizgały się przez jakiś czas w milczeniu.

- Zrobiłam to, żebyś nie musiała przyjmować oświadczyn Castletona, Pippo - wyznała w końcu Penelopa. - Michael i ja... historyjka była na wasz użytek. Twój i Olivii.

Pippa się uśmiechnęła.

- To miłe. Ale to niemałre sądzić, że zawrzemy małżeństwa z miłości, Penny. To się nie zdarza codziennie. Wiesz o tym lepiej niż większość innych.

Penelopa przełknęła z trudem ślinę na to przypomnienie, że jej własne małżeństwo nie ma nic wspólnego z miłością.

- Są tacy, którzy zawierają małżeństwa z miłości - zauważyła, poprawiając obszyte futrem rękawiczki i rozglądając się po jeziorze. - Pomyśl o Leightonie i jego żonie.

Pippa posłała jej spojrzenie okrągłych oczu, które za okularami przypominały oczy sowy.

- To najlepsze, co ci przychodzi do głowy? Skandal małżeński sprzed ośmiu lat?

Przykład najbliższy jej sercu.

- Lata się nie liczą. Ani skandal.

- Oczywiście, że się liczą. - Pippa zatrzymała się, poprawiając kokardy czepka pod szyją. - Taki skandal doprowadziłby matkę do hysterii. A resztę zmusił do ukrywania się.

- Nie mnie - stwierdziła Penelopa z przekonaniem. Pippa się zastanowiła.

- Nie, nie ciebie. Masz swojego skandalizującego męża. Penelopa popatrzyła na męża daleko na jeziorze, zatrzymując dłużej wzrok na wielkim sińcu z boku jego twarzy.

- Jest uosobieniem skandalu.

- Jakikolwiek by był powód waszego małżeństwa, Penny... wydaje się, że on dba o ciebie.

Teatr Drury Lane z pewnością traci ogromny talent.

Nie powiedziała tego głośno. Pippa nie musiała tego słyszeć.

- Mogę równie dobrze poślubić Castletona - stwierdziła Pippa. - Ojciec będzie szczęśliwy. A ja już nigdy nie będę musiała uczestniczyć w sezonie. Pomyśl o wszystkich wizytach u krawcowej, jakie mnie ominą.

Penelopa uśmiechnęła się na ten żart, choć miała ochotę otworzyć usta i wykrzyknąć, jakie to niesprawiedliwe. Pippa nie zasługiwała na małżeństwo bez miłości, tak samo jak pozostałe dziewczęta Marburych. Jak Penelopa.

Ale to był Londyn, gdzie małżeństwa bez miłości stanowiły normę. Westchnęła i nie skomentowała tego.

- Nie martw się o mnie, Penny - sapnęła Philippa, ponownie wciągając Penelopę w tłum łyżwiarzy. - Będzie mi dobrze z Castletonem. To dobry człowiek. Nie sądzę, żeby ojciec pozwolił na ten związek, gdyby było inaczej. - Pochyliła się bliżej. - Nie martw się o Oliwię. Ona nie ma pojęcia, że ty i lord Bourne... - Urwała. - Jest zbyt zajęta usidlaniem jakiegoś przystojnego arystokraty.

Penelopie nie poprawiła nastroju myśl, że mogła oszukać młodszą siostrę; czuła się bardzo nieswojo. Olivia, „Skandale”, reszta socjety, która sądziła, że Michael ją kocha - że ona kocha Michaela - to wszystko dowodziło najgorszego... że Penelopa zaczynała się gubić w tej szaradzie.

Skoro siostry nie kwestionowały jej uczuć do Michaela, można było się spodziewać, że ona sama wkrótce w nie uwierzy.

Co z nią wtedy będzie?

Znowu samotna.

- Penelopo? - Pippa wyrwała ją z zamyślenia. Zmusiła się do uśmiechu.

Pippa przyglądała jej się długo, zauważając, jak się wydawało, więcej niż Penelopa chciała ujawnić, a potem odwróciła wzrok.

- Przyłączę się chyba do Olivii i Louisy - odezwała się w końcu. - Idziesz?

Penelopa pokręciła głową.

- Nie.

Pippa uniosła brwi.

- Zostać z tobą?

Penelopa ponownie pokręciła głową.

- Nie, dziękuję.

Młodsza Marbury się uśmiechnęła.

- Czekasz na męża? - Penelopa natychmiast zaprzeczyła, uśmiech Pippy stał się pobłażliwy. - Myślę, że go lubisz, siostró. Wbrew własnej woli. Wiesz, nic w tym złego. - Przerwała, po czym dodała cicho: - Myślę, że to raczej miłe lubić własnego męża.

Zanim Penelopa zdążyła odpowiedzieć, Pippy już nie było. Odruchowo rozejrzała się za Michaeliem, który zniknął już ze wzgórza, gdzie go widziała ostatnio. Powiodła wzrokiem po jeziorze; stał na skraju tafli lodowej, zajęty rozmową z wicehrabią Tottenham.

Przyglądała mu się długą chwilę, zanim Michael popatrzył w jej stronę; jego poważne spojrzenie odnalazło ją niemal od razu. Poczula się nieswojo i odwróciła się, niezdolna panować nad sobą, podczas gdy połowa Londynu stała między nimi. Wsunęła brodę w futro i odjechała, z głową w dół, poprzez tłum, do odległego skraju jeziora, gdzie zeszła z lodu i pokuśtykała w stronę straganiku z pieczonymi kasztanami.

Ledwie zrobiła krok, kiedy usłyszała:

- Uwierzysz, że Tottenham jest skłonny pominąć wątpliwości i dać mu szansę? - Pytanie padło za jej plecami i Penelopa przystanęła, orientując się natychmiast, że mowa o jej mężu.

- Nie mogę sobie nawet wyobrazić, że Tottenham zna kogoś takiego, jak on.

- Podobno Bourne nadal zarządza tym skandalicznym klubem. Jak myślisz, co to znaczy?

- Nic dobrego. Bourne jest występny jak grzech, tak samo jak mężczyźni, którzy tam chodzą.

Penelopa oparła się z trudem chęci, żeby się odwrócić i powiedzieć plotkarkom, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa są córkami albo żonami mężczyzn, którzy daliby sobie odciąć lewą rękę za szansę zagrania w Upadłym Aniele.

- Powiadają, że w tym sezonie zależy mu na zaproszeniach. Podobno chce wrócić do towarzystwa. Rzekomo to ona jest powodem.

Penelopa wyteżyła słuch, ponieważ zerwał się wiatr i trudniej było uchwycić słowa.

- Lady Holloway powiedziała kuzynce mojej matki, że nie mógł przestać jej dotykać na kolacji w zeszłym tygodniu.

- Słyszałam to samo. A widziałaś „Skandale” dzisiaj rano?

- Wierzysz w to? Małżeństwo z miłości? Z Penelopą Marbury? Mogłabym przysiąc, że ożenił się z nią dla jej reputacji, biedaczka.

- Nie zapominaj o Falconwell, to była siedziba markizatu, zanim... Słowa uniósł wiatr, ale Penelopa i tak je usłyszała. „Zanim je stracił”.

- Można by się zastanowić, dlaczego ktoś tak nieskazitelny, jak Penelopa Marbury, może czuć coś do kogoś tak złego, jak markiz Bourne.

To aż zbyt łatwe, pomyślała Penelopa.

- Nonsens. Spójrz na niego. Prawdziwa zagadka, jak ktoś taki jak on mógł się zakochać w kimś tak nudnym jak ona! Nie potrafiła zatrzymać przy sobie nawet zimnego, nudnego Leightona.

Parsknęły śmiechem, a Penelopa zamknęła oczy.

- Jesteś okropna! Biedna Penelopa! Boże, nienawidziła tego imienia.

- Cóż, rzeczywiście. Występny jak grzech i dwakroć taki przystojny... nawet z tym okiem. Jak myślisz, gdzie to się stało?

- Słyszałam, że w kasynie są walki. Takie, jak między gladiatorami.
-Penelopa przewróciła oczami. Jej męża można było posądzać o różne rzeczy, ale nie był współczesnym gladiatorem.

- Cóż, wyznaję, nie odmówiłabym opatrywania jego ran... - głos przeszedł w westchnienie.

Penelopa miała ogromną ochotę pokazać wścibskim plotkarkom, jakie rany można zadać człowiekowi.

- Może Penelopa mogłaby ci udzielić jakichś wskazówek, miałabyś szansę złowić któregoś z bywalców.

Złośliwy śmiech zamarł w oddali. Odwróciła się za nimi, zaciskając pięści, nie mogąc rozpoznać plotkujących. A gdyby nawet, i tak nie mogłaby nic z tym zrobić.

Naturalnie że ta historia nadawała się na plotki. Śmiechu warte, żeby ona i Michael pobrali się z miłości. Żeby ich małżeństwo było czymś więcej niż interesem.

„Jak ktoś taki jak on mógł się zakochać w kimś tak nudnym jak ona”.

Wciągnęła głęboko chłodne powietrze, które usiłowało się przedrzeć przez zaciśnięte gardło.

- Lady Bourne. - Odwróciła się, słysząc ten wciąż dziwnie brzmiący tytuł. Donovan West, zaledwie parę stóp dalej, zmierzał w jej stronę. Nie wiedziała, czy mógł usłyszeć kobiety, ale nie mogła zaprzestać przypuszczeń, że być może słyszał.

- Panie West. - Odsuwając smętne myśli, odpowiedziała na jego uśmiech. - Co za niespodzianka.

- Moja siostra domagała się, żebym służył jako przyzwoitka. - Wskazał grupkę dziewcząt nieco dalej. - I przyznaję, że mam słabość do sportów zimowych. - Podał jej ramię i wskazał niedaleki stragan. - Ma pani ochotę na kasztany?

Poszła za jego wzrokiem; dym przesłaniał twarz straganiarza.

- Bardzo chętnie, dziękuję.

Przesuwali się powoli w stronę straganu. Penelopa kuśtykała na łyżwach, a pan West był zbyt dobrze wychowany, żeby zwrócić uwagę na jej brak koordynacji.

- Ja także mam siostry. - Pomyślała o rezygnacji Pippy i o jej decyzji wyjścia za mąż za Castletona, pomimo że jej nie interesował. Decyzji podjętej z niewłaściwych powodów.

- Sprawiają kłopoty, te istoty, nieprawdaż? Zmusiła się do uśmiechu.

- Sama będąc siostrą, muszę powstrzymać się od odpowiedzi.

- Słuszna uwaga. - Jasnowłosy mężczyzna zatrzymał się, dodając żartobliwie:

- Wyobrażam sobie, że małżeństwo z Bourne'em każdą siostrę uczyniłoby nieco awanturniczą.

Uśmiechnęła się.

- Proszę uważać się za szczęściarza, że nie jest pan moim bratem. Zapłacił straganiarzowi i podał Penelopie torbę pieczonych kasztanów, czekając, aż spróbuje jednego, zanim się odezwał:

- Radzi sobie pani bardzo dobrze.

Spojrzała uważniej w jego mądre brązowe oczy. Wiedział. Postarała się, żeby jej głos brzmiał obojętnie, kiedy odpowiedziała, udając, że źle zrozumiała jego słowa:

- Jeżdżę na łyżwach całe życie.

Przechylił głowę, przyjmując do wiadomości ten unik.

- Cóż, pani technika wskazuje większą zręczność, niż można by oczekiwać od damy.

Nie rozmawiali o łyżwach, tyle rozumiała, ale czy chodziło mu o plotki na temat jej i Bourne'a? Czy o farsę ich małżeństwa? A może coś jeszcze, bardziej naganego?

Gryzła kasztan, smakując słodkie wnętrze i zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Zawsze cieszy mnie to, że zaskakuję ludzi wokół.

- Taka finezja wymaga sporo siły.

Uniosła brew i posłała mu szczere spojrzenie.

- Mam za sobą lata praktyki. Uśmiechnął się serdecznie.

- W istocie, pani. Pozwolę sobie zauważyć, jakie to szczęście, że Bourne'owi udało się panią zdobyć. Nie mogę się doczekać, kiedy będę mógł obserwować panią w sezonie. Z pewnością o waszej parze będzie się mówiło najwięcej w Londynie. Wiem, że moi felietoniści są podnieceni pani obecnością w mieście.

Zrozumienie przyszło jak lodowaty wiatr.

- Pańscy felietoniści?

Schylił głowę, uśmiechając się pod nosem.

- „Skandale” to jedno z moich pism.

- Dzisiejszy artykuł... - nie dokończyła.

- Zblednie w porównaniu z tym o pani łyżwiarskich umiejętnościach. Odeła wargi.

- To w istocie sensacja.

Roześmiał się. Wcale nie chciała być zabawna.

- Penelopa umiała zataczać koła wokół mnie, odkąd urosiliśmy na tyle, żeby stanąć na własnych nogach. - Zaskoczona głosem Michaela, odwróciła się i tracąc równowagę, wpadła wprost w jego ramiona, jakby to zaplanował. Pisnęła cicho, kiedy ją do siebie przyciągnął.

- O czym świadczy moja nadzwyczajna gracja w tymże momencie - stwierdziła Penelopa, pobudzając Michaela do śmiechu, który przejął ją przyjemnym drżeniem. Odsunęła się, żeby mu spojrzeć w oczy.

Nie odwrócił spojrzenia, mówiąc:

- To jeden z wielu powodów, dla których ją poślubiłem. Z pewnością nie możesz mieć mi tego za złe, West.

Z rumieńcami na policzkach Penelopa odwróciła się do żurnalisty, który skłonił głowę, mówiąc:

- Ależ skądże. To zaiste szczęśliwy związek. - Mrugnął okiem do Penelopy. - Najwyraźniej jest pani oddany. - Spojrzał gdzieś dalej, po czym uchylił kapelusza i uklonił się krótko Penelopie. - Sądzę, że zbyt długo zaniedbywałem siostrę. Lady Bourne, to był zaszczyt móc z panią jeździć na łyżwach.

Dygnęła nieznacznie.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Kiedy odjechał, zwróciła się do Michaela, zniżając głos:

- Ten człowiek wie, że nasze małżeństwo to coś więcej niż związek z miłości.

Pochylił się, również mówiąc szeptem:

- Czy nie masz na myśli: coś mniej? Zmrużyła oczy.

- Unikasz tematu.

- Oczywiście, że West wie - oznajmił obojętnie. - To jeden z najinteligentniejszych ludzi w Brytanii. Możliwe, że najinteligentniejszy, a także jeden z tych, którzy odnieśli największy sukces. Ale zachowa nasze tajemnice.

- To żurnalista - przypomniała.

Roześmiał się, pięknie i szczerze, co uczyniło go jeszcze nieskończenie bardziej przystojnym.

- Nie musisz mówić o nim, jakby był owadem pod szkłem. - Przerwał i popatrzył, jak mężczyzna, o którym mówili, czaruje swoją siostrę i stadko jej przyjaciółek. - West dwa razy się zastanowi, zanim zacznie się rozwodzić nad naszym małżeństwem w druku.

Nie wierzyła mu. Prawda o ich małżeństwie wywołałaby smakowity skandal.

- Skąd go znasz?

- Lubi hazard.

- Wydaje się, że najinteligentniejszy człowiek w Brytanii nie powinien gustować w grach zależnych od przypadku.

- Nie, o ile nie ma szczęścia jak diabeł wcielony.

- Mam wrażenie, że nie martwi cię to, że on wie.

- Bo nie martwi, znam zbyt wiele jego sekretów, żeby chciał dzielić się moimi.

- Ale z radością podzieli się sekretami Tommy'ego, czy tak? Michael zerknął na nią z ukosa.

- Nie mówmy o tym. Nie ustępowała.

- Wciąż zamierzasz go zrujnować?

- Nie dzisiaj.

- Więc kiedy? Westchnął.

- Nie wcześniej niż od dziś za tydzień, jak obiecałem.

Było coś szczególnego w jego łagodnym, zrezygnowanym głosie, coś czego, niestety, nie potrafiła rozpoznać. Wątpliwość? Żal?

- Michael...

- Kupiłem i zapłaciłem za to popołudnie, żono. Za nic więcej. - Sięgnął do torby z kasztanami i wrzucił sobie jeden cały do ust. W tej samej chwili otworzył szeroko oczy i wciągnął gwałtownie powietrze. - Ależ to pali!

Jego ból nie powinien sprawiać jej przyjemności, ale sprawił.

- Gdybyś mnie poprosił o jednego, zamiast po prostu brać, co chcesz, ostrzegłabym cię.

Jedna z jego brwi strzeliła do góry.

- Nigdy nie prosz. Bierz, co chcesz, kiedy chcesz.

- Kolejna zasada hultajów? Pochylił głowę, doceniając żart.

- Tak jest zabawniej.

Napłynęło - niechciane - wspomnienie tego, jak zarzucił ją sobie na ramię tej pierwszej nocy... nocy, która wszystko zmieniła.

Podniosła brodę, nie pozwalając, żeby wprowadził ją w zmieszanie.

- Tak, odkryłam to sama w twoim kasynie zeszłej nocy, kiedy wygrałam w ruletkę. - Uniósł brwi, a Penelopa poczuła się raczej dumna z siebie.

Celny strzał.

- To gra polegająca na przypadku, nie wymaga umiejętności.

- Umiejętności nie, ale szczęścia. Uśmiechnął się, piękniej niż mężczyźni przystoi.

- Chodź, żono. Okrążmy jezioro.

Wyjął torebkę z jej rąk i włożył ją sobie do kieszeni. Weszli na lód i Penelopa ponownie skierowała rozmowę na sekrety.

- Czy tak to wygląda? Sprzedajesz cudze sekrety?

- Tylko wtedy, kiedy muszę.

- Tylko jako środek do celu - powiedziała bardziej do siebie niż do niego.

- Wiem, że na dziesięć lat opuściłem szeregi arystokracji, ale Londyn pozostał Londynem, czyż nie? Informacja to wciąż najbardziej chodliwy towar?

- Sądzę, że tak. - Nie podobało jej się, że dla niego to było takie proste. Że był taki bezduszny. Jak łatwo zachowywał tajemnice. Jak łatwo je wykorzystywał, żeby karać innych. Zmusiła się do uśmiechu, wiedząc, że

cały Londyn ich obserwuje. Nienawidziła tego uczucia. - Tak jest między tobą a Langfordem?

Michael pokręcił głową.

- Langford też nie, nie dzisiaj. Zawarliśmy układ.

- Nigdy na niego nie przystałam.

- To, że mnie nie wyrzuciłeś z powozu po drodze tutaj, oznacza cichą zgodę - zauważył sucho. - Jeśli jednak chciałabyś formalnie wyrazić zgodę, przyjmę twój fant w dobrej wierze.

- Nie mam własnego fantu.

- W porządku. - Uśmiechnął się. - Możesz pożyczyć mój. Zerknęła na niego.

- To znaczy, mogę zwrócić twój.

- Semantyka.

Nie mogła ukryć uśmiechu, sięgając do kieszeni płaszcza, w której trzymała gwineę, jaką dostała od niego wiele nocy temu. Wyjęła pieniążek.

- Jedno popołudnie - powiedziała.

- Na tydzień - zgodził się.

Opuściła monetę na jego wyciągniętą dłoń, patrząc, jak wkłada ją do kieszeni palta. Dalej na jeziorze Pippa śmiała się w towarzystwie grupy dziewcząt.

- Lord Castleton oświadczył się Pippie. Michael się nie poruszył.

- I?

- Zgodziła się. - Nie odpowiedział. Oczywiście, że nie. Nie rozumiał. Nie starałby się zrozumieć. - Nie pasują do siebie.

- Czy to takie dziwne?

Nie. Nie było. Ale nie musiał okazywać takiej bezduszości. Ruszyła szybciej.

- Zasługuje na szansę, na coś więcej.

- Nie musiała się zgadzać. Spojrzała na niego z ukosa.

- Dziwię się, że mówisz coś takiego. Czyż nie chcesz, żeby wyszła za mąż jak najszybciej?

Odwrócił wzrok, skupiając się przez długie minuty na jeździe.

- Wiesz, że tak. Ale nie mam żadnego interesu w tym, żeby ją zmuszać.

- Miałeś interes tylko w tym, żeby mnie zmusić do zamążpójścia?

- Penelopo - zaczął, ale ona wyminęła go, jadąc szybciej, czując zimny wiatr na policzkach, pragnąc jechać i jechać, uciec od tego dziwnego życia, do jakiego ją zmuszono. Przejechała obok sporej grupy ludzi, a on znów znalazł się obok niej, położył jej dłoń na ramieniu, sprawiając, że zwolniła. - Penelopo - powtórzył znowu. - Proszę.

Może to było to słowo. Jego miękkość. Jego niezwykłość w ustach Michaela. Sposób, w jaki je wymówił, tak jakby mogła go zlekceważyć, a on gotów był ją puścić.

Zatrzymała się jednak, jej łyżwy wbiły się głęboko w lód, kiedy odwróciła się twarzą do niego.

- Mieliśmy tego zaprzestać - powiedziała, wiedząc, że zbyt daje się ponieść emocjom. - Mieliśmy zrobić tak, żeby one miały swoje życie. Małżeństwa zbudowane na czymś więcej niż...

- Więcej niż okazały posąg. Wzdrygnęła się.

- Powinny mieć lepsze możliwości od nas. Dałeś mi swój fant.

- I przynajmniej jedna z nich będzie. - Spojrzała tam, gdzie wskazał, na drugą stronę jeziora, gdzie Olivia i Tottenham stali pogrążeni w rozmowie: Olivia z rumieńcami na ślicznych policzkach, Tottenham uśmiechnięty od ucha do ucha. - Jest wart fortunę, a jego reputacja jest na tyle nieskazitelna, że pewnego dnia może zostać premierem. Jeśli sobie odpowiadają, to może być wspaniały związek.

- Są sami? Razem? - Zaczęła jechać w ich stronę. - Michael, musimy wracać! Ujął jej dłoń, zwalniając tempo.

- Penelopo, nie są sami na balkonie podczas balu. Stoją, całkiem zadowoleni, na brzegu jeziora, konwersując.

- *Sans chaperone*⁴ - zauważyła. - Mówię poważnie. Musimy wracać!

- Cóż, skoro mówisz po francusku, to istotnie musi być bardzo poważna sprawa. - Twarz miał odwróconą, więc nie miała pewności, ale podejrzewała, że sobie z niej pokpiwa. - Nie dzieje się nic niewłaściwego. - Wziął ją za rękę, pociągając tak, że jechała w odwrotnym kierunku, choć próbowała się odepchnąć. - Jesteś mi winna popołudnie, żono. - Trzymał ją mocno. Nie opierała się dłużej. Okręcał ją wokół siebie, aż w końcu musiała z nim jechać, cały czas twarzą do niego.

⁴ *Sans chaperone* (fr.) - bez przyzwoitki.

A potem wziął ją w ramiona, jakby tańczyli. Poruszając się w rytmie walca, odjechali daleko od tych, którzy mogli ich słyszeć.

- Wszyscy patrzą.

- Niech sobie patrzą. - Trzymał ją mocno, szepcząc jej cicho do ucha: -Nie pamiętasz, jak to jest, kiedy się spędza pierwszych parę minut sam na sam ze starającym się?

- Nie. - Próbowwała się uwolnić. - Michael, musimy wracać.

Nagle poczuła, że to nie ze względu na OHwię musi wrócić. Ze względu na siebie samą. Swoje zdrowie umysłowe. Ponieważ to, że trzymał ją w ramionach, szeptał, nie miało dobrego wpływu na jej przekonania.

Wykonali wolny obrót.

- Wrócimy za parę minut. A na razie odpowiedz na pytanie.

- Odpowiedziałam. To niestosowne.

- Nie pozwolę ci odejść. Jeśli ktoś nas zobaczy, po prostu pomyśli, że markiz Bourne okazuje czułość swojej pięknej żonie. A teraz odpowiedz na pytanie.

Tylko że on nie okazywał jej czułości. To nie było naprawdę. Było?

- Nigdy mnie nie uwodzono. Nie tak, żebym straciła oddech. - Nie mogła uwierzyć, że mu to wyznała.

- Czy twój książę nie robił wszystkiego, żeby cię oczarować? Penelopa nie mogła się powstrzymać. Parsknęła śmiechem.

- Czy poznałeś kiedyś księcia Leighton? To nie jest człowiek najbardziej biegły w uwodzeniu. - Przypomniała sobie, jak książę przerwał bal dla swojej przyszłej żony. - Przynajmniej nie ze mną.

- A inni?

- Jacy inni?

- Inni zalotnicy, Penelopo. Z pewnością któryś z nich... Pokręciła głową, rozglądając się, szukając wzrokiem sióstr, bojąc się, że ktoś ją zobaczy. Philippa stała z grupą dziewcząt na środku połyskliwej tafli.

- Nigdy żaden zalotnik nie wywołał u mnie zawrotów głowy.

- Nawet Tommy?

Nie. Powinna to powiedzieć, ale nie chciała. Nie chciała zdradzić przyjaciela. Nie chciała, żeby Michael wiedział, że była środkiem do celu dla nich wszystkich... nawet dla Tommy'ego.

- Sądziłam, że mieliśmy nie rozmawiać o Tommym.

- Kochasz go? - Jego głos brzmiał ponagląco, wiedziała, że nie da jej spokoju, póki nie odpowie.

Wzruszyła ramieniem.

- To bliski przyjaciel. Oczywiście, że mi na nim zależy. Oczy mu pociemniały.

- Nie o to mi chodzi, wiesz o tym.

- On także nie doprowadzał mnie do szaleństwa.

Nie udawała, że nie rozumie. Powiedziała prawdę, wiedząc, że wyznanie da mu władzę. Nie dbała o to, ponieważ chciała, żeby w ich związku było coś prawdziwego.

Małe dziecko - nie starsze niż cztery czy pięć lat - przemknęło obok nich na łyżwach, za nim skruszony ojciec i roześmiana matka, która odwróciła się, żeby przed nimi dygnąć. Penelopa uśmiechnęła się, machając ręką na znak, że nic się nie stało.

- Być może jednak - powiedziała cicho - na tym polega problem. -Może czekałam zbyt długo na zawrót głowy i przegapiłam... cóż... wszystko inne.

Nie odzywał się, spojrzała na niego i stwierdziła, że śledzi wzrokiem tę samą rodzinę, której ona się przedtem przyglądała. W końcu spojrzał na nią bardzo poważnie i nie mogła odwrócić wzroku, kiedy razem zataczali koła; żadne nie próbowało przeciągać tego ruchu, ale i tak wirowali. Coś się zmieniło między nimi.

- Jestem bardzo szczęśliwy, że nie poślubiłaś Leightona, Tommy'ego ani żadnego z tych nieobecnych innych, Sześciopensówko.

Nikt poza Michaeliem nigdy nie nazywał jej Sześciopensówką, głupie przezwisko, które nadał jej lata temu, zapewniając, że jest dla niego więcej warta niż jeden pens. Wtedy to były słodkie słowa, takie, które zawsze skłaniały ją do uśmiechu. Tym razem nie stało się inaczej.

Przejęło ją ciepło, a po nim napłynęły pytania, dużo poważniejsze niż przezwisko.

- Czy to uczciwość? Fałszywa uczciwość? Kim jesteś teraz, w tej chwili? Prawdziwym sobą? Czy jakimś mirażem mężczyzny, którego, jak ci się wydaje, inni chcą w tobie widzieć? Nie mów mi, że to nie ma znaczenia, ponieważ teraz... w tym momencie... to ma znaczenie. - Jej głos stał się niemal szeptem. -I nawet nie jestem pewna dlaczego.

- To prawda.

Uwierzyła mu, może straciła rozsądek.

Stali tam długą chwilę, jego oczy z plamkami złota i zieleni wpatrzone w nią tak intensywnie, jakby byli sami na jeziorze - jakby cały Londyn nie wirował i nie ślizgał się wokół nich - a ona zastanawiała się, co mogłoby się stać, gdyby nikogo oprócz nich tu nie było. Jakby cały Londyn się nie liczył.

Był tak blisko, jego ciepło stało się tak wyczuwalne i kuszące; pomyślała, że może ją pocałuje.

Nie.

Odsunęła się, zanim mógł to zrobić. Nie mogła znieść myśli, że znowu ją wykorzysta. Zaczął padać śnieg, oprószając jego czapkę w drobne paski i ramiona pięknie skrojonego płaszcza.

- Powinna pójść do Ohvii, zanim razem z Tottenhamem postanowią uciec. - Zamilkła na chwilę. - Dziękuję za popołudnie.

Odwróciła się i odjechała szybko, dotkliwie odczuwając rozłąkę. Niedobrze, że potrafił wzbudzić w niej silne pożądanie tak szybko, jednym miłym uśmiechem czy łagodnym słowem. Przy nim była słaba.

A on taki silny.

- Penelopo! - zawołał za nią; odwróciła się i napotkała jego wzrok. W jego orzechowych oczach błyszczało coś niebezpiecznego. - Popołudnie jeszcze się nie skończyło.

Przez krótką chwilę Penelopa pomyślała, że może zakręcić jej się w głowie.

16

Drogi M.

Nie miałam żadnych wątpliwości, że ten sezon będzie koszmar, ale okazał się jeszcze gorszy, niż myślałam. Och, mogę znosić plotki i szeptaki a nawet to, że kawalerowie, którzy niegdyś zapraszali mnie do tańca, teraz udają, że mnie nie widzą, ale widok księcia z nowo poślubioną piękną księżną u boku jest naprawdę trudny do zniesienia.

Są w sobie tak bardzo zakochani, że chyba nawet nie zauważają uwag rzucanych pod ich adresem. Na dodatek wczoraj słyszałam na herbatce, że księżna jest przy nadziei.

To takie dziwne, patrzeć, jak ktoś inny żyje życiem, które miało być twoje. Dziwniej jeszcze jest cierpieć z tego powodu i zarazem radować się wolnością, która jest moim udziałem.

Bez podpisu

Rezydencja Dolby, Londyn, kwiecień 1824

List niewysłany.

To było zaiste dziwne, uwodzić własną żonę.

Spodziewałby się, że coś takiego może się odbywać przy świetle świec, w cichej sypialni, przy akompaniamencie pikantnych, rzuconych szeptem uwag. A teraz okazało się jednak, że przy uwodzeniu jego żony niezbędne są jej siostry, jej żałosna matka, pięć ogarów jej ojca i gra w szarady.

Po raz pierwszy grał w szarady, odkąd opuścił Surrey, jadąc do szkoły osiemnaście lat wcześniej.

- Nie musisz tu zostać - powiedziała Penelopa, półgłosem, siedząc obok niego na kanapie w salonie rezydencji Dolby. Odchylił się do tyłu, krzyżując nogi w kostkach.

- Bawią mnie dobre szarady, jak każdego.

- A z mojego doświadczenia wynika, że mężczyźni istotnie uwielbiają salonowe gry - odparła sucho. - Wiesz, popołudnie minęło.

Było to niezbyt subtelne przypomnienie, że zapłaciła mu w pełni... że jego czas minął. Spojrzał w jej błękitne oczy.

- Wciąż jest po południu, Sześciopensówko. - Ściszył głos. - Według moich obliczeń, zostało mi jeszcze dobrych pięć godzin z tobą... do późna w nocy.

Zaczerwieniła się, a on zwalczył chęć, żeby kochać się z nią tutaj, w tej chwili - zdjąć z niej tę sukienkę, w której tak bardzo było jej do twarzy, i położyć nagą na tej kanapie, na której siedzieli.

Jej szacowna rodzina nie byłaby, zapewne, zachwycona.

Nie po raz pierwszy tego dnia pomyślał o zdjęciu z niej ubrania, ani też dziesiąty. Nie, pewnie już setny.

Coś wydarzyło się na zamrożonym jeziorze, coś, na co nie był przygotowany.

Świetnie się bawił.

Cieszył się Penelopą.

Sprawiwały mu przyjemność jazda z nią na łyżwach, przekomarzanie z nią, obserwowanie jej razem z siostrami, każdą, na swój sposób, czarującą. I tak bardzo go kusilo, żeby pokazać, że ona należy do niego. Ilekroć jednak próbował, odrzucała go - pełna wspaniałej siły - z wysoko uniesioną brodą, śliczna, nie zgadzając się przyjąć mniej, niż to na ile zasługiwała.

Taki był z niej dumny, kiedy go zostawiła i ruszyła w poprzek Serpentine; musiał użyć całej siły woli, żeby nie ruszyć za nią i nie zatrzymać w miejscu, tak odległym od punktu, w którym tkwiło ich małżeństwo. Napawał się cudownym uczuciem błogości, kiedy trzymał ją w ramionach i razem sunęli na łyżwach, zachwycał jej uśmiechem, kiedy ukradł jej kasztana z papierowej torby, a gdy zażądała od niego, z szeroko otwartymi oczami, prawdy - był szczęśliwy, mogąc odpowiedzieć uczciwie. Ale uczciwość nie wystarczyła. Zapamiętał tę lekcję. Spodziewała się, że nie przyjmie zaproszenia na szarady, i pewnie tak by zrobił. Stwierdził jednak, że nie jest gotowy się z nią rozstać - w istocie nie podobała mu się myśl, że w ogóle miałby się z nią kiedyś rozstać. Tak więc znalazł się tutaj, grał w szarady i brał udział w rodzinnej idylli.

Jej siostry wpadły do salonu; Philippa z wielką miską, a za nią duży brązowy pies, który potruchtał do kanapy i wcisnął się między niego a Penelope, obracając się dwa razy, zanim się na dobre usadowił, z brodą na udzie Penelopy, a zadem wciśniętym w biodro Michaela. Bourne przesunął się, robiąc miejsce dla psa, podczas gdy jej dłonie zaczęły delikatnie gładzić psie uszy.

Ogarnęła go zazdrość, kiedy zwierzę sapnęło, poddając się pieszczocie; Michael odchrząknął, zły na siebie za tę zazdrość o psa, i zapytał:

- Ile psów jest w tym domu?

Zmarszczyła nos w zamyśleniu, pamiętał tę jej minę z ich dzieciństwa. Miał ochotę wyciągnąć rękę i przesunąć palcem po fałdkach na małym, zadartym nosku.

- Dziesięć? Jedenaście? - Wzruszyła ramionami, drobna i urocza. - Naprawdę straciłam rachubę. To jest Brutus.

- Wydaje się, że cię lubi. Uśmiechnęła się:

- Lubi uwagę.

Michael uznał, że gdyby to nie było głupie, z radością oddałby swój udział w Upadłym Aniele, żeby czuć na sobie taki słodki, kojący dotyk jej rąk.

- Widzieliście, jaki Tottenham jest wysoki? I jaki przystojny! - paplała Olivia, podchodząc do nich i siadając na krześle obok Michaela. - Nie miałam pojęcia, że szwagier z taką reputacją może mieć dostęp do tak świetnego potencjalnego męża!

- Olivia! - Markiza Needham-Dolby wyglądała, jakby miała umrzeć ze zmieszania. - Nie dyskutuje się o takich rzeczach z parami królestwa!

- Nawet z własnym szwagrem?

- Nawet z nim! - Głos lady Needham wzniósł się o parę oktaw. - Przeprosiny byłyby na miejscu!

Pippa popatrzyła znad misy z zagadkami i poprawiła okulary na nosie.

- Nie chodzi jej o to, że masz złą reputację, lordzie Bourne. Tylko że... Michael uniósł brew, ciekaw, jak dokończy zdanie.

- Pippa, doprawdy. On nie jest oziębiały na umyśle. Wie, że ma reputację skandalisty. Poszłabym o zakład, że mu się to podoba. - Olivia uśmiechnęła się do niego, błyskając białymi zębami, a on uznał, że lubi te dziewczyny. Były, co najmniej, zabawne.

- W porządku. Wystarczy - dodała Penelopa. - Gramy? Olivia, ty zaczynasz.

Olivia wydawała się bardzo chętna do zabawy, podeszła do dużego kominka, żeby wyciągnąć kartkę. Wyjęła ją, przeczytała, wydymając wargi, wyraźnie zastanawiając się nad strategią.

Zamiast jednak wyrazić w pantomimie hasło z kartki, podniosła głowę, mówiąc:

- Czy myślicie, że Tottenham kupi mi duży pierścionek zaręczynowy?

- *Wesele Figara* - stwierdziła Penelopa pewnym głosem.

- Tak! - wykrzyknęła Olivia. - Skąd wiedziałaś?

- No rzeczywiście - odparła Penelopa.

- Co za mądra dziewczyna! - zawołała markiza.

Michael nie mógł się powstrzymać. Roześmiał się, przyciągając uwagę żony, która zmarszczyła brwi, przyglądając mu się, jakby był dziwnym okazem flory, który właśnie odkryła.

- O co chodzi? - zapytał.

- Nic... tylko że... nieczęsto się śmiejesz.

Nachylił się, na tyle blisko, na ile pozwalała obecność psa.

- Czy to niewłaściwe?

Jej śmiech zabrzmiał jak muzyka.

- Nie... ja... - Zaczerwieniła się znowu. Oddałby majątek za jej myśli w tym momencie. - Nie.

- Olivio - odezwała się Pippa. - Spróbuj jeszcze raz.

Olivia sięgnęła do miski, ale przedtem spojrzała na Michaela, oznajmiając:

- Zawsze lubiłam rubiny, lordzie Bourne. Sądzę, że moja cera świetnie przy nich wygląda. Na wypadek gdyby ten temat wypłynął w rozmowie. Z kimkolwiek.

Tottenham czekały ciężkie czasy.

- Och, jestem przekonana, że tak się stanie - zauważyła Penelopa suchym tonem. - W tych rozmowach o klejnotach i cerze dam, które tacy mężczyźni jak Bourne i Tottenham bezustannie toczą.

- Zdziwiłabyś się - zwrócił się Michael do żony z całą powagą, a ona znowu się roześmiała. - Postaram się zapamiętać twoje upodobanie do rubinów, lady Olivio.

Uśmiechnęła się.

- Liczę na to.

- Nie jestem pewna, czy klejnoty sprawiają, że cera wygląda lepiej - stwierdziła Penelopa. - Gramy.

- Philippo, zaprosiliśmy lorda Castleton jutro na lunch - oznajmiła markiza. - Mam nadzieję, że wy dwoje wybieriecie się po południu na spacer.

- Doskonale, matko. - Uwaga Pippy pozostała przy grze. - Pięć słów.

- Tottenham nie zaproszono na lunch - powiedziała Olivia z nadąsaną miną.

- Nie powinnaś mówić, Olivio - zauważyła Pippa. - Chociaż to było pięć słów, więc w porządku.

Michael uśmiechnął się, słysząc dowcipny komentarz, ale nie umknął mu brak zainteresowania w głosie szwagierki. Pippa nie chciała poślubić Castletona. Nie mógł jej za to winić, Castleton był kretyńcem. Bourne'owi zajęło tylko parę godzin odkrycie, że Pippa ma bystrzejszy umysł od wielu mężczyzn i że Castleton będzie dla niej okropną partią. Oczywiście, Castleton byłby okropną partią dla każdej kobiety, ale dla Pippy taki związek byłby niszczący.

A Penelopa znienawidziłaby go za to, że do tego dopuścił.

Spojrzał na żonę, która obserwowała go uważnie. Pochyliła się ku niemu.

- Nie podoba ci się ten związek.

Mógł skłamać. Im szybciej Philippa i Castleton się pobiorą, tym szybciej Michael będzie mógł się zemścić i żyć swoim życiem bez chmury gniewu i wściekłości, która spowiła cieniem ostatnie dziesięć lat jego życia. Nic się nie zmieniło.

A jednak.

Penelopa.

Pokręcił głową.

- Nie podoba. ,

W jej pięknych niebieskich oczach zapłonęła jakaś iskierka, coś, od czego mógł się uzależnić. Szczęście. Nadzieja. Warto dla tego uczucia być mężczyzną.

- Powstrzymasz to? Zawahał się. Czy powstrzyma? Uszczęśliwiłby Penelopę.

Ale za jaką cenę?

Od konieczności udzielenia odpowiedzi wybawiła go Philippa:

- Co się dzieje? Widzicie to?

Nie zwracał uwagi, ale teraz Olivia na przemian naśladowała uderzenie biczem i krzywiła twarz, zamykając oczy i obnażając zęby, z rozłożonymi jak wachlarz palcami obu rąk przy kącikach ust.

- Powożenie kałamarnicą! Biczowanie słońca! - zawołała dumna z siebie markiza, wywołując śmiech u pozostałych.

- Powożenie kałamarnicą to sztuka, którą bardzo bym chciała poznać - powiedziała Pippa. Chichocząc, zwróciła się do Penelopy: - Penny, potrzebujemy twojej pomocy.

Penelopa przyglądała się Olivii przez długą chwilę i tak urzekła tym Michaela, że trudno mu było oderwać wzrok od swojej żony. Zastanawiał się jak przyjemnie być obiektem takiego zainteresowania. Skupił na sobie całą jej uwagę. Znowu poczuł zazdrość i był zły na siebie. Dorosły mężczyzna nie powinien czuć zazdrości wobec psów i szwagierek.

- *Poskromienie złośnicy*. Olivia znieruchomiała.

- Tak. Dziękuję, Pen. Zaczynałam już czuć się niezręcznie.

- Nie wiem dlaczego - skwitowała sucho Pippa. - Nie sądzę, żeby sekutnice były niewidome, Olivio - skomentowała ironicznie.

- Och, rzeczywiście. Chciałabym zobaczyć, jak robisz to lepiej. Kto następny?

- Penny. Odgadła ostatnie.

Penelopa wstała, wyglądając spodnice. Michael patrzył, jak podchodzi do prowizorycznej sceny, wyjmując kartkę i rozkłada ją. Zastanawiała się długą chwilę, aż przyszedł jej do głowy jakiś pomysł i jej twarz się rozświetliła. Poruszył się, poczuwszy się nagle niezręcznie, pragnąc porwać ją z tego pokoju i domu, zabrać do swojego łóżka.

Runda się jednak zaczęła i musiał czekać.

Podniosła dwa palce i wyobraził sobie ich dotyk na szczęce, ustach i policzkach.

- Dwa słowa!

Wyprostowała się, zasalutowała siostronom i obeszła sztywnym krokiem scenę; jej pełne piersi napierały na materiał sukni. Pochylił się, z łokciami na kolanach, napawając się tym widokiem.

- Maszerowanie!

- Żołnierze!

Machnęła zachęcająco ręką.

- Napoleon!

Wykonała ruch, naśladujący strzelanie z muszkietu i jego uwagę przykuło miejsce, gdzie spotykało się ramię z szyją, miękkie, zacienione zagłębienie, w którym tak bardzo pragnął złożyć pocałunek... miejsce, które całowałby w innym miejscu i czasie, gdyby byli poślubieni, a on byłby innym mężczyzną.

Gdyby był mężczyzną, którego ona mogłaby kochać.

Gdyby fundament ich małżeństwa było coś innego niż zemsta.

„Nie dotykaj mnie”, zaszeptał głos w jego głowie; nienawidził tych słów. Nienawidził tego, co się za nimi kryło, tego, co o nim myślała, tego, jak wierzyła, że będzie ją traktować. Tego, jak ją potraktował.

Jak ją traktował codziennie.

- Polowanie!

- Ojciec!

- Ojciec polujący na Napoleona! - Niemądry domysł OHvii przerwał pantomimę Penelopy, która parsknęła śmiechem. Pokręciła głową, po czym wskazała na siebie.

- Ojciec polujący na ciebie!

- Skąd coś takiego miałoby się znaleźć w misie? - zapytała Pippa, spoglądając na OHwię.

- Nie wiem. Kiedyś trafiło mi się *Peruka ciotki Hester*.

- Ja to włożyłam! - roześmiała się Pippa. - Penelopa odchrząknęła. -Dobrze. Przepraszam, Pen. Czego to nie mówiłaś?

Penelopa wskazała na siebie.

- Dama?

- Kobieta? Żona. Jego żona.

- Dziewczyna?

- Córka?

- Markiza! - Markiza Needham-Dolby rzuciła ten domysł z tak niezwykłym zapalem, że Michael podejrzewał, że spadnie z kanapy.

Penelopa westchnęła i przewróciła oczami, a potem spojrzała na niego, unosząc brwi, jakby chciała powiedzieć: „Pomożesz?”

Na to wezwanie w jego piersi wezbrało uczucie niezwykle podobne do dumy - na myśl, że mogłaby się zwrócić do niego o pomoc. Stwierdził, że chce być mężczyzną, do którego ona się zwraca. Chciał jej pomóc.

Do licha, Bourne, to tylko szarady.

- Penelopa - powiedział.

Jej oczy zabłyśły. Pokazała na niego.

- Penelopa? Jesteś częścią hasła? - Olivia wydawała się sceptyczna. Penelopa zaczęła ponownie odgrywać pantomimę. - Szycie?

Uśmiechnęła się i wskazała na Oliwię, a potem pokazała, jak wyciąga szybko nić z robótki.

- Prucie?

Wskazała znowu na Oliwię, potem na siebie; znowu naśladowała szycie i prucie, zerkając na Pippę, od której wyraźnie oczekiwała poskładania wszystkich wskazówek.

Nie chciał, żeby Pippa wygrała. On chciał wygrać. Żeby zrobić na niej wrażenie.

- *Odyseja* - powiedział.

Penelopa uśmiechnęła się promiennie, rozradowana, klaszcząc w dłonie i podskakując, ciesząc się przelotnym triumfem. Potem znowu zaczęła naśladować strzelanie z muszkietu i raz jeszcze obeszła scenę. Odwróciła się, wskazując wprost na Michaela, skupiając na nim całą uwagę, a on poczuł się jak bohater, zgadując:

- *Wojna trojańska*.

- Tak! - oznajmiła Penelopa z głębokim westchnieniem. - Świetnie, Michaelu!

Nie mógł się powstrzymać, żeby nie napuszyć się z dumy.

- Prawda?

- Nie rozumiem - oświadczyła Olivia - co ma szycie i prucie wspólnego z wojną trojańską?

- Penelopa była żoną Odyseusza - wyjaśniła Philippa. - Zostawił ją, a ona siedziała przy krośnie cały dzień, tkając, a nocami pruć to, co zrobiła. Przez lata.

- Dlaczego ktoś miałby robić coś takiego? - Olivia zmarszczyła nos, wybierając ciastko z pobliskiej tacy. - Latami? Rzeczywiście.

- Czekala, aż wróci do domu - odezwała się Penelopa, napotykając spojrzenie Michaela. W jej wzroku było coś znaczącego i Michael pomyślał, że mówi może o czymś więcej niż o greckim micie. Czy czekała na niego w nocy? Powiedziała mu, żeby jej nie dotykał... odepchnęła go... ale dzisiaj, gdyby do niej poszedł, czyby go przyjęła? Czy poszłaby za przykładem swojej imienniczki?

- Mam nadzieję, że masz ciekawsze zajęcia, kiedy czekasz w domu na Michaela, Penny - zażartowała Olivia.

Penelopa uśmiechnęła się, ale w jej spojrzeniu było coś, co mu się nie spodobało, coś przypominającego smutek. Winił za to siebie. Przed nim była szczęśliwsza. Przed nim uśmiechała się, śmiała i bawiła w różne gry z siostrami, bez wspominania swojego nieszczęsnego losu.

Podniósł się, kiedy podchodziła do kanapy.

- Nigdy nie opuściłbym mojej Penelopy na lata - oznajmił. - Za bardzo bym się bał, że ktoś mi ją porwie. - Jego teściowa westchnęła głośno z drugiego końca pokoju i dziewczęta wybuchły śmiechem. Podniósł do ust dłoń żony i musnął jej kostki w pocałunku. - Poza tym Penelopa i Odyseusz nigdy nie byli moją ulubioną mityczną parą. Zawsze wolałem Persefonę i Hadesa.

Penelopa uśmiechnęła się do niego i pokój stał się nagle dużo, dużo przytulniej szy.

- Myślisz, że byli szczęśliwszą parą? - zapytała.

Spojrzał na jej lekko uśmiechniętą twarz i odparł, nieco rozbawiony:

- Sądzę, że sześć miesięcy ucztowania jest lepsze niż dwadzieścia lat głodu. - Zarumieniła się, a on użył całej siły woli, żeby jej nie pocałować, tu, w salonie, nie zważając na przyzwoitość i wrażliwość dam.

- Lordzie Bourne, twoja kolej - obwieściła Olivia. Nie odwrócił wzroku od żony.

- Obawiam się, że robi się późno. Myślę, że zabiorę już raczej żonę do domu.
Lady Needham wstała, zrzucając z kolan małego pieska, który pisnął żałośnie.

- Och, zostańcie trochę dłużej. Tak miło jest was gościć. Spojrzał na Penelopę, pragnąc porwać ją do swojego podziemnego świata, ale pozwalając jej podjąć decyzję.

- Lord Bourne ma rację - zwróciła się do matki. Poczul dreszcz. - To było długie popołudnie. Chciałabym wrócić do domu.

Z nim.

Triumfował, miał ochotę zarzucić ją sobie na ramię i wynieść z pokoju. Tej nocy ona pozwoli się dotknąć. Pozwoli, aby ją uwiódł. Był tego pewien.

Jutro pozostawało pod znakiem zapytania, ale dzisiaj w nocy... dzisiaj w nocy będzie jego.

Nawet jeśli na nią nie zasługiwał.

Drogi M.

Wiktoria i Valerie wzięły dziś ślub i obie dostały mocno przeciętnych mężów. Nie mam wątpliwości, że mój skandal bardzo ograniczył ich szanse wyboru, więc z trudem przełykam gniew i żal z powodu tej niesprawiedliwości.

To takie nieuczciwe, że niektórzy z nas żyją w szczęściu, miłości i ciepłe rodzinnym, przeżywając to wszystko, o czym nasi nauczyciele zabraniali nam nawet marzyć, bo zdarza się to nazbyt rzadko i na pewno nie w porządnym angielskim małżeństwie.

Wiem, że zazdrość to grzech i dowód pożądlivosti. Ale nie potrafię się powstrzymać i pragnę tego, co przypadło w udziale innym. Dla siebie i dla moich siostr również.

Bez podpisu

Rezydencja Dolby, Londyn, czerwiec 1825

List niewysłany.

Zakochiwała się w swoim mężu.

Uświadomiła to sobie ze zdumieniem, kiedy pomógł jej wejść do powozu, zapukał dwa razy w dach, a potem usadowił się koło niej i ruszyli w drogę powrotną do domu.

Zakochiwała się w tym Michaelu, który jeździł na łyżwach, bawił się w szarady, przekomarzał się z nią grą słów i uśmiechał do niej, jakby była jedyną kobietą na ziemi. Zakochiwała się w dobroci, którą ukrywał pod powierzchnią.

Istniała też Penelopa, mroczna i cicha, którą fascynował ten drugi Michael. Nie wiedziała, jak można kochać jego całego. To było tak wiele. Zadrżała.

- Zmarzłaś? - Już sięgał, żeby przykryć ją kocem.

- Tak - skłamała, przyciskając wełniane okrycie, usiłując pamiętać, że ten mężczyzna, ten dobry, troszczący się o jej wygodę mężczyzna to tylko jedno, ulotne oblicze jej męża.

To, które kochała.

- Wkrótce będziemy w domu. - Przysunął się bliżej, obejmując jej ramiona, opasując je ciepłą stalową obręczą. Uwielbiała jego dotyk. - Podobało ci się popołudnie?

Te słowa odczuła jak obietnicę i nie mogła powstrzymać rumieńca, choć starała się zachować dystans wobec niego i emocji, jakie w niej budził.

- Tak. Szarady z siostrami są zawsze zabawne.

- Bardzo lubię twoje siostry. - Słowa były ciche, pomruk w ciemności. - Było mi przyjemnie brać udział w grze.

- Myślę, że są szczęśliwe, mając szwagra, którego lubią - powiedziała, myśląc o swoich szwagrach. - Mężowie Wiktorii i Valerie są mniej... -zawahała się.

- Przystojni?

Uśmiechnęła się mimo woli.

- To też, ale chciałam powiedzieć...

- Czarujący?

- Też, ale...

- Niezwykłe fascynujący? Uniosła brwi.

- Jesteś niezwykle fascynujący? Udał urazę.

- Nie zauważyłaś?

Przerażające było to, że zauważyła. Nie miała jednak zamiaru mu o tym mówić.

- Nie. Widzę jednak, że jesteś nieskończenie skromniejszy niż inni. Teraz on się roześmiał.

- Muszą być rzeczywiście trudnymi ludźmi. Uśmiechnęła się.

- Znasz swoje ograniczenia.

Znowu zapadła cisza, zdziwiła się, kiedy ją przerwał:

- Podobały mi się szarady. To było tak, jakbym należał do rodziny. Słowa były tak szczerze i niespodziewane, tak uczciwe, że łyzy zakreśliły jej się w oczach.

- Jesteśmy małżeństwem - skomentowała po prostu. Szukał jej spojrzenia w ciemności.

- Czy to wystarczy? Wymiana przysięg przed proboszczem Compto-nem i już jest rodzina? - Kiedy nie odpowiedziała, dodał: - Chciałbym, żeby tak było.

Usiłowała mówić lekkim tonem:

- Jesteś mile widziany u moich sióstr. Jestem pewna, że to dla nich przyjemność mieć cię za brata... i do tego twoja przyjaźń z lordem Tottenham, i...

- urwała.

- I?

Wciągnęła powietrze.

- I to, że jesteś w stanie nie dopuścić, aby Pippa została lady Castleton. Westchnął, kładąc głowę na oparciu.

- Penelopo... to nie takie łatwe.

Znieruchomiała, po czym wysunęła się z jego objęć, natychmiast przejęta chłodem.

- Chcesz powiedzieć, że to nie służy twoim interesom.

- Nie. Nie służy.

- Dlaczego to ważne, żeby szybko wyszły za mąż? - Zawahał się. -Próbowałam zrozumieć, Michael... ale nie potrafię. Czemu to służy? Masz już dowód na nieślubne pochodzenie Tommy'ego... - Nagle zrozumiała. -A jednak nie masz, czy tak?

Nie odwrócił wzroku, ale też się nie odezwał. Starła się rozgryźć, na czym polegała umowa, jak to zostało zorganizowane, kto brał w tym udział, na czym polegała logika sytuacji.

- Nie masz dowodu, ale ma go mój ojciec. A ty mu szczerze zapłacisz zamążpójściem córek. Jego ulubioną monetą.

- Penelopo. - Pochylił się ku niej.

Przycisnęła się do drzwi powozu, najdalej jak mogła.

- Nie zaprzeczasz?

Zesztywniał.

- Nie.

- A więc tak to jest - powiedziała z goryczą. Miała wrażenie, że w małym powozie zabraknie jej powietrza. - Mój ojciec i mąż konspirują, żeby manipulować moimi siostrami i mną. Nic się nie zmienia. Na tym polega wybór, tak? Reputacja moich sióstr czy przyjaciela? Jedno czy drugie?

- Na początku był wybór - przyznał. - Ale teraz... nie dopuszczę, żeby twoje siostry ucierpiały, Penelopo.

Uniosła brew.

- Wybacz, jeśli ci nie uwierzę, mój panie, biorąc pod uwagę, jak zagrażałeś ich reputacji, odkąd się spotkaliśmy.

- Żadnych więcej grózb. Chcę, żeby były szczęśliwe. Chcę, żebyś ty była szczęśliwa.

Mógł ją uczynić szczęśliwą. Ta myśl pojawiła się w jej głowie; wcale w to nie wątpiła. W żaden sposób. To był człowiek, który potrafił uparcie dążyć do celu i jeśli postanowi uczynić ją szczęśliwą, zrobi to. Ale los im tego nie przeznaczył.

- Ale zemsta jest dla ciebie ważniejsza.

- Chcę jednego i drugiego. Chcę wszystkiego.

Odwróciła głowę, mówiąc do ulicy za oknem, nagle zirytowana:

- Och, Michael, kto ci powiedział, że możesz mieć wszystko?

Jechali w milczeniu, jak się wydawało, przez wieki, aż powóz się zatrzymał i Michael wysiadł. Odwrócił się, żeby pomóc jej wyjść. Kiedy tak stał w mroku przy powozie, z wyciągniętą ręką, przypomniała sobie tę noc w Falconwell, kiedy zaofiarował jej swoją rękę, nazwisko i przygodę, a ona to przyjęła, sądząc, że wciąż jest tym chłopcem, którego znała.

Nie był. Nie przypominał tamtego chłopca... teraz był mężczyzną o dwóch obliczach - dobrego opiekuna i złego mściciela. Był jej mężem. A ona, Boże dopomóż, kochała go.

Wszystkie te lata czekała na tę chwilę, na to wyznanie, pewna, że w miłosnej euforii zmieni się jej życie, kwiaty zakwitną i ptaki zaśpiewają ze szczęścia.

Ale w tej miłości nie było euforii. Był ból.

To nie wystarczało.

Wysunęła się z powozu bez pomocy męża, unikała jego silnej dłoni w rękawiczce, kiedy ruszyła po schodach do opustoszałego holu. Szedł za nią, ale nie zawahała się i zaczęła wchodzić na górę.

- Penelopo! - zawołał z dołu, a ona zamknęła oczy pod wpływem bólu, jaki sprawił jej dźwięk jej imienia w jego ustach.

Nie zatrzymała się.

Szedł za nią powoli, niezmordowanie, w górę po schodach i długim, ciemnym korytarzem do jej sypialni. Zostawiła drzwi otwarte, wiedząc, że i tak wejdzie, nawet jeśli ona się zamknie od środka. Zamknął drzwi za sobą, podczas gdy ona podeszła do toaletki, zdjęła rękawiczki i ułożyła je starannie na krześle.

- Penelopo - powtórzył ze stanowczością, która domagała się posłuszeństwa. Cóż, była już poza tym.

- Spójrz na mnie, proszę.

Nie poruszyła się. Nie odpowiedziała.

- Penelopo... - zaczął, a ona kątem oka zobaczyła, jak przesuwa palcami we włosach, zostawiając w nich cudownie rozczochrane pasmo. -Przez dziesięć lat prowadziłem takie życie. Zemsta. Odszkodowanie. Tym się karmiłem, to mi dawało siłę.

Nie odwróciła się. Nie mogła. Nie chciała, żeby widział, jak ją poruszył. Jak bardzo chciała wykrzyczeć, że w życiu jest coś więcej... w nim jest coś więcej... niż zło i zemsta.

Nie usłyszałby jej.

- Mylisz się - powiedziała, podchodząc do umywalki pod oknem. -To cię zatręło.

- Być może.

Nalała chłodnej, przejrzystej wody do miski i zanurzyła dłonie, patrząc, jak bledną i drżą na tle porcelany, jak woda je zniekształca. Kiedy się odezwała, to właśnie do tych obcych palców.

- Wiesz, że to nie będzie tak? - zapytała. Nie odpowiedział, więc mówiła dalej: - Wiesz, że kiedy osiągniesz najważniejszy cel i zemścisz się, pojawi się coś innego. Falconwell, Langford, Tommy... a potem co? Co dalej?

- Potem będzie życie. W końcu - odparł zwyczajnie. - Życie bez cienia tego człowieka i przeszłości, jaką mi zgotował. Życie bez zemsty. - Przerwał. - Życie z tobą.

Był blisko, mówiąc to, bliżej niż się spodziewała; wyjęła ręce z wody i odwróciła się, mimo że słowa były jak ukłucie żądła... mimo że sprawiły ból. To były słowa, które rozpaczliwie chciała usłyszeć... od początku ich małżeństwa... a może nawet jeszcze wcześniej. Może odkąd zaczęła

pisać do niego listy, wiedząc, że nigdy ich nie otrzyma. Chociaż jednak tak bardzo czekała na te słowa, stwierdziła, że nie jest w stanie mu wierzyć.

A liczyła się wiara - nie prawda. Nauczył ją tego.

Stał bliżej niż na długość ramienia, poważny i surowy, o ciemnych oczach, które w mroku wydawały się czarne, i nie mogła przestać mówić, choć wiedziała, że on nie zrozumie prawdy.

- Nie masz racji. Nie zmienisz się. Pozostaniesz w ciemności, ze swoją zemstą. - Przerwała, teraz miały paść najważniejsze słowa, które miał usłyszeć. Które miała powiedzieć. - Będiesz nieszczęśliwy, Michael. A ja będę nieszczęśliwa razem z tobą.

Zacisnął szczęki.

- Znasz się na tym? Ty z twoim uroczym życiem, w cichym Surrey, bez cienia zagrożenia, bez najdrobniejszej plamki na twoim doskonałym' szacownym nazwisku. Nie wiesz nic o gniewie, rozczarowaniu czy rozpacz. Nie wiesz, co to znaczy, kiedy ktoś niszczy ci życie, a ty nie chcesz niczego poza karą dla człowieka, który to zrobił. - Ciche słowa zabrzmiały jak wystrzał armatni w pokoju, odbijając się echem wokół Penelopy, aż nie mogła dłużej milczeć.

- Ty... egoisto. - Zrobiła krok w jego stronę. - Myślisz, że nie rozumiem, czym jest rozczarowanie? Myślisz, że nie byłam rozczarowana, patrząc, jak wszystkie przyjaciółki, siostry wychodzą za mąż? Myślisz, że nie byłam w rozpacz, kiedy pewnego dnia odkryłam, że mężczyzna, który miał mnie poślubić, kocha inną? Sądzisz, że nie czułam gniewu, budząc się co dzień w domu ojca i wiedząc, że mogę nigdy nie znaleźć zadowolenia... i że nigdy nie znajdę miłości? Myślisz, że łatwo jest być taką kobietą jak ja, przerzucaną od jednego mężczyzny do drugiego, który mnie kontroluje: ojca, narzeczonego, teraz męża?

Szła w jego stronę, powodując, że cofał się ku drzwiom, zbyt rozzłoszczona, żeby cieszyć się z faktu, że zmusiła go do odwrotu.

- Czy muszę ci przypominać, że nigdy, ale to nigdy nie pozwolono mi decydować o własnym życiu? Że wszystko, co robię, wszystko, czym jestem, tylko służy innym?

- To twoja wina, Penelopo. Nie nasza. Mogłaś odmówić. Nikt nie zagrażał twojemu życiu.

- Oczywiście, że tak! - wybuchła. - Zagrażano mojemu bezpieczeństwu, spokojowi, przyszłości. Jeśli nie Leighton albo Tommy, albo ty, to kto? Co by się stało, gdyby mój ojciec umarł, a ja zostałabym z niczym?

Podszedł do niej i ujął ją za ramiona.

- Tyle że nie chodziło o własne dobro, prawda? To wynikało z poczucia winy i odpowiedzialności oraz pragnienia, żeby dać siostrze takie życie, jakiego ty nie mogłaś mieć.

Zmrużyła oczy.

- Nie będę przeproszać za to, co zrobiłam dla ich dobra. Nie wszyscy jesteśmy tacy, jak ty, Michaelu, zepsuci, samolubni i...

- Nie przerywaj, kochanie - poprosił przeciągle, puszczając ją i krzyżując ramiona na szerokiej piersi. - Właśnie miałaś powiedzieć to, co najlepsze. - Kiedy milczała, uniósł brew. - Tchórz. Chcesz czy nie, sama dokonałaś wyborów, Sześciopensówko. Nikt inny.

Nienawidziła go za to, że użył jej przezwiska podczas kłótni.

- Mylisz się. Myślisz, że wybrałabym Leightona? Myślisz, że wybrałabym Tommy'ego? Że wybrałabym...

Przerwała... chcąc rozpaczliwie dokończyć zdanie, powiedzieć: „Ciebie”. Chcąc go zranić. Ukarać za to, że przez niego wszystko stawało się

o tyle trudniejsze. Za to, że sprawiał, że nie mogła po prostu go kochać.

Odgadł to słowo, tak czy inaczej.

- Powiedz to. Pokręciła głową.

- Nie.

- Dlaczego nie? To prawda. Gdybym był ostatnim mężczyzną w Brytanii, to nigdy byś mnie nie wybrała. Jestem czarnym charakterem w tej sztuce, tym, który wyrwał cię z wiejskiej sielanki, opanowany gniewem

1 żądzą zemsty, o wiele za twardy, zimny i niezasługujący na ciebie. Na twoje uczucia. Twoje towarzystwo.

- Ty to powiedziałaś. Nie ja. - Tyle że to nie była prawda. Ponieważ ze wszystkiego w życiu, ze wszystkich partii, które niemal zawarła, on był jedynym, którego naprawdę pragnęła.

Odsunął się o krok, przeczesał ręką włosy i zaśmiał się krótko.

- Nauczyłaś się walczyć, czyż nie? Już nie jesteś biedną Penelopą. Wyprostowała się, wciągając głęboko powietrze, przyrzekając sobie, że wyrzuci go - i to że go kocha - z pamięci.

- Nie - zgodziła się w końcu. - Już nie jestem biedną Penelopą. Coś się w nim zmieniło i po raz pierwszy od czasu ich ślubu nie kwestionowała uczuć w jego spojrzeniu. Rezygnacja.

- A więc to koniec, tak?

Skinęła głową, każdym włóknem swego ciała sprzeciwiając się tym słowom, chcąc wyrzyczyć ich niesprawiedliwość.

- Koniec. Jeśli nalegasz na zemstę, musisz jej dokonać beze mnie u boku.

Wiedziała, że nigdy nie przyjmie ultimatum, ale i tak jego odpowiedź odczuła jako cios:

- Niech tak będzie.

17

Drogi M.

Byłam dziś w teatrze i słyszałam Twoje nazwisko. Jakieś damy rozmawiały o nowym szatańskim przybytku hazardu i jego skandalizujących właścicielach. Usłyszawszy wzmiankę o Tobie, nie mogłam się powstrzymać i zaczęłam podsłuchiwać. Jakie to dziwne, kiedy nazywają cię Bourne-ja wciąż kojarzę to nazwisko z Twoim ojcem, ale Ty przecież używasz go już od dziesięciu lat.

Od dekady. Minęło dziesięć lat od chwili, kiedy Cię widziałam i z tobą rozmawiałam. Od chwili, gdy wszystko się zmieniło. Dziesięć lat, a mnie wciąż ciebie brakuje.

Bez podpisu

Rezydencja Dolby, Londyn, maj 1826

List niewysłany.

Pięć dni później Michael wdrapywał się po schodach rezydencji Dolby, odpowiadając na wezwanie teścia, które dotarło do Piekielnego Domu tego ranka, kiedy stojąc w gabinecie, próbował stłamsić chęć, by przejść przez dom jak burza, znaleźć swoją żonę i udowodnić raz na zawsze, że są poślubieni i ona należy do niego.

Do tego doszło... Wstydliva prawda polegała na tym, że większość czasu w domu spędzał na nasłuchiowaniu odgłosu jej kroków za drzwiami, czekając, żeby do niego przysła, powiedziała, że zmieniła zdanie, błagała, żeby jej dotknął.

Tak, jak on pragnął poczuć jej dotyk na sobie.

Spędził w domu pięć wieczorów, unikając Penelopy, nawet kiedy stał po drugiej stronie tych przeklętych drzwi dzielących ich sypialnie, słuchając, jak służba napełnia jej wannę wodą i gawędzi z nią, a potem, kiedy wśliznęła się do wanny, słuchając plusku wody przy każdym poruszeniu. Przepelniało go pożądanie.

Pragnienie, żeby stać się kimś w jej oczach.

To była tortura. Wymierzał sobie karę, nie wchodząc do tamtego pokoju, choć bardzo chciał wyciągnąć ją z wody i położyć, nagą i piękną, na łóżku i posiąść. Kiedy odwracał się od drzwi, które kusily go tyloma sekretami, czuł żal.

Stawała się wszystkim, czego pragnął, a zawsze była czymś więcej, niż zasługiwał.

Poprzednia noc okazała się najgorsza - śmiała się z czegoś z pokojówką, a on stał z jedną ręką na klamce, słuchając jej śmiechu jak wołania syreny. Przycisnął czoło do drzwi jak głupiec i nasłuchiwał długie minuty, mając nadzieję, że coś się zmieni.

Kiedy odwrócił się wreszcie, obolały z pożądania - w drugim końcu pokoju, przy drzwiach, stała Worth.

Zmieszał się i rozzłościł.

- To już się nie puka? Kobieta uniosła jasną brew.

- Uznałam, że to niepotrzebne, ponieważ rzadko bywa pan w domu o tej porze.

- Dzisiaj jestem w domu.

- Jest pan durniem.

Gospodyni nigdy nie należała do tych, którzy przebijają w słowach.

- Powinienem cię zwolnić za bezczelność.

- Ale pan nie zwolni. Ponieważ mam rację. Co złego się z panem dzieje? Jest jasne, że zależy panu na damie, tak samo jak jej zależy na panu.

- Nic w tym jasnego.

- Ma pan rację - przyznała gospodyni, kładąc stos ręczników koło umywalki.

- To absolutnie niezrozumiałe, dlaczego oboje spędzacie tyle czasu po obu stronach drzwi, słuchając jedno drugiego.

Michael ściągnął brwi.

- Czy ona...

Worth wzruszyła ramieniem.

- Przypuszczam, że nigdy się pan nie dowie. - Zamilkła na chwilę. -Do diabła, Bourne. Przez taki szmat życia chronił pan innych. Kto ochroni pana przed samym sobą?

Michael się odwrócił.

- Zostaw mnie.

Tej nocy słuchał w napięciu, czekając, żeby Penelopa wyszła z wanny i zbliżyła się do drzwi. Poprzysiągł sobie, że przy najmniejszym znaku, że jest po drugiej stronie, wejdzie do niej i z tym skończy. Zamiast tego światło pod drzwiami zgasło, usłyszał szelest pościeli, kiedy położyła się do łóżka.

Wtedy on zrobił w tył zwrot i ruszył do Upadłego Anioła, gdzie spędził noc na dole, obserwując, jak stawiano i tracono dziesiątki tysięcy funtów, przypominając mu o sile pragnień i o słabości. Przypominając mu, co zdobył!

I co stracił.

A teraz wciąż w płaszczu i kapeluszu Bourne szedł za lokajem przez labirynt rezydencji Dolby - jednej z kilku posiadłości Needhama na terenie Londynu - na rozległy taras, prowadzący na zasłane śniegiem ziemie majątku. Od domu prowadziły ślady stóp, otoczone licznymi odciskami psich łap.

W ciszy rozległ się wystrzał z broni palnej i Michael, jak od niego oczekiwano, ruszył za dźwiękiem. Szedł wydeptanym szlakiem w stronę teścia; świeży śnieg tłumił jego kroki.

Powiał ostry wiatr i Michael odwrócił twarz, krzywiąc się z zimna. Za niskim wzgórzem rozległ się kolejny wystrzał myśliwskiej strzelby i Bourne odczuł niepokój. Nie miał ochoty zostać zastrzelony przez markiza Needham-Dolby, a tym bardziej przypadkiem.

Rozważając możliwości, stanął, otoczył usta dłońmi i zawołał:

- Needham!

- Hurra! - Okrzyk dobiegał zza grzbietu wzgórza, towarzyszyło mu szczekanie i wycie psów

Bourne uznał to za znak, żeby się zbliżyć.

Przystanął na szczycie wzgórza, patrząc na ziemie posiadłości ciągnące się do Tamizy. Odetchnął głęboko, ciesząc się chłodnym powietrzem w płucach i skierował wzrok na Needhama, który osłaniał oczy przed porannym słońcem.

W połowie stoku Needham zawołał:

- Nie byłem pewien, czy przyjdiesz!

- Uznałem, że wypada odpowiedzieć na wezwanie teścia.

Needham się roześmiał.

- Zwłaszcza kiedy tenże ma w swoim posiadaniu jedyną rzecz, na której ci zależy.

Michael przyjął silny uścisk dłoni starego markiza.

- Jest wściekle zimno, Needham. Co my tu robimy?

Markiz nie zwrócił na to uwagi, odwracając się z głośnym: „Ha!” i posyłając psy w krzaki dwadzieścia jardów dalej. Pojedynczy bażant wyfrunął w górę. Needham podniósł strzelbę i wypalił.

- Do diabła! Pudło!

A to niezwykle, rzeczywiście.

Obaj mężczyźni ruszyli w stronę krzewów, Bourne czekał, żeby starszy odezwał się pierwszy:

- Dobrze się sprawiłeś, trzymając moje dziewczęta z dala od swoich brudów.

- Michael nie odpowiedział i Needham mówił dalej: - Castleton oświadczył się Pippie.

- Słyszałem. Przyznaję, iż jestem zaskoczony, że się zgodziłeś. Needham skrzywił się, kiedy wiatr zaświstał obok. Pies zaszczekał

w pobliżu i Needham się odwrócił.

- Chodź, Brutus! Jeszcze nie skończyliśmy! - Ruszył dalej. - Ten pies nic nie potrafi upolować. - Bourne ugryzł się w język, unikając oczywistej odpowiedzi. - Castleton to prostak, ale jest hrabią i to uczyni jego żonę szczęśliwą. - Psy wypłoszyły kolejnego bażanta, Needham strzelił i spudłował. - Pippa jest za mądra dla własnego dobra.

- Pippa jest za mądra na życie z Castletonem. - Wiedział, że nie powinien tego mówić. Wiedział, że nie powinno go interesować, za kogo dziewczyna wyjdzie za mąż, o ile jej zamążpójście da mu do ręki narzędzie zemsty.

Nie mógł jednak przestać myśleć o Penelopie i o tym, jak przygnębiła ją myśl o związku Pippy z Castletonem. Nie chciał jej widzieć przygnębioną. Chciał, żeby była szczęśliwa.

Stawał się miękki.

Needham zdawał się niczego nie zauważyć.

- Dziewczyna go przyjęła. Nie mogę tego odwołać. Nie bez uzasadnionego powodu.

- A to, że Castleton to barania głowa?

- Nie dość dobry powód.

- A jeśli znajdę inny powód? Lepszy? - Z pewnością jest coś w aktach Upadłego Anioła, co skompromituje Castletona i zapobiegnie małżeństwu.

Needham łypnął na niego z ukosa.

- Zapominasz, że jestem w pełni świadomy kary za zerwane zaręczyny. Nawet te uzasadnione przynoszą szkodę dziewczynie. I jej siostrom.

Jak Penelopie.

- Daj mi parę dni. Znajdę coś, żeby to zakończyć. - Nagle stało się niezmiernie ważne, żeby Bourne pomógł Pippie uratować się od tego mariażu. Nieważne, że czuł już smak zemsty, bliskiej i słodkiej.

Needham pokręcił głową.

- Muszę brać, co się nadarza, albo będę miał na głowie drugą Penelo-pę. Nie mogę sobie na to pozwolić.

Bourne zazgrzytał zębami.

- Penelopa jest markizą.

- Nie byłaby nią, gdyby ci nie zależało na Falconwell, nieprawdaż? Jak myślisz, dlaczego w ogóle przypisałem jej Falconwell? To była moja ostatnia szansa.

- Ostatnia szansa na co?

- Nie mam syna, Bourne. - Popatrzył na rezydencję Dolby. - Kiedy umrę, ten dom i majątek na wsi przejdą w ręce jakiegoś głupkowatego kuzyna, którego one nic nie obchodzą; tak samo jak ziemia, na której się znajdują. Penelopa to dobra dziewczyna. Robi to, co jej się każe. Dałem jej jasno do zrozumienia, że musi wyjść za mąż, żeby jej siostry zachowały swoją wartość. Nie mogła zdecydować, że zostanie starą panną i dokona żywota, marniejąc w Surrey. Znała swoje powinności. Wiedziała, że Falconwell przejdzie na jej dzieci, a wraz z nim jakaś część historii majątku Needham.

W wyobraźni je zobaczył. To była fantazja. Jej dzieci. Ich dzieci.

Ta myśl go pochłonęła, podobnie jak pragnienie, które pojawiło się razem z nią. Nigdy nie zastanawiał się nad dziećmi. Nigdy sobie nie wyobrażał, że mógłby ich chcieć. Nigdy nie sądził, że mógłby być ojcem, na którego zasługiwały.

- Chciałeś coś ze swojej przeszłości przekazać przyszłości. Markiz skierował się w stronę domu.

- Założę się, że mnie rozumiesz.

Jakie dziwne, że nigdy nie myślał o tym w ten sposób. Aż do teraz. Tak bardzo skupił się na odzyskaniu Falconwell, że nie myślał, co się później z nim stanie. O tym, co przyjdzie potem. Kto przyjdzie potem.

W jego umyśle, po odzyskaniu Falconwell nie było już nic. Poza zemstą.

Tyle że teraz było coś jeszcze poza imponującą rezydencją i jej przeszłością.

Coś, co zemsta mogła bezpowrotnie zniszczyć. Odsunął tę myśl.

- Muszę wyznać, że kiedy Langford postawił Falconwell w grze, wiedziałem, że się o nie upomnisz. Byłem szczęśliwy z wygranej, wiedząc, że to cię skłoni do powrotu.

Michael słyszał zadowolenie w jego głosie.

- Dlaczego?

Needham uniósł lekko jedno ramię.

- Zawsze wiedziałem, że ona poślubi ciebie albo Tommy'ego Allesa, a mówiąc między nami, zawsze miałem nadzieję, że to będziesz ty, nie z oczywistego powodu: jego pochodzenia, chociaż to trochę też. Po prostu zawsze cię lubiłem, chłopcze. Zawsze myślałem, że wrócisz ze szkół gotowy, żeby wziąć tytuł, ziemię i dziewczynę. Kiedy Langford odebrał ci majątek, a ja musiałem polować na Leightona, nie byłem zachwycony z tego powodu, o nie.

Michaela rozbawiłoby samolubstwo Needhama, gdyby nie zaszokowała go myśl, że Needham zawsze chciał go na męża Penelopy.

- Dlaczego mnie?

Needham popatrzył na Tamizę, zastanawiając się nad pytaniem. W końcu powiedział:

- Ty byłeś tym, który najbardziej troszczył się o ziemię.

Tak było. Troszczył się o ziemię i ludzi, którzy na niej mieszkali. Tak bardzo, że kiedy wszystko stracił, nie miał odwagi wrócić i spojrzeć im w oczy. Spojrzeć jej w oczy.

Teraz było za późno, żeby naprawić tamte błędy.

- Właśnie z tego powodu - ciągnął Needham. - A poza tym ciebie lubiła najbardziej.

Poczuł podniecenie, w tych słowa brzmiała prawda. Najbardziej go lubiła. Póki nie wyjechał. Została sama. Przestała mu ufać. Miała, naturalnie, prawo. Przedstawił jasno swoje cele, a zapewniając sobie to, czego chciał najbardziej, miał ją stracić.

Zamierzał ją poświęcić od początku. Wówczas to nie było aż takie poświęcenie - teraz wydawało się zbyt wielkie.

Można się było, oczywiście, tego spodziewać - zniszczył wszystko, co miał wartościowego.

- Teraz to bez znaczenia - mówił dalej Needham, nieświadomy zamętu w głowie Michaela. - Dobrze się sprawiłeś. Dzisiejsza gazeta wychwala twoje małżeństwo pod niebiosa... przyznaję, zaskakuje mnie, ile wysiłku wkładasz, żeby ta historia się kręciła: jedzenie kasztanów, walc na lodzie, popołudnie z dziewczętami i takie tam dyrdymały. Ale dobrze się sprawiłeś... i West wydaje się w to wierzyć. Gazety przysięgają, że ożeniłeś się z miłości. Castleton nie oświadczyłby się, gdyby nasze nazwisko zostało splamione skandalem.

To ty powinieś się sprzeciwić, nie Castleton.

Michael otwierał usta, żeby to powiedzieć, kiedy odezwał się Needham:

- W każdym razie, nabrałeś ich. Zemsta jest twoja, tak jak uzgodniliśmy.

„Zemsta jest twoja”. Słowa, na które czekał dziesięć lat.

- Mam ten list w domu, czeka na ciebie.

- Nie chcesz poczekać, aż Olivia także się zareczy? - Pytanie padło, zanim zdołał się powstrzymać... zanim zdążył pomyśleć, że przyzna przed teściem, że sam ze swej strony nie dopełnił jeszcze oficjalnie umowy.

Needham podniósł strzelbę, wycelował w niski żywopłot nad brzegiem rzeki.

- Tottenham zaprosił ją dzisiaj na przejażdżkę. Chłopak zostanie pewnego dnia premierem; przyszłość Olivii wydaje się wspaniała. - Wystrzelił, po czym spojrzał na Michaela. - A poza tym dobrze zachowałeś się wobec dziewcząt. Dotrzymuję słowa.

Ale przecież nie postąpił wobec nich dobrze? Philippa miała poślubić głupca, a Penelopa - Penelopa głupca poślubiła. Wsadził ręce do kieszeni, kuląc się przed wiatrem i spojrzał w stronę rezydencji.

- Dlaczego miałbyś mi go dać?

- Mam pięć córek i chociaż doprowadzają mnie do pijaństwa, gdyby coś mi się stało, chciałbym mieć pewność, że ich opiekun, człowiek, którego wyznaczyłem, zatroszczy się o nie tak, jak ja. - Needham ruszył w stronę domu, idąc po własnych śladach. - Langford zlekceważył tę zasadę. Zasłużył na wszystko, co go z twojej strony spotka.

Michael powinien odczuć triumf. Przyjemność. Ostatecznie, otrzymał właśnie coś, czego pragnął najbardziej na świecie.

Zamiast tego, czuł pustkę. Pustkę, poza jedną upartą myślą.

Ona go za to znienawidzi.

Ale nie tak, jak on znienawidzi sam siebie.

Bilard dziś wieczorem.

Powóz zabierze Cię o wpół do jedenastej.

Eloa

Mały kwadracik w kolorze ecru ze stemplem w postaci delikatnego, kobiecego anioła zjawił się zaraz po lunchu w piątek po południu; Worth dostarczyła go ze znaczącym uśmiechem. Penelopa otworzyła list drżącymi dłońmi i przeczytała tajemniczą wiadomość.

Obietnicę przygody.

Podniosła głowę, zarumieniwszy się gwałtownie.

- Gdzie jest mój mąż? - zwróciła się do gospodyni.

- Jest cały dzień poza domem, pani. Penelopa podniosła papier.

- A to?

- Przyniesiono pięć minut temu.

Skinęła głową, rozważając zaproszenie i to, co się za nim kryło. Nie widziała Michaela od dnia, kiedy jeździli na łyżwach, pokłócili się i ona uświadomiła sobie, że go kocha. Wyszedł tamtej nocy z jej sypialni i nigdy nie wrócił - chociaż czekała, nie mając jednak nadziei, że porzuci zemstę i zamiast tego wybierze życie z nią.

Czy to możliwe, żeby zaproszenie pochodziło od niego?

Ta myśl zaparła jej dech w piersi. Może tak. Może wybrał ją. Może proponował jej przygodę, a im obojgu szansę na nowe życie.

A może nie.

Tak czy inaczej, list stanowił pokusę, której nie mogła się oprzeć - pragnęła przygody, gry, nocy w Upadłym Aniele. Nie chciała się oszukiwać, pragnęła także szansy na spotkanie ze swoim mężem. Mężem, za którym boleśnie tęskniła, choć wiedziała, że to nie ma sensu.

Mogła sobie przysięgać, że będzie go unikać, trzymać z daleka od pokusy, jaką stwarzał, że będzie się bronić przed uczuciami, jakie w niej budził, ale nie potrafiła mu się oprzeć.

Mogła tylko czekać niecierpliwie, aż zapadnie noc, a potem na umówioną godzinę. Ubrała się starannie, zła, że tak bardzo jej zależy na tym, co o niej pomyśli, jak będzie wyglądać w jego oczach. Wybrała jedwab w głębokim łososiowym odcieniu, zupełnie nieodpowiednim na wczesny luty, ale takim, który, jak zawsze sądziła, pasował do jej bladej cery i czynił ją mniej pospolitą, a bardziej... bardziej...

Powóz podjechał pod wejście dla służby Piekielnego Domu. To pani Worth przysłała po nią; wyraz jej oczu - chyba coś wiedziała - sprawił, że Penelopa zdrząła z podniecenia.

- Będzie pani tego potrzebować - powiedziała gospodyni, wciskając w rękę Penelopy proste, czarne jedwabne domino ozdobione szkarłatnymi wstążkami.

- Po co?

- Będzie się pani lepiej bawić, nie musząc się obawiać, że ktoś panią rozpozna.

Serce Penelopy zabiło gwałtownie, kiedy pogłaskała maskę, zachwycona dotykiem jedwabiu, obietnicą czegoś niezwykłego.

- Maską - szepnęła bardziej do siebie niż do gospodyni. - Dziękuję. Kobieta uśmiechnęła się wyrozumiale.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Przerwała, patrząc, jak Penelopa podnosi maskę do oczu, wiąże z tyłu i poprawia na czole. - Czy wolno mi powiedzieć, jaka jestem szczęśliwa, że on ma panią?

To było śmiało; gospodynie zwykle nie pozwalały sobie na takie uwagi, ale Worth nie była zwykłą gospodynią, więc Penelopa odparła z uśmiechem:

- Nie jestem pewna, czyby się z panią zgodził. Coś się zapaliło w oczach tamtej.

- Myślę, że to tylko kwestia czasu, zanim się to zmieni. - Po tych tajemniczych słowach Worth skinęła głową z aprobatą, a Penelopa wyszła na zewnątrz i wsiadła do powozu z sercem w gardle, zanim zdążyła się odwrócić.

Zanim zdążyła się zatrzymać.

Powóz nie podjechał pod główne wejście Upadłego Anioła, ale przed stajnie biegnące wzdłuż budynku. Wsiadła niemal w ciemności, ściskając rękę woźnicy, który jej pomógł, a także doprowadził ukrytym w stajniach przejściem do pociemniałych stalowych drzwi. Ogarnął ją niepokój.

Jeszcze raz znalazła się przed klubem Michaela, w swojej, jak uważała, najpiękniejszej sukience, tym razem na zaproszenie - na partię bilardu.

To było niezwykle podniecające.

Woźnica zapukał, a potem odsunął się, kiedy ktoś otworzył w drzwiach małą klapkę i pojawiła się w nich para oczu, czarnych jak węgiel. Zza drzwi nie dobiegał żaden dźwięk.

- Dostałam... dostałam zaproszenie. Na bilard - powiedziała, sprawdzając jedną ręką, czy maska dobrze się trzyma, nienawidząc samej siebie za ten ruch i za ściskanie w gardle, za to, że nie potrafi trzymać nerwów na wodzy.

Nastąpiła przerwa i klapka się zasunęła, zostawiając ją stojącą w ciemności, w środku nocy. U wrót do jaskini hazardu.

Przełknęła ślinę. Cóż, nie poszło dokładnie tak, jak się spodziewała. Zapukała jeszcze raz. W drzwiach ponownie pojawił się wąski otwór.

- Mój mąż jest... Klapka opadła.

- ...pańskim pracodawcą - zwróciła się do drzwi, jakby mogły otworzyć się same, jeśli usłyszą stosowne wyjaśnienie.

Niestety, pozostały zamknięte na głucho.

Penelopa owinęła się ciasniej peleryną i zerknęła przez ramię na woźnicę, który właśnie gramolił się na miejsce. Szczęśliwie zauważył kłopotliwą sytuację i pospieszył z radą:

- Zwykle jest jakieś hasło, jaśnie pani. Oczywiście. Dziwne ostatnie słowo w zaproszeniu.

Jak w gotyckiej powieści. Odchrząknęła, gotowa znowu stawić czoło drzwiom. Zapukała.

Klapka odsunęła się ze szczękiem. Penelopa uśmiechnęła się do oczu za drzwiami.

Oczy nie dały po sobie poznać, że już ją widziały.

- Mam hasło! - oznajmiła triumfalnie. Na oczach to nie wywarło wrażenia.

- Eloa! - powiedziała scenicznym szeptem, nie wiedząc, jak to się zwykle odbywa.

Szczelina w drzwiach znikła. Czy to jej się śni?

Czekała, odwróciwszy się do powozu i zerkając z niepokojem na woźnicę. Wzruszył ramionami.

Już miała się poddać, kiedy usłyszała szcęknięcie zamka i zgrzyt metalu pocierającego metal... masywne drzwi się otworzyły. Nie posiadała się z podniecenia.

Mężczyzna wewnątrz był ogromny, o ciemnej skórze, ciemnych oczach i niewzruszonym obliczu, które wzbudziłoby w Penelopie niepokój, gdyby nie szalone podniecenie, jakie czuła. Miał na sobie bryczesy i ciemną koszulę, której koloru nie mogła odgadnąć w słabym świetle, bez kamizelki czy kubraka. Uznałaby jego strój za nieodpowiedni, ale przypomniała sobie szybko, że nigdy nie wchodziła do kasyna tajemniczymi, wymagającymi podania hasła drzwiami i wobec tego nie mogła wiedzieć, jak powinien, w takich okolicznościach, wyglądać odzwierny.

Pomachała listem, który dostała wcześniej tego dnia.

- Chce pan zobaczyć zaproszenie?

- Nie. - Odsunął się na bok, żeby ją przepuścić.

- Och - westchnęła, lekko rozczarowana. Przeszła do małego holu, drzwi zamknęły się za nią ze złowieszczym łoskotem. Strażnik nie spojrział na nią; usiadł na stołku przy drzwiach, sięgnął po książkę z pobliskiej półki i zaczął czytać w świetle świecy na ścianie.

Penelopa na ten widok zamrugła. Najwyraźniej był to człowiek wykształcony.

Stała w milczeniu długą chwilę, niepewna, co robić dalej. Wydawał się jej nie zauważać. Odchrząknęła. Przewrócił stronę.

- Przepraszam? - odezwała się w końcu. Nie podniósł głowy.

- Tak?

- Jestem lady...

- Bez nazwisk. Otworzyła szeroko oczy.

- Słucham?

- Żadnych nazwisk po tej stronie. - Przewrócił kolejną kartkę.

- Ja... - przerwała, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. - Po tej stronie? -
Dobrze, ale ja...

- Bez nazwisk.

Pozostali tak jeszcze chwilę, aż nie była w stanie dłużej tego wytrzymać.

- Może zechce mi pan wyjaśnić, czy mam tu stać całą noc? Jeśli tak, przyniosłabym własną książkę.

Spojrzał na nią i odczuła przyjemność, widząc, jak jego oczy otworzyły się nieco szerzej, jakby go zaskoczyła. Wskazał na koniec holu, gdzie w mroku majaczyły drugie drzwi. Wcześniej nie zwróciła na nie uwagi.

Poruszyła się.

- Bilard jest tam?

Przyglądał jej się uważnie, jakby badał owada pod szkłem.

- Między innymi. Uśmiechnęła się.

- Doskonale. Zapytałabym o pańskie nazwisko, żeby należycie panu podziękować, ale...

Wrócił do lektury.

- Bez nazwisk.

- W istocie.

Otworzyła drzwi, wpuszczając jasną smugę światła z korytarza. Obejrzała się na dziwnego odzwiernego, zafascynowana grą złotego światła na jego ciemnej skórze.

- Cóż, dziękuję, tak czy inaczej - powiedziała.

Nie odpowiedział; wstąpiła w jasno oświetlony korytarz, mocno zamykając drzwi za sobą. Sama w nowym miejscu. Szeroki i długi korytarz rozciągał się w obie strony, umieszczone na ścianach co parę stóp świece sprawiały, że połączane ozdoby lśniły, czyniąc pomieszczenie ciepłym i jasnym. Ściany obito szkarłatnym jedwabiem i aksamitem w kolorze wina i Penelopa, chcąc nie chcąc, dotknęła go, odczuwając z przyjemnością, jak miękki materiał ustępuje pod jej palcami.

Z jednego końca korytarza dobiegł wybuch kobiecego śmiechu. Ruszyła instynktownie w tamtą stronę, nie wiedząc, co tam znajdzie, ale czując się dziwnie przygotowana na to, cokolwiek to będzie. Szła korytarzem, sunąc palcami po ścianie, mijając jedne zamknięte drzwi za drugimi. Stała przed otwartymi drzwiami pokoju, w którym nie było nic poza długim stołem, i weszła do środka, nie przyglądając się uważnie.

W kilkunastocalowym zagłębieniu w blacie umieszczono pole z zielonego sukna, wyhaftowane wzdłuż i wszerz białą nicią w rozmaite cyfry i znaki. Penelopa pochyliła się, żeby przyjrzeć się skomplikowanemu, niezwykłemu wzorowi - tajemniczej kombinacji liczb, ułamków i słów.

Przesunęła palcem w rękawiczce wzdłuż słowa „Szansa”, poddając się podnieceniu, kiedy dotknęła zawijasów S i zygzaku Z.

- Odkrywa pani hazard.

Sapnęła zaskoczona i odwróciła się w stronę głosu, przykładając dłoń do gardła. W progu stał pan Cross, z lekkim uśmiechem na podłużnej twarzy. Zesztywniała, wiedząc, że została zauważona.

- Przepraszam, nie wiedziałam, dokąd... Nikogo nie było w... - głos jej zamarł; uznała, że lepiej milczeć niż zachowywać się niemądrze.

Roześmiał się i podszedł do niej.

- Przeprosiny nie są potrzebne. Jest pani teraz członkinią i może poruszać się swobodnie.

Przechyliła głowę.

- Członkinią? Uśmiechnął się.

- To klub, pani. Członkostwo jest konieczne.

- Przyszłam tylko na bilard. Z Michaelem? - Nie chciała, żeby to zabrzmiało jak pytanie.

Cross pokręci! głową.

- Ze mną.

- Ja... - zamilkła, ściągając brwi. Nie z Michaelem. - Zaproszenie nie było od niego.

Cross uśmiechnął się, ale Penelopa nie poczuła się lepiej.

- Nie.

- Czy nie ma go tutaj? - Nie będzie mogła go zobaczyć?

- Jest gdzieś tutaj. Ale nie wie, że pani przyszła. Była rozczarowana.

Oczywiście, że to nie on.

Nie interesowało go spędzanie wieczorów w jej towarzystwie. Za tą myślą pojawiła się następna: będzie wściekły.

- Zaproszenie było od pana. Przechyli! głowę.

- Od Anioła.

Zastanowiła się, to brzmiało tajemniczo, „od Anioła”.

- To coś więcej niż zaproszenie, czy tak?

Cross uniósł ramię w świetnie skrojonym kubraku.

- Zna pani hasło. To daje pani członkostwo. Członkostwo.

Oferta była kusząca - wstęp do jednego z najbardziej legendarnych salonów gry w Londynie, przygoda, jakiej zawsze chciała. Pomyślała o podnieceniu, jakie czuła, kiedy dostała zaproszenie na bilard, o zauroczeniu ciepłym, jasnym holem tajemniczego klubu. O niezwykłym uczuciu, które ją ogarnęło, kiedy obserwowała obracające się koło ruletki podczas pierwszej wizyty.

Sądziła jednak, że następną wizytę - dzisiejszą - odbędzie w jego towarzystwie. Myliła się.

Nie chciał jej. W żaden sposób.

Przypomniała sobie te wszystkie chwile, kiedy udawali, że są zakochani. Kiedy ją czule obejmował, aby zapewnić sobie jej współudział w farsie. Kiedy wychodził z domu, żeby nie spędzić z nią nocy. Kiedy wybrał zemstę zamiast miłości.

Przełknęła gorycz tkwiącą w gardle.

Nie da jej prawdziwego małżeństwa... Musiała zatem wybrać przygodę. I tak zbyt daleko zaszła, żeby się wycofać.

Spotkała spojrzenie szarych, spokojnych oczu Crossa i odetchnęła głęboko.

- A zatem bilard. Zamierza pan dotrzymać obietnicy? Cross uśmiechnął się i machnął ręką w stronę drzwi.

- Pokój bilardowy jest po drugiej stronie korytarza. - Jej serce zaczęło tłuc się gwałtownie w piersi. - Czy mogę wziąć pani pelerynę? Wygląda pani ślicznie - stwierdził po prostu, kiedy spod czarnej wełny wyłoniła się łososiowa satyna, suknia, którą włożyła dla innego mężczyzny, który jej nie zobaczy, a gdyby nawet, nie obchodziłoby go, jak wygląda.

Odsunęła te myśli i spojrzała w przyjazne, szare oczy Crossa, kiedy ten wyciągnął w jej stronę białą różę, postępując krok do przodu.

- Witam panią po Drugiej Stronie - rzekł, kiedy przyjęła kwiat. - Pójdziemy?

Wskazał korytarz za nimi i Penelopa pierwsza wyszła z pokoju. Zanim otworzyła drzwi do pokoju bilardowego, na korytarzu rozległ się gwar głosów. Odwróciła się, zadowolona, że ma maskę; grupa kobiet, również z zakrytymi twarzami, szła w ich kierunku.

Schyliły głowy, przechodząc obok nich i Penelopę ogarnęła ciekawość. Czy one także należały do arystokracji? Szukały przygód?

Czy ich mężowie także je zaniedbywali?

Pokręciła głową na tę nieproszoną, nieprzyjemną myś; jedna z kobiet zatrzymała się w tej chwili przed Crossem, jej oczy lśniły za różowym dominem.

- Cross - odezwała się przeciągle, pochylając się i obdarowując go widokiem swojego niemal obnażonego biustu. - Podobno bywasz samotny wieczorami.

Penelopa otworzyła usta ze zdumienia. Cross uniósł brew.

- Nie dzisiejszego wieczoru, moja droga.

Dama zwróciła się do Penelopy, spoglądając dłużej na różę w jej dłoni.

- Pierwsza noc? Przyłącz się do nas, jeśli chcesz.

- Dziękuję, nie. - Umilkła, po czym dodała: - Choć... czuję się zaszczycona. - Sądziła, że należało powiedzieć coś takiego.

Kobieta odchyliła głowę do tyłu i wybuchła śmiechem - głośno i bez wahania; Penelopa zdała sobie sprawę, że chyba nigdy nie słyszała szczerego śmiechu kobiety, która nie byłaby z nią spokrewniona. Co to za miejsce?

- Idź, skarbie - powiedział Cross z zachęcającym uśmiechem. - Twoje ślicznotki mają walkę do obejrzenia, nieprawdaż?

Uśmiech przerodził się w doskonale nadąsaną minę; Penelopa oparła się pokusie, żeby samej spróbować tego wyrazu twarzy. Niektórym kobietom flirtowanie przychodziło z taką łatwością.

- Tak, rzeczywiście. Słyszałam, że Tempie jest dzisiaj w dobrej formie. Może będzie samotny po walce.

- Może - odparł Cross tonem, który zdaniem Penelopy oznaczał, że Tempie z pewnością nie będzie się czuł samotny.

Zamaskowana dama podniosła palec do ust.

- A może Bourne... - powiedziała w zamyśleniu. Penelopa ściągnęła mocno brwi.

W żadnym razie nie Bourne.

Sama myśl, że ta kokietka mogłaby być z jej mężem, sprawiła, że Penelopa miała ochotę zerwać jej maskę i wyzwąć rywalkę na pojedynek na pięści.

Otworzyła usta, żeby jej to powiedzieć, kiedy wtrącił się Cross, najwyraźniej wyczuwając problemy:

- Wątpliwe, żeby Bourne był dzisiaj dostępny, moja droga. Przegapicie początek, jeśli się nie pośpieszycie.

To zachęciło kobiety, żeby ruszyć dalej.

- A niech to. Muszę iść. Czy zobaczę cię w Pandemonium?

Cross skłonił wdzięcznie głowę.

- Nie daruję sobie tego.

Odeszła szybkim krokiem, a Penelopa patrzyła za nią długą chwilę, zanim zagadnęła Crossa:

- Co to jest Pandemonium?

- Nic, o czym musi pani wiedzieć.

Zastanawiała się, jak wydobyć z niego jasną odpowiedź, kiedy nacisnął klamkę do pokoju bilardowego. Jeśli tamta kobieta miała uczestniczyć w tajemniczym wydarzeniu, Penelopa także chciała tam być, choćby po to, żeby mieć nierządnicę na oku.

W gruncie rzeczy jednak niewiele się od siebie różniły.

Ona, markiza, nosiła maskę i miała dostać lekcję bilardu od mężczyzny, który nie był...

- Najwyższa pora, żebyś się pojawił! Nie mam dzisiaj czasu, żeby czekać na ciebie i twoje panie. I co my, do diabła, robimy w tej części? Chase urwie nam głowy, jeśli...

...jej mężem. Który opierał się o stół bilardowy, z kijem w ręku i był bardzo, bardzo przystojny.

I bardzo, bardzo rozgniewany. Wyprostował się na całą wysokość.

- Penelopa?

Tyle jeśli chodzi o maskę.

- Po tej stronie pani łatwiej jest grać - odparł Cross, wyraźnie rozbawiony.

Michael zrobił dwa kroki w ich stronę, po czym stanął z dłońmi zwiniętymi w pięści po bokach. Spojrzał jej w oczy, iskrzące się zielono w świetle świec.

- Ona nie gra.

- Nie wydaje mi się, żebyś miał wybór - powiedziała. - Mam zaproszenie.

Nie wydawał się tym przejmować.

- Zdejmij tę głupią maskę.

Cross zamknął drzwi, a Penelopa podniosła rękę, żeby zdjąć domino, mając wrażenie, że zdejmowanie maski wobec męża jest dużo trudniejsze niż rozbieranie się do naga wobec całego Parlamentu.

Wyprostowała się jednak, odkryła twarz i spojrzała mu prosto w oczy.

- Zostałam zaproszona, Michael - oświadczyła, słysząc ton usprawiedliwienia we własnym głosie.

- Przez kogo? Czy Cross zaprosił cię, kiedy odprowadzał cię do domu w środku nocy? Co jeszcze ci ofiarował?

- Bourne - odezwał się Cross ostrzegawczo, wysuwając się naprzód, żeby się bronić.

Zeby bronić jej. Nie potrzebowała tego, przecież nie zrobiła nic złego.

- Nie - oznajmiła Penelopa ostrym tonem. - Lord Bourne wie dokładnie, gdzie i z kim byłam podczas naszego krótkiego, katastrofalnego małżeństwa. - Podeszła bliżej do Michaela; uraza dodała jej śmiałości. -W domu, sama. Nie tutaj, gdzie, jak się wydaje, żeńska połowa Londynu życzyłaby sobie mieć hasło, żeby dostać się do jego łóżka.

Otworzył szeroko oczy.

- Zrób mi tę uprzejmość i wyjdź. - Rzuciła maskę i różę na stół. -Widzisz, czekałam niecierpliwie na tę lekcję bilardu. Nie tylko mi w tym przeszkadzasz, ale psujesz zabawę.

18

Drogi M.

Chciałabym zdobyć się na odwagę, by pójść do Twojego klubu i kazać się zaanonsować jako przyjaciółka z dawnych lat, ale oczywiście tego nie zrobię. Całe szczęście, bo nie wiem, co bym wtedy zrobiła - dała ci w ucho czy chwyciła w objęcia.

Bez podpisu

Rezydencja Dolby, Londyn, marzec 1827

List niewysłany. Czuł się wyczerpany.

Znikła miła, słodka żona, jaką mu się na początku wydawała, kiedy śnieg oprószał jej czepek, a ona opowiadała o dawnych zalotnikach. Jeden zbłąkany płatek śniegu wylądował na czubku jej nosa i natychmiast stopniał - podniosła wtedy głowę, uśmiechając się do niego.

Na jej miejscu pojawiła się amazonka, stojąca na środku jego klubu, w sercu londyńskiego półświatka, grająca w ruletkę na oczach miasta, żądająca bezpieczeństwa dla swoich przyjaciół i zachowania dobrego imienia dla sióstr, umawiająca się na lekcje bilardu z jednym z najpotężniejszych i budzących największy strach ludzi w Londynie.

A teraz stała przed nim, śmiała i odważna, sugerując, żeby sobie poszedł.

Powinien tak właśnie zrobić.

Powinien odejść i udawać, że nigdy nie byli małżeństwem.

Odesłać ją do Surrey, albo lepiej jeszcze: wsadzić na statek i wysłać do kolonii, żeby zaspokajała swoje nowe, skandaliczne potrzeby z daleka od niego. Miał teraz Falconwell i narzędzia zemsty, nadeszła pora, żeby wyrzucić ją ze swego życia.

Ale nie chciał jej stracić.

Chciał przerzucić ją sobie przez ramię i zabrać do domu, do łóżka. U licha! Łóżko nie było nawet potrzebne. Wcześniej pragnął położyć ją na zaśnieżonym brzegu Serpentine, na podłodze salonu jej ojca albo na wąskiej ławeczce powozu, rozebrać do naga, tak żeby leżała bezbronna wobec jego rąk i ust... To pragnienie się nie zmieniło.

Mógł zagwarantować, że stół bilardowy był dość solidny, żeby utrzymać ich oboje.

- Nigdzie nie pójde, dopóki nie powiesz mi, co tutaj robisz - warknął, nie ufając sobie na tyle, żeby podejść bliżej. Bał się, że zacznie ją oskarżać, wyjaśniając jej zbyt dobitnie, że to nie jest miejsce dla niej.

Że nie jest tu mile widziana.

Że to ją zniszczy.

Ta ostatnia myśl przeppełniła czarę.

- Odpowiedz, Penelopo. Dlaczego tu jesteś?

Popatrzyła na niego niebieskimi oczami, w których była stanowczość.

- Mówiłam ci. Żeby grać w bilard.

- Z Crossem.

- Cóż, szczerze mówiąc, sądziłam, że może z tobą.

- Skąd taki pomysł? - Nigdy by jej tutaj nie zaprosił.

- Zaproszenie dała mi pani Worth. Myślałam, że to ty je przysłałeś.

- Dlaczego miałbym ci wysłać zaproszenie?

- Nie wiem. Może doszedłeś do wniosku, że nie miałeś racji i nie chciałeś powiedzieć tego głośno?

Cross parsknął śmiechem przy drzwiach i Michael zastanowił się, czy go nie zabić. Był jednak zbyt zajęty problemami, jakie stwarzała jego awanturnicza żona.

- Zle myślałaś. Powiedz, że znowu wynajęłaś powóz.

- Nie - odparła. - Przyjechała po mnie kareta. Zdziwił się.

- Czyja kareta?

Przechyliła głowę, rozważając pytanie.

- Nie jestem pewna.

Szczerze myślał, że chyba oszaleje.

- Zgodziłaś się pojechać obcym powozem na zaplecze najbardziej osławionego kasyna w Londynie...

- Którego właścicielem jest mój mąż - zauważyła, jakby to miało coś zmienić.

- Zła odpowiedź, kochanie. - Cofnął się i zmusił, żeby oprzeć się o stół bilardowy. - Przyjechałaś tutaj obcym powozem.

- Myślałam, że ty go przysłałeś!

- Ale nie przysłałem! - wrzasnął.

- Ale to nie moja wina!

Oboje umilkli, jej gniewna odpowiedź rozbrzmiewała echem w małym pomieszczeniu; dyszeli ciężko.

Nie zamierzał pozwolić jej postawić na swoim.

- Jak się tu, do diabła, dostałaś?

- W zaproszeniu było hasło. - Słyszał zadowolenie w jej głosie. Bawiło ją jego zaskoczenie.

Podeszła bliżej; widział grę światła na jej skórze. Wciągnął głęboko powietrze, mówiąc sobie, że to uspokaja, nie - że rozpaczliwie pragnie poczuć jej delikatny zapach przypominający fiołki rosnące latem w Surrey.

- Czy ktoś widział, jak wchodziłaś?

- Nikt poza woźnicą i człowiekiem przy drzwiach, któremu podałam hasło.

To mu nie poprawiło humoru.

- Nie powinnaś tu być.

- Nie miałam wyboru.

- Naprawdę? Żadnego wyboru, jak tylko opuścić nasz ciepły, wygodny dom i zjawić się w środku nocy w miejscu, gdzie prowadzę interesy i dokąd

wyraźnie zabroniłem ci przychodzić? Miejscu, które nie należy do takich, gdzie kobiety twojego pokroju powinny bywać?

Znieruchomiała; w jej błękitnych oczach załśniło coś, czego nie potrafił rozpoznać.

- Po pierwsze, to nie nasz dom. To twój dom. Chociaż nie umiem sobie wyobrazić, po co go utrzymujesz, skoro spędzasz w nim tak mało czasu. Jednak z całą pewnością: to nie mój dom.

- Oczywiście, że twój. - O czym ona mówi? Praktycznie przekazał jej dom.

- Nie. Nie jest mój. Służba odpowiada przed tobą. Poczta przychodzi do ciebie. Na Boga, nie pozwalasz mi nawet odpowiadać na zaproszenia towarzyskie! - Otworzył usta, żeby jej ostro odpowiedzieć, ale stwierdził, że nie ma nic na swoją obronę. - Podobno jesteśmy poślubieni, ale ja nie mam pojęcia, jak się zarządza tym domem. Jak ty żyjesz. Nie wiem nawet, jaki jest twój ulubiony pudding! - Słowa padały szybciej, była w nich furia.

- Myślałem, że nie chcesz małżeństwa opartego na puddingu.

- Nie chcę! Przynajmniej sądziłam, że nie chcę! Ale skoro dosłownie nic o tobie nie wiem, chciałabym wiedzieć chociaż tyle!

- Figowy - odparł kpiąco. - Sprawiałaś, że lubię go najbardziej. Zmrużyła oczy.

- Chciałabym rzucić ci figowym puddingiem w twarz.

Cross zachichotał i Michael przypomniał sobie, że mają słuchacza. Spojrzał na partnera.

- Precz.

- Nie. Zaprosił mnie tutaj. Niech zostanie. Cross uniósł brew.

- Trudno odmówić damie, Bourne.

Zamorduje rudego stracha na wróble. I zrobi to z przyjemnością.

- Co to za pomysł, żeby wrywać moją żonę z domu późną nocą? - Mimo woli postąpił groźnie o krok w stronę byłego przyjaciela.

- Zapewniam cię, Bourne, taką przyjemność sprawia mi obserwowanie, jak twoja żona doprowadza cię do białej gorączki, iż żałuję, że to nie ja wysłałem zaproszenie. Ale to nie byłem ja.

- Słucham? - wtrąciła Penelopa. - Nie pan wysłał zaproszenie? Jeśli nie pan, to kto?

Bourne znał odpowiedź.

- Chase.

Chase nie potrafił nie wtrącać się w sprawy innych ludzi.

- Kim jest Chase? - zapytała Penelopa. Bourne nie odpowiedział, zrobił to Cross:

- Chase to założyciel Anioła, pani, człowiek, który nas zaprosił do spółki.

Penelopa pokręciła głową.

- Dlaczego miałby mnie zapraszać na bilard?

- Celne pytanie. - Zwrócił się do Crossa: - Hm? Ten skrzyżował ramiona i oparł się o drzwi.

- Wygląda na to, że zdaniem Chase'a jesteśmy damie coś winni. Bourne uniósł jedną brew, ale się nie odezwał.

- Niemożliwe - stwierdziła Penelopa. - Nigdy się nie spotkaliśmy. Michael posłał Crossowi krzywe spojrzenie, Cross uśmiechnął się i powiedział:

- Smutne, ale Chase zawsze jest o krok przed nami. Na pani miejscu po prostu przyjąłbym tę formę zapłaty.

- W postaci wizyt w kasynie? - zdumiała się Penelopa.

- Wygląda na to, że taka jest oferta. Uśmiechnęła się.

- Nieuprzejmie byłoby odmówić.

- W istocie, pani - roześmiał się Cross. Michaelowi nie spodobał się poufaly ton, jakim się do siebie zwracali.

- Przyjmie zaproszenie od Chase'a czy od kogokolwiek innego po moim trupie - warknął, a Cross w końcu, jak się wydawało, zaczął rozumieć, że Michael mówi poważnie. - Wyjdź.

Cross spojrział na Penelopę.

- Będę za drzwiami, gdyby mnie pani potrzebowała. Te słowa wprawiły Bourne'a w jeszcze większą złość.

- Ona nie będzie cię potrzebować.

Ja dam jej wszystko, czego potrzebuje.

Nie powiedział tego głośno, bo Cross już wyszedł, a Penelopa mówiła:

- W ciągu lat wiele zniosłam od mężczyzn, Michaelu. Znosiłam zaręczyny z człowiekiem, którego nic nie obchodziłam, dla którego liczyła się tylko moja reputacja. Musiałam znosić zerwanie zaręczyn, o którym było głośno w salach balowych przez dwa pełne sezony, podczas gdy mój narzeczony poślubił swoją ukochaną i spłodził dziedzica, co nikogo nie wydawało się interesować.

Odliczała na palcach swoje żale, posuwając się w jego stronę.

- Potem nastąpiło pięć lat, podczas których starali się o mnie mężczyźni. Dla nich wartość miały tylko moje nazwisko, pochodzenie bądź posag. Uniknięcie tamtych związków nie na wiele się zdało, bo wygląda na to, że moje małżeństwo nie ma nic wspólnego ze mną, a wszystko z kawałkiem ziemi, która jest mi przypisana.

- A co z Tommym, twoją najserdeczniejszą miłością? Jej oczy zapłonęły żywym ogniem.

- Nie jest moją największą miłością i ty wiesz o tym. Nie był nawet moim narzeczonym.

Bourne nie mógł ukryć zaskoczenia.

- Nie?

- Nie. Okłamałam cię. Udawałam, że był, żeby przeszkodzić twoim chorym planom zmuszenia mnie do małżeństwa.

- To mi nie przeszkodziło.

- Nie. I wtedy nie miałam ochoty zdradzać prawdy. - Przerwała, starając się opanować. - Byłeś taki, jak inni, więc dlaczego miałabym to zrobić? Przynajmniej narzeczeństwo z Leightonem miało związek z jakimiś cechami mojego charakteru, nawet jeśli było nudne i przyzwoite.

Michael trzymał język za zębami, kiedy się do niego zbliżała. W tej Pe-nelopie nie było niczego nudnego ani świętoszkowatego, Penelopie, która weszła do kasyna, jakby do niej należało, Penelopie przepełnionej gniewem. Była pełna życia, wspaniała i nigdy niczego w życiu tak nie pragnął, jak jej w tym momencie.

- Ponieważ nie dbasz w żaden sposób o moje życzenia, postanowiłam sama zadbać o swoje przyjemności. Wezmę udział w każdej przygodzie, która się nadarzy.

Nie, bez niego nigdy.

Teraz on ruszył w jej stronę, nie wiedząc, od czego zacząć, popychając ją w stronę stołu.

- Czy nie rozumiesz, co ci się może stać w takim miejscu? Mogłaś zostać napadnięta i pozostawiona, żeby umrzeć.

- Ludzie rzadko bywają napadnięci i pozostawieni na łasce losu w May-fair, Michaelu. - Roześmiała się. Na ten dźwięk nagle poczuł ochotę, żeby ją udusić. - Jeśli nie groziło mi nic ze strony twojego wielbiącego literaturę odźwiernego, to uważam, szczerze mówiąc, że jest tu bezpiecznie.

- Skąd wiesz? Nie wiesz nawet, gdzie jesteś.

- Wiem, że jestem po drugiej stronie Upadłego Anioła. Tak to określił człowiek przy drzwiach. Tak samo jak Cross. Jak ty.

- Jakie hasło ci podano?

- Eloa.

Wciągnął powietrze. Chase dał jej pełną swobodę w klubie. Dostęp do wszystkich pomieszczeń, wszystkich wydarzeń, wszelakich przygód - bez przyzwoitki.

Bez niego.

- Co to znaczy? - zapytała, zauważywszy jego zdumienie.

- To znaczy, że muszę porozmawiać z Chase'em.

- Ale co znaczy Eloa?

Zmrużył oczy i odpowiedział zgodnie z prawdą:

- To imię anioła.

Penelopa, zastanawiając się, przechyliła głowę.

- Nigdy o nim nie słyszałam.

- Nie mogłaś.

- Czy był upadłym aniołem?

- Ona tak. - Zawahał się, nie chcąc opowiedzieć jej tej historii, ale niezdolny powstrzymać potoku słów. - ,Lucyfer podstępnie skłonił ją do opuszczenia nieba.

- Jakim podstępem? Spojrzał jej w oczy.

- Zakochała się w nim. Penelopa otworzyła szeroko oczy.

- Czy on ją kochał?

Jak uzależniony od opium kocha opium.

- W jedyny sposób, w jaki potrafił. Pokręciła głową.

- Jak ją oszukał?

- Nigdy nie zdradził jej swojego imienia. Zamilkli.

- Żadnych nazwisk.

- Nie, po tej stronie nie.

- Co dzieje się po tej stronie? - Oparła się o stół bilardowy, zaciskając ręce na krawędzi.

- Nic, o czym musisz myśleć. Uśmiechnęła się.

- Nie możesz tego ukryć przede mną, Michael. Jestem teraz członkiem.
Nie chciał, żeby tak było. Nie chciał, żeby zetknęła się z jego światem. Szedł ku niej powoli, nie mogąc się zatrzymać.

- Nie powinnaś.

- A jeśli chcę?

Stał teraz blisko niej, na tyle blisko, żeby wyciągnąć rękę i jej dotknąć, musnąć palcem jej jasny, gładki policzek. Kiedy podniósł ramię, odsunęła się i odwróciła, przesuwając dłonią w rękawiczce po zielonym suknie stołu.

„Nie dotykaj mnie”.

Przypomniał sobie te słowa i nie ruszył się z miejsca.

- Michael? - Dźwięk jego imienia wyrwał go z zamyślenia. - Co tu się dzieje?

Spojrzał w jej niebieskie oczy.

- Ta część klubu należy do dam.

- Po drugiej stronie też są kobiety.

- Nie damy. Tamte kobiety przychodzą z mężczyznami... albo z nimi wychodzą.

- Chcesz powiedzieć, że to kochanki. - Jej palce znalazły białą kulę bilardową; zaczęła toczyć ją dłonią w tę i z powrotem. Nie mógł oderwać wzroku od jej dłoni, która chwyciła i puszczała, toczyła i zatrzymywała.

Pragnął dotyku tej ręki na sobie.

- Tak.

- A po tej stronie?

Stała teraz naprzeciwko niego, oddzielona sześcioma stopami płyty i filcu.

- Po tej stronie są damy.

- Prawdziwe damy? - zdumiała się szczerze. Wbrew woli odezwał się przesadnie suchym tonem:

- Cóż, nie jestem pewien, w jakim stopniu zasługują na to miano, ale tak. W większości utytułowane.

- Ile ich jest? - Była zafascynowana. Nie mógł jej za to winić. Myśl, że każda dama z arystokracji mogła, wedle życzenia, w każdej chwili mieć styczność ze złem i grzechem, wydawała się zaiste skandaliczna.

- Niewiele. Sto?

- Sto? - Położyła dłonie płasko na stole, pochylając się naprzód; jego wzrok przyciągnęły podnoszące się szybko i opadające wzniesienia jej

piersi pod dekoltem sukni. Suknię zawiazano dlugą, białą wstążką; miał nieodpartą ochotę, żeby ją rozwiązać. - W jaki sposób daje się to utrzymać w tajemnicy? Uśmiechnął się.

- Już ci mówiłem, kochanie. Tajemnice to nasza specjalność. Pokręciła głową z podziwem.

- Zdumiewające. Przychodzą tutaj, żeby uprawiać hazard?

- Między innymi.

- Na przykład?

- Wszystko, co robią mężczyźni. Uprawiają hazard, oglądają walki, piją na umór, objadają się...

- Czy spotykają się z kochankami?

Nie podobało mu się to pytanie, ale wiedział, że powinien odpowiedzieć. Może to ją zniechęci.

- Czasami.

- Jakie to podniecające!

- Nie wyobrażaj sobie nie wiadomo czego.

- Na przykład, że mogłabym mieć kochanka?

- Czegokolwiek tutaj. Nie możesz bywać w Upadłym Aniele, Pene-lopo. To nie dla takich kobiet, jak ty. - I z pewnością nie z kochankiem. Myśl o tym, że inny mężczyzna mógłby jej dotknąć, sprawiała, że Michael miał ochotę rąbnąć w coś pięścią.

Przyglądała mu się w milczeniu przez dlugą chwilę, zanim się poruszyła, idąc ku niemu wokół stołu.

- Ciagle powtarzasz: „takie kobiety, jak ty”. Co to znaczy?

Na tyle sposobów mógł odpowiedzieć na to pytanie - kobiety niewinne; kobiety świetnie wychowane, o znakomitym pochodzeniu, doskonałym życiu; kobiety doskonałe.

- Nie chcę, żebyś miała styczność z tym życiem.

- Dlaczego nie? To także twoje życie.

- To co innego. To nie dla ciebie. Nie dość dobre dla ciebie.

Zatrzymała się przy rogu stołu, widział urazę w jej oczach. Wiedział, że jego słowa ją dotknęły. Zdawał sobie także sprawę, że najlepiej dla nich obojga będzie, jeśli ta uraza w niej pozostanie. Jeśli będzie trzymała Pene-lopę z daleka od tego miejsca.

- Co jest ze mną nie tak? - szepnęła.

Otworzył szeroko oczy ze zdumienia. Choćby myślał rok o tym, co mogłaby powiedzieć w takiej sytuacji, nie przyszłoby mu do głowy, że jego zakaz bywania w Upadłym Aniele odebrałaby jako oskarżenie, że coś jest z nią nie w porządku.

Boże, nie można jej było niczego zarzucić.

Była doskonała.

Zbyt doskonała, żeby tu być.

Zbyt doskonała dla niego.

- Penelopo. - Zrobił krok w jej stronę i zatrzymał się, szukając najodpowiedniejszych słów. W obecności wszystkich innych kobiet z całej Brytanii zawsze wiedział, co powiedzieć, przy niej zaś, jak się wydawało, tracił tę umiejętność.

Wypuściła z ręki kulę bilardową, która potoczyła się po stole, wpadając na inną i wprawiając ją w ruch w innym kierunku. Kiedy kula się zatrzymała, Penelopa podniosła głowę; w jej błękitnych oczach odbijały się płomyki świec.

- A gdybym nie była Penelopą, Michaelu? Gdyby rzeczywiście stosowano tutaj zasady? Gdyby naprawdę nie było imion?

- Gdyby naprawdę nie było imion, byłabyś w poważnym niebezpieczeństwie.

- Jakiego rodzaju?

Stałabyś się kolejnym upadłym aniołem.

- To nie ma znaczenia. Imiona są. Jesteś moją żoną. Uniosła kącki ust w drwiącym uśmiechu.

- Co za ironia, nieprawdaż, że za tymi drzwiami setka żon najpotężniejszych ludzi w Anglii bierze, co chce, z kim chcą, a tutaj nie mogę przekonać swojego męża, żeby mi chociaż pokazał, co tam jest. Męża, do którego ten klub należy. Który go kocha. Dlaczego nie miałbyś się tym ze mną podzielić? - Słowa były ciche, kuszące i w tej chwili Michael nie pragnął niczego bardziej niż pokazać jej każdy szczegół swojego mrocznego życia.

Ale raz postąpi, jak należy.

- Ponieważ zasługujesz na coś lepszego - powiedział. Szedł za nią, coraz dalej od stołu. - Zasługujesz na coś lepszego niż stół bilardowy w kasynie, ruletka z garścią mężczyzn, którzy w najlepszym wypadku myślą, że jesteś czyjąś kochanką, a w najgorszym coś dużo mniej pochlebnego. Zasługujesz na coś lepszego niż miejsce, w którym w każdej chwili może wybuchnąć bójka, gdzie można postawić i stracić fortunę albo niewinność.

Zasługujesz na to, żeby cię trzymać z daleka od tego grzechu i zła, gdzie radość i rozpacz są czerwone i czarne. Zasługujesz na coś lepszego - powtórzył. - Lepszego ode mnie.

Zbliżał się do niej, patrząc, jak jej oczy stają się większe, jak ich błękit ciemnieje ze strachu albo niepokoju, albo jeszcze czegoś innego, ale nie mógł się powstrzymać, żeby do niej nie podejść.

- Nie było niczego wartościowego w moim życiu, Penelopo, czego bym nie zniszczył swoim dotykiem. I niech będę przeklęty, jeśli to samo zdarzy się tobie.

Pokręciła głową.

- Nie zniszczysz mnie. Nie zrobiłbyś tego.

Podniósł rękę do jej policzka, przesuwając kciukiem po niemożliwie gładkiej skórze, wiedząc, że będzie mu jeszcze trudniej pozwolić jej odejść. Zmarszczył brwi.

- Nie rozumiesz, Sześciopensówko? Już to zrobiłem. Przyprowadziłem cię tutaj, sprawiłem, że zetknęłaś się z tym światem.

- Nieprawda! Sama tutaj przyszłam. To mój wybór.

- Ale nie zrobiłabyś tego, gdyby nie ja. A najgorsze w tym to... Przerwał, nie chcąc powiedzieć za dużo, ale ona przykryła jego dłoń swoją, przyciskając ją do policzka.

- Co to jest, Michael? Co jest najgorsze?

Zamknął oczy pod wpływem jej dotyku, czując, że płonie. To nie miało być w ten sposób. Nie miała tak na niego działać. Nie miał tak bardzo jej pragnąć.

Nie miała go tak bardzo pociągać ta żadna przygód, podniecająca kobieta, którą okazała się jego żona. A jednak tak było.

Przycisnął czoło do jej czoła, boleśnie pragnąc ją pocałować, dotknąć jej, kochać się z nią.

- Najgorsze jest to, że jeśli cię nie odeślę, będę chciał cię tutaj zatrzymać.

W jej niebieskich, ślicznych, obramowanych gęstymi rzęsami koloru jesiennej pszenicy oczach widział pożądanie. Chciała go.

Podniosła rękę do jego piersi, trzymając ją tam chwilę, zanim przesunęła ją na kark, wplatając palce w jego włosy cudownym dotykiem. Czas zwolnił bieg, kiedy Michael smakował jej dotyk na sobie, ciepło jej ciała

w swoich ramionach, jej zapach, który wdzierał się w jego myśli, świadomość, że jest taka miękka, nieskazitelna i że w tej chwili należy do niego.

- A ty mnie za to znieńawidzisz. - Zamknął oczy i szepnął: - Zasługujesz na kogoś lepszego.

O wiele lepszego ode mnie.

- Michael - odparła cicho. - Nie ma nikogo lepszego. Nie dla mnie. Te słowa poraziły go; odchyliła głowę, wspięła się na palce i przycisnęła usta do jego ust.

To był najdoskonalszy pocałunek, jakiego w życiu doświadczył; miała miękkie, słodkie, upajające jak wino usta. Tęsknił za nią od tyłu dni, a ona wzięła go w posiadanie pieszczotą, ujmując jego dolną wargę między swoje, gładząc ją raz i drugi, aż otworzył usta - wsunęła wówczas jedwabisty język do środka, delikatnie badając ich wnętrze. Otoczył ją ramionami, przytulając mocno do siebie, zachwycając się sposobem, w jaki czuł ją na sobie - była miękka tam, gdzie on był twardy, jedwabista tam, gdzie on ze stali.

Kiedy się w końcu odsunęła, miała wargi różowe i opuchnięte. Nie mógł oderwać od nich oczu - słodko rozchylone, zaokrągliły się wokół słów:

- Nie chcę się dzisiaj uczyć bilardu, Michaelu. Przesunął wzrok z jej ust wyżej, napotykając jej spojrzenie.

- Nie?

Pokręciła powoli głową, składając grzeszną obietnicę:

- Za to chętnie nauczę się czegoś o tobie.

Pocałowała go znowu i nie mógł się jej oprzeć. Nie było takiego mężczyzny, który byłby w stanie. Przyciągnął ją mocno. Był zgubiony.

Jego żona stała przed nim, jak uosobienie pokusy, prosząc, żeby się z nią kochał, ryzykując własną reputację i wszystko, na co pracował. Nie dbał teraz o to.

Sięgnął za jej plecami i nacisnął ukrytą dźwignię; ściana odsunęła się, ukazując schody wiodące w ziejącą ciemność. Wyciągnął do niej rękę, wnętrzem dłoni do góry, pozostawiając jej wybór, czy pójdzie z nim na górę. Nie chciał, żeby kiedykolwiek pomyślała, że zmusił ją do tego. Do wejścia w jego świat. W istocie wydawało się, że jest na odwrót, że to ta dzielna, odważna odkrywczyni go wzywa.

A kiedy wsunęła rękę w jego dłoń bez wahania, bez żalu, przeszło go niemal nieznośne pożądanie.

Przyciągnął ją do siebie i mocno pocałował, zanim wprowadził ją na ciemne schody, zamykając drzwi i pogrążając ich w ciemności.

- Michael?

Wyszeptała jego imię i ten dźwięk, cichy i zmysłowy, był jak śpiew syreny. Odwrócił się do niej, ściskając jej rękę; stali na pierwszym stopniu, przesunął dłońmi po jej ciele, zachwycając się okrągłością bioder, miękkim wzniesieniem brzucha.

Sapnęła, kiedy postawił ją na stopniu wyżej. Ich usta były teraz na tej samej wysokości, pocałował ją, głęboko, mocno, upajając się jej smakiem, narkotykiem, którego nigdy nie miał dosyć.

Odsunął się nieznacznie, a ona westchnęła; to sprawiło, że zapragnął jej bardziej, niż potrafił to sobie wyobrazić. Pocałował ją znowu; podniosła rękę do jego włosów, potargała je palcami, ciągnąc za nie i budząc w nim żal, że nie są nadzy i nie może całować jej całej.

Jęknął, kiedy przyszła mu do głowy ta fantazja, i odsunął się od niej, chwytając jej nadgarstek.

- Nie tutaj. Nie w ciemności. Chcę cię widzieć.

Pocałowała go, przytulając się mocno, odbierając mu oddech i rozbudzając jeszcze większe pragnienie. Kiedy uwolniła go od oszłamiającej pieszczoty, stwierdził, że stracił cierpliwość.

Chciał jej teraz.

Natychmiast.

Bez wahania.

Uniósł ją w ramionach i zaczął nieść w górę po schodach. W kuszący mrok. Ku rozkoszy.

19

Drogi M.

Dziś kończę dwadzieścia sześć lat.

Mam dwadzieścia sześć lat i jestem panną - z godziny na godzinę coraz starszą i bardziej wysuszoną pomimo tego, co twierdzi matka, kiedy ma akurat dobry humor.

Osiem lat bywania na salonach w sezonie i ani jednej sensownej propozycji... fatalny wynik dla najstarszej córki szlacheckich rodów Needham i Dolby. Dziś przy śniadaniu widziałam rozczarowanie we wszystkich oczach.

Wiem, co miałam do wyboru, wiem równie dobrze jak oni, więc nie mogę się pogodzić z ich krytyką. Pewnie jestem złą córką.

Bez podpisu Dwór Needham, sierpień 1828

List niewysłany.

Schody prowadziły do pokoi właścicieli.

Michael postawił ją na ziemi w tajemnym przejściu, zamknął starannie za sobą drzwi, a potem, szybki i pełen wdzięku, podszedł do głównych drzwi apartamentu. Szła za nim blisko, ciekawa, co będzie dalej, nie chcąc uronić ani chwili. Ani na moment nie stracić go z oczu.

Sądziła, że zabierze ją do łóżka - ponieważ w tym ogromnym klubie, gdzie mężczyźni przychodzili, żeby zażywać grzesznych rozkoszy, musiało być jakieś miejsce, gdzie sypiał. Gdzie ona mogłaby spać razem z nim.

Gdzie mogliby robić także inne rzeczy, zanim musieliby wrócić do rzeczywistości i przypomnieć sobie wszystkie powody, dla których ich małżeństwo legło w gruzach, a ich życie wydawało się pomyłką.

Kiedy zamknął drzwi i odwrócił się do niej, znieruchomiała w pokoju, w którym ogień płonął w trzech kominkach i do tego światło wpadało także przez duże, złote okno wychodzące na parter Anioła.

Uświadomiła sobie nagle, że... Chciał, żeby oni...

Tutaj.

Cofnęła się instynktownie, a on poszedł powoli za nią, z oczami, które lśniły miękko, kusząco.

- Dokąd idziesz? - zapytał; na chwilę straciła oddech, słysząc jego chrapliwy ton.

Cofnęła się o krok.

- Odkryją nas. Pokręcił głową.

- Nikt nam nie przeszkodzi.

- Skąd wiesz?

Uniósł brew.

- Wiem.

Uwierzyła mu. Krew huczała jej w uszach, kiedy szedł za nią przez duży, ciemny pokój w stronę okna, z bardzo czytelnymi zamiarami. Posiądzie ją. To będzie cudowne.

I nagle przestała się cofać z niepokoju czy wstydu. Cofała się, ponieważ to, że ją ścigał, niezwykle ją podniecało. Piękny i pełen gracji, poruszał się ze zdecydowaniem, którego brakowało wielu innym mężczyznom. To właśnie owo zdecydowanie, uparte dążenie do celu, ją pociągało; stanowiło o sile jego uroku. Nie ustawał w dążeniu do tego, czego chciał.

A teraz chciał jej.

Zatrzymała się, ogarnięta podnieceniem. Był przy niej w ułamku sekundy. Ujął jej policzek, podnosząc ku sobie jej głowę, więząc wzrok. Skupiając na niej całą uwagę.

To było niezwykle.

- O czym myślisz? - Przesunął kciukiem po jej podbródku, zostawiając palący ślad.

- Sposób, w jaki na mnie patrzysz... - nie mogła oderwać od niego oczu - powoduje, że czuję się... - Urwała, niepewna słów; pochylił się, żeby pocałować podstawę szyi, gdzie pulsowała krew.

Podniósł głowę.

- Jak się czujesz, kochanie?

- Czuję się silna.

Nie zdawała sobie z tego sprawy, póki te słowa nie padły.

Jeden kącik jego ust uniósł się w nieznacznym uśmiechu, palce muskały skórę i delikatnie zrzuciły rozpiętą pelerynę z jej ramion; przesunęły się wzdłuż dekoltu sukni, wywołując dreszcze przyjemności.

- No jak?

Westchnęła z zadowolenia, obserwując, jak jego oczy podążają za ruchami palców.

- Pragniesz mnie - powiedziała.

Orzechowe oczy pociemniały, jego głos stał się niski, chrapliwy

- Tak.

- Dzięki temu czuję się tak, jakbym mogła mieć wszystko. Pociągnął delikatnie za kokardę, która utrzymywała materiał sukni

napięty na piersi; w rozchylenie wsunął palce, pieszcząc, drażniąc.

- Dam ci wszystko, czego zechcesz. Wszystko, o co poprosisz.

Kochaj mnie.

Nie, to nie. Wiedziała, że tego jej nie da.

Zanim jednak zdążyła zastanowić się nad tą myślą, ujął jej dłonie, rozpiął rękawiczki i zsuwał je powoli, sprawiając, że dzięki zmysłowemu dotykowi koźlej skóry, na zawsze już zakładanie czy zdejmowanie rękawiczek miało jej się kojarzyć z aktem miłosnym.

Wsunął palce w rozchylenie sukni, pod koszulę, obejmując jedną pierś i uwalniając ją z materiału. Westchnęła, a on schylił się, tłumiąc ten dźwięk pocałunkiem.

- Chcę cię położyć na podłodze, w świetle Anioła i kochać się z tobą.
-Dotknął zębami jej szyi. - Myślę, że ty też tego chcesz.

Nie mogła powstrzymać kiwnięcia głową ani wyznania:

- Chcę. Tylko z tobą.

Puścił ją i odwrócił twarzą w stronę imponującego witrażu. Spojrzała na klub w dole, w którym roilo się od ludzi, podczas gdy on metodycznie rozpinał guziki sukni.

- Powiedz mi, co widzisz - szepnął, przesuwając miękkimi, gorącymi wargami wzdłuż jej ramienia.

- Wszędzie... są... mężczyźni. - Penelopa wciągnęła powietrze i przycisnęła do piersi szybko rozluźniającą się suknię.

Zaczął sprawnie rozwiązywać tasiemki gorsetu, oswobadzając jej ciało z więzienia. Westchnęła.

Michael gładził jej ciało przez cienki bawełniany materiał koszuli. Jedną ręką wsparła się o okno, żeby pewniej poddać się kojącej pieśczoście.

Wydawał się rozumieć znaczenie tego dźwięku i dotknął językiem jej ucha, gładząc dłońmi skórę pod suknią i gorsetem, budząc rozkosz.

- Biedne kochanie - szepnął; słowa były jak wyborna brandy. - Byłaś zanedbywana.

Czuła, że tak było. Miała wrażenie, że jej skóra boleśnie tęskniła za jego dotykiem. Za pocałunkami. Za powolną, ciepłą pieśczością, która dawała jej niemal nieznośną rozkosz.

- Tylko mężczyźni? - szepnął, ponownie zwracając jej uwagę na salę poprzez płamę na szkle, która stanowiła wyobrażenie pięknej, napiętej z wysiłku szyi Lucyfera.

Objął jej piersi przez koszulę.

- Odpowiedz, Penelopo.

Zmusiła się, żeby skupić się na scenie na dole.

- Nie. Są też kobiety.

- Co robią?

Przyjrzała się elegantce w pięknej sukni z niebieskofioletowego jedwabiu, z wysoko upiętymi czarnymi włosami i lokami opadającymi luźno wokół głowy.

- Jedna siedzi na kolanach dżentelmena.

Przysunął się do niej blisko i Penelopa pożałowała, że dzielą ich warstwy materiału.

- Co jeszcze?

- Obejmuje go ramionami za szyję.

Ujął rękę, którą opierała się na oknie, i położył sobie na szyi, żeby zapewnić sobie wygodniejszy dostęp do jej kuszących okrągłości.

- I?

- I szepcze mu coś do ucha.

- Pomaga mu w grze w karty? - Ścisnął ponownie palcami jej pierś, Penelopa sapnęła, zamykając oczy i odwracając się do niego.

- Michael - szepnęła, pragnąc, żeby ją pocałował.

- Uwielbiam sposób, w jaki wymawiasz moje imię. - Dał jej to, czego chciała, wsuwając język głęboko, aż zaczęła się wic w jego ramionach, przyciskając piersi do jego magicznych dłoni.

- Nienawidziłeś tego - stwierdziła.

- Dręczysz mnie. - Leciutko pocałował miękką skórę jej szyi. - Powiedz mi coś więcej o tej kobiecie.

Penelopa ponownie odwróciła się do okna i usiłowała skupić się na widoku w dole. Patrzyła, jak kobieta pochyla się, pozwalając mężczyźnie zajrzeć głęboko za dekolt. Uśmiechnął się i wycisnął pocałunek na jej obojczyku, po czym jego dłoń przesunęła się po jej udzie i łydce, żeby w końcu zniknąć pod krajem sukni.

Penelopa wygięła się do tyłu, opierając o Michaela.

- Och, on jej dotyka...

Pieszczota stała się lżejsza, ledwie wyczuwalna i Penelopa zapragnęła, żeby oboje mogli znaleźć się nadzy w ciemnym pokoju.

- Gdzie jej dotyka?

- Pod... - przerwała, kiedy ręka Michaela przesunęła się w dół. Westchnęła, wypowiadając kolejne słowo, w odpowiedzi na pieszczotę Michaela - ...: spódnicami.

- W ten sposób? - Pomimo sukni, kolano Michaela znalazło drogę między jej udami.

Jej głowa opadła mu na ramię.

- Nie wiem.

- Jak myślisz?

- Dla jej dobra, mam nadzieję, że tak - szepnęła. Roześmiał się.

- I ja dla jego.

Zamknęła oczy, a jego ręce poruszały się jednocześnie, jedna pieszcząc i kusząc, druga między udami, dotykając po mistrzowsku. Pieszczota trwała długie chwile, aż Penelopa westchnęła, rozkoszując się dotykiem jego ciała, przyciskając do niego, żeby możliwie najlepiej się z nim zestroić.

- Jeśli będziesz dalej się tak zachowywać, kochanie, nie będziesz mogła już długo ich obserwować - szepnął jej chrapliwie do ucha.

- Już nie chcę ich oglądać, Michaelu.

- Nie? - zapytał ze zdziwieniem przy jej ramieniu, gdzie jego zęby sunęły delikatnie po jej skórze.

Pokręciła głową.

- Nie. Chcę oglądać ciebie. - Jego palce uczyniły coś cudownego między jej nogami. Westchnęła: - Proszę.

- Cóż - powiedział i usłyszała rozbawienie w jego głosie. - Skoro tak ładnie prosisz... - Odwrócił ją twarzą do siebie, patrząc na miejsce, gdzie wciąż przyciskała materiał do piersi. - Puść suknię, Penelopo - poprosił miękko, a ona ścisnęła suknię jeszcze mocniej.

- A jeśli...

- Nikt nie może cię zobaczyć.

- Ale... Pokręcił głową.

- Nie wyobrażasz sobie chyba, kochanie, że pozwoliłbym komukolwiek cię zobaczyć. Nie wyobrażasz sobie chyba, że mógłbym na to pozwolić i go nie zabić.

W tych słowach brzmiała taka zaborczość, że ogarnęła ją fala przyjemności. Nikt nigdy tak do niej nie mówił. Nikt nie wydawał się zainteresowany, żeby ją posiadać.

Ale w tej chwili Michael jej pragnął.

Patrzyła na niego długą chwilę, napawając się wyrazem jego oczu, które błagały, żeby się odsłoniła, zanim zwolniła uchwyt i suknia opadła

na podłogę, zostawiając ją nagą, tylko w pończochach, w słabym świetle pokoju... przed mężem.

Znieruchomiał, błędząc wzrokiem po jej ciele, w końcu podniósł oczy do jej twarzy.

- Jesteś najpiękniejszą istotą, jaką widziałem - oznajmił z podziwem.

Ukląkł u jej stóp, zdjął jej buty i podwiązki, zostawił jedynie pończochy. Pogłaskał jej nogi wzdłuż pończoch, zatrzymując się dłużej tam, gdzie jedwab przechodził w nagą skórę.

- Mam słabość do pończoch, kochanie. Gładkie i jedwabiste, jak najmiększa część ciebie.

Zaczerwieniła się, nie chcąc przyznać, że lubi czuć je na skórze, nie chcąc wyjawiać, że od czasu ich nocy poślubnej uwielbia dotyk satyny na nogach, gdyż wyobraża sobie, że to jego dłonie.

- Widzę, że ty też je lubisz - powiedział rozbawiony. Poczula jego wargi na udzie.

- Lubię ciebie. - Jedną rękę położyła mu na głowie, gładząc miękkie kosmyki.

Wstał, zostawiając ją w pończochach i pocałował ją mocno, cudownie.

- Cała składasz się z doskonałych krągłości i miękkiej skóry. - Jedną dłonią objął jej pierś od dołu. Penelopa westchnęła. - Taka śliczna i pełna.

Jego słowa odbierały jej rozum. Jeszcze bardziej niż jego dotyk. Wygięła się ku niemu, do pocałunku, który pozbawił ją oddechu, mowy i myśli; jego wargi i język muskały jej usta, obiecując więcej przyjemności niż mogła sobie wyobrazić. Kiedy skończył pocałunek, wciągnęła powietrze, zapominając o sprzeciwie i patrząc, jak się cofa i zdejmuje ubranie szybkimi oszczędnymi ruchami. Stał twarzą do niej, światło z kasyna zamieniało go w mozaikę barw i faktur, jego długie nogi, wyraźnie zarysowane mięśnie, szczupłe biodra, szerokie ramiona i...

Nie. Nie będzie na to patrzeć.

Nieważne, że chciała.

Ze była niezmiernie ciekawa.

Tylko jedno, szybkie spojrzenie.

Och, Boże.

Penelopa nagle zmieszała się i usiłowała ukryć nagość dłońmi.

- Nie możemy... Ja nie... Nie myślałam... Uśmiechnął się.

- Boisz się?

Wiedziała, że powinna udawać, że jest inaczej - zapewne robił to z tuzinem innych kobiet. Ale tak, bała się.

- Trochę.

Zaniósł ją na niską kanapę po drugiej stronie pokoju; pocałował ją, odbierając oddech i pozbawiając zahamowań. Polizała jego dolną wargę, possała ją leciutko, ale on cofnął się z chrapliwym westchnieniem.

Otworzyła szeroko oczy. Zrobiła coś złego?

- Przepraszam... wargę. Rany zadane przez Temple'a zwykle długo się goją.

Odsunęła się, żeby pogłodzić jego włosy i sprawdzić, czy nie ma innych ran na twarzy.

- Nie powinieneś pozwalać, żeby cię bił - szepnęła i pocałowała delikatnie miejsce obok ranki.

- To był jedyny sposób, żeby zapomnieć o tym, że nie mogę wrócić do domu i zabrać cię do łóżka. - Przesunął dłonią po jej ramieniu powolnym, zmysłowym ruchem. - Przerażasz mnie. - Wykrzywił usta w smutnym uśmiechu, pieszcząc palcami skórę jej nadgarstka, łokcia, ramienia.

- Jak to możliwe?

- Nie mogę cię smakować powoli, kochanie. Mogę cię tylko pożreć w całości. Nie można ci się oprzeć. - Pocałował jej ramię, muskając skórę językiem. - Jesteś jak rzucanie kośćmi. Jak rozdawanie kart. Przywołujesz mnie, aż nie panuję nad pożądaniem. - Wyszeptał te słowa u nasady jej szyi. - Łatwo się mogę od ciebie uzależnić.

Serce szybciej jej zabiło.

- To źle?

Zachichotał głośno, aż poczuła mrowienie w brzuchu i piersi.

- Dla mnie tak. Bardzo, bardzo źle. - Pocałował ją długo i powoli. - Dla ciebie także. Prosiłaś, żebym cię nie dotykał, i chciałem uszanować twoje życzenie.

Tyle że to nie było jej życzenie. Nie naprawdę.

Zawsze chciała, żeby jej dotykał, nawet jeśli mówiła co innego.

Zawsze go pragnęła, nawet jeśli przekonywała samą siebie, że tak nie jest.

Był jej słabością.

Oszczędził jej konieczności mówienia, muskając palcami szczyt jej piersi. Jęknęła z rozkoszy, wsuwając palce w jego włosy. Odsunęła się, patrząc w jego ciemne, piękne oczy.

- Michael - szepnęła.

Nie przestał patrzeć jej w twarz, przenosząc ją, jakby nic nie ważyła i przesuwając ręką wzdłuż jej uda, przynaglając, żeby rozsunęła szerzej nogi. Sama myśl o tym była skandalem. Marzeniem.

Wahała się tylko przez chwilę, a potem posłuchała jego milczącego polecenia i objęła go nogami.

- Moja awanturnicza piękność... - powiedział z dumą i zadowoleniem w głosie.

Wiedziała, że przesadza. Nie była piękną. Dzisiaj jednak czuła się piękna i nie przyszło jej nawet do głowy, żeby nie posłuchać jego żądań. Ta pozycja dawała jej dostęp do niego całego, do szerokich, silnych ramion, muskularnej piersi, która wznosiła się i opadała w rytm oddechu. Nie mogąc się powstrzymać, położyła na nim dłonie, na tym cudownym, przystojnym mężczyźnie, który był jej mężem.

Jęknął z przyjemności i podniósł ją tak, że jej piersi znalazły się na wysokości jego twarzy, czuła na nich jego oddech.

Chciała poczuć jego usta.

- Dotknij mnie - szepnęła.

Robił to bez ponaglenia; pieścił najpierw jedną z jej piersi, a potem drugą, tę zaniedbaną. Wiła się w jego ramionach w odpowiedzi na dotyk jego warg, języka, zębów. Och! Serwował rozkosz jak mistrz, zręcznie i ze znajomością sztuki.

Odsunął się w końcu, podnosząc ją bliżej siebie, składając ciepły pocałunek na jej ciele i raz jeszcze biorąc jej usta w posiadanie. Podniósł wyżej kolana, przyciskając ją do piersi, a jego palce wsunęły się w jej włosy, powodując, że szpilki potoczyły się po podłodze.

Przesunął się na jej szyję, liżąc delikatnie skórę powyżej pulsu, a ona wyszeptała jego imię, oszołomiona z rozkoszy.

Rozkoszy, której wcześniej nie знаła.

Rozkoszy, której nigdy by nie odkryła, gdyby nie on.

- Michael - westchnęła.

Uśmiechnął się z satysfakcją, czysto męskim uśmiechem, jedną rękę wsuwając pomiędzy nich.

Zwróciła wzrok na tę występłą, błędzącą dłoń, zafascynowana jej ruchem, jego palce dotknęły delikatnie wrażliwego miejsca, tak leciutko,

jakby mieli nieskończenie dużo czasu, żeby mógł badać jej ciało. Pragnęła tego ze wszystkich sił.

Chciała go dotykać, nauczyć się go, dać mu taką przyjemność, jaką on jej dawał.

- Pokaż mi. Naucz mnie.

Oczy mu pociemniały z rozkoszy, poprowadził jej dłoń. Jęknął, a ona pochyliła się, całując go miękko w policzek i szepecząc:

- To dużo bardziej zajmujące niż bilard. Zaśmiał się.

- Trudno mi się z tobą nie zgodzić. W końcu odsunął się gwałtownie.

- Starczy. Nie, zanim znajdę się w tobie. - Jej policzki zarumieniły się natychmiast; zaśmiał się cicho. - Czy to, że chcę wejść w ciebie, wprawia cię w zakłopotanie, moja piękna?

Pokręciła głową.

- Nie, to że ja chcę, żebyś wszedł we mnie, wprawia mnie w zakłopotanie. Damy nie miewają takich myśli.

Pocałował ją brutalnie.

- Nie chcę, żebyś tłumiła swoje nieprzyzwoite myśli. W istocie, chcę wszystkie usłyszeć. Chcę je wszystkie urzeczywistnić. - Poczekaj - szepnął po chwili, nie ustając w pieszczotach. Przysunął się bliżej i wymruczał przy jej uchu: - Penelopo... Jesteś jak ogień. Jak słońce. Nic na to nie poradzę, że cię pragnę. Chcę wejść w ciebie i zostać na zawsze. Jesteś moją nową słabością, kochanie... bardziej niebezpieczną niż wszystkie poprzednie.

Wsunął się głębiej i znieruchomiał.

- Penelopo. - Otworzyła oczy, napotykając spojrzenie jego poważnych ciemnych oczu. Pochylił się i złożył na jej ustach długi, pełen obietnic pocałunek.

- Tak mi przykro, że kiedyś mogłaś czuć się zhańbiona, aniołku... w tej chwili nie ma w tobie niczego, co nie byłoby dla mnie cenne w najwyższym stopniu. Wiedz o tym.

Poczuła łzy po powiekami. Skinęła głową.

- Wiem.

Nie odwracał wzroku.

- Czy tak? Rozumiesz, jaka jesteś dla mnie cenna? Czujesz to? -Skinęła znowu głową, jedna łza potoczyła się po jej policzku i spadła na

gładką skórę jego ramienia. Przesunął kciukiem po jej policzku, wycierając słony ślad. - Uwielbiam cię - szepnął. - Chciałbym być mężczyzną, na którego zasługujesz.

Podniosła rękę, żeby ująć jego dłoń na swoim policzku.

- Michael... możesz być tym mężczyzną.

Zamknął oczy i przyciągnął ją mocno do siebie; całował ją długo i tkliwie.

Zagubiła się w jego ramionach, bezpieczna w jego uścisku; wykrzykiwała jego imię, błagając o więcej rozkoszy.

Dawał jej to, czego chciała, aż nie mogła już oddychać ani mówić. Nigdy nie przestanie go kochać.

Nie z powodu rozkoszy, jaką jej dawał, ale ogromnej czułości, którą jej okazywał. Za to, że głaskał ją tak delikatnie, szepcząc jej imię, jakby upływ czasu nie miał żadnego znaczenia. Czekał, aby ona odczuła przyjemność, zanim on zadba o swoją.

Tak bardzo się starał, żeby ukryć tę cechę, a teraz zobaczyła go takim, jaki był. Uosobieniem czułości.

Kochała to w nim.

Kochała jego.

A on miał nigdy nie przyjąć tego uczucia.

Zamarła, podniosła głowę, unikając jego wzroku, bojąc się, że może odczytać jej myśli. Mocniej zacisnął dłonie.

- Uraziłem cię? - W pytaniu brzmiał ból; jakby nie mógł tego znieść. Pokręciła głową.

- Nie...

Poruszył się, usiłując się odsunąć.

- Penelopo... pozwól... nie chcę cię krzywdzić.

- Michael.

A potem, ponieważ bała się mówić, żeby nie powiedzieć czegoś, czego nie chciał usłyszeć - zakotłowała się, unosząc lekko i opadając, patrząc z zachwytem, jak on odchyła głowę do tyłu, mruży oczy w wąskie szparki, zaciska zęby, a jego szyja napina się z wysiłku panowania nad sobą. Powtórzyła ruch, szepcząc:

- Dotknij mnie.

Wtedy stracił kontrolę i w końcu - poruszył się. Poruszali się razem, on z dłońmi na jej biodrach, kierując nią, ona -przytrzymując się rękami jego ramion.

- Więcej - szepnęła, wiedząc bez cienia wątpliwości, że może dostać więcej.
- Piękna Penelopa... taka gorąca, miękka i cudowna - szepnął jej do ucha. -
Kiedy patrzyłem, jak nie posiadasz się z rozkoszy w moich ramionach, myślałem,
że umrę z zachwytu. Jesteś piękna w ekstazie. Chcę ci to dać jeszcze raz... jeszcze
raz... i jeszcze.

- Michael, ja...

- Powiedz mi... - szepnął chrapliwie, poruszając się szybciej, dając jej
wszystko, czego chciała, nie wiedząc o tym. Wszystko, czego potrzebowała.

Kocham cię.

Nie wypowiedziała tych słów, bo ogarnęła ją fala rozkoszy. Wykrzyczał jej
imię w ciemności.

20

Drogi M.

*Dziś jestem w refleksyjnym nastroju - minęło sześć lat od Wielkiej Katastrofy
Leightonowej, jak to określa mój ojciec. Przez ten czas odrzuciłam trzy
propozycje małżeńskie, jedną gorszą od drugiej.*

*Pomimo wszystko matka dalej wozi mnie po modystkach i damskich
herbatkach, jakby można było zatrzyć przeszłość kilkoma metrami jedwabiu albo
aromatem bergamotki. Przecież to nie może wiecznie trwać, prawda?*

*Co gorsza, wciąż pisuję listy do widma i wyobrażam sobie, że pewnego dnia
listonosz przyniesie mi odpowiedź.*

Bez podpisu

Rezydencja Dolby, Londyn, listopad 1829

List niewysłany.

- Mus agrestowy.

Penelopa nie podniosła głowy z miejsca, gdzie leżała, na ramieniu Michaela,
z jasnymi włosami rozrzuconymi dookoła.

- Czy mógłbyś powtórzyć, proszę?

Przesunął ciepłą dłoń wzdłuż jej pleców, wywołując przyjemny dreszcz.

- Jakaś ty uprzejma. - Leżał na krawędzi kanapy, nie chcąc się od niej odsunąć, zdając sobie jednak sprawę, że zmarźnie wkrótce w dużym pokoju, jeśli jakoś o nią nie zadba. Chwycił swoje wierzchnie okrycie, leżące w stosie ubrań rzuconych na podłogę - zdjął je, spiesząc do żony - i nakrył ich oboje granatową wełną.

Przytuliła się do niego pod płaszczem; niemal zachłysnął się z wrażenia, czując na sobie jej miękkie, jedwabiste dotyk.

- Mus agrestowy - powtórzył.

- To niezbyt ładny sposób zwracania się do żony - zauważyła Penelo-pa, uśmiechając się lekko i nie otwierając nawet oczu. - Chociaż po tym, co właśnie zrobiliśmy, mogę być agrestową galaretką.

To było niemożliwie niemądre i Michael parsknął śmiechem. Ile czasu upłynęło, odkąd śmiał się z takiego głupstwa? Całe życie.

- Zabawna dziewczyna. - Objął ją mocniej ramionami. - Mus agrestowy to mój ulubiony deser.

Znieruchomiała i jej palce, zataczające przyjemne kółka we włosach na jego piersi, się zatrzymały. Podniósł jej rękę do ust i ucałował szybko palce.

- Lubię także malinową galaretkę - oznajmił. - I rabarbarową. Podniosła głowę, patrząc na niego niebieskimi oczami, jakby uczynił właśnie wiekopomne wyznanie.

- Mus agrestowy.

Poczuł się głupio. Nie obchodził jej naprawdę jego ulubiony deser.

- Tak.

Uśmiechnęła się wówczas szeroko, promiennie i przestał czuć się niemądrze. Czuł się jak król. Położyła z powrotem głowę na jego piersi, jej biust podnosił się i opadał przy jego ciele w kuszącym rytmie.

A potem powiedziała po prostu:

- Lubię tartę z syropem z melasy. - A on miał znowu ochotę się z nią kochać.

Jak to możliwe, że rozmowa o słodyczach mogła działać jak afrodyzjak? Przesunął ponownie ręką po jej plecach, po okrągłych pośladkach i przyciągnął ją do siebie. Ucałował jej skroń.

- Pamiętam. - Nie pamiętał, zanim o tym nie powiedziała i nie wróciło wyraźne wspomnienie małej Penelopy w kuchniach Falconwell, z okrągłą

buzią usmarowaną syropem z melasy. Uśmiechnął się na ten lepki obrazek.
-Udało ci się przekonać naszą kucharkę, żeby pozwałała ci wylizywać miskę.
Zmieszała się i wtuliła twarz w jego pierś.

- Nieprawda.

- Prawda.

Pokręciła głową; jej jedwabne włosy zaplątały się w szczecinę na jego nieogolonych policzkach.

- Może łyżki. Ale nie miskę. Damy nie wylizują misek. Roześmiał się głośno, zaskakując ich oboje. Czuł się doskonale, leżąc

tutaj i śmiejąc się razem z nią. Tak dobrze nie czuł się od bardzo, bardzo dawna. Nawet jeśli wiedział, że ta chwila to wszystko, co mają, ostatnia spokojna chwila, zanim rozpęta się piekło i zniszczy tę odrobinę dobrej woli, jaką Penelopa mu okazała.

Otoczył ją drugim ramieniem, trzymając mocno.

W tej chwili należała do niego.

- Wydaje się, że twoja przygoda się powiodła.

Podniosła głowę, oparła brodę na złożonych dłoniach, patrząc na niego z rozbawieniem.

- Nie mogę się doczekać następnej.

Przesunął ręką po jej udzie, bawiąc się skrajem jedwabnej pończochy.

- Dlaczego nie śmiem o nic pytać?

- Chcę uprawiać hazard.

Wyobraził sobie, jak Penelopa całuje sześcianiki z kości słoniowej, a potem rzuca je na zielone sukno stołu w jednym z pomieszczeń na dole.

- Wiesz, że w hazardzie nie można wygrać. Uśmiechnęła się.

- To samo mówią o ruletce.

- To prawda. Miałś po prostu szczęście. - Odpowiedział uśmiechem na jej uśmiech.

- Numer 23.

- Niestety w kościach można dojść tylko do dwunastu. Wzruszyła nieznacznie ramionami, płaszcz zsunął się z jej białego, doskonałego ramienia.

- Będę wytrwała.

Pochylił głowę, żeby pocałować jej nagą skórę.

- Zobaczmy, co z hazardem. Ciągłe dochodzę do siebie po dzisiejszej przygodzie, hultajko. - A jutro przypomnisz sobie wszystkie powody, dla których nie chcesz być ze mną.

Westchnęła na wspomnienie rozkoszy.

Zapragnął jej znowu.

Musi jednak panować nad sobą.

Powinni wstać.

Nie mógł się do tego zmusić.

- Michael? - Otworzyła oczy, niebieskie jak niebo w lecie. Mężczyzna mógł w tych oczach zgubić się na zawsze. - Dokąd wyjechałeś?

- Dokąd wyjechałem kiedy?

- Potem, jak... straciłeś wszystko.

Drgnął z obrzydzenia. Nie chciał odpowiadać. Dać jej więcej powodów, żeby żałowała, że za niego wyszła.

- Nigdzie nie wyjechałem. Siedziałem w Londynie.

- Co się stało?

Co za pytanie. Tyle się wydarzyło. Tyle się zmieniło. Rzeczy, których nie chciał jej zdradzić. Tak bardzo nie chciał jej w to mieszać. Tak bardzo sam nie chciał być w to wmieszany. Wciągnął głęboko powietrze, rękoma opasując ją w talii, żeby podnieść.

- Nie chciałyś tego słuchać.

Oparła się dłońmi na jego piersi, powstrzymując go.

- Chcę to usłyszeć. - Patrzyła na niego z góry, nie pozwalając mu się ruszyć.

Nie pozwalając się wycofać.

Opadł z powrotem na kanapę, zrezygnowany.

- Ile wiesz?

- Wiem, że straciłeś wszystko w hazardzie.

Była tak blisko, wpatrywała się w niego niebieskimi oczami tak intensywnie... Ogarnął go żal. Doprowadzało go do rozpaczy to, że znała jego błędy. Jego hańbę. Żałował, że nie może być dla niej kimś innym. Kimś nowym. Kto był jej wart.

Ale może, jeśli pozna tę historię, dowie się wszystkiego, nie zechce zbliżyć się bardziej. Może to go uchroni przed tym, że za bardzo będzie mu na niej zależało.

Za późno.

Zesztywniał na tę ledwie uchwytną myśl.

- *Vingt et un.*

Nie odwróciła wzroku.

- Byłeś młody.

- Dwadzieścia jeden lat. Dość dorosły, żeby postawić wszystko, co posiadałem.

- Byłeś młody - powtórzyła z naciskiem. Nie zaprzeczył.

- Postawiłem wszystko. Wszystko, co mogłem postawić. Jak głupiec. -Czekał, żeby mu przytaknęła. Kiedy tego nie zrobiła, mówił dalej: - Langford popychał mnie do tego, żebym stawiał więcej i więcej, zachęcał, drwił, aż wszystko wyłożyłem na stół, absolutnie przekonany, że wygram.

Pokręciła głową zdumiona.

- Skąd mogłeś wiedzieć?

- Nie mogłem, prawda? Ale byłem rozgrzany wygranymi, wygrywałem tamtego wieczoru raz po raz. Kiedy wygrywasz... wpadasz w euforię. Nadchodzi chwila, kiedy wszystko wydaje się inne, rozum zasypia, a tobie się wydaje, że nie możesz przegrać. - Słowa płynęły teraz swobodnie, wraz ze wspomnieniami, które długo w sobie tłumił. - Hazard staje się dla niektórych chorobą. Ze mną też tak było. Lekarstwem jest wygrana. Tamtej nocy musiałem wygrywać. Póki nie przestałem wygrywać i straciłem wszystko. - Patrzyła na niego, zafascynowana. - Kusił mnie, przekonując, żebym stawiał coraz więcej.

- Dlaczego ciebie? - Między jej brwiami pojawiła się zmarszczka, w głosie brzmiał gniew. Michael podniósł rękę, żeby wygładzić jej czoło. -Byłeś taki młody!

- Gotowa jesteś mnie bronić, nie wiedząc wszystkiego. - Poglądził jej nos. - On to zbudował. Ziemię, pieniądze, wszystko. Mój ojciec był dobrym człowiekiem, ale kiedy zmarł, majątek nie był w tak dobrej kondycji, jakby można sobie życzyć. Langfordowi to wystarczyło, żeby go rozbudować, doprowadzić do rozkwitu, i tak uczynił. Kiedy ja przejąłem dziedzictwo, markizat wart był więcej niż jego ziemie. Nie chciał go stracić.

- Chciwość jest grzechem.

Tak samo jak zemsta. Milczał, wspominając tamtą grę, którą w myślach przeżywał setki, tysiące razy.

- Powiedział, że kiedyś mu podziękuję za to, że mi wszystko odebrał -rzekł, nie starając się stłumić szyderstwa.

Milczała przez dłuższą chwilę, patrząc na niego z powagą.

- Może miał rację.

- Nie. - Nie minął ani jeden dzień, żeby Michael nie odczuwał nienawiści nawet do powietrza, którym oddychał wicehrabia Langford.

- Cóż, wdzięczność to może trochę za dużo. Pomyśl jednak, jak się wzniosłeś pomimo przeszkód. Jak stawiałeś czoło przeciwnościom losu. Jak je wszystkie pokonałeś.

Penelopa mówiła z zapalem, który Michael podziwiał i którego zarazem nienawidził.

- Raz ci powiedziałem, żebyś nie robiła ze mnie bohatera, Penelopo. W tym, co zrobiłem... kim jestem, nie ma nic heroicznego.

- Mylisz się. Jesteś wart znacznie więcej, niż ci się wydaje. Pomyślał o papierach w kieszeni płaszcza, o planie, który zaczął rano

tego dnia wprowadzać w życie. O zemście, na którą czekał przez te wszystkie lata. Już wkrótce Penelopa przekona się, że jej mąż nie jest bohaterem.

- Chciałbym, żeby tak było. Dla ciebie.

Ta myśl go prześladowała.

Pochyliła się bliżej, wciąż z powagą w oczach.

- Nie rozumiesz, Michael? Nie widzisz, jak bardzo zmieniłeś się na lepsze? O ile jesteś silniejszy? Ile masz w sobie mocy? Gdyby nie tamta chwila, sposób, w jaki cię zmieniła... nie byłoby cię tutaj. - Zniżyła głos do szeptu. - Ani mnie.

Objął ją mocniej ramionami.

- No, to już jest coś.

Leżeli tak, zagubieni w myślach, aż znowu odezwała się Penelopa:

- A po grze? Co stało się później?

Michael spojrzał w sufit, przypominając sobie tamten wieczór.

- Zostawił mi tylko gwineę. Podniosła głowę.

- Twój fant.

Uśmiechnął się. Moja inteligentna żona.

- Nie wydałbym jej. Nie chciałem niczego od niego brać. Nie, póki nie byłbym w stanie odebrać mu wszystkiego.

Przyglądała mu się bacznie.

- Zemsta.

- Zostały mi ubranie na grzbiecie i garść monet w kieszeni. Tempie mnie znalazł. Przyjaźniliśmy się w szkole i bił się z każdym, kto był w stanie mu za to zapłacić. W te noce, kiedy się nie boksował, urządzaliśmy grę w kości na ulicy.

Zmarszczyła brwi.

- Czy to nie było niebezpieczne?

Zobaczył troskę w jej oczach i zatęsknił za jej miękkością, za jej słodyczą. To, że trzymał ją w ramionach, opowiadając tę historię, okazało się błogosławieństwem. Tak jakby jej troska mogła go ocalić.

Tyle że jego nie można już było uratować, a ona nie zasługiwała na życie pełne zła i grzechu. Zasługiwała na wiele więcej. Na coś zdecydowanie lepszego. Wzruszył ramieniem.

- Nauczyliśmy się szybko, kiedy walczyć, a kiedy uciekać. Podniosła rękę i dotknęła leciutko pęknięcia w jego wardze.

- Ciągłe walczysz.

Uśmiechnął się; jego głos stał się ponury.

- I od dawna nie uciekam.

Zerknęła na witraż; była późna noc i światło kandelabrow w dole przygasało.

- A Upadły Anioł?

Ujął ręką długi lok jej jasnych włosów i zawinął go sobie na palcach, ich dotyk sprawiał mu przyjemność.

- Cztery i pół roku później Tempie i ja udoskonaliliśmy nasz interes... nasze gry zmieniały miejsce w zależności od graczy i pewnej nocy mieliśmy dwudziestu czy trzydziestu ludzi robiących zakłady. Miałem w ręku kupę pieniędzy i wiedzieliśmy, że to tylko kwestia czasu, kiedy będziemy musieli zakończyć grę albo zaryzykować, że nas obrabują. - Puścił jej włosy i przesunął kciukiem po jej policzku. - Ja nigdy nie potrafiłem kończyć w porę. Zawsze chciałem jeszcze jednego zakładu, jeszcze jednego rzutu kośćmi.

- Grałeś na pieniądze?

Spojrzał jej w oczy, chcąc, żeby to dobrze usłyszała. Żeby usłyszała obietnicę.

- Nie stawiałem zakładów od dziesięciu lat. Zrozumiała go. Widział w jej oczach również dumę.

- Od czasu, kiedy przegrałeś z Langfordem.

- To nie zmienia mojej fascynacji grą. Nie sprawia, że kości mniej mnie kuszą. A kiedy obraca się koło ruletki... Zawsze zgaduję, gdzie się zatrzyma.

- Ale nigdy nie grasz.

- Nie. Ale uwielbiam patrzeć, jak inni to robią. Tamtej nocy Tempie powtarzał to w kółko: że musimy odejść. Że gra traci rozpęd, ale ja mogłem to ciągnąć jeszcze godzinę czy dwie i go zbywałem. Jeszcze jeden rzut. Jedna runda zakładów. - Zatracił się we wspomnieniach. - Zjawili się

znikąd i powinniśmy być wdzięczni, że mieli patki, a nie pistolety. Gracze uciekli, jak tylko zorientowali się w niebezpieczeństwie, ale nawet gdyby zostali, włos by im z głowy nie spadł.

- Przyszli po ciebie - szepnęła Penelopa. Skinął głową.

- Chcieli naszych zysków. Tysiąc funtów albo więcej. Więcej niż ktokolwiek powinien mieć na londyńskich ulicach

- Walczyliśmy najlepiej, jak potrafiliśmy, ale było nas dwóch na sześciu... wydawało się, że dziewięciu. - Roześmiał się niemal bezgłośnie -A nawet dziewiętnastu.

Nie rozbawiło jej to.

- Powinieneś być oddać pieniądze. Nie były warte twojego życia

- Moja mądra żona. Gdybyś ty tam była. - Pobladła. Michaei przyciągnął jej głowę i pocałował szybko w usta. - Jestem tutaj. Żywy i zdrowy. Na nieszczęście dla ciebie.

Pokreciła głową; swoim oburzeniem budziła dziwne odczucia w jego ciele.

- Nawet nie żartuj. Co się stało?

- Myślałem, że już po nas, kiedy nie wiadomo skąd pojawił się powóz i wysypał się z niego batalion mężczyzn postury Temple'a i większych. Stanęli po naszej stronie, pokonali napastników, a kiedy dranie uciekli z podwiniętym ogonem, wsadzili nas z Temple'em do powozu i zawieźli na spotkanie z naszym wybawcą.

Wiedziała, co nastąpi.

- Chase'em.

- Właścicielem Upadłego Anioła.

- Czego chciał?

- Potrzebował partnerów do prowadzenia interesu. Kogoś kto by nadzorował gry. Organizował ochronę. Ludzi, którzy znali zarówno blaski, jak i cienie arystokracji.

Westchnęła przeciągle.

- Uratował ci życie.

Michaei pograżył się we wspomnieniach tego pierwszego spotkania kiedy to zdał sobie sprawę, że może odzyskać wszystko, co stracił.

- W istocie.

Pochyliła się i pocałowała go w opuchniętą wargę, muskając ją językiem

- On się myli.

Oprzytomniał.

- Chase? Skinęła głową.

- Myśli, że ma u mnie dług.

- Na to wygląda.

- To ja jestem mu coś winna. Uratował ciebie. Dla mnie.

Pocałowała go znowu, a on stracił oddech, mówiąc sobie, że to w odpowiedzi na jej pieśczętę, podczas gdy w istocie jej słowa odbierały mu siłę. Zanurzył dłoń w jej włosach, napawając się jej wdzięcznością, ulgą i czymś jeszcze, czymś nieuchwytnym... cudowną pokusą.

Czymś, na co z całą pewnością nie zasługiwał.

Zacisnął pięść w jej włosach i odsunął się, rozpaczliwie pragnąc móc się z nią dalej całować. Nie mógł jej jednak pozwolić - nie mógł sobie pozwolić - na to, żeby nie usłyszała wszystkiego o nim, kim dokładnie jest.

- Straciłem wszystko, Penelopo. Wszystko. Ziemię, pieniądze, rzeczy w domach... w domach ojca. - Nastąpiła długa cisza. - Straciłem ciebie -dodał szeptem.

Przechyliła głowę, wpatrując się w niego w skupieniu.

- Odbudowałeś to. Podwoiłeś. I więcej jeszcze.

- Nie to, co najważniejsze. Znieruchomiła, jakby zapomniała o jego planie.

- Przyszłość. Zemsta.

- Nie. Reszta. Szacunek. Miejsce w społeczeństwie. To, co powinienem być w stanie dać swojej żonie. To, co powinienem móc ofiarować tobie.

- Michaeli... - Usłyszał sprzeciw w jej głosie, ale nie zwrócił na to uwagi.

- Nie słuchasz. Nie jestem mężczyzną dla ciebie. Nigdy nim nie byłem. Zasługujesz na kogoś, kto nigdy nie popełnił takich błędów, jak ja. Kogoś, kto mógłby obsypać cię tytułami, zapewnić ci szacunek i nienaganne życie, kogoś doskonałego. - Przerwał; czuł, że zeszywniała w jego ramionach, nie przyjmując prawdy tych słów.

Zmusił ją, żeby spojrzała mu w oczy, zmusił siebie, żeby dokończyć.

- Żałuję, że nie jestem tym mężczyzną, Sześciopensówko. Ale nie jestem. Nie rozumiesz? Nic z tego nie mam. Niczego, czym mógłbym na ciebie zasłużyć. Co uczyniłoby cię szczęśliwą.

A, dobry Boże, chcę, żebyś była szczęśliwa. Chcę cię uszczęśliwić.

- Dlaczego tak myślisz? Masz tak wiele... o wiele więcej niż mogę kiedykolwiek potrzebować.

Nie dosyć.

Stracił więcej, niż zdołałby odzyskać.

Mógłby mieć sto rezydencji, dwadzieścia razy więcej pieniędzy wszelkie bogactwa, jakie udałoby mu się zgromadzić, i nigdy nie miałby dość Ponieważ to wszystko nie zatarłoby jego przeszłości, lekkomyślności jego upadku.

Nigdy nie stałby się mężczyzną, na jakiego ona zasługiwała.

- Gdybym cię nie zmusił do małżeństwa ze mną... - zaczął, ale wpadła mu w słowo.

- Do niczego mnie nie zmusiłeś. Wybrałam cię. Pokręcił głową.

Westchnęła.

- Och, Michael... Naprawdę tego nie widzisz? Tego, jaki jesteś niezwykły? - Odwrócił głowę. To były kłamstwa. - Nie. Patrz na mnie. - W jej tonie brzmiała stanowczość; musiał usłuchać. Miała takie niebieskie oczy. Takie uczciwe. - Myślisz, że tracąc majątek, straciłeś prawo do szacunku Ale czymże był ten majątek, jak nie ziemią i pieniędzmi zdobytymi, uskładanymi przez pokolenia twoich poprzedników? To było ich osiągnięcie Ich powód do dumy. Nie twój. Ty... - wymówiła to słowo ze czcią w jej oczach odbijały się szczerze uczucia. - Ty zbudowałeś własną fortunę Stałeś się mężczyzną.

Cudowne słowa. Romantyczne, ale nieprawdziwe.

- Masz na myśli mężczyznę, który porwał swoją przyszłą żonę w nocy zmusił do zaślubin, wykorzystał dla ziemi i zemsty, a potem... dziś w nocy ' rozebrał do naga w najbardziej osławionym kasynie Londynu? - Usłyszał pogardę we własnym głosie i odwrócił wzrok w stronę ciemności która spowijała wysoki sufit pomieszczenia, czując się tak, jakby jego miejsce było w rynsztoku. Chciał, żeby była ubrana i daleko od niego. - Boże, przysięgłem, że już nigdy cię nie zhańbię. Wybacz, Penelopo.

Nie pozwoliła się zniechęcić. Położywszy dłoń na jego brodzie, zmusiła go, żeby jeszcze raz spojrzął jej w oczy.

- Nie mów o tym, jakby to było coś nieprzyzwoitego. Chciałam tego Podobało mi się. Nie jestem dzieckiem, które trzeba rozpieszczać Poślubiłam cię, żeby żyć, a ty... to wszystko jest życiem. - Zamilkła, uśmiechając się, jasna i piękna. Przyjemność i żal, jakie wywołał ten uśmiech, Michael odczuł jak cios. - Nie było tej nocy takiej chwili, kiedy czułam się zhańbiona czy wykorzystana. W istocie, czułam się... czczona

To dlatego, że on ją wielbił. A mimo to rzekł cicho:

- Zaslugujesz na coś lepszego.

Ściągnęła brwi. Wstała z kanapy i otuliła się jego płaszczem.

- To ty mnie nie słuchasz. Nie znoszę tego, że umieszczasz mnie na jakiejś wysokiej półce, gdzie trzymasz cenne rzeczy, takie, które łatwo się tłuką. Ale ja nie chcę tego zaszczytnego miejsca. Nienawidzę go. Nienawidzę tego, że zostawiasz mnie tam, bojąc się, że mnie zranisz. Ze strachu, że się stłukę, jakbym była porcelanową lalką bez żadnej siły. Bez charakteru.

Wstał i szedł w jej stronę. Nigdy nie myślał, że Penelopa nie ma charakteru. W gruncie rzeczy, gdyby miała go więcej, zapewne by oszalał. A co do siły, to była jak amazonka. Mała, śliczna amazonka, odziana jedynie w jego płaszcz.

Wyciągnął do niej rękę. Penelopa cofnęła się o krok.

- Nie. Nie rób tego. Jeszcze nie skończyłam. Mam charakter, Michaelu.

- Wiem.

- Silny charakter.

Jakiego on się nie spodziewał.

- O tak.

- Nie jestem doskonała. Zarzuciłam doskonałość, kiedy uświadomiłam sobie, że jedyne, co dzięki niej zyskam, to samotne małżeństwo z wyjętym z szablonu mężem. - Drżała z gniewu, chciał ją wziąć w ramiona, ale cofnęła się, nie pozwalając dotknąć. - A co do tego, że ty jesteś niedoskonała, to Bogu niech będą dzięki. Raz trafiła mi się szansa na doskonałe życie i to było straszliwie nudne. Doskonałe jest zb czyste, zbyt łatwe. Nie chcę doskonałości ani nie chcę być doskonała. Chcę niedoskonałości. Chcę mężczyzny, który zarzucił mnie sobie w lesie na ramię i przekonał do małżeństwa dla przygody. Chcę mężczyzny, który jest zimny i gorący, który jest radosny i smutny. Takiego, który prowadzi klub dla dżentelmenów i dam, kasyno i czym jeszcze jest to niezwykle miejsce. Myślisz, że poślubiłam cię pomimo twoich niedoskonałości? Wyszłam za ciebie ze względu na twoje niedoskonałości, ty głuptasie. Twoje wspaniałe, nieznośnie irytujące niedoskonałości.

To, rzecz jasna, nie było prawdą. Poślubiła go, ponieważ nie miała wyboru.

Ale nie zamierzał pozwolić jej odejść.

Nie po tym, jak właśnie na nowo odkrył, jak cudownie jest trzymać ją w ramionach.

- Penelopo?

Opuściła ręce i płaszcz się rozsunął, odsłaniając długi, wąski pas skóry od szyi po kolano.

- Co? - Rozśmieszyłby go jej nadaşany ton, gdyby nie zachwycił go jej widok w pończochach, płaszczu i niczym więcej. Wciągnęła głęboko powietrze, płaszcz poruszył się, grożąc odsłonięciem jej wspaniałych piersi.

- Skończyłaś?

- Może - odparła, rezerwując sobie prawo, żeby powiedzieć więcej.

- Wiesz, potrafisz być bardzo trudna, kiedy ci na tym zależy. Uniosła jedną jasną, śliczną brew.

- No, jeśli to się nie nazywa: „przyganiał kocioł garnkowi”, to ja nie wiem, co to jest.

Wyciągnął ręce i tym razem pozwoliła się chwycić. Pozwoliła, żeby przytulił jej ponętne, krągłe w odpowiednich miejscach ciało do siebie.

- Jestem zbyt niedoskonały dla ciebie - szepnął przy jej skroni.

- Jesteś doskonale niedoskonały dla mnie.

Myliła się, oczywiście, ale nie chciał teraz o tym myśleć. Zamiast tego powiedział:

- Jesteś na wpół naga w kasynie gry, kochanie. Odpowiedziała z ustami przy jego piersi i bardziej wyczuł jej słowa

niż je usłyszał: '

- Nie mogę w to uwierzyć.

Jedną ręką pogładził jej plecy przez materiał płaszcza i uśmiechnął się na myśl, że ma na sobie jego ubranie.

- Ja mogę, moja słodka awanturnico. - Pocałował czubek jej jasnej głowy i wsunął dłoń pod płaszcz, żeby objąć śliczną pierś, zachwycony dreszczem wywołanym jego dotykiem. - Chciałbym, żebyś codziennie była naga pod moim ubraniem, a ty?

Uśmiechnęła się.

- Wiesz, że codziennie jestem naga pod własnym ubraniem czyż nie'? Jęknął.

- Nie należało tego mówić. Jak mam robić cokolwiek poza tym, że będę myślał teraz ciągle o twojej nagości?

Odsunęła się ze śmiechem i zaczęli się ubierać; Penelopa uderzała Michaela po rękach, kiedy ten próbował jej dosięgnąć.

- Pomagam.

- Przeszkadzasz.

Poprawiła małą, kremową kokardę z przodu sukni, podczas gdy on zawiązywał fular bez lustra.

Z największą radością ubierałby się przy niej codziennie, przez całą wieczność.

Ale tak się nie stanie.

Nie, kiedy odkryje twoje kłamstwa, szepnął głos w jego głowie.

- Czy jest pełen? - Wskazała dzban stojący w kącie obok miski.

- Tak.

Nalała wody do miski i zanurzyła ręce po nadgarstki. Nie myła ich zwyczajnie, tylko umieściła w chłodnym płynie.

Przyglądał jej się długą chwilę, a ona zamknęła oczy, oddychając głęboko. Dwa. Trzy oddechy.

Wyjęła dłonie, otrząsnęła je z wody i odwróciła się twarzą do niego.

- Jest coś, co, jak sądzę, powinnam ci powiedzieć.

Przez dziesięć lat, żyjąc z gier hazardowych - kości, kart i wszelkich innych - Michael nauczył się czytać z twarzy. Nauczył się rozpoznawać niepokój, radość, oszustwo, kłamstwo, wściekłość i wszystkie pozostałe uczucia na skali ludzkich emocji.

Wszystkie, poza tym, które widział w oczach Penelopy - uczucie, które czało się pod niepokojem, zadowoleniem i podnieceniem.

Dziwne, ale właśnie dlatego, że nigdy przedtem nie widział go na ludzkiej twarzy, Michael wiedział dokładnie, co to jest.

Miłość.

To odkrycie zaparło mu dech w piersi; wyprostował się, czując pożądanie, strach i coś, nad czym nie chciał się zastanawiać. Czego nie chciał przyjąć.

Powiedział jej, żeby w niego nie wierzyła. Ostrzegł ją.

W imię zdrowia własnego umysłu nie mógł pozwolić, żeby wyznała, że go kocha.

Stwierdził, że za bardzo tego pragnie.

Zrobił więc to, co robił najlepiej. Oparł się pokusie, podchodząc do niej i biorąc ją w ramiona; pocałował ją szybko - marzył, żeby trwało to dłużej. Żeby mógł się tym rozkoszować. Żeby pocałunek przekształcił się w coś równie potężnego jak uczucie, które go przepelniało.

- Robi się późno, kochanie. Koniec rozmów na dzisiaj.

Miłość w oczach Penelopy ustąpiła miejsca zmieszaniu i Michael zniechęcił się do niej za to.

To smutne, ale drugie z tych uczuć znał doskonale.

Pukanie do drzwi wybawiło go z opresji. Michael spojrzął na zegar; była prawie trzecia nad ranem, o wiele za późno na gości, a to oznaczało tylko jedno: nowiny.

Przeszedł szybko przez pokój i otworzył drzwi, odczytując wiadomość z twarzy Crossa, zanim tamten zdążył się odezwać.

- Jest tutaj?

Spojrzenie Crossa pobiegło nad ramieniem Michaela ku Penelopie, a potem wróciło do Michaela, tak samo szare i nieodgadnione

- Tak.

Nie mógł się zdobyć, żeby na nią spojrzeć. Stała blisko, na tyle blisko, żeby otaczał go jej delikatny zapach, zapewne po raz ostatni.

- Kto jest tutaj? - zapytała; nie chciał odpowiedzieć, nawet jeśli zdawał sobie sprawę, że ona musi wiedzieć. I że kiedy się dowie, straci ją na zawsze.

Spojrzał jej w oczy, starając się ze wszystkich sił zachować niewzruszony spokój.

Pamiętając o tym szczególnym celu, jaki wyznaczył sobie dziesięć lat wcześniej.

- Langford.

Znieruchomiała, słowa padły jak wystrzał z pistoletu. Pokręciła głową.

- Michael. Proszę. Nie rób tego.

Nie mógł się zatrzymać. To było wszystko, czego zawsze pragnął. Póki nie pojawiła się ona.

- Zostań tutaj. Ktoś odwiezie cię do domu. - Wyszedł z pokoju, drzwi zatrzęsły się ze złowieszczym trzaskiem w ciemnym, pustym korytarzu. Z każdym krokiem zbierał siły na to, co się miało stać. Dziwne, ale to nie spotkanie z Langfordem, człowiekiem, który odebrał mu jego życie, wymagało dodatkowej siły.

Najtrudniejsza była strata Penelopy.

- Michael! - Wyszła za nim na korytarz; dźwięk jego imienia w jej ustach kazał mu się odwrócić. Nie mógł nie zwrócić uwagi na jej rozpacz. Z całej duszy, instynktownie chciał ją przed nią bronić.

Bronić przed sobą samym.

Biegła ku niemu, szybka i wściekła, a on mógł ją tylko złapać i podnieść w ramionach, kiedy objęła jego twarz dłońmi, wpatrując się w jego oczy.

- Nie musisz tego robić - szepnęła, przesuwając kciukami po jego twarzy. - Masz Falconwell... masz Anioła... więcej niż on mógłby sobie wymarzyć. O tyle więcej niż gniew i zemstę. Masz mnie. - Poszukała jego spojrzenia, zanim powiedziała cicho: - Kocham cię.

Wmawiał sobie, że nie chce tych słów, ale kiedy padły, nie posiadał się ze szczęścia. Zamknął oczy i pocałował ją mocno, czule, chcąc zapamiętać jej smak, dotyk, zapach - w tej chwili, na zawsze. Kiedy oderwał od niej usta i postawił ją, cofnął się o krok, oddychając głęboko, zachwycony błyskiem jej niebieskich oczu, kiedy jej dotknął.

Nie dość miał tego dotyku.

Gdyby mógł się cofnąć w czasie...

„Kocham cię”.

Te słowa stanowiły potężną pokusę. Pokręcił głową.

- Nie powinnaś.

Odwrócił się, zostawiwszy ją w ciemnym korytarzu, podążając na spotkanie z przeszłością, nie chcąc się odwracać. Nie chcąc dopuszczać do siebie myśli, co zostawia za sobą.

Co traci.

21

Drogi M.

Nie. Dostyc tego.

Bez podpisu Dwór Needham, styczeń 1830

List zniszczony.

Bourne wyobrażał sobie tę chwilę setki - tysiące - razy. Odgrywał tę scenę w wyobraźni, jak wchodzi do prywatnego pokoju gry w karty, gdzie samotny i przestraszony siedzi Langford, słaby, upokorzony

wobec ogromu i potęgi Upadłego Anioła, królestwa, w którym rządzi Michael.

Ani razu nie przyszło mu do głowy, że w tym momencie, po dziesięciu latach gniewu i frustracji, mógłby czuć coś innego niż triumf. Ale nie czuł triumfu, kiedy otworzył drzwi do luksusowych, prywatnych pokoi oddzielonych od głównego pomieszczenia klubu i napotkał beznamiętny wzrok starego wroga.

Czuł frustrację. I gniew.

Bo ten człowiek, nawet po dziesięciu latach, wciąż okradał Michaela. Dzisiejszej nocy ukradł mu przyszłość z jego żoną. Nie mógł pozwolić, żeby to trwało nadal.

Langforda zapamiętał jako potężnego mężczyznę - o zbrązowiałej od słońca skórze, białych zębach, szerokich pięściach - takiego, który bierze bez wahania to, czego chce. Człowieka, który rujnuje czyjeś życie, nie oglądając się za siebie.

Teraz, dekadę później, Langford wydawał się niezmienny. Wydawał się równie zdrowy i pełen sił witalnych jak zawsze; miał odrobinę więcej siwych włosów, ale tę samą grubą szyję i szerokie ramiona.

Czas okazał się dla niego łaskawy.

Michael zerknął na miejsce, gdzie na zielonym suknie stołu spoczywała lewa dłoń wicehrabiego. Pamiętał jego przyzwyczajenie, to jak zaciskał pięść, stukając w drewno stołu, żądając dodatkowych kart albo świętując wygraną. U progu dorosłości, kiedy Michael zaczynał odkrywać hazard, obserwował tę rękę, zazdroszcząc Langfordowi niezwyklej sztuki panowania nad sytuacją.

Usiadł na krześle naprzeciwko Langforda i czekał w milczeniu.

Palce starego arystokraty poruszyły się niespokojnie na suknie.

- Nie podoba mi się, że twoje zbiry ściągnęły mnie tutaj w środku nocy.

- Nie sądziłem, żebyś odpowiedział na zaproszenie.

- Masz rację. - Kiedy Michael nie odezwał się, Langford westchnął.

-Przypuszczam, że sprowadziłeś mnie, żeby napawać się triumfem w związku z Falconwell.

- Między innymi. - Michael sięgnął do kieszeni płaszcza, wyjął dowód na nieprawe pochodzenie Tommy'ego i przesunął papier między palcami.

- Wyznam, że byłem zaskoczony, że zniżyłeś się do tego, żeby poślubić dziewczynę Marburych, nawet dla Falconwell. Nie jest szczególną

zdobyczą. - Przerwał. - Ale chodziło o ziemię, prawda? Dobra robota. Cel uświęca środki, czyż nie?

Michael zacisnął zęby; słowa Langforda bardzo przypominały to, co sam sądził o swoim małżeństwie na początku tej drogi. To go przejęło wstrętem - przypomnienie, że nie był lepszy od Langforda.

„Nie rób tego”. W jego głowie rozległo się echo tego, co powiedziała Penelopa, jej błagalna prośba; znieruchomiał, czując krawędź żółknącej kartki na opuszcze kciuka. „Jesteś kimś o wiele, wiele bardziej wartościowym niż myślisz”. Michael odwrócił papier w dłoni, rozważając te słowa, prośbę żony, żeby był kimś więcej. Kimś lepszym. Wartościowym.

„Kocham cię”. Jej ostatnia broń przeciwko jego zemście.

Langford, zniecierpliwiony, powiedział:

- No, dalej, chłopcze. Co to jest?

To szybkie, zwarte zdanie sprawiło, że Michael znowu miał dwadzieścia jeden lat, stał naprzeciwko tego człowieka i chciał go zmiażdżyć. Tylko że tym razem miał siłę, żeby to zrobić. Jednym ruchem nadgarstka posłał kartkę przez stół.

Wicehrabia złapał ją, rozłożył, przeczytał. Nie podniósł głowy.

- Skąd to wytrzasnąłeś?

- Możesz mieć moje ziemie, ale nie masz mojej siły.

- To mnie zrujnuje.

- Taką mam najśłodsza nadzieję. - Michael czekał na chwilę zwycięstwa. Na zaskoczenie i żal na twarzy tamtego, zanim podniesie głowę i przyzna się do porażki. Kiedy jednak Langford spojrzał Michaelowi w oczy ponad pożółkłym pergaminem, w jego oczach nie było poczucia klęski.

Był podziw.

- Jak długo czekałeś na tę chwilę?

Michael zmrużył oczy i zmusił się do tego, żeby opaść do tyłu na krzesło, ukrywając zdumienie.

- Odkąd wszystko mi zabrałeś.

- Odkąd wszystko przegrałeś - sprostował Langford.

- Byłem wtedy dzieckiem, grałem od niedawna - zauważył Michael z rosnącym gniewem. - To się zmieniło. Teraz wiem, że manipulowałeś grą. Że pchałeś mnie do gry, pozwalałeś wygrywać, aż w końcu wszystko postawiłem na jedną kartę.

- Myślisz, że oszukiwałem?

Michael patrzył na niego pewnym wzrokiem.

- Wiem, że tak.

Cień uśmiechu - wystarczający, żeby potwierdzić domysł Michaela - przemknął po twarzy Langforda, zanim ponownie zwrócił uwagę na obciążający list.

- A więc teraz wiesz. Dzieciak jest bękartem mojego brata, urodzonym z córki miejscowego gospodarza. Kobieta, z którą się ożeniłem, była do niczego... dość duży posag, ale niezdolna urodzić dziecko. Zapłaciłem dziewczynie i wziąłem dziecko za swoje. Lepszy fałszywy dziedzic niż żaden.

Tommy zawsze się różnił od tego mężczyzny, nigdy nie był taki chłodny ani wyrachowany. Teraz to wszystko stało się zrozumiałe i Michael stwierdził, że gdzieś w głębi, tam gdzie nie spodziewał się żadnych uczuć, jest w nim współczucie dla tego chłopca, z którym się kiedyś przyjaźnił - chłopca, który tak bardzo się starał być synem dla swego ojca.

Wicehrabia mówił dalej:

- Była tylko garstka ludzi na tyle bliskich, żeby wiedzieć, że moja żona nigdy nie rodziła. - Podniósł kartkę, uśmiechając się nieznacznie. - Widzę teraz, że nawet im nie należało ufać.

- Może uznali, że to ty jesteś człowiekiem bez honoru. Langford uniósł brew.

- Nadal mnie obwiniasz?

- Nadal na to zasługujesz.

- Daj spokój - parsknął Langford. - Rozejrzyj się. Stworzyłeś to miejsce, odbudowałeś swoje życie, swój majątek. A co, jeśli byłbyś zmuszony to oddać? Przekazać komuś, kto nie przyłożył ręki do rozbudowy, do sukcesu? Chcesz powiedzieć, że nie zrobiłbyś dokładnie tego samego, co ja? - Starszy mężczyzna położył papier na stole. - Skłamałbyś. Tak samo nie masz sumienia, jak ja, a to jest dowód.

Odchylił się do tyłu na krześle.

- Szkoda, że dostałem Tommy'ego, a nie ciebie; ty byś był dla mnie świetnym synem, sądząc choćby po tym, jak potrafiłeś wykorzystać lekcję, której ci udzieliłem.

Michael stłumił wzdrygnięcie, nie chciał słyszeć, że jest podobny do Langforda, nawet jeśli uznawał, że to prawda. Której nienawidził.

Jego wzrok powędrował ku kartce papieru na stole; jej waga była ogromna, a zarazem - żadna. Zaszumiało mu w uszach, kiedy dotarło do niego znaczenie tego, co zrobił. Co robił teraz.

Nieświadom, co się dzieje w głowie Michaela, wicehrabia powiedział:

- Przejdźmy do interesów. Wciąż mam resztę: wszystko, co ojciec ci przekazał. Całą twoją przeszłość. Myślisz, że nie spodziewałem się, że zrobisz coś takiego? - Sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął plik papierów. - Jesteśmy ulepieni z tej samej gliny, ty i ja. - Położył plik na stole. - Czy nadal lubisz *vingt et un*? Moja spuścizna przeciwko twojej.

Kiedy Michael je zobaczył, ułożone równo na zielonym suknie, wtedy nagle zrozumiał. Setki, tysiące razy przeżywał na nowo w wyobraźni tamtą pamiętną noc; patrzył, jak karty odwracają się i suną po zielonym suknie na swoje miejsca: dziesięć, czternaście, dwadzieścia dwa, znacząc koniec jego dziedzictwa i młodości.

Zawsze sądził, że w tamtej chwili umarło w nim wszystko, co dobre.

Tak nie było.

To mogło nastąpić teraz.

Pomyślał o Penelopie w swoich ramionach, o jej miękkich wargach na swoich ustach, o tym, jak zachłysnęła się powietrzem, błagając, żeby tu nie przychodził. Żeby tego nie robił. O tym, jak spojrzała mu prosto w oczy, prosząc, żeby nie niszczył tej ostatniej szansy na dobro, nie pozbywał się resztek przyzwoitości.

Nie pozwoli, aby zemsta przyćmiła miłość.

Sięgnął po stos dokumentów, obejrzał i ułożył na stole. Walia, Szkocja, Newcastle, Devon - kolekcja siedzib nabytych przez pokolenia markizów -kiedyś takich dla niego ważnych... teraz stopy cegieł i zaprawy.

Tylko przeszłość. Nie przyszłość.

Nie bez Penelopy.

Co on zrobił?

Dobry Boże. Kocham ją.

Ta świadomość spadła na niego z siłą uderzenia, zupełnie nie na miejscu, potężniejsza niż cokolwiek innego. Był wściekły na siebie, że nie wykorzystał okazji, żeby jej to powiedzieć wcześniej.

I jakby ją wyczarował myślami, nagle już tam była, jej podniesiony głos dobiegał zza zamkniętych drzwi:

- Możesz próbować mnie zatrzymać milczeniem i swoją... masą ciała... ale nie miej złudzeń, ja wejdę do tego pokoju!

Michael wstał, patrząc, jak drzwi otwierają się gwałtownie, ukazując zmieszanego Brunona, a tuż za nim rozwścieczoną Penelopę. Strażnik podniósł ręce bezradnym gestem, który rozbawiłby Michaela w innym

miejscu i czasie. Bruno najwyraźniej nie miał pojęcia, co robić z tą małą, dziwną kobietą, obdarzoną siłą dziesięciu mężczyzn. A nawet dwudziestu.

Przepchnęła się za nim do pokoju - wyprostowana, z podniesioną brodą, gniewem i determinacją malującymi się na jej ślicznej twarzy.

Nigdy w życiu tak jej nie pragnął.

Nie chciał jednak, żeby zetknęła się z Langfordem. Podeszedł do niej, odciągając ją na bok.

- Nie powinnaś tu przychodzić - syknął cicho.

- Ani ty.

Zwrócił się do Crossa, który stanął w drzwiach obok Brunona:

- Miałaś ją zabrać do domu. Cross wzruszył ramieniem.

- Dama jest raczej... nieposkromiona.

Penelopa uśmiechnęła się do wysokiego, rudowłosego mężczyzny.

- Dziękuję. To może najmiłsza rzecz, jaką dotąd o mnie powiedziano.

Michael czuł wyraźnie, że sytuacja tego wieczoru może wyrwać się spod kontroli. Zanim zdążył się odezwać ponownie, Penelopa przeszła obok niego, głębiej do pokoju.

- Lordzie Langford - powiedziała, patrząc na tamtego z góry.

- Penelopo - odrzekł Langford, nie mogąc ukryć zaskoczenia.

- Dla pana lady Bourne. - Mówiła chłodno i ostrym tonem, a Michael był pewien, że nigdy nie była piękniejsza. - Jak się chwilę zastanowić, zawsze byłam dla pana „lady”. A pan nigdy tak się do mnie nie zwracał.

Starszy mężczyzna zmrużył oczy z irytacją, a Michael poczuł gwałtowne pragnienie, żeby przyłożyć wicehrabiemu pięścią w twarz za to spojrzenie. Nie było takiej potrzeby. Jego żona znakomicie radziła sobie sama.

- Widzę, że to panu nie odpowiada. Cóż, pozwoli pan, że powiem, czego ja nie lubię. Nie lubię bezczelności. I nie lubię okrucieństwa. I zdecydowanie nie lubię pana. Pora, żebyśmy wyjaśnili sobie pewne rzeczy, lordzie Langford. Mógł pan ukraść ziemię, majątek i reputację mojego męża, mógł pan być okropnym ojcem dla mojego przyjaciela, ale absolutnie nie pozwolę, żeby odebrał mi pan coś jeszcze, niktzemny starcze.

Michael uniósł brwi. Wiedział, że powinien ją powstrzymać. Stwierdził jednak, że nie chce.

- Nie zamierzam tego słuchać. - Na twarzy Langforda wykwitły nieprzyjemne, czerwone plamy. Zerwał się ze złością z krzesła. Spojrzał na Michaela. - Opanuj swoją kobietę, zanim będę zmuszony zrobić to za ciebie.

Michael ruszył ku niemu, nie posiadając się z wściekłości. Penelopa, twarda jak stal, stanęła mu na drodze, zanim zdołał dopaść wicehrabiego.

- Nie. To nie twoja rozgrywka.

Oniemiał, choć nie powinien być zaskoczony; jego żona wciąż odbierała mu mowę swoim postępowaniem. O czym ona, do diabła, mówiła? Oczywiście, że to była jego rozgrywka. Jakby nie czekał na tę chwilę przez dekadę.

Langford zagroził jedynej rzeczy, która była mu droga.

Zastygł ze zdumienia, kiedy to do niego dotarło.

To prawda. Jest miłość Penelopy i jest wszystko inne. Ziemia, pieniądze, Anioł, zemsta... nic z tego nie jest warte nawet ułamka tej kobiety.

Tej wspaniałej kobiety, która znowu wymknęła się spod jego kontroli.

Stanęła twarzą ku wrogowi i machnęła dłonią w stronę drzwi, gdzie stał Bruno, a teraz także Cross, bardzo poważni i bardzo groźni.

- Chce pan spróbować ucieczki, zanim skończę?

Michael nie mógł się powstrzymać. Uśmiechnął się. Była królową wojowniczką.

Jego królową wojowniczką.

- Prowadził pan życie zbyt wolne od konsekwencji, lordzie Langford, i choć zapewniam, że ucieszyłabym się szczerze, gdyby stracił pan wszystko, na czym panu zależy, w jednym zakładzie, obawiam się, że to kosztowałoby zbyt drogo tych, których kocham.

Spojrzała na stół, na papiery i natychmiast zrozumiała sytuację.

- A więc to ma być zakład, tak? Zwycięzca bierze wszystko? - Popatrzyła na Michaela przez krótką chwilę, zanim odwróciła wzrok. Rozpoznał uczucie w jej oczach: rozczarowanie. - Zamierzałeś przyjąć zakład?

Chciał jej powiedzieć prawdę, że zanim weszła, uznał, że nie warto... że nic z tego nie było warte jej szczęścia. Ich wspólnej przyszłości. Ale ona już odwróciła się do drzwi.

- Cross?

Cross się wyprostował.

- Pani?

- Przynieś nam karty. Cross spojrzał na Bourne'a.

- Nie sądzę... Bourne skinął głową.

- Dama życzy sobie talii.

Cross nie ruszał się nigdzie bez kart; przeszedł przez pokój, wyciągnął je i podał Penelopie.

Pokręciła gwałtownie głową.

- Zamierzam grać. Potrzebny nam rozdający.

Michael spojrział na nią ze zdumieniem, a Langford parsknął szyderczo:

- Nie będę grać w karty z kobietą. Usiadła przy stole.

- Zwykle nie grałabym z mężczyzną, która okrada dziecko z dziedzictwa, ale dzisiejszej nocy zrobię wyjątek.

- Jest niemożliwa - stwierdził Cross, zerkając na Michaela. Markiz usiadł, nie spuszczać wzroku z żony.

- Jest moja.

Langford pochylił się ku Penelopie, przeszywając ją wściekłym spojrzeniem.

- Nie gram z kobietami. A już z pewnością nie z takimi, które nie mają niczego, czego bym chciał.

Penelopa sięgnęła za gorset, wydobyla papier i położyła go na stole.

- Przeciwnie, mam coś, czego pan rozpaczliwie pragnie. - Michael pochylił się, żeby przyjrzeć się pismu, ale Penelopa zakryła je dłonią. Kiedy podniosła głowę, jej chłodne niebieskie oczy patrzyły na wicehrabiego. - Tommy nie jest jedyną pańską tajemnicą, prawda?

Langford posłał jej spojrzenie pełne wściekłości.

- Co to jest? Skąd to wzięłaś? Penelopa uniosła brew.

- Wygląda na to, że jednak zagra pan z kobietą.

- Cokolwiek to jest, zrujnuje także Tommy'ego.

- Myślę, że nic mu się nie stanie, jeśli to wyjdzie na jaw. Zapewniam jednak, że panu tak. - Przerwała. - Sądzę, że wie pan dlaczego.

Langford ściągnął brwi, Michael rozpoznał gniew i strach na jego twarzy, kiedy tamten zwrócił się do Crossa:

- Niech pan rozda karty.

Cross spojrział na Michaela; pytanie w jego wzroku było tak jasne, jakby zadał je głośno. Michael nie grał od dziesięciu lat. Nie zagrał ani jednej partii, jakby czekał na tę noc, tę chwilę, kiedy znowu stanie wobec Langforda... i tym razem wygra.

Kiedy jednak patrzył na żonę, dumną i piękną, jak wyzywa człowieka, którego tak bardzo nienawidził przez szmat swego życia, uświadomił

sobie, że przewrotne pragnienia, jakie w nim wywoływało wspomnienie o Langfordzie i zagarniętych przez niego ziemiach, znikły razem z pragnieniem zemsty.

Odeszły w przeszłość.

Penelopa była przyszłością.

Jeśli zdoła na nią zasłużyć.

- Dama gra za mnie. - Podniósł ze stołu dowód na nieślubne pochodzenie Tommy'ego i położył go przed Penelopą. W jej jasnych niebieskich oczach pojawiło się zdumienie, kiedy zrozumiała znaczenie tego gestu. Nie zrujnowałaby Tommy'ego. Na jej twarzy zobaczył... mieszaninę szczęścia, dumy i czegoś jeszcze... Postanowił, że sprawi, aby to coś pojawiało się na jej twarzy wciąż i wciąż, codziennie. Po krótkiej chwili uczucia Penelopy ustąpiły... naglemu niepokojowi.

- Masz, co chciałaś, kochanie. To należy do ciebie. - Uniósł brew. - Ale na twoim miejscu nie przestawałbym. Masz dobrą passę.

Spojrzała na papiery przyniesione przez Langforda - przeszłość Michaela. Michael bardzo chciał ją mocno pocałować za to, co zdradzał wyraz jej twarzy... niepokój i pragnienie... pragnienie, żeby wygrać.

Dla niego.

Skinął na Crossa, który potasował karty szybkimi, oszczędnymi ruchami.

- Jedno rozdanie *vingt et un*. Ten, kto wygra, bierze wszystko.

Cross rozdał karty, jedna do góry, druga odwrócona i Michaelowi przyszło do głowy, że to gra nie dla kobiet. Zasady były zwodniczo proste, ale Penelopa zapewne nigdy nie grała i taki weteran hazardu jak Langford musiał ją zmiażdżyć, o ile nie będzie miała wyjątkowego szczęścia.

Michael zastanawiał się nad tą możliwością - nad tym, że po tylu latach, kiedy był tak bliski zniszczenia Langforda i odzyskania ziem marki-zatu, przegra - i uświadomił sobie, że zbyt długo wiązał z tym nadzieję na swoje odkupienie. Teraz jednak wiedział, jak jest naprawdę.

Penelopa była jego odkupieniem.

Przed nią, odkryta, leżała czwórka trefl. Patrzył, jak podnosi rożek innej karty, szukając jakiejś wskazówki, co to może być. Domyślał się, że nic takiego. Spojrzał na Langforda, przed którym leżała dziesiątka kier; lewą dłoń trzymał płasko na stole, jak zwykle. Doszedł zapewne do tego samego wniosku, co Michael - że Penelopa jest nowicjuską i ma przyzwoite karty, ale nie umie ich wykorzystać.

Cross spojrzał na Penelopę.

- Pani?

Zagryzła dolną wargę, zwracając uwagę Michaela.

- Czy mogę prosić o następną?

Kącik ust markiza uniósł się w cieniu uśmiechu. Taka grzeczna, nawet kiedy grała o majątek wart ponad milion funtów w najbardziej ekskluzywnym londyńskim kasynie.

Cross dał jej kartę, trójkę kier. Siedem. Michael chciał, żeby na tym poprzestała, bał się, że z następną kartą przekroczy prawdopodobnie liczbę dwadzieścia jeden. Biorąc kolejną, popełniłaby jeden z najpospolitszych błędów.

- Jeszcze jedną proszę.

Cross zawahał się; znał ryzyko i wcale mu się to nie podobało.

- Dziewczyna poprosiła o następną - powiedział Langford, zadowolony, pewien, że za chwilę wygra, i Michael poprzysiągł, że nawet jeśli starszy mężczyzna wyjdzie z klubu, nie straciwszy niczego, to nie wyjdzie, nie poczuwszy jego pięści.

Szóstka kier spoczęła obok pozostałych. Trzynaście.

Penelopa zagryzła wargę i znowu sprawdziła leżącą spodem do góry kartę - dowód, że była nowicjuską. Gdyby miała dwadzieścia jeden, nie patrzyłaby. Spojrzała, zmartwiona, na Crossa, potem na Michaela, który mógłby postawić cały swój majątek na to, że przeholowała.

- Czy to koniec?

- Chyba że chcesz jeszcze jedną. Pokręciła głową.

- Nie.

- Dziewczyna przeholowała. Ślepiec by to zauważył. - Langford odwrócił drugą kartę z zarożumiałym uśmiechem. Królowa. Dwadzieścia.

Wicehrabiemu zdecydowanie szczęście dzisiaj sprzyjało. Michaela to nie obchodziło.

Chciał po prostu, żeby ten wieczór się skończył, żeby mógł zabrać żonę do domu i powiedzieć jej, że ją kocha. Wreszcie.

- W istocie mam ponad dwadzieścia - oznajmiła Penelopa, pokazując ostatnią kartę.

Michael pochylił się do przodu, pewien, że się myli. Ósemka karo.

- Dama ma dwadzieścia jeden - stwierdził zdziwiony Cross.

- Niemożliwe! - wykrzyknął Langford. - Niemożliwe!

Michael nie mógł się powstrzymać. Wybuchnął śmiechem.

- Moja cudowna żona - powiedział z dumą, kręcąc niedowierzająco głową.

Coś się za nią poruszyło i nagle rozpętało się piekło.

- Ty oszukańcza suko! - Langford położył ciężkie łapy na ramionach Penelopy i w napadzie furii zerwał ją z krzesła. Krzyknęła i zachwiała się, zanim ją podniósł, potrząsając gwałtownie. - Myślisz, że to zabawa?

Oszukańcza suko!

Michael znalazł się przy niej w ciągu sekundy czy dwóch, ale miało się wrażenie, że wieczność upłynęła, zanim wyrwał ją z uścisku Langforda i przekazał Crossowi, który już czekał, żeby zapewnić jej bezpieczeństwo.

A potem Michael ruszył na starego.

- A jednak nie muszę cię niszczyć! - warknął. - Po prostu cię zabiję! - Złapał tamtego za kłapy i cisnął nim o ścianę z całej siły, karząc za to, że śmiał tknąć Penelopę.

Za to, że śmiał sprawić jej ból.

Chciał ujrzeć tamtego martwego na miejscu.

- Myślisz, że nadal jestem dwudziestojednoletnim chłopakiem? - Odciągnął Langforda od ściany, żeby pchnąć go ponownie. - Myślisz, że możesz przyjść do mojego klubu i bezkarnie grozić mojej żonie? Myślisz, że pozwolę ci jej dotknąć? Nie jesteś wart, żeby oddychać tym powietrzem, co ona.

- Michael! - krzyknęła z drugiej strony pokoju, gdzie Cross powstrzymywał ją przed przyłączeniem się do bójk. - Przestań! - Odwrócił się ze łzami spływającymi po policzkach i zamarł, rozdarty między chęcią zranienia Langforda a pragnieniem pocieszenia Penelopy. - Nie jest tego wart, Michael.

- Ożeniłeś się z nią dla ziemi - wycedził Langford, gwałtownie wciągając powietrze. - Mogłeś oszukać cały Londyn. Ale nie mnie. Wiem, że Falconwell jest dla ciebie najważniejsze na świecie. Była środkiem do celu. Myślisz, że tego nie widzę?

„Środkiem do celu”. Echo słów - które tak często padały na początku ich małżeństwa - odebrał jak cios, po części dlatego, że zawierały prawdę, ale głównie dlatego, że były tak bardzo fałszywe.

- Ty draniu. Myślisz, że mnie znasz? - Cisnął znowu Langfordem o ścianę, z jeszcze większą wściekłością. - Kocham ją. Ona jedyna się liczy. A ty ośmieliłeś się jej dotknąć.

Langford otworzył usta, ale Michael nie dopuścił go do głosu.

- Nie zasługujesz na łaskę. Żaden z ciebie ojciec, opiekun, człowiek. Fakt, że stoisz na nogach, zawdzięczasz wyłącznie szlachetności damy. Ale jeśli podejdziesz do niej na odległość mniejszą niż' mila albo jeśli dojdą mnie słuchy, że źle o niej mówisz, z przyjemnością rozerwę cię na strzępy. Czy to jasne?

Langford przełknął ślinę i szybko kiwnął głową.

- Tak.

- Wątpisz, że bym to zrobił?

- Nie.

Popchnął wicehrabiego w stronę Brunona.

- Pozbądź się go. I poślij po Thomasa Allesa.

Michael szedł już przez pokój, pewien, że jego polecenie zostanie wykonane; chwycił Penelopę w ramiona. Wtuliła twarz w jego szyję.

- Co powiedziałaś? - szepnęła w jego skórę, głos jej drżał. Michael gładził jej plecy. Podniosła głowę, błękitne oczy błyszczały od łez. - Co powiedziałaś?

Nie w taki sposób zamierzał jej to wyznać, ale w ich małżeństwie nic nie odbywało się tradycyjnie, więc przypuszczał, że i ta chwila nie powinna się różnić pod tym względem od pozostałych. Tam właśnie, na środku pokoju karcianego w kasynie, spojrzał swojej żonie w oczy, mówiąc:

- Kocham cię. Pokręciła głową.

- Ale wybrałaś jego. Wybrałaś zemstę.

- Nie - odparł, opierając się o stół do gry, przyciągając ją do siebie i ujmując jej ręce. - Nie. Wybieram cię. Wybieram miłość.

Przechyliła głowę, chcąc spojrzeć mu w oczy.

- Czy to prawda?

Nagle prawda stała się ważniejsza, niż potrafił to sobie przedtem wyobrazić.

- Boże, tak. To najczystsza prawda. - Objął jej twarz dłońmi. - Wybieram cię, Penelopo. Wybieram miłość ponad zemstą; przyszłość nad przeszłością; twoje szczęście ponad wszystko inne.

Milczała długo, na tyle długo, że zaczął się martwić.

- Sześciopensówko? - zapytał nagle przerażony. - Wierzysz mi?

-Ja... - zaczęła i urwała, a on wiedział, co chciała powiedzieć. Żałował, że nie może tego zmienić. - Nie wiem.

22

Penelopa nie spała tej nocy. Nawet nie próbowała zasnąć.

Tak więc, kiedy następnego ranka przyszedł Tommy, nie miało znaczenia, że pora była o wiele za wczesna na odwiedzinę. Kiedy weszła do pokoju, stał przy kominku, w płaszczu. Z kapeluszem i laską w ręce.

Odwrócił się, spojrzał w jej zaczerwienione oczy i zauważył niezwykle taktownie:

- Dobry Boże. Wyglądasz tak samo okropnie, jak on. To wystarczyło. Rozplakała się.

Podszedł bliżej.

- Och, Penny. Przestań. A niech to. Cofam, co powiedziałem. Wcale nie wyglądasz okropnie.

- Kłamca - odparła, wycierając łzy. Kącik jego ust uniósł się nieco.

- Wcale nie. Wyglądasz zupełnie dobrze. Ani trochę jak wdzięcząca się kokietka.

Poczuła się niezręcznie.

- Wiesz, nic na to nie poradzę.

- Kochasz go. Odetchnęła głęboko.

- Z całej duszy.

- A on ciebie.

Znowu groziło, że wybuchnie łzami.

- Tak mówi.

- Nie wierzysz mu? Chciała. Rozpaczliwie.

- Nie mogę... Nie rozumiem, dlaczego miałby mnie kochać. Nie rozumiem, co takiego we mnie miałoby go zmienić. Wzruszyć. Sprawić, aby mnie pokochał.

Wzruszyła ramieniem i spojrzała na swoje stopy, na czubki zielonych pantofli wyglądających spod rąbka sukni.

- Och, Pen... - westchnął, zamykając ją w serdecznym, braterskim uścisku. - Byłem durniem. Tak samo, jak Leighton. I wszyscy inni. Jesteś lepsza niż każdy z nas. Niż my wszyscy razem wzięci. - Cofnął się i ujął ją mocno za ramiona, patrząc jej prosto w oczy. - I jesteś lepsza niż Michael.

Wciągnęła głęboko powietrze i pogładziła dłonią klapę jego płaszcza.

- Wcale nie. Uśmiechnął się smętnie.

- I to jest powód, dla którego on na ciebie nie zasługuje. Bo jest skończonym głupcem, a ty i tak go kochasz.

- Kocham - szepnęła.

- Wiesz, widziałem się z nim zeszłej nocy, kiedy już wyszłaś. - Podniosła głowę, napotykać spojrzenie jasnych niebieskich oczu Tommy'ego. - Dał mi dowód skandalu związanego z moim urodzeniem. Twierdzi, że wygrałaś go od niego.

- Dał mi go - sprostowała. - Nie musiałam grać. Nie zamierzał cię rujnować, Tommy. Skończył z tym.

Tommy pokręcił głową.

- Ty to skończyłaś. Kochasz go tak, że zrozumiał, że w życiu jest coś więcej poza zemstą. Zmieniłaś go. Dałaś mu szansę, żeby był tym Michael, którego znaliśmy, a nie zimnym, twardym Bourne'em, jakim się stał. Poruszyłaś górę, - Podniósł rękę i poklepał ją leciutko po brodzie. - On cię uwielbia. To widać gołym okiem.

„Wybieram ciebie. Wybieram miłość”.

Słowa, które dźwięczały w jej głowie całą noc, nagle nabrały sensu. I tak, jakby nagle zapaliła się świeczka, zrozumiała, że to prawda. Że Michael ją kocha.

Zakręciło jej się w głowie.

- On mnie kocha - powiedziała najpierw cicho, wsłuchując się w echo tych słów, badając ich smak na języku. - On mnie kocha - powtórzyła ze śmiechem, tym razem zwracając się do Tommy'ego. - On naprawdę mnie kocha.

- Oczywiście, że tak, niemądra dziewczyno - potwierdził Tommy z uśmiechem. - Tacy mężczyźni jak Bourne nie wyznają miłości fałszywie. - Zniżył głos do konspiracyjnego szeptu. - To nie leży w ich charakterze.

Tak było, oczywiście. Wielki, niebezpieczny Bourne, uosobienie zimnej kalkulacji i okrucieństwa, człowiek, który prowadził kasyno, porywał kobiety w środku nocy i żył dla zemsty, nie był człowiekiem, który zakochuje się we własnej żonie.

Ale tak się jednak stało.

A Penelopa nie była na tyle niemądra, żeby poświęcić kolejną chwilę na zastanawianie się jak i dlaczego... kiedy mogła po prostu spędzić resztę życia, odwzajemniając jego miłość.

Uśmiechnęła się do Tommy'ego.

- Muszę iść do niego. Muszę mu powiedzieć, że mu wierzę. Skinał głowę, zadowolony, poprawiając płaszcz.

- Znakomity plan. Ale zanim pobiegiesz, żeby ratować swoje małżeństwo, nie znalazłabyś chwili czasu, żeby się pożegnać ze starym przyjacielem?

W pośpiechu, żeby się spotkać z Michaelem, nie zrozumiała go od razu.

- Tak, oczywiście. - Przerwała. - Poczekaj. Kiedy...?

- Wyjeżdżam do Indii. Statek odpływa dzisiaj.

- Do Indii? Dlaczego? - Ściągnęła mocno brwi. - Tommy, nie musisz wyjeżdżać. Twoja tajemnica... znowu należy do ciebie.

- I za to jestem do zgonnie wdzięczny. Zarezerwowałem jednak rejs i szkoda byłoby to zmarnować.

Przyjrzała mu się badawczo.

- Naprawdę tego chcesz? Uniósł jasną brew.

- A ty naprawdę chcesz Michaela? Tak. Boże, tak. Uśmiechnęła się.

- A zatem nas oboje czeka przygoda. Roześmiał się.

- Twoja, jak podejrzewam, stanowi większe wyzwanie.

- Będę za tobą tęsknić - wyznała. Tommy schylił głowę.

- A ja za tobą. Będę przysyłać twoim dzieciom prezenty z dalekich krain.

Dzieci. Musiała zobaczyć Michaela. Natychmiast.

- Tylko nie zapomnij. A ja będę je raczyć opowieściami o wujku Tommym.

- Michaelowi to się spodoba. -Tommy wybuchnął śmiechem - Spodziewam się, że pójdą w moje ślady i zostaną świetnymi wędkarzami i marnymi poetami. A teraz idź do męża.

Uśmiechnęła się.

- Chyba tak zrobię.

Michael wbiegał po dwa stopnie naraz do Piekielnego Domu chcąc jak najszybciej spotkać się z żoną, zły na siebie, że nie zamknął jej w pokoju w klubie i nie puścił, póki nie uwierzyła, że on ją kocha.

Jak mogła mu nie wierzyć? Jak mogła nie widzieć, jaki ogromny wpływ wywiera na jego umysł i ciało, jak odebrała mu spokój i wstrząsnęła nim całym swoją miłością? Jak mogła nie rozumieć, że pragnie jej z całej duszy'?

Drzwi otworzyły się, kiedy postawił stopę na górnym stopniu i obiekt jego pragnień wypadł z domu, niemal zrzucając go ze schodów Zatrzymała się gwałtownie, zielony płaszcz zakołysał się wokół niej, muskając jego nogi; patrzyli na siebie długą chwilę.

Zaparło mu dech na jej widok. Jak to możliwe, że kiedyś uważał że jest pospolita? Była klejnotem w lutowej zimnej, szarej śnieżnej mżawce z różowymi policzkami, niebieskimi oczami i ślicznymi różowymi ustami, które sprawiały, że miał ochotę ją zanieść na najbliższe łóżko. Do ich łóżka. Bo już pora, żeby mieli łóżko. Zamierzał zburzyć ścianę między ich sypialniami, tak żeby już nigdy nie musieć patrzeć na te przeklęte drzwi Przerwała jego myśli.

- Michael...

- Poczekaj. - Nie dał jej dokończyć, nie chciał ryzykować, że usłyszy nie to, co chciał usłyszeć. Zanim sam nie powie tego, co ma do powiedzenia. - Wybacz. Wejźmy do środka. Dobrze?

Weszła za nim do domu. Odgłos zamykania wielkich dębowych drzwi za ich plecami rozległ się echem w marmurowym holu. Zerknęła na pakunek w jego dłoni.

- Co to jest?

Zapomniał, że to ma. Jego as w rękawie.

- Chodź ze mną. - Wziął ją za rękę, żałując, że mają rękawiczki, żałując, że nie może jej dotknąć, poczuć jej skóry. Weszli na pierwsze piętro do jadalni i Michael położył zawiniętą w pergamin paczuszkę na długim, mahoniowym stole.
- To dla ciebie.

Uśmiechnęła się z ciekawością; oparł się chęci pocałowania jej, nie chciał się śpieszyć. Nie chciał jej przestraszyć. Odwinęła ostrożnie papier, odchylając go tylko na tyle, żeby zajrzeć do środka. Podniosła głowę, marszcząc czoło w zakłopotaniu, po czym całkiem usunęła pergamin.

- To jest...

- Poczekaj. - Sięgnął do kieszeni i wyciągnął pudełko zapalek, a potem zapalił zapalniczkę.

Roześmiała się, a on przestał się aż tak niepokoić, słysząc ten dźwięk: muzykę w dużym pokoju.

- To pudding figowy. Nie chcę, żeby nasza historia była kłamstwem, Sześciopensówko. Chcę, żeby stała się prawdą. Żebyśmy zakochali się w sobie przy płonącym puddingu - oznajmił łamiącym się głosem. - W tobie widzę swoje serce, swój cel... swoją duszę.

Wszystko zamarło; przypomniała sobie pierwszy raz, kiedy wymówił te słowa, a jemu przyszło do głowy, że może się spóźnił. Ten głupi pudding to za mało.

Ale potem trzymał ją w ramionach, całowała go, a on włożył w tę pieszczotę całą swoją miłość, całe uczucie, zachwycony tym, jak jej ręce wsunęły się we włosy na jego karku, zachwycony jej urywanym oddechem, kiedy muskał jej dolną wargę. Odsunęła się i otworzyła piękne niebieskie oczy, żeby mu spojrzeć w twarz, ale nie był gotowy, żeby ją puścić, i pocałował ją jeszcze raz.

- Należę do ciebie, kochanie... jestem twój i możesz ze mną zrobić, co chcesz. Kiedy cię wykradłem w środku nocy i wziąłem za swoją, skąd mogłem wiedzieć, że wtedy, tamtej nocy na zawsze to ja zostałem porwany? Że moje serce ukradziono?

Zdaję sobie sprawę, że nie jestem ciebie wart. Wiem, że mam za sobą życie, które mi nie przynosi zaskoczenia, i muszę wiele naprawić. Ale przysięgam, kochana, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby to zrobić. Będę starać się każdego dnia, żeby na ciebie zasłużyć. Na twoją miłość. Proszę... proszę, daj mi szansę.

Błagam cię, uwierz.

W jej oczach zabłyśły łzy, a kiedy pokręciła głowę, stracił oddech, niezdolny zmierzyć się z możliwością, że mu odmówi. Że mu nie uwierzy. Zapadło milczenie, czekał w rozpacz na jej słowa.

- Tak długo tęskniłam - odezwała się, dotykając rękami jego twarzy, jakby chciała się upewnić, że tu jest. Że należy do niej. - Pragnęłam czegoś

więcej. Marzyłam o miłości. Tęskniłam za tą chwilą. Za tobą. - Łza popłynęła po jej policzku, podniósł rękę, żeby ją wytrzeć. - Myślę, że Kocham cię, odkąd byliśmy dziećmi. Że to zawsze byłeś ty.

Przysunął czoło do jej czoła, przyciągając ją do siebie, chcąc, żeby była blisko.

- Jestem tutaj. Jestem twój. I, na Boga, Penelopo. Ja też za tobą tęskniłem. Tak bardzo.

Uśmiechnęła się, tak pięknie.

- Jak to możliwe?

- Jakże mogłoby być inaczej? - zapytał zachrypniętym, pełnym uczucia głosem. - Przez dziesięć lat myślałem, że zemsta mnie uratuje i trzeba było ciebie, mojej silnej, pięknej żony, aby udowodnić, że się mylę i że miłość jest moim ratunkiem. Jesteś moim zbawieniem - szepnął. - Moim błogosławieństwem.

Płakała, a on scalał jej łzy, zanim złożył na jej ustach długi, gorący pocałunek, wlewając w tę pieśczęć całą swoją miłość, aż obojgu zabrakło tchu. Podniósł głowę.

- Powiedz, że mi wierzysz.

- Wierzę ci.

Zamknął oczy, czując ogromną ulgę.

- Powiedz to jeszcze raz.

- Wierzę ci, Michael.

- Kocham cię. Uśmiechnęła się.

- Wiem.

Pocałował ją szybko i głęboko.

- Dama zwykle odpłaca uczuciem. Roześmiała się.

- Czy tak?

Zrobił nadąsaną minę.

- Powiedz, że mnie kochasz, lady Penelopo.

- Dla ciebie lady Bourne. - Objęła go, wsuwając palce w jego włosy. - Kocham cię, Michael. Kocham cię ogromnie. I jestem bardzo szczęśliwa, że postanowiłeś odwzajemnić to uczucie.

- Jak mógłbym zachować się inaczej? Jesteś moją wojowniczką. Gotową walczyć z Brunonem i Langfordem.

Uśmiechnęła się nieśmiało.

- Nie mogłam odejść. Nie chciałam zostać upadłym aniołem. Mogłam pójść za tobą do piekła... ale tylko po to, żeby cię z niego wyciągnąć.

To wzbudziło w nim pokorę.

- Nie zasługuję na ciebie - stwierdził. - Ale obawiam się, że nie mogę pozwolić ci odejść.

Jej niebieskie oczy patrzyły z głęboką powagą, kiedy zapytała:

- Przrzekasz?

Całym sobą. .

- Tak - Przytulił ją, kładąc brodę na jej głowie; przypomniał sobie, że ma dla niej coś jeszcze. - Przyniosłem twoją wygraną, kochana. - Wyciągnął dokumenty z poprzedniej nocy i położył obok puddingu. - Twoja własność. - Pocałował jej szyję i uśmiechnął się, kiedy westchnęła. - Nie moja. Twoja. Osobiście wygrana.

Pokręciła głową.

- Chcę tylko jednej z wygranych poprzedniej nocy.

- A mianowicie?

Podniosła się na palcach, żeby go pocałować.

- Ciebie. ,

- Myślę, że możesz pocałować tej wygranej, Sześciopensowko.

- Nigdy - zapewniła z przekonaniem.

Zagubili się znowu w pocałunku na długie minuty, aż w końcu Michael podniósł głowę i zapytał z ciekawością:

- Co miałaś na Langforda? Zachichotała i sięgnęła za niego, żeby pogrzebać w stosie papierów

i wyciągnąć małą kwadratową kartkę.

- Zapomniałeś nauczyć mnie najważniejszej zasady hultajów.

- To znaczy?

Rozłożyła starannie kartkę i podała mu ją.

- Jeśli masz wątpliwości, blefuj.

To było jej zaproszenie do Upadłego Anioła.

Zaskoczony Michael roześmiał się, czując rozpierającą go dumę.

- Moja przewrotna żona hazardzistka. Myślałem, że naprawdę masz coś obciążającego.

Uśmiechnęła się, odważna i promienna, a on stwierdził, że dość już gadania.

Zamiast tego położył żonę na podłodze jadalni i powoli rozebrał, czcząc każdy cal jej obnażonej skóry. A kiedy jej śmiech ustąpił westchnieniem, przypominał jej raz po raz, jak bardzo ją kocha.

Przez lata, kiedy dzieci i wnuki pytały o okrągłą, czarną plamę na podłodze jadalni Piekielnego Domu, markiza Bourne opowiadała o przypalonym puddingu... a markiz Bourne wtrącał wtedy zwykle, że jego zdaniem był niezwykle udany.

Epilog

Droga Sześciopensówko,

Zachowałem je wszystkie, wiesz? Każdy list, który do mnie wysłałaś, nawet te, na które nie odpowiadałem. Przepraszam Cię za tak wiele rzeczy, ukochana: za to, że Cię zostawiłem, za to, że tak długo nie wracałem do domu, i za to, że musiało upłynąć tak wiele czasu, zanim zrozumiałem, że to Ty jesteś moim domem i że kiedy jesteś ze mną, wszystko inne przestaje się liczyć.

i Ale w najgorszych chwilach, w najzimniejszej nocy, kiedy miałem poczucie, że wszystko straciłem, miałem jeszcze te listy. Dzięki nim w jakimś I niewielkim stopniu wciąż miałem Ciebie.

Kochałem Cię wtedy, moja najdroższa Penelopo, bardziej niż można sobie wyobrazić - tak jak kocham Cię teraz. Mocniej, niż Ci się wydaje.

Michael

Piekielny Dom, luty 1831

Tydzień później

Cross obudził się, jak zwykle, na prowizorycznym legowisku w biurze Upadłego Anioła, wciśniętym między przepelnioną półkę z książkami a potężny globus, otoczonym zewsząd papierami.

Jednak inaczej niż zwykle, przy jego biurku siedziała kobieta. Dama. Młoda, jasnowłosa dama w okularach. Czytała księgę rachunkową.

Usiadł, nie zwracając uwagi na fakt, że nie ma na sobie koszuli i nie jest obyczajnie, żeby dżentelmen witał damę półnagi. Do diabła z konwenansami. Jeśli kobieta nie chciała go widzieć półnagim, nie powinna nachodzić go w nocy w biurze.

To, że większość mężczyzn raczej nie sypiała w biurze, nie miało znaczenia.

- Czego pani sobie życzy? Nie podniosła głowy.

- Popęłił pan błąd w kolumnie F. Co u diabła?

- Nieprawda.

Podsunęła okulary wyżej na nosie, zatknęła kosmyk jasnych włosów za ucho, zupełnie pochłonięta rachunkami.

- Właśnie, że tak. Właściwy wynik to sto dwanaście tysięcy trzysta czterdzieści sześć i siedemnaście pensów.

Niemożliwe.

Wstał i podszedł, żeby spojrzeć jej przez ramię.

- Dokładnie tak jest.

Pokręciła głową, kładąc długi palec na linii tabelki. Zauważył, że paznokieć jest lekko wykrzywiony - na prawo.

- Napisał pan sto dwanaście tysięcy trzysta czterdzieści pięć... - tu zawiesiła głos - ...i siedemnaście pensów. - Spojrzała na niego, oczy za szklami jak oczy sowy zauważyły jego potężną budowę i nagą pierś. -Pan... pan stracił funta.

Pochylił się nad nią, rozbawiony tym, jak wstrzymała oddech pod wpływem jego bliskości.

- To jest sześć.

Odchrząknęła i spojrzała ponownie.

- Och. - Schyliła głowę, przyglądając się uważnie cyfrze. - Przypuszczam więc, że stracił pan biegłość w pisaniu - stwierdziła sucho. Zachichotał, kiedy sięgnęła po ołówek i poprawiła cyfrę.

Utkwił wzrok w odcisku na jej drugim palcu, a potem szepnął jej do ucha:

- Czy jest pani wrózką księgową, przyslaną w środku nocy, żeby sprawdzić moje rachunki?

Odsunęła się i odwróciła, żeby na niego spojrzeć.

- Jest pierwsza po południu - oznajmiła rzeczowo, a on poczuł gwałtowną ochotę, żeby zerwać jej okulary i wycelować ją do utraty tchu, po to żeby usłyszeć, co powie ta dziwna młoda kobieta.

Stłumił to pragnienie. Uśmiechnął się.

- A zatem wysłaną w środku dnia? Zamrugła.

- Jestem Philippa Marbury.

Otworzył szeroko oczy i zrobił wielki krok w tył. Wpadł na stojak na kapelusze i odwracając się, żeby go złapać, uświadomił sobie, że absolutnie nie może stać w swoim biurze, w kasynie, bez koszuli, w towarzystwie szwagierki Bourne'a. Zaręczonej szwagierki Bourne'a.

Złapał koszulę. Pognieciona i nieświeża, musiała wystarczyć. Szukając bezskutecznie zapięcia, cofnął się jeszcze dalej.

Podniosła się i obeszła biurko, idąc ku niemu.

- Czy przeszkodziłam panu?

Dlaczego ta koszula nie miała zapięcia? Ostatecznie trzymał koszulę przed sobą, jak tarczę przed jej ogromnymi, wszystko widzącymi oczami.

- Wcale nie, ale nie mam zwyczaju odbywania, półnago, potajemnych spotkań ze szwagierkami moich partnerów.

Rozważała jego słowa, po czym przechyliła głowę na bok.

- Cóż, spał pan, więc w istocie nie mógł pan nic zrobić.

- Jakoś wątpię, żeby Bourne spojrział na to w ten sposób.

- Proszę przynajmniej mnie wysłuchać. Przebyłam kawał drogi.

Cross wiedział, że powinien odmówić. Wiedział, z wyczuciem urodzonego hazardzisty, że nie powinien kontynuować tej gry. Że nie zdoła wygrać. Ale w tej młodej kobiecie było coś, co nie pozwalało mu się zatrzymać.

- Cóż, skoro przebyła pani szmat drogi, żeby tu przyjść... czym mogę pani służyć, lady Filippo?

Wciągnęła głęboko powietrze. I wypuściła je.

- Domagam się zrujnowania reputacji. A słyszałam, że jest pan ekspertem w tej dziedzinie.